

Joanne Harris

wiat W Ziarnku Piasku

Przełożyła Ewa Horodyska

Mojej matce

Jeannette Payen Short

aden człowiek nie jest wysp

John Donne

Ujrze wiat w ziarnku piasku...

William Blake

PROLOG

Wyspy są inne. Im mniejsza wyspa, tym prawdziwsze staje się to stwierdzenie. Wystarczy spojrzeć na Brytanię. Trudno sobie wyobrazić, że ten wspaniały kraj zawiera w sobie tak różnorodność. Krykiety, herbata ze słodkimi ciastkami, Szekspir, Sheffield, ryba z frytkami zawinięta w gazetkę, Soho, dwa uniwersytety, plaża w Southend, pasiaste ławki w Green Park, Coronation Street, Oxford Street, leniwe niedzielne popołudnia. Tyle sprzeczności. A wszystkie maszerują wspólnie niczym podchmieleni demonstranci, którzy nie zdążyli się jeszcze zorientować, że protestują głównie przeciw sobie nawzajem. Wyspy są siedzibami pionierów, odszczepieńców, malkontentów, nieprzystosowanych, izolacjonistów z natury. Są, jak już powiedziałam, inne.

Ta wyspa, na przykład. Można w jeden dzień przejechać rowerem z jednego krańca na drugi. Człowiek zdolny kroczyć po wodzie dotarłby na stały ląd w jedno popołudnie. Le Devin, jedna z wielu wysepek, które uwiły niczym kraby na mieliźnie u wybrzeży Wandei. Od strony lądu przesłaniają Noirmoutier, od południa Yeu i w mglisty dzień zupełnie jej nie widać. Rzadko pojawia się na mapach. W istocie nie bardzo zasługuje na miano wyspy, bo składa się zaledwie z ambitnym zlepkiem piaszczystych ławic, wydymygniętych z Atlantyku na skalistej grani, z dwiema wioskami, małymi przetrwałymi rybnymi i jedyną plażą. Nad samym brzegiem rodzinne Les Salants, szereg chat zaledwie wystarczających, by stworzyć wioskę, i zastój chwiejnie w ród skał i wydymygniętych ku morzu, które podczas każdego niepomyślnego przypływu wdziera się coraz dalej. Dom, miejsce, od którego nie ma ucieczki, miejsce, ku któremu prowadzi kompas.

Gdyby dano mi wybór, niewykluczone, że wolałabym coś innego. Może jakieś miejsce w Anglii, gdzie obie z matką byłyśmy szczęśliwe przez blisko rok, dopóki mój niespokojny duch nie pogałał nas w drogę. A może Irlandię albo Jersey, Ionę albo Skye. Widzicie, że wyszukuję wyspy jakby instynktownie, jakbym próbowała odtworzyć mój wysp, Le Devin, jedyne miejsce, którego nic nie potrafi zastąpić.

Kształtem przypomina uśmiech kobiety. Les Salants to jej głowa, osłonięta ramionami przed niepogodą. La Goulue to brzuch, a La Houssiniere leży w zacisznym zgięciu kolan. Otaczają ją La Jete, obrzeża piaszczystych wysepek, które rozszerzają się i kurczą, ale nie od pływów, przesuwają stopniowo linię brzegu, podgryzając ją z jednej strony i nawarstwiając się z drugiej. Rzadko zachowują swój kształt dostatecznie długo, by uzyskać nazwy. Dalej rozpoczyna się

wielkie nieznanne, płytki szelf, który za La Jetee opada stromo w niezmierną głębokość, zwaną przez miejscowych Nid'Poule. List w butelce, rzucony z pierwszego lepszego punktu wyspy, wróci najpewniej do La Goulue - Łakomczuchy - która ochrania wiosk Les Salants przed silnym morskim wiatrem. Położenie na wschód od skalistego czubka Point Griznoz sprawia, że gruby piach, muł i wszelkie odpadki czsto się tu gromadzą. Przyczyniają się do tego przypiływy i zimowe sztormy, wznoszące na skałach mury obronne z wodorostów, które dopiero po pół roku czy po roku spłukuje następny sztorm.

Jak widać, Le Devin nie grzeszy urodzeniem. Przygarbiona, pierwotna sylwetka przypomina naszego wiatronosca, Marine-de-la-Mer. Turyści pojawiają się rzadko. Niewiele znajduje tu atrakcji. Jeżeli z lotu ptaka wyspy wyglądają jak tancerki w tiulowych krynolinach, Le Devin jest chórzystką z tylnego rzędu - do przeciwnej chórzystki - która potknęła się na próbie. Obydwie zmyliły my krok, ona i ja. Spektakl toczy się dalej bez nas.

Wyspa zachowała jednak swobodę. Kilkukilometrowy spłachetek lądu, który nie stracił indywidualności, a jego dialekty, potrawy, tradycje i ubiory odróżniają go od innych wysp, podobnie jak od kontynentalnej Francji. Wyspiarze uważają się raczej za Devinoficzyków niż za Francuzów czy choćby Wanderszyków. Nie darzą zaufaniem żadnego polityka. Niewielu z ich synów zadaje sobie trud pełnienia służby wojskowej. Ich oddalenie od najistotniejszych spraw wydaje się wręcz absurdalne. A w oddaleniu od biurokracji i prawa Le Devin przestrzega własnych reguł.

Nie oznacza to, że obcy nie są mile widziani. Przeciwnie; zachęcają my turystów, gdyby my tylko wiedzieli, jak to robić. W Les Salants turystyka oznacza zamieszkanie. Spoglądamy ponad falami na Noirmoutier, na te hotele, pensjonaty, sklepy i uroczy długi most z kontynentu, wznoszący się nad falami. Latem drogi są jak rzeka aut z obcymi tablicami rejestracyjnymi i walizkami wylewającymi się z bagażników, plażą pełną ludzi, a my próbujemy sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby przyjechali do nas. Ale zazwyczaj poprzestajemy na marzeniach. Turyści - ci nieliczni, którzy zapuszczają się tutaj - z uporem wybierają La Houssiniere, żeby być bliżej kontynentu. Nie mają czego szukać w Les Salants, gdzie zamiast plaży jest skaliste wybrzeże i pryzmy kamieni zlepionych twardym piaskiem, nawiewanym przez uparty, nieustający wiatr.

Ludzie z La Houssiniere wiedzą o tym. Od niepamiętnych czasów trwa walka między houssinianami a salanianami, która zaczęła się od sporów na tle religijnym, a następnie objęła

prawa do połowów ryb, budownictwo, handel i wreszcie - nieuchronnie - kwestie gruntów. Zająć te ziemie należało zgodnie z prawem do tych, którzy je zajęli, i do ich potomków. Jest to jedyny majątek salanian. La Houssiniere natomiast sprawuje nadzór nad dostawami z kontynentu (najstarsza z tamtejszych rodzin kieruje jedynym promem) i ustala ceny. Jeżeli jakiś houssinianin ma sposobność okpić salanianina, wykorzystają ją. A jeżeli salanianinowi uda się wziąć górę nad houssinianinem, cała wioska uczestniczy w jego tryumfie.

La Houssiniere posiada tajną broń. Nazywa się ona Les Immortelles i jest niedostępna dla plażowiczów, dwie minuty spaceru od zatoki, otoczona z jednej strony nadgryzionym z biegiem czasu falochronem. Tu aglówki lizgają się po falach, osłonięte od zachodnich wiatrów. Tylko tutaj można się bezpiecznie kąpać albo egłować z dala od silnych morskich prądów, szarpących przyłdek. Owa plaża - wybryk natury - porośniła dwie osady. Wioska rozrosła się do rozmiarów miasteczka. Dlatego La Houssiniere rozkwita - na miarę wyspiarskich standardów. Jest tam restauracja, hotel, kino, dyskoteka, kemping. Latem zatoczka wypełnia się łodzią wczasowiczów. La Houssiniere gości mera wyspy, komendanta policji, pocztę oraz jedynego duchownego. W sierpniu różne rodziny z kontynentu wynajmują tu domy i wprowadzają swoje obyczaje.

Tymczasem Les Salants w lecie ogarnia martwota; piecze się i dyszy w skwarze i wichurze. Ale dla mnie to mimo wszystko jest dom. Nie najpiękniejsze ani nawet najcenniejsze miejsce na ziemi. Ale to moje miejsce.

Wszystko powraca. Takie powiedzenie kursuje na Le Devin. Wszystko po jednej barwnej stronie morskiego prądu jest jak zatwierdzenie nadziei. Wszystko w końcu powraca. Rozbite łodzie, listy w butelkach, pasy ratunkowe, rupiecie, zagubieni rybacy. Niewielu potrafi się oprzeć przyćmawiającej sile La Goulue. Może odezwać się po latach. Kontynent wabi pieniędzmi, miastami, kolorowym, błęskawym życiem. Troje z czworga osiemnastolatków wyjeżdża, marząc odwiecie poza granicami La Jete. Ale Łakomczucha jest nie tylko głodna - jest cierpliwa. A dla takich jak ja, nigdzie niezakotwiczonych, powrót wydaje się przesdzony z góry.

Miałam kiedyś swoją historię. To jest teraz bez znaczenia. Na Le Devin nikt nie dba o żadną historię poza własną. Fala wyrzuca na brzeg przedmioty - rozmaite szczątki, piłki plażowe, martwe ptaki, puste portfele, kosztowne obuwie sportowe, plastikowe sztuczki, a nawet ludzi - i nie pytamy o ich pochodzenie. Morze usuwa wszystko, do czego nikt nie rości sobie pretensji. A także morskie stworzenia, przemieszczające się od czasu do czasu autostradami: portugalskie fregaty, orki, koniki morskie, rozgwiazdy, od czasu do czasu wieloryb. Zatrzymuj się lub

odpływaj , cigane wzrokiem gapiów, którzy zapominają o nich, zaledwie te wypłyną na szersze wody. Dla wyspiarzy nie istnieje nic poza La Jete. Od tego punktu aż po Amerykę nie ma żadnej plamki na horyzoncie. Nikt nie wyprawia się tak daleko. Nikt nie bada ruchu fal ani tego, co przynosi. Tylko ja. Mam prawo, bo sama jestem rozbitkiem.

Wiemy na przykład o plaży. To zdumiewające. Jedna jedyna plaża na wysepce, fortunny układ przyływów i odpływów, sto tysięcy ton piachu, prądowego i twardego jak skała, który tysiące zazdrosnych spojrzeń obraca w coś cenniejszego niż złoto. Niewdzieliwie wzbogaciło to mieszkańców La Houssiniere, choć wszyscy wiemy, jak łatwo i jak nieodwołalnie sprawy mogły ułożyć się inaczej.

Zmienny prąd, zbaczający o sto metrów w lewo lub w prawo. Wahania dominującego wiatru. Geograficzne przesunięcia dna morskiego. Silny sztorm. Wszystko to może w każdej chwili wywołać niszczący przewrót. Szczeliny traf jest jak wahadło - kołysze się wolno przez dziesięciolecia, kryjąc w swym cieniu to, co nieuniknione.

Les Salants cierpliwie oczekuje swej kolejności.

CZ PIERWSZA

Rozbitkowie

Wróciłam po dziesięciu latach nieobecności ci, w upalny dzień u schyłku sierpnia, tu przed nadejściem pierwszych letnich przyprawów. Gdy patrzyłam na zbliżający się brzeg z pokładu „Brismanda I”, starego promu kursującego do La Houssiniere, czułam się niemal tak, jakbym nigdy nie wyjeżdżała. Nic się nie zmieniło - rześkie powietrze, deski pokładu pod stopami, okrzyki mew kołujących pod rozgrzanym błękitnym niebem. Dziesięć lat, niemal połowa mojego życia, wymazane jednym ruchem, jak rysunek na piasku. Prawie tak.

Nie miałam właściwie żadnego bagażu, co potęgowało złudzenie. Ale zawsze podróżowałam bez bagażu. Podróżowałyśmy tak obydwie, moja matka i ja; nigdy nie dawałyśmy sobie żadnego balastu. I koniec końców, to ja opłacałam czynsz za nasze paryskie mieszkanie, uzupełniając dzienną pracę w obskurnej nocnej knajpie dochodami z obrazów, których matka nienawidziła. Walczyła z rozdemotywaniem i udawała, że nie wie, gdzie umiera.

Mimo wszystko wołałabym wracać jako osoba bogata, która, komuś się powiodło, żeby pokazać ojcu, jak wspaniale dałyśmy sobie radę bez jego pomocy. Skromne oszczędności matki dawno się jednak wyczerpały, a moje zasoby kilka tysięcy franków w Credit Maritime i teka niesprzedanych obrazów - były niewiele wartościowe, z czym wyjeżdżałyśmy. Ale nie przykładałam do tego wagi. Nie planowałam dłuższego pobytu. Wrażenie, że czas się zatrzymał, było bardzo silne, lecz wiedziałam teraz inne życie. Zmieniłam się. Już nie byłam wyspą.

Nikt mi się nie przyglądał, gdy stanęłam z boku na pokładzie „Brismanda I”. Była pełnia sezonu i na promie znajdowało się sporo turystów. Niektórzy nawet mieli na sobie ubiór podobny do mojego: płócienne spodnie i rybackie vareuse, bezkształtne okrycia, co było redniem dla miłośników koszul i kurtki. Mieszczuchy, dokładając wszelkich starań, by nie wyglądać na mieszczuchów. Turysty z plecakami, walizkami, psami i dziećmi tłoczyli się między skrzynkami owoców i innymi produktami spożywczymi, klatkami pełnymi kurcząt, workami z pocztą, pudłami. Panował przeraźliwy harmider. Przebijał się przez niego szum morza uderzającego o kadłub promu i skrzeczenie mew. Moje serce biło zgodnie z rytmem fal.

Gdy „Brismand I” wpływał do portu, skierowałam wzrok ponad wodę ku promenadzie. W dzieciństwie lubiłam to miejsce; często bawiłam się na plaży, znajdując schronienie pod opasłymi brzuszyskami starych budek plażowych, podczas gdy mój ojciec załatwiał swoje sprawy w zatoce. Rozpoznałam spłowiałe parasole na tarasie kawiarenki, gdzie zwykła

przesiadywa moja siostra, stoisko z hot dogami, sklepik pamiątkarski. Było tam chyba bardziej tłoczno niż za moich czasów. Rybacy z krabami i homarami ustawili się co kilka metrów wzdłuż nabrzeża, by sprzedać owoce swego połowu. Od strony promenady dobiegała muzyka; ponieważ na plaży, która nawet podczas przypływu wydawała się gładsza i obfitsza niż za dawniejszych czasów, bawiły się dzieci. La Houssiniere miało dobre widoki na przyszłość.

Moje spojrzenie powdrowało wzdłuż Rue des Immortelles, głównej ulicy, biegnącej równoległe do wybrzeża. Zauważyłam trzy osoby siedzące ramię w ramię w moim niegdy ulubionym miejscu: przy falochronie pod promenadą, z widokiem na zatokę. Przypomniałam sobie, jak w dzieciństwie obserwowałam stamtąd daleki, szary paszcz kontynentu i ciekawa byłam, co w sobie kryje. Zmrużyłam oczy, by widzieć wyraźniej; nawet z tej odległości dostrzegłam, że dwie z osób stojących na wybrzeżu to zakonnice.

Rozpoznałam je z bliska: siostra Extase i siostra Therese, karmelitanki z domu opieki „Les Immortelles”, które zestarzały się jeszcze przed moimi narodzinami. Ich obecność dziwnie mnie uspokoiła. Jadły lody, habity miały podwinięte do kolan, a ich białe stopy zwieszały się nad barierką. Siedzący obok nich mężczyzna, którego twarz przesłaniało szerokie rondo kapelusza, niczym się nie wyróżniał.

„Brismand I” przybił do mola. Spuszczono trap i zaczekałam, a turyści zejdą na ląd. Molo było równie zatłoczone jak prom; uliczni przekupnie sprzedawali napoje i ciastka, jakiś taksówkarz reklamował swoje przedsiębiorstwo, dzieci ze stolikami na kółkach starały się przyciągnąć uwagę turystów. Nawet jak na sierpiec panował spory ruch.

- Odnieś bagaż, mademoiselle? - Pызaty chłopak w wypłowiałym czerwonym podkoszulku, mniej więcej czternastoletni, pociągnął mnie za rękaw. - Odnieś do hotelu?

- Dzięki, dam sobie radę. - Pokazałam swój miniaturowy walizkę.

Chłopak spojrzał na mnie zaintrygowany, jak gdyby usiłując rozpoznać moją twarz. Potem wzruszył ramionami i udał się na poszukiwanie bogatszej zdobyczy.

Na promenadzie kłócił się tłum. Przyjeżdżający i wyjeżdżający turyści, a między nimi tubylcy z La Houssiniere. Odprawiłam ruchem głowy starszego mężczyznę, który chciał mi sprzedać rzemieślniczo robiony breloczek do kluczy; był to Jojo-le-Goeland, który w lecie zabierał nas na przejazdki łodzi i choć nigdy nie był naszym przyjacielem - pochodził, bodaj co bodaj, z La Houssiniere - poczułam się dotknięta, że mnie nie rozpoznał.

- Zostanie pani na dłużej? Jest pani turystką? - To był znowu ten pызaty chłopak, tym

razem w towarzystwie kolegi, ciemnookiego wyrostka w skórzanej kurtce, który palił papierosa bardzo gorliwie, choć z niewielką przyjemnością. Obaj chłopcy taszczyli walizki.

- Nie jestem turystką. Pochodzę z Les Salants.

- Z Les Salants?

- Owszem. Mój ojciec nazywa się Jean Prasteau. Jest szkutnikiem. A przynajmniej był.

- Grosjean Prasteau! - Chłopcy wlepili we mnie ciekawskie spojrzenia.

Może powiedzieliby coś więcej, gdyby nie podeszło do nich trzech innych nastolatków.

Najstarszy zwrócił się do waszycy do pyzatego:

- Co wy tu znowu robicie, salanie, h? Wiecie, że wybrzeże należy do houssinian. Nie macie prawa odnosić bagażu do „Les Immortelles”!

- Kto tak powiedział? - zaperzył się pyzaty. - To nie twoja promenada! Nie twoi tury ci!

- Lolo ma rację - powiedział ciemnooki chłopiec. - Byli my tu pierwsi.

Dwaj salanie przysunęli się nieco do siebie. Houssinianie górowali nad nimi liczebnie, wyczułam jednak, że dwaj chłopcy woleliby się raczej bliźni zrezygnować z walizek. Na chwilę zobaczyłam siebie w ich wieku, czekając na ojca i ignorując śmiech ładnych dziewczyn z La Houssiniere na tarasie kawiarni - a wreszcie nie mogłam tego wytrzymać i uciekałam do swej bezpiecznej kryjówki pod plażowymi budkami.

- Oni byli pierwsi - potwierdziłam. - Zmykajcie.

Houssinianie przez chwilę patrzyli na mnie z urazem, a następnie ruszyli w stronę mola, pomrukując pod nosem. Lolo rzucił mi spojrzenie pełne czystej wdzieczności. Jego kolega wzruszył tylko ramionami.

- Pójdź z wami - powiedziałam. - „Les Immortelles”, tak?

Duży biały budynek znajdował się kilkaset metrów dalej przy promenadzie. Dawniej mieszkał w nim dom opieki.

- Teraz jest tam hotel - poinformował mnie Lolo. - Należy do monsieur Brismanda.

- Tak, znam go.

Claude Brismand, krępy houssinianin z sumiastym wosem, który pachniał wodą kolo sk, chodził w espadrylach jak wieśniak i miał głos mocny i dojrzały jak dobre wino. We wsi nazywali go Cwany Brismand. Szczególnie Brismand. Przez lata wierzyłam, że jest wdowcem, choć krępy był plotki, że ma gdzieś na kontynencie żonę i dziecko. Zawsze go lubiłam, mimo iż pochodził z La Houssiniere; był wesoły, rozmowny i miał kieszenie wypchane cukierkami.

Ojciec go nie znosił. Jak gdyby na przekór, moja siostra Adrienne wyszła za mąż za jego bratanka.

- Wszystko w porządku. - Dotarliśmy do końca promenady. Przez oszklone drzwi widziałam hol „Les Immortelles” - recepcję, wazon z kwiatami, postawnego mężczyznę, który siedział przy otwartym oknie i palił cygaro. Przez chwilę rozważałam, czy nie wejść do rodzka, ale zrezygnowałam. - Teraz już chyba dacie sobie radę. Idźcie.

Ruszyli - ciemno w milczeniu, Lolo z miną wyrażającą skruchę w imieniu kolegi.

- Proszę się nie przejmować Damienem - rzucił półgłosem. - On zawsze chce z kim walczyć.

Uśmiechnęłam się. Kiedyś też byłam taka. Moja siostra, starsza o cztery lata, modnie ubrana i z fryzurą jak z salonu paryskiego, nigdy nie miała problemu z przystosowaniem; w kawiarnianym ogródku jej uśmiech zawsze rozbrzmiewał najgłośniej.

Przemierzałam zatłoczone ulice, kierując się ku miejscu, gdzie siedziały dwie stare karmelitanki. Nie byłam pewna, czy mnie pozna - saloniarkę, która miała pięćdziesiąt lat, gdy ją ostatnio widziały - ale w dawnych czasach darzyłam ją sympatią. Zbliżywszy się, zauważyłam bez zdziwienia, że prawie się nie zmieniły: obydwie miały bystre oczy, skórę zażółtowaną i twarde, niczym wysuszone morskie stworzenia, które fale wyrzuciły na piasek. Siostra Therese okryła głowę ciemną chustą zamiast białej wyspiarskiej quichenotte coiffe; inaczej chyba nie potrafiłabym ich rozróżnić. Towarzyszczy im obcy mężczyzna nosił koralowy naszyjnik i kapelusz z opadającym rondem. Miał około trzydziestki i mił, choć nie uderzał co przystojną twarzą; wziąłabym go za turystę, gdyby nie swoboda i poufałość, z jaką mnie powitał; niemy znak wyspiarskiego pochodzenia.

Siostra Extase z siostrą Therese wpatrywały się we mnie przez chwilę, a potem ich twarze rozjaśniły się identycznymi, promiennymi uśmiechami.

- Przecież to mała córeczka Grosjeana!

Długie wspólne przebywanie z dala od klasztoru wytworzyło u nich jednakowe nawyki. Głosy również miały podobne, przenikliwe i skrzeczące jak u srok. Łczyła je szczególna empatia, niczym bliźniaczki: jedna kończyła zdanie zacząwszy przez drugą, obie za podkreślały nawzajem swoje słowa zachęcającymi gestami. O dziwo, w ogóle nie zwracały się do siebie po imieniu, a wyłącznie per ma soeur, choć - o ile mi wiadomo - nie były spokrewnione.

- To Mado, ma soeur, mała Madeleine Prasteau. Ale wyrosła! Czas biegnie...

- ...tak szybko tu, na wyspie. Zdawałoby się, że minęło zaledwie parę lat...

- ...od naszego przyjazdu, a teraz jesteście już ...

- ...stare i chęrlawe, ma soeur, stare i chęrlawe. Ale miło cię znowu zobaczyć, mała Mado.

Zawsze była taka inna. Tak bardzobardzo inna niż ...

- ...twoja siostra. - Ostatnie słowa wypowiedziały chórem. Ich czarne oczy rozblęły.

- Ciesz się, że wróciłam. - Dopiero gdy to powiedziałam, uświadomiłam sobie, jak bardzo się cieszę.

- Niewiele się zmieniło, prawda, ma soeur?

- Nie, nigdzie nie widać dużych zmian. Wszystko po prostu...

- ...starzeje się i tyle. Tak jak my. - Zakonnice rzeczowo pokiwały głowami i zajęły się lizaniem lodów.

- Widzę, że przerobiono „Les Immortelles” - zauważyłam.

- Owszem - przytaknęła siostra Extase. - W przeważającej części. Kilku z nas jeszcze mieszka na najwyższym piętrze.

- Brismant mówi o nas: długoterminowicie.

- Ale jest nas mało. Georgette Loyon, Raoul Lacroix, Bette Planpain. Wykupił ich domy, bo na starość już nie dawali sobie rady.

- Kupił je za grosze i wyremontował dla letników.

Zakonnice wymieniły spojrzenia.

- Brismant ich trzyma, bo dostaje za to pieniądze z klasztoru. Chce zachować dobre stosunki z Kościołem. Potrafi pilnować własnych interesów.

Zapadła cisza, gdy obie zakonnice lizały w zadumie swoje lody.

- A to jest Rouget, mała Mado. - Siostra Therese wskazała nieznajomego, który słuchał ich uwag z szerokim uśmiechem.

- Rouget to Anglik...

- ...i zamierza nas sprowadzić na manowce za pomocą lodów i słodkich słówek. W naszym wieku, pomyśl tylko.

Anglik pokręcił głową.

- Nie słuchaj ich - doradził. - Ja im ustąpię tylko dlatego, że inaczej mogłyby zdradzić wszystkie moje tajemnice. Jego głos miał silny, choć przyjemnie brzmiący akcent.

Siostry zachichotały.

- Tajemnice, he, he! Niewiele jest spraw, o których nie wiemy, prawda, ma soeur? Mo e i jeste my...

- ...stare, ale słuch mamy w porz dku.

- Ludzie nie zwracaj na nas uwagi...

- ...bo jeste my...

- ...zakonnkami.

M czyzna, zwany przez nie Rougetem, spojrział na mnie i uśmiechn ął si szeroko. Miał inteligentn , wyrazist ą twarz, która o ywiała si w uśmiechu. Czułam, e jego oczy wychwytyuj ka dy szczeg ół mojego wygl ądu, nie bez yczliwo ci, lecz wyczekuj co i z zaciekawieniem.

- Rouget? - Wi kszo imion na Le Devin to przydomki. Jedynie cudzoziemcy i przybysze z kontynentu u ywaj nazwisk.

Zdj ął kapelusz przesadnym, ironicznym gestem.

- Richard Flynn, filozof, budowniczy, rze biarz, spawacz, rybak, majster-klepka, meteorolog... - Wskazał nieokre lonym gestem piaski koło „Les Immortelles”. A przede wszystkim badacz i przeczesywacz pla .

Siostra Extase powitała jego słowa przyjaznym chichotem, który oznaczał, e jest to stary i dobrze znany art.

- Kłopot dla nas obu - wyja niła.

Flynn parskn ął śmiechem. Jego włosy miały mniej wi cej t sam ą barw , co korale na szyi. Rude włosy, zła krew, jak mawiała moja matka, cho na wyspach jest to rzadko spotykany kolor i uwa a si powszechnie, e przynosi szcz cie. To tłumaczyło przydomek. Ale przydomek stanowi w Le Devin swego rodzaju nobilitacj , niezwyk ły w przypadku cudzoziemca. Potrzeba czasu, eby zasłu y na wyspiarskie miano.

- Mieszkasz tutaj? - Wydawało mi si to mało prawdopodobne. Pomy lałam, e jest w nim jaki niepok ój, ukryta cz stka, która mo e w ka dej chwili ulec zmianie.

Wzruszył ramionami.

- To równie dobre miejsce, jak ka de inne.

Zaskoczył mnie nieco. Zupełnie jakby wszystkie miejsca były dla niego takie same. Spróbowałam sobie wyobrazi , jak to jest, kiedy człowiek nie dba, gdzie znajduje si jego dom, nie czuje tego ustawicznego dr enia w sercu. Przera aj ca wolno . A jednak nadano mu imi . Ja przez całe ycie byłam po prostu la filie d Grosjean, podobnie jak moja siostra.

- No wi c - wyszczerzył z by - czym si zajmujesz?

- Jestem malark . To znaczy, sprzedaj obrazy.

- Co malujesz?

Pomy łałam o ciasnym paryskim mieszkaniu i o pokoju, w którym urz dziłam sobie pracowni . Male ka, zamkni ta przestrze , za mała na pokój go cinny - matka nawet w tym przypadku ust piła z wielk niech ci - z moimi sztalugami, teczkami i płótnami opartymi o cian . Mogłam wybra ka dy temat, powtarzała z upodobaniem. Miałam talent. Dlaczego wi c zawsze malowałam to samo? Z braku wyobra ni? A mo e po to, eby j dr czy ?

- Przewa nie wyspy.

Flynn popatrzył na mnie, lecz nic nie powiedział. Jego oczy miały ten sam grafitowy odcie , co chmury gromadz ce si nad lini horyzontu. Dziwnie trudno było mi patrze w te oczy, zupełnie jakby dostrzegały cudze my li.

Siostra Extase sko czyła swoje lody.

- A jak tam twoja mama, mała Mado? Przyjechała z tob ?

Zawahałam si . Flynn nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Umarła - odpowiedziałam po chwili. - W Pary u. Mojej siostry przy tym nie było. - Wychwyciłam nieprzyjemny ton swego głosu, gdy pomy łałam o Adrienne.

Obie zakonnice uczyniły znak krzy a.

- To smutne, mała Mado. Bardzobardzo smutne. - Chude palce siostry Therese uj ły moj dło . Siostra Extase poklepała mnie po kolanie. - Czy zamówiła nabo e stwo w Les Salants? - zapytała siostra Therese. - Ze wzgl du na ojca?

- Nie. - Nadal słyszałam szorstkie nuty w swoim głosie. - Ju jest po wszystkim. Zawsze powtarzała, e nigdy tu nie wróci. Nawet w urnie.

- Szkoda. Tak byłoby lepiej dla wszystkich.

Siostra Extase zerkn ła na mnie spod swej quichenotte.

- Na pewno nie było jej łatwo tu y . Wyspy...

- Wiem.

, „Brismand p znowu wypływał w morze. Przez chwil czułam si kompletnie zagubiona, jak gdyby kto przeci ł moj jedyn lin ratunkow . Przeszył mnie nagły dreszcz.

- Ojciec nie ułatwił nam ycia - powiedziałam, odprowadzaj c wzrokiem prom. - Ale teraz jest wolny. Tego wła nie pragn łem. eby zostawiono go w spokoju.

2

- Prasteau. To wyspiarskie nazwisko.

Głos taksówkarza - houssinianina, którego nie znałam zabrzmiał oskarżycielsko, jak gdybym użyła mego nazwiska bez pozwolenia.

- A tak. Urodziłam się tutaj.

- Ha. - Zerknij na mnie, jakby usiłując zidentyfikować moje rysy. - Jacy krewni nadal mieszkają na wyspie?

Skin łam głowę.

- Ojciec. W Les Salants.

- Aha. - Wzruszył ramionami, jak gdyby wzmianka o Les Salants zgasiła jego ciekawość.

Oczywiście ujrzałam Grosjeana na przystani i siebie, obserwując go. Ze skruceniem poczułam ukłucie dumy, przypominając sobie sztukę mojego ojca. Zmusiłam się, by patrzeć na tył głowy taksówkarza, dopóki to uczucie nie przeminie.

- A zatem Les Salants.

W taksówce cuchnęło stęchłym powietrzem, a zawieszenie ledwo się trzymało. Gdy znajomy drogą wyjeżdżałami z La Houssiniere, czułam trzepotanie w ołdoku. Wszystko przypominało mi się teraz zbyt dobrze, zbyt wyraźnie; poletko tamaryszku, skała, fragment falistego dachu, który mignął nad grzbietem wydmy, wywoływały bolesne wspomnienia.

- Wie pani, gdzie chce jechać, pani? - Droga była kiepska; na zakręcie tylne koła taksówki zaczęły buksować w sypkim piachu. Kierowca zaklął i z furii zwiększył obroty silnika.

- Tak. Rue de l'Océan. Na drugi koniec.

- Jest pani pewna? Tam nie ma nic, tylko wydmy.

- Tak, jestem pewna.

Wiedziona instynktem, kazałam zatrzymać auto kawałek przed wioską; chciałam przybyć pieszo, jak przystało salaniec. Taksówkarz wziął pieniądze i odjechał, nie oglądając się za siebie, w fontannie piasku tryskającej spod kół i przy rzędczych odgłosach z rury wydechowej. Gdy wokół mnie znowu zaległa cisza, doznałam niepokojącego uczucia i w kolejnym porywie skrętu wiadomościłam sobie, że czuję radość.

Przyrzekłam matce, że nigdy tu nie wrócę.

Dlatego miałam wyrzuty sumienia; przez chwilę czułam się wręcz skarłała, niczym

drobna plamka pod bezkresnym niebem. Sama moja obecność w tym miejscu była zdradą wobec matki, wobec naszych wspólnie spędzonych lat, wobec życia, które ułożyłyśmy sobie z dala od Le Devin.

Po wyjeździe nikt do nas nie napisał. Przekroczywszy granice La Jetee, stałyśmy się bezużytecznymi rozbitkami, zlekceważonymi i zapomnianymi. Matka często mi to powtarzała w zimne wieczory, w naszym ciasnym paryskim mieszkaniu, do którego docierały obce głosy z ulicy, a przez popsute aluzje przebijało mienszwardzina czerwono i niebiesko światło neonu pobliskiej piwiarni. Nic nie zawdzięczałyśmy Le Devin. Adrienne postąpiła słusznie: dobrze wyszła za mężczyznę, urodziła dzieci, wyprowadziła się do Tangeru razem ze swym mężem Marinem, który handlował antykami. Jej dwóch synów oglądałyśmy tylko na zdjęciach. Rzadko się z nami kontaktowała. Matka uznała to za dowód jej przywiązania do najbliższych i stawiała mi ją za przykład. Moja siostra osiągnęła w życiu powodzenie; powinnam być z niej dumna i nie odczuwać zazdrości.

Ale ja się uparłam: wprawdzie uciekłam z wyspy, ale nie potrafiłam w pełni pojąć, jak wspaniałe możliwości otwiera przede mną świat zewnętrzny. Mogłam mieć wszystko, co chciałam: dobrą pracę, bogatego męża, stabilizację. Wybrałam dwa lata szkoły artystycznej, następnie dwa bezcelowe podróże, pracę w barze, sprzątanie, dorywcze zajęcia, sprzedawanie obrazów na rogach ulic, by nie płacić galeriom za pośrednictwo. Le Devin nosiłam w sobie jak pamięć zbrodni, tłumienie poczucie winy obietnicami i wiedząc przez cały czas, że w głębi duszy kłamłam.

- Wszystko powraca.

Tak brzmi maksyma poszukiwacza plałowych skarbów. Wypowiedziałam ją głośno, jak gdybym odpięła nieme oskarżenie. W końcu nie zamierzałam tu zostać. Zapłaciłam za mieszkanie miesięczny czynsz z góry; mój skromny dobytek oczekiwał spokojnie powrotu właścicielki. Teraz jednak nie mogłam się oprzeć marzeniom: Les Salants, niezmiennione, gołębice i mój ojciec...

3

Pobiegłam niezdarnie wyboistymi drogami w stronę zabudowań; w stronę domu. Wioska była pusta. W większości domów miała pozamykane okiennice - zabezpieczenie przed upałem - i sprawiała wrażenie tymczasowych, opuszczonych siedzib, jak plałowe budki po sezonie.

Niektóre wyglądały tak, jakby ich nie odnawiano od mojego wyjazdu; ciany, niegdyś bielone, a teraz wiosny, pod działaniem piasku stały się zupełnie bezbarwne. Samotne geranium unosiło głowę z wyschniętej tej skrzynki na oknie. Kilka domów było po prostu drewnianymi budami, pokrytymi blachami falistymi. Teraz przypominałam sobie o nich, choć nie pojawiły się na żadnym z moich obrazów. Nieliczne płaskodenne łodzie, czyli platts, wciśnięte to przez etier - słony potok, wpływający do wsi od strony La Goulue - i zostawiono na brunatnym odpływowym osadzie. Dwie rybackie łódki zarzuciły kotwicę na głębszej wodzie. Rozpoznałam je od razu: „Eleanore” Guenole, zbudowana przez mojego ojca i jego brata, jeszcze zanim się urodziłam, a po drugiej stronie „Cecilia”, należąca do ich współzawodników w połowach, Bastonnetów. Wysoko na maszcie którejś łodzi coś uderzało monotonicznie o metal - ting-ting-ting-ting - w podmuchach wiatru.

Nie dostrzegłam prawie żadnych oznak ludzkiej obecności. Raz zza okiennicy mignęła czyja twarz; na dźwięk głosów trzasnęły drzwi. Pod parasolem przed barem Angela siedział jakiś starzec i popijał devinnoise, wyspiarski likier ziołowy. Rozpoznałam go natychmiast - był to Matthias Guenole, a jego bystre niebieskie oczy spoglądały z twarzy ogorzałej i twardej jak drewno wyłowione z morza - lecz nie okazał najmniejszego zaciekawienia, kiedy go pozdrowiłam. Najpierw przebiegł rozpoznania i krótkie skinienie głowy, uchylił głowę w Les Salants za uprzejmy gest, a potem obojętnie.

Miałam piasek w butach. Piasek zasypywał także ciany niektórych domów, zupełnie jakby wydmy przypuściły atak na wioskę. Niewielkie letnie sztormy zebrały swoje niwo. Koło starego domu Jeana Grossela zawalił się mur, w kilku dachach brakowało gontów, a za Rue de l’Ocean, gdzie Omer Prossage z żoną Charlotte mieli farmę i sklepik, ziemia wydawała się nasiąknięta wodą i stały tam szerokie kałuże, w których odbijało się niebo. Woda z ciekawych rur wlewała się do rowu, a stamtąd spływała do potoku. Zauważyłam pompę pracującą tu przy domu, zapewne po to, by przy pomocy procesji, i usłyszałam warkot generatora. Za farmę wioły pracowicie skrzydła niedużego wiatraka.

Na końcu głównej drogi zatrzymałam się przy studni przed kaplicą Marine-de-la-Mer. Różna pompa, choć pokryta rdzą, nadal działała i napompowałam trochę wody, żeby obmyć twarz. Niemal zapomnianym rytualnym gestem przysnęłam wodę do kamiennej misy obok kaplicy i przy tej sposobności zauważyłam, że mała nisza z figurkami tej została wieńcem odmalowana, a na kamieniach pozostawiono wieńce, wstęgi i kwiaty. Winda stała w ród złonych ofiar,

masywna i nieodgadniona.

- Powiadaj , e je li ucałujesz jej stopy i spluniesz trzy razy, odzyskasz co , co straciła .

Odwrociłam si tak gwałtownie, e omal nie upadłam. Stała za mn t ga, rumiana, pogodna kobieta z dło mi na biodrach i lekko przechylon głow . Z jej uszu zwisały dwa pozłacane koła; włosy miały ten sam intensywny odcie .

- Capucine!

Postarzała si nieco (gdy wyje d ałam, dobiegała czterdziestki), lecz poznałam j od razu; nosiła przydomek La Puce i mieszkała w poobijanej ró owej przyczepie turystycznej na skraju wydm z gromadk niesfornych dzieci. Nigdy nie wyszła za m - faceci s po prostu zbyt m cz cy, eby dało si z nimi wytrzyma , skarbie - pami tałam jednak muzyk graj c do pó na w nocy i m czyzn, którzy przemykali ukradkiem, staraj c si ze wszystkich sił nie zwraca uwagi na niewielk przyczep z falbaniastymi zasłonkami w oknach i zapraszaj cym wiatelkiem nad drzwiami. Moja matka jej nie lubiła, ale Capucine zawsze odnosiła si do mnie yczliwie, cz stuj c wi niami w czekoladzie i opowiadaj c najrozmaitsze skandaliczne plotki. Jej miech miał w sobie co nieprzyzwoitego; prawd mówi c, była jedyn dorosł osob na wyspie, która gło no si miała.

- Mój Lolo widział ci w La Houssiniere. Powiedział, e tu przyjedziesz! - U miechn ła si szeroko. - Jak tak dalej pójdzie, b d musiała cz cieja całowa wi t !

- Miło ci widzie , Capucine. - Odwzajemniłam jej u miech. - Ju my lałam, e wioska zupełnie opustoszała.

- No có . - Wzruszyła ramionami. - To był marny sezon. Ale w dzisiejszych czasach wszystko idzie ku gorszemu. Jej twarz zas piła si na chwil . - Przykro mi z powodu twojej matki, Mado.

- Sk d wiesz?

- Ha! Przecie to wyspa. Jedyne, co nam zostało, to wiadomo ci i plotki.

Zawahałam si , czuj c gło ne uderzenia własnego serca.

- A... a co z moim ojcem?

Jeju miech lekko przygaś.

- Jak zwykle - odparła zdawkowym tonem, po czym, odzyskawszy zimn krew, otoczyła mnie ramieniem. - Chod , Mado, napijemy si devinnoise. Mo esz u mnie nocowa . Mam wolne łó ko, odk d Anglik si wyprowadził.

Musiałam zrobić zaskoczoną minę, bo Capucine za nią się po swojemu, głębiej i lubie nie.

- Nie nabijaj sobie nic do głowy. Jestem teraz szacowną kobietą ... no, prawie. - W jej ciemnych oczach zapaliła się iskierka rozbawienia. - Ale polubisz Rougeta. Zjawił się u nas w maju i wywołał nieliczne poruszenie! Nie widzieliśmy czegoś takiego od dnia, kiedy Aristide Bastonnet złowił ryb, która miała głowę po obu stronach. Ten Anglik! Za nią się cicho do siebie, kręcąc głowę.

- Tego maja? - Oznaczało to, że przebywa tu zaledwie od trzech miesięcy. I w ciągu tych trzech miesięcy nadano mu imię.

- Ha! - Capucine zapaliła gitare'a i zacięła się z satysfakcją. - Zjawił się pewnego dnia bez grosza przy duszy, ale od razu zaczął załatwiać interesy. Pracował u Omera i Charlotte, dopóki ta ich mała nie zaczęła robić do niego słodkich oczu. Mieszkał u mnie w przyczepie, a potem znalazł sobie lokum. Chyba się poprzytykał ze starym Brismandem i innymi z La Houssiniere. - Obrzuciła mnie ciekawskim spojrzeniem. - Adrienne wyszła za jego bratanek, prawda? Jak im się powodzi?

- Mieszkaj w Tangerze. Rzadko się kontaktujemy.

- W Tangerze, ha? A zawsze mówiła...

- Wspomniała o swoim znajomym - przerwałam. Na myślenie o mojej siostrze zaczynałam mówić łamiącym się, niepewnym głosem. - Czym się zajmuje?

- Ma różne pomysły. Buduje konstrukcje. - Capucine machnęła ręką w kierunku Rue de l'Océan. - Choćby wiatrak Omera. Uruchomił go.

Minęły mi krzywizny wydmy i dostrzegłam różowe przyczepy, tak, jak ja zapamiętałam, może trochę bardziej zniszczone i bardziej zapadnięte w piach. Dalej, jak wiedziałam, znajdował się dom ojca, przesłonięty gęszczem tamaryszków. Capucine zauważyła moje spojrzenie.

- O nie, nie ma mowy - oznajmiła stanowczo, ujmując mnie za ramiona i kierując w stronę przyczepy. - Musimy chwilę poplotkować. Daj ojcu trochę czasu, niech poczta pantoflowa go uprzedzi.

Na Le Devin plotka jest rodzajem waluty. Cała wyspa żyje plotkami na temat rywalizacji rybaków, nie lubnych dzieci i niewiarygodnych wydarzeń, pogłoskami i rewelacjami. Mogłam ocenić swą wartość w oczach Capucine; chwilowo stanowiłam cenny nabytek.

- Dlaczego? - Wci wpatrywałam się w g szcz tamaryszku. - Dlaczego nie miałabym się z nim spotka teraz, zaraz?

Capucine zrobiła nieodgadnion min .

- Min ło sporo czasu, h ? Zd ył przywykn do samotno ci. - Pchn ła drzwi przyczepy, które nie były zamkni te na klucz. - Wejd , skarbie, a ja ci wszystko opowiem.

W przyczepie panował dziwnie domowy nastrój, by mo e wywołany przez ciasne, pomalowane na ró owo wn trze, ubrania porozwieszane wsz dzie, gdzie się dało, wo papierosów i tanich perfum. Mimo wszechobecnego niechlujstwa to miejsce zach cało do zwierze .

Ludzie powierzają Capucine sekrety, których za nic nie powierzyliby pere Albanowi, jedynemu ksi dzu na wyspie. Wygl da na to, e buduar, nawet nadgryziony z bem czasu, przyci ga silniej niż konfesjonał. Capucine nie zyskała z wiekiem powszechnego szacunku, a mimo to cieszy się wzgl dami mieszka ców wioski. Podobnie jak zakonnice, poznała zbyt wiele sekretów.

Rozmawiały my przy kawie i ciastkach. Capucine potrafiła pochłon nieograniczone ilo ci cukrowych ciasteczek, zwanych devinnoiseries, uzupełniaj c je raz po raz gitane'ami, kaw i wi niami w czekoladzie, które brała z olbrzymiego pudełka w kształcie serca.

- Zagl dam do niego dwa razy w tygodniu - poinformowała mnie, dolewaj c kawy do miniaturowych fili anek. Czasami zanosz ciasto albo robi przepierk .

Czekała na moją reakcję i z zadowoleniem przyją podzi kowania.

- Ludzie gadają , wiesz - powiedziała. - Ale to nic. Te czasy dawno min ły.

- Chyba wszystko z nim w porz dku, prawda?

- Sama wiesz, jaki on jest. Nikomu się nie zwierza.

- Nigdy się nie zwierzał.

- No wła nie. Ci, co go znaj , rozumiej . Ale z obcymi bywa gorzej. Nie chodzi tu o ciebie - zreflektowała się natychmiast. - On po prostu nie lubi zmian. Ma swoje nawyki. W ka dy pi tek wieczorem przychodzi do Angela i wychyla devinnoise z Omerem, regularnie jak w zegarku. Rzecz jasna, niewiele mówi, ale z jego głow jest absolutnie w porz dku.

Na wyspach wszyscy boją się obł du. W niektórych rodzinach przechodzi on z pokolenia na pokolenie niczym wadliwy gen, co takiego, jak wysza zapadalno na hemofili oraz skłonno do posiadania dodatkowych palców w zamkni tych społeczno ciach. Zbyt g sta krew,

powiadaj houssinianie. Moja matka ci gło powtarzała, że z tego właśnie nie powodu Grosjean oenił się z dziewczyną z kontynentu.

Capucine pokręciła głowę.

- To niełatwa pora roku. Daj mu trochę czasu.

Oczywiście. Dzień w tej Patronki. Gdy byłam dzieckiem, często pomagali mi z ojcem w odnawianiu kaplicznej wnęki - na koralowo, z tradycyjnym motywem gwiazd przed dorocznymi uroczystościami. Salanie się przez dni z koniecznością, choć w La Houssiniere uważa się podobne wierzenia i tradycje za coś z lekkim groteskiem. Oczywiście w La Houssiniere nadal stoi kościół. La Houssiniere jest chronione przez La Jete. La Houssiniere nie musi się zdawać na łask przyływów i odpływów. W Les Salants morze jest bliżej i trzeba je ułagodzić.

- Rozumiesz się - przerwała moje rozmyślanie Capucine do Grosjeanowi morze odebrało wieści innym. A w Dzień Patronki, niemal w rocznicę tego, co się stało... no cóż. Musisz być wyrozumiała, Mado.

Skinięłam głowę. Znałam tę historię, choć wydarzyła się jeszcze przed lubem moich rodziców. Dwaj bracia, bliscy sobie niczym bliźniacy, nosili nawet wspólnie to samo imię, jak to na wyspie. Ale P'titjean utopił się w wieku dwudziestu trzech lat, bezsensownie, z powodu dziewczyny, choć udało się przekonać ojca Albana, że był to wypadek. Trzydzieści lat później Grosjean nadal obwinał siebie.

- A więc to się nie zmieniło. - Moja wypowiedź nie była pytaniem.

- Skarbie, to się nigdy nie zmieni.

Widziałam nagrobek, pojedynczy granitowy płyt na La Bouche - cmentarzu tuż nad La Goulue.

Jean-Marin Prasteau

1949-1972

Ukochany brat

Ojciec sam wyrzył ten głębszy napis w twardym kamieniu. Zajęło mu to pół roku.

- W każdym razie, Mado - podjęła Capucine i wbiła zębami w kolejne ciastko - zostaniesz na razie u mnie, przynajmniej do końca wiatu. Chyba nie musisz tak zaraz wracać? Masz par

dni wolnego?

Kiwn łałam głow , nie chc c zdradza nic ponadto.

- Tu jest wi cej miejsca, ni ci si wydaje - oznajmiła dziarsko La Puce, wskazuj c zasłon , która oddzielała sypialni od salonu. - B dzie ci tam wygodnie, a mój Lolo to dobry chłopak, nie wtyka co i rusz nosa za parawan. - Ca - pucine wzi ła kolejn wi ni w czekoladzie z zapasu, który wydawał si niewyczerpany. - Powinien ju tu by . Nie mam poj cia, co on robi przez cały dzie . Wci si włóczy z tym młodym Guenole.

Lolo, je li dobrze zrozumiałam, był wnukiem Capucine; jej córka Clothilde zostawiła syna pod opiek babki i wyjechała szuka pracy na kontynencie.

- Wszystko powraca, tak powiadaj . Ha! Moja Clo nie kwapi si do powrotu. Za dobrze si tam bawi. - Oczy Capucine ciemniały. - Nie, nie ma co całowa wi tej na jej intencj . Ci gle obiecuje, e przyjedzie na wakacje, ale zawsze znajduje wymówk . Mo e za dziesi lat... - Spojrzała na moj twarz i urwała. - Przepraszam, Mado. Nie miałam na my li ciebie.

- Nic nie szkodzi. - Dopiłam kaw i wstałam. - Dzi kuj za propozycj .

- Chyba tam teraz nie pójdziesz? Nie dzisiaj?

- A czemu nie?

- Nie spodoba ci si - ostrzegła. - Dom jest w niezbyt dobrym stanie.

- Dam sobie rad .

- Wi c pójd z tob , je li pozwolisz. Albo wezw Rou - geta.

- Po co? - Ukłuła mnie igielka rozdra nienia. - Co on ma z tym wspólnego?

Capucine zrobiła nieokre lon min .

- Jest naszym przyjacielem. Twój ojciec lubi go mie koło siebie.

- Nie, naprawd dzi kuj . Wol i sama.

Capucine wpatrywała si we mnie ze zmarszczonymi brwiami, wsparłszy si pod boki. Rami czka ró owego fartucha zd yły si lekko osun .

- Nie spodziewaj si za wiele - ostrzegła. - Wszystko si zmienia. A ty si ju zadomowiła tam, na kontynencie.

- Nie martw si . Dam sobie rad .

- Mówi powa nie. - Spiorunowała mnie wzrokiem. Nie nabijaj sobie niczego do głowy, dziewczyno. Nie my l, e uda ci si uciec, je li si tu schowasz.

- Zupełnie jakbym słyszała moj matk .

Capucine wykrzywiła twarz.

- Gdy tak mówisz, czuj się staro.

Wiedziała, o co jej chodzi. I pragnęła bezpieczeństwa. I tam, na kontynencie, zaczęła bać się życia. Ale to nie była prawda. W życiu na wyspie nie ma nic pewnego. Wszystko się kołysze. Nie można na się nigdzie zakotwiczyć. Wówczas jednak nie miało to znaczenia. Wróciłam do domu. Do miejsca, które przyciąga z powrotem wszystko - butelki z listami, papierowe łódki, okruchy rzucone ptakom. Wszystko to fale zmyły na zimny, bezlitosny brzeg, zmeły na papkę i porzuciły w zapomnieniu na pastwiskach wszechogarniających wydm.

Do dzisiaj.

4

Moja matka wywodziła się z kontynentu. Przez to jestem wyspiarz tylko w połowie. Pochodziła z Nantes i była romantyczką, lecz jej miłość do Le Devin minęła niemal równie szybko jak upodobanie do chłodnej urody mojego ojca.

Nie nadawała się do życia w Les Salants. Była gadatliwa, rozpieszczona, płakała, miała się, perorowała, uzewnętrzniała kawałek uczucie. Mój ojciec nawet na samym początku miał niewiele do powiedzenia. Nie potrafił rozmawiać o błahostkach. Wypowiadał się przeważnie monosylabami; witał ludzi skinieniem głowy. Ciepłe uczucia okazywał jedynie łodziom rybackim, które budował i sprzedawał na tyłach naszego domu. W lecie pracował na dworze, zimą przenosił się z narzędziami do szopy, a ja lubiałam przesiadywać w pobliżu i obserwować, jak obrabia drewno, namacza deski, by nadać im giętkość, wygładza wzdłużne linie dziobu i stępki, zszywa ściany. Zawsze były białe albo czerwone, w barwach wyspy. Koronkowa kulka zdobiła dziób. Każda łódka była wypolerowana i wypokostowana, a nie malowana, z wyjątkiem nazwy wypisanej na dziobie. Ojciec miał słabość do romantycznych nazw, takich jak „Belle Ysolde”, „Sage Heloise” czy „Blanche de Coetquen”, nazw ze starych ksiąg, choć o ile mi wiadomo - nigdy żadnej nie przeczytał. Praca była dla niego rozmową - z nikim nie spędzał tyle czasu, co ze swymi „damami”, pieszcząc ich gładkie, ciepłe kadłuby pewnymi dłońmi kochanka, nigdy jednak nie nazwał łodzi imieniem którejś z nas, nawet matki, która bardzo tego pragnęła. Gdyby to zrobił, może by z nim została.

Okręwszy wydmę, zobaczyłam puste podwórze. Drzwi szopy były zamknięte i siedząc po wysoko ci suchych traw, które je zarastały, nie otwierano ich od miesięcy. Przy bramie tkwiły

dwie łodzie, do połowy przysypane piaskiem. Traktor z przyczepą stał pod foliowym zadaszeniem i wydawał się na chodzie, ale podnośnik, którego ojciec swego czasu używał do ładowania łodzi na przyczepę, był zardzewiały i zaniedbany.

Dom również nie wyglądał najlepiej. W dawnych czasach panował tu ustawiczny bałagan, wszędzie poniewierały się szczątki rozpoczętych, a potem porzuconych projektów ojca. Teraz dom sprawiał wrażenie rudery. Bielone ściany spłowiały; szklane tafle zabito deskami; od drzwi i okiennic odchodziły płatki łuszczonej się farby. Zauważyłam kabel rozciągnięty na piasku a do przybudówki, z której dobiegał szum generatora; była to jedyna oznaka życia.

Nikt nie opróżnił skrzynki pocztowej. Wyjęłam plik listów i broszur reklamowych i weszłam z nimi do pustej kuchni. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Obok zlewu piętrzyła się sterta brudnych naczyń. Na kuchence stał dzbanek z zimną kawą. Zapach choroby. Rzeczy matki, toaletka, komoda, kwadratowy gobelin - znajdowały się na dawnych miejscach, lecz teraz wszystko pokrywał kurz, a na betonowej wylewce chrząkał piasek.

Mimo to dostrzegłam pewne oznaki ludzkiej działalności. W kącie, w skrzynce na narzędzia, leżały rurki, drut i kawałki drewna; zauważyłam też, w tym miejscu bojlera, który Grosjean, odkąd sięgnęłam do niego, zamierzał zreperować, zajął brzechate miedziane urządzenie, podłączone do butli z butanem. Luźne przewody wsunął to schludnie za płycizną; kto najwyraźniej zajął się kominkiem i kominem, który zawsze dymił. Te dowody działalności dziwnie kontrastowały z zapuszczeniem reszty domu, jak gdyby Grosjean, pochłonięty innymi zajęciami, nie miał czasu zetrzeć kurzu ani wyprać ubrania. To dla niego typowe, pomyślałam. Zaskoczyło mnie tylko, że po raz pierwszy zdołał doprowadzić niektóre swoje zamysły do końca.

Położyłam listy na kuchennym stole. Z rozdrażnieniem stwierdziłam, że cała dygocząca. Zbyt wiele emocji domagało się życia. Zmusiłam się do zachowania spokoju. Przejrzałam pocztę - gromadziła się chyba od pół roku, a może nawet od roku - i znalazłam swój ostatni list, nieotwarty. Długo wpatrywałam się w kopertę z paryskim adresem na odwrocie, przywołując wspomnienia. Nosiłam ten list przy sobie kilka tygodni, zanim go wreszcie wysłałam, odczuwając przy tym oszołomienie, lecz tak było w rodzaju wyzwolenia. Mój przyjaciel Luc z kawiarni pytał mnie wcześniej, dlaczego zwlekam. „W czym problem? Przecież chcesz się z nim spotkać, prawda? Chcesz mu pomóc?”.

Nie było to takie proste. Budowałam swoje nadzieje na podobnej zasadzie, na jakiej małe wytwarzają perły, warstwa po warstwie, dopóki zwykłe ziarnko piasku nie stanie się

I niczym cudem. Przez dziesięć lat Grosjean nie napisał do mnie ani razu. Posyłałam mu rysunki, zdjęcia, wiadectwa szkolne, listy, na które nigdy nie otrzymałam odpowiedzi. Mimo to je wysyłałam, rok po roku, zupełnie jak wiadomo ci w butelkach wrzucanych do morza. Nigdy, rzecz jasna, nie powiedziałam o tym matce. Dokładnie wiem, jak by na to zareagowała.

Odroczyłam list lekko drzcąc. Potem wsunęłam go do kieszeni. Może nawet tak było lepiej. Mogłam wszystko od nowa przemyśleć. Rozważyłobyś ci.

Tak jak mi się od początku wydawało, nikogo nie było w domu. Próbowałam nie czuć się niczym intruz, otwierając drzwi mego dawnego pokoju, a następnie pokoju Adrienne. Niewiele się tam zmieniło. Pozostały nasze rzeczy: moje modele łodzi, plakaty filmowe mojej siostry oraz słoiczki z upiornymi miksturami. Pokój Adrienne był największy i najjaśniejszy. Okna mego wychodziły na północ, a w zimie pojawiała się w nim wilgotna plama. Dalej znajdował się pokój rodziców.

Pchnęłam drzwi i weszłam w półmrok; okiennice były zamknięte. Owionął mnie zapach zaniedbania. Niezasłane łóżko ukazywało pasiaste powłoczki i wymiotek przez cieradło. Z jednej strony stała przepełniona popielniczka, na podłodze piętrzyła się sterta brudnych ubrań, we wnękę przy drzwiach stał gipsowy posąg Sainte-Marine, a w tekturowym pudle zalegały rupiecie. Dostrzegłam wśród nich pewną fotografię - rozpoznałam ją natychmiast, choć straciła ramki. Zrobiła ją matka w moje siódme urodziny i widać było nasz trójek - Grosjeana, Adrienne i mnie uśmiechających się do wielkiego tortu w kształcie ryby.

Mnie ktoś wyciął ze zdjęcia - topornie, nożyczkami tak jak pozostali tylko Gros Jean i Adrienne, wspierając się lekko na jego ramieniu. Ojciec uśmiechał się do niej ponad miejscem, w którym powinna być moja twarz.

Wtem z zewnątrz dobiegł mnie jakiś odgłos. Po piesznym wetknięciu zdjęcia do kieszeni i ze ściąganiem tym gardłem zaczęłam nasłuchiwać. Kto przeszedł cicho pod oknem sypialni, tak lekkim krokiem, że omal nie zagłuszyło go bicie mego serca; kto, kto szedł bosy albo nosił espadryle.

Czym prędzej pobiegłam do kuchni. Nerwowym gestem odgarnęłam włosy, zastanawiając się, co on powie - co ja są - ma powiem - czy w ogóle mnie rozpozna. Zmieniałam się przez te dziesięć lat, straciłam dziecięcy tłuszcz, a moje dawniej krótko ścięte włosy teraz się gały ramion. Nie jestem piękniejsza, jak była moja matka, choć niektórzy twierdzili, że istnieje mi dźwiękami podobieństwo. Jestem za wysoka, nie poruszam się tak wdziecznie jak ona,

a moje włosy mają pospolity brzozy odcień. Za to oczy odziedziczyłam po niej: o dziwnej, chłodnej, szarzielonej barwie, która pewnym ludziom wydaje się brzydka, spoglądajcie spod gór stych brwi. Połowałam nagle, że nie dołożyłam więcej wysiłku, aby poprawić swój wygląd. Mogłam przynajmniej ubrać się w sukienkę.

Drzwi się otworzyły. W progu stała jakaś postać w grubej rybackiej kurtce, z papierowymi torbami w ramionach. Poznałam tego człowieka od razu, mimo włóczkowej czapki, skrywającej włosy; jego szybkie, rzeczne ruchy w niczym nie przypominały niedźwiedziowej ociężałości ojca. Zanim zdążyłam zareagować, wymknął mnie i wszedł do kuchni, zamykając za sobą drzwi.

Anglik. Rouget. Flynn.

- Pomyślałem, że przyda ci się parę drobiazgów - powiedział, stawiając torby na stole. A potem, gdy dostrzegł moją minę: - Czy coś się stało?

- Nie spodziewałam się ciebie - wykrztusiłam. - Zaskoczyło mnie. - Serce nadal tłukło mi się w piersi. Zaciśnięłam palce na fotografii w kieszeni, czując na przemian zimno i gorąco, niepewna, ile Flynn potrafi wyczytać z mojej twarzy.

- Nerwy, co? - Otworzył torbę i zaczął wykladać jej zawartość na stół. - Przyniosłem chleb, mleko, ser, jajka, kawę, płatki śniadaniowe. Nie musisz mi oddawać pieniędzy, to wszystko na jego koszt. - Włożył bochenek do płóciennej torby na chleb, wisząc na drzwiach.

- Dziękuję. - Nie mogłam nie zauważyć, jak swobodnie się czuje w domu mojego ojca; bez wahania otwierał szafki i chował zakupy. - Mam nadzieję, że nie sprawiło ci to wielkiego kłopotu.

- Najmniejszego. - Uśmiechnął się szeroko. - Mieszkam o dwie minuty stąd, w starym blokhauzie. Wpadam tu czasami.

Blokhauz stał na wydmach tuż nad La Goulue. Oficjalnie należał do mojego ojca, razem ze skrawkiem ziemi, na którym go postawiono. Pamiętałam go: niemiecki bunkier, pozostało po wojnie, brzydki kawałek zwiędłego betonu, na pół zasypywany przez piasek. Całymi latami wierzyłam, że w nim straszy.

- Nie przyszłoby mi do głowy, że ktoś może tam zamieszkać - powiedziałam.

- Wyremontowałem go - oznajmił pogodnie Flynn, wstawiając mleko do lodówki. - Najgorzej było z usunięciem całego tego piachu. Oczywiście roboty nie jest jeszcze skończona; muszę wykopać studnię i położyć odpowiednie rury, ale to wygodny, solidny budynek i nie kosztował mnie nic, jeśli nie liczyć czasu i kilku rzeczy, których nie mogłem znaleźć ani sam

zrobi .

Pomyślałam o Grosjeanie i jego wiecznych „post pujach pracach”. Nic dziwnego, że polubił tego człowieka. Ma coś wspólnego z budownictwem, powiedziała Capucine. Usuwa różę z usterek; Zrozumiałam, kto dokonał napraw w domu ojca. Nagle cisnęło mi się serce.

- Wiesz, chyba się dzisiaj z nim nie zobaczysz - usłyszałam. - Nosi go od kilku dni. Mało kto się z nim widuje.

- Dzięki. - Odwróciłam głowę, by nie spojrzeć Flynnowi w oczy. - Wiem, jaki jest mój ojciec.

To przynajmniej była prawda. Po wieczornej procesji w dniu Sainte-Marine Grosjean zawsze oddalał się w kierunku La Bouche i zapalał świecę na grobie P'titjeana. Ów doroczny rytuał był dla niego święty. Nic nie mogło go zakłócić.

- Nie ma zielonego powodu, że wróciłaś - powiedział Flynn. - Kiedy się dowiesz, pomyślisz, że witała odpowiedziała na wszystkie jego modlitwy.

- Nie pocieszaj mnie - rzuciłam. - Grosjean nigdy nie ucałował witała na niczyj intencje.

Zapadło długie, krępujące milczenie. Zastanawiałam się, jak długo ten Anglik wie o moim ojcu, co on mu powiedział, i poczułam niebezpieczne pieczenie w oczach. Cały Grosjean, pomyślałam, żeby dla kaprysu zaprzyjaźnić się z tym cudzoziemcem, podczas gdy...

- Słuchaj, wiem, że nic mi do tego - odezwał się wreszcie Flynn - ale na twoim miejscu trzymałbym się z dala od dzisiejszej uroczystości. Wszyscy są z nami. Uśmiechnęła się, a ja w tym momencie dostrzegłam z ukłuciem zazdrości jego swobodny wdzięk. - Przyda ci się trochę odpoczynku. Może byś tu rozgościła, przespiała, a rano zobaczysz, jak sytuacja wygląda.

Dobrze mi się czytało. Wiedziałałam o tym. Odczułam nawet przelotny pokusę, żeby mu się zwierzyć. Ale to nie leży w mojej naturze; matka często powtarzała, że jestem ponurakiem, jak ojciec, i niełatwo mi się wysłowi. Po raz pierwszy zastanowiłam się, czy mój powrót do domu nie był fatalnym błędem. Ponownie dotknęłam kieszeni niczym talizmanu.

5

- Dam sobie radę - odparłam. Uroczystość Sainte-Marine-de-la-Mer przypada raz w roku, w wieczór sierpniowej pełni księżyca. Tego wieczoru przenosi się witała z wioskowej kaplicy do ruin kościoła w Point Griznoz. Trudne to zadanie, gdy figura witała ma trzy stopy wysoko i

jest ci ka, wykuto j bowiem w bryle bazaltu, dlatego pos g na cokole d wigaj nad wod czterej m czy ni. Potem mieszka cy defiluj przed ni g siego; niektórzy zatrzymuj si i całuj stopy wi tej w pradawnym, rytualnym ge cie, ywi c nadziej , e utracony przedmiot - lub, cz cie, osoba - powróci do nich. Dzieci ozdabiaj j kwiatami. Drobne ofiary - przewa nie kwiaty, paczuski skalnej soli, owi zane wst k , a nawet pieni dze - rzuca si w fale przyplywu. W koszach pali si cedrowe i sosnowe wióry. Czasami kto puszcza fajerwerki, które płon wyzywaj co nad oboj tnym morzem.

Zaczekałam, a zapadnie zmrok, i dopiero wtedy wyszłam z domu. Wiatr, zawsze silniejszy po tej stronie wyspy, skr cił na południe i odgrywał swój dance macabre przy oknach i drzwiach. Zastanawiałam si , czy nadejdzie burza. Wiatr z południa to zły wiatr, jak powiadaj wyspiarze. W noc Sainte-Marine nie jest to dobry znak.

Zaledwie wyruszyłam w drog , otulona ciasno płaszczem, dostrzegłam od strony Point poblask aru z w glowych koszy. Niegdy stał tam ko ciół. Przez prawie sto lat była to ruina; morze pochłaniało j k s po k sie, a wreszcie pozostał tylko jeden fragment - kawałek północnej ciany, nisza z widocznym jeszcze ladem Sainte-Marine na tle wietrzej cych kamieni. W wie yczce nad nisz wisiał kiedy dzwon - La Marinette, osobisty dzwon wi tej lecz przepadł dawno temu. Jedna z legend powiada, e uton ł w morzu; inne przytaczaj histori o tym, jak to La Marinette wykradł i przetopił pozbawiony skrupułów houssinianin, na którego Salrite-Marine rzuciła kl tw , a upiorne bicie dzwonu doprowadziło go do szale stwa. Zdarza si nadal, e słycha dzwonięcie; zawsze w wietrzne noce i zawsze jest to zwiastun nieszcz cia. Cynicy przypisuj owe wibruj ce odgłosy nagłym porywom południowego wiatru, uderzaj cego o skały i rozpadliny Point Griznoz, lecz salanianie wiedz lepiej: to La Marinette wci przekazuje ostrze enia, wci obserwuje spod fal Les Salants.

Zbli ywszy si do Point , dostrzegłam ludzkie sylwetki na tle pod wietlonej płomieniami ciany starego ko cioła. Wiele sylwetek, co najmniej trzydzie ci, czyli połow mieszka ców wioski. Pere Alban, ksi dz z wyspy, stał na brzegu, trzymaj c kielich i pastorał; w blasku ognia wydawał si poszarzały i wymizerowany. Gdy go mijałam, pozdrowił mnie krótko i bez zdziwienia. Zalatywało od niego zapachem ryb, a dół sutanny miał pieczołowicie wsuni ty w cholewy wysokich gumiaków.

Tradycyjna uroczysto przedstawia dziwnie poruszaj cy widok, cho mieszka cy Les Salants zupełnie nie zdaj sobie sprawy z własnej malowniczo ci. Nale do rasy zupełnie

odmiennej niż ja i moja matka; sę przewa nie niscy i krępej budowy, o drobnych rysach, celtyckiego typu, czarnowłosi i niebieskoocy. Ta ich uderzająca uroda szybko jednak gaśnie i w starszym wieku przypominają gargulce, ubrane w czernią odziedziczoną po przodkach, z dodatkiem w przypadku kobiet - białych quichenotte. Doprawdy, trzy czwarte populacji sprawia wrażenie, jakby przekroczyło sześćdziesiąty rok życia.

Po pieśni, z nadzieją przebiegłam spojrzeniem po twarzach obecnych. Staruszka w odwiecznej ałobie, długowłosi starcy w rybackich getrach i czarnych paltach albo w vareuse i wysokich butach, kilku młodych mężczyzn w jaskrawych koszulach, ozdabiających rybackie stroje. Nie było mi żadenimi mojego ojca.

Tym razem nie wyczuwałam w powietrzu tego nastroju, który zapamiętałam z dzieciństwa; przed kaplicą było mniej kwiatów i zaledwie namiastka zwyczajowych ofiar. Zauważyłam natomiast, że ludzie mają ponure miny, jak gdyby znaleźli się w obłonym mieście. Panowała atmosfera napiętego oczekiwania.

Wreszcie nadeszły - poblask lamp z wydm w okolicy Point Griznoz i zawodził wiochę biniou, który zwykł towarzyszyć początkom procesji. Biniou jest tradycyjnym instrumentem; gdy się na nim dobrze gra, jego brzmienie przypomina nieco kobiecę. Teraz usłyszałam w tym dźwięku coś kociego, płacznego, przebijającego się przez wycie wichru.

Widziałam platformę z posągami w tej; czterech mężczyzn, po dwóch z każdej strony, dźwiękało jej, brnęła przez drogę. Gdy procesja podeszła bliżej, zauważyłam szczegóły: stertę czerwonych i białych kwiatów u stóp Sainte-Marine w ceremonialnych szatach, papierowe latarnie, wieńce złocony na starej kamiennej płycie. Zjawiły się również salające dzieci o twarzach zaróżowionych od wiatru i ostrych głosach, w których pobrzmiwało wyczerpanie i nerwy. Rozpoznałam wnuka Capucine, pyzatego Lola, i jego kolegę Damiena. Biegli swobodnie platformę z papierowymi latarniami, zieloną i czerwoną.

Gdy pochód okrążył ostatni wydm, wiatr rozdmuchał płomień w jednej z latarni i ten nagły blask oświetlił mojego ojca.

Był jednym z tych, którzy nie mieli figur w tej - i przez chwilę mogłam go obserwować, nie był dla zauważony. Wiatro płomieni było dla niego łaskawym; jego twarz wydawała się niemal niezmienną, a rysy nabrały nietypowego ożywienia. Był tęższy, niż pamiętałam, przytył z wiekiem, a jego masywne ramiona z wysiłkiem podtrzymywały platformę. Oblicze ojca przybrało wyraz niesamowitego skupienia. Inni niosący figurę byli młodszy. Zauważyłam Alaina

Guenole i jego syna Ghislaina, rybaków nawykłych do ciężkiej pracy. Kiedy procesja przystanąła przed grupą wyczekujących, dostrzegłam ze zdumieniem, że tylną część platformy dźwiga Flynn.

- Santa Marina.

Z tłumu przede mną wystąpiła kobieta, która musnęła ustami stopy wi tej. Rozpoznałam ją - była to Charlotte Prossage, właścicielka sklepiku spożywczego, pulchna, szcziebiotliwa kobietka o wiecznie zakłopotanej minie. Pozostali trzymali się w pełnej szacunku odległości, dotykając od czasu do czasu amuletów albo fotografii.

- Santa Marina. Przywróć nam dochody. Zimowe przypiły zalewają pola. Ostatnim razem musiałam je oczyszczać przez trzy miesiące. Jesteś naszym wi t. Zaopiekuj się nami.

Jej głos dźwięczał spokojnie, a jednocześnie nie słychać w nim było nut lekkiej urazy. Oczy strzelały niespokojnie to tu, to tam.

Gdy Charlotte zakończyła modlitwę, jej miejsce zajęli inni: młody Omer, zwany La Patate z uwagi na swą komiczną, bezkształtną twarz; Hilaire, miejscowy weterynarz, łysy i w okrugłych okularach; rybacy, wdowy, nastolatka o rozbieganych oczach - a wszyscy mamrotali szybko, tym samym oskarżycielskim tonem. Nie mogłam się przepychać, bo na pewno kogoś bym uraziła. Twarz Grosjeana ponownie przesłoniło morze falujących głów.

- Marine-de-la-Mer. Odsuń morze od moich drzwi. Napędź makrele w moje sieci. Zatrzymaj tego kłusownika Guenole z dala od ostrygowych ławic.

- Sainte-Marine, daj nam obfity połów. Niechaj mój syn wypływa bezpiecznie w morze.

- Sainte-Marine, pragnę mieć czerwone bikini i ciemne okulary ray-bany. Chciałabym leżeć na materacu przy basenie. Chcę Lazurowego Wybrzeża i plażę w Cannes. Chcę popijać margarity, jeść lody i frytki. Cokolwiek, byle nie ryb. Proszę. Gdziekolwiek, byle nie tu.

Dziewczyna, która modliła się o ciemne okulary, zerknęła na mnie przelotnie, odstąpiła od wi tej. Poznałam ją: była to Mercedes, córka Charlotte i Omera. Gdy opuszczałam wyspę, liczyła sobie siedem czy osiem lat, a teraz, wysoka i długonoga, miała rozpuszczone włosy i ładne usta. Nasze oczy się spotkały; uśmiechnęłam się, lecz dziewczyna posłała mi tylko niechętnie spojrzenie i przepchnęła się obok mnie w stronę zgromadzonego tłumu. Jej miejsce zajęła stara kobieta w chustce na głowie, pochylona błagalnie nad podniszczoną fotografią.

Procesja ruszyła ponownie w kierunku morza, gdzie stopy wi tej miały zostać zanurzone w wodzie dla błogosławieństwa. W chwili gdy dotarłam na drugi koniec, GrosJean

wła nie si odwracał. Zobaczyłam jego profil, pokryty teraz kropelkami potu, złowiłam błysk wisiora na jego szyi i znowu nie udało mi si przycign jego wzroku. Po chwili było ju za późno; nosiciele posgu posuwali si ostro nie w dół skalnym uskokiem, a pere Alban wyci gnit r k podtrzymywał wi t , eby si nie zsun ła. Biniou zawodziły sm tnie; zapaliła si druga, a potem trzecia latarnia, rzucaj c na wiatr czarne motyle.

Wreszcie dotarli do morza. Ksi dz usun ł si na bok, a czterej m czy ni wnie li Sainte-Marine do wody. W Point nie ma piasku, wył cznie kamienie i blask odbity od powierzchni o wietlał zdradliwe przej cie. Zbli ał si przyptyw. Wydało mi si , e przez lament biniou przebijaj pierwsze odgłosy wiatru dudni cego w szczelinach, głuchy pomruk, który niebawem osi gnie nat enie niemal dorównuj ce biciu zatopionego dzwonu...

- La Marinette! - To była stara kobieta w chustce, Desiree Bastonnet; jej oczy pociemniały z l ku. Chude, nerwowe dłonie wci obracały fotografi , a poblask lamp odbijał si od u miechni tej chłopi cej twarzy.

- Wcale nie - dał si słysze głos Aristide'a, jej m a, głowy rybackiego klanu o tym samym mianie, człowieka po siedemdziesi tce, z sumiastymi w sami i długimi siwymi włosami, wymykaj cymi si spod płaskiego kapelusza. Długo przed moimi narodzinami stracił nog w tym samym wypadku podczas połowu, w którym zgin ł jego najstarszy syn. Obrzucił mnie baczny spojrzeniem, gdy go mijałam. - Do ju tej przes dnej gadaniny, Desiree - nakazał onie przyciszonym głosem. - I odłó to.

Desiree odwróciła oczy i zacisn ła palce na fotografii. Z tyłu zerkn ł na mnie z nie miał ciekawo ci młodzieniec lat dziewi tnastu lub dwudziestu zza niedu ych okularów w drucianej oprawce. Wydawało si , e chce co powiedzie , lecz w tej samej chwili Aristide obrócił si na pi cie i młody człowiek ruszył po piesznie za nim, st paj c boso i bezszelestnie po kamieniach.

Nosiciele stali teraz zanurzeni po pier w wodzie, zwróceni twarzami w stron brzegu, podtrzymuj c wi t , której stopy obmywało morze. Fale pluskały o cokół, zmywaj c ze kwiaty. Alain i Ghislain Guenole zaj li pozycje z przodu, Flynn i mój ojciec z tyłu, stawia czoło wezbranemu morzu. Nawet w sierpniu łatwo było zmarzn przy tym zaj ciu; moja twarz zdr twiała od chłodnej mgiełki, wiatr przenikał przez wełniany płaszcz, a dygotałam. A przecie byłam przynajmniej sucha.

Gdy wszyscy zaj li swoje miejsca, pere Alban uniósł pastorał do ostatniego błogosławie stwa. W tej samej sekundzie Grosjean zwrócił głow w stron ksi dza i nasze oczy

si spotkały.

Przez chwil mój ojciec i ja trwali my wewn trz p cherza ciszy. Wpatrywał si we mnie zza stóp wi tej, rozchyliwszy lekko usta, ze zmarszczk skupienia mi dzy brwiami. Wisior na jego szyi arzył si czerwieni .

Co utkwiło mi w gardle, jaka przeszkoda utrudniaj ca oddychanie. Moje dłonie sprawiały wra enie, e nale do kogo innego. Zrobiłam krok w jego stron .

- Ojczy? To ja, Mado.

Cisza, zalegaj ca wsz dzie niczym popiół.

Wydało mi si , e Flynn obok niego wykonuje jaki gest. A potem fala załamala si gwałtownie za ich plecami i Grosjean, nie przestaj c na mnie patrze , potkn ł si , stracił grunt pod nogami, wyci gn ł r k , aby si czego przytrzyma ... i zrzucił Sainte-Marine z platformy w gł bok to za Point Griznoz.

Przez sekund zdawała si unosi cudem na wzburzonych falach, a jedwabna spódnica wydymała si wokół niej niczym purpurowy dzwon. Pó niej znikn ła.

Grosjean stał bezradnie, z oczyma utkwionymi w przestrze . Pere Alban bezskutecznie usiłował pochwyci upadaj c wi t . Aristide parskn ł zaskoczonym miechem. Za nim młodzieniec w okularach post pił krok w stron wody i przystan ł. Przez chwil nikt si nie poruszył. Potem z ust salanian wydarł si j k, wtóruj cy zawodzeniu wiatru. Mój ojciec jeszcze przez moment trwał w miejscu, a na jego zastygłej twarzy migotały w absurdalnym ta cu wiatła latarni; nast pnie zawrócił i umkn ł, brn c w ród fal, potykaj c si na kamieniach, prostuj c ponownie i pr c naprzód w ci kim, nasi kni tym wod ubraniu. Nikt nie przyszedł mu z pomoc . Nikt si nie odezwał. Ludzie odwracali si , by go przepu ci , odwracaj c przy tym oczy.

- Ojczy! - zawołałam, gdy zbli ył si do mnie, ale min ł mnie, nie obejrawszy si nawet. Kiedy dotarł do cypla Point Griznoz, wydało mi si , e słysz jaki d wi k, długie, urywane zawodzenie, ale mógł to by wiatr.

6

Zgodnie z tradycj , po uroczysto ci na nadmorskim urwisku wszyscy id do baru Angela wychyli po kieliszku na cze wi tej. Tym razem zrobiła to mniej ni połowa wiernych. Pere Alban udał si prosto do domu do La Houssiniere, nie pobłogosławiwszy nawet wina; dzieci -

oraz wi kszo matek - poszły spa i dało si wyra nie odczu brak zwykłej ywiółowo ci.

Główn przyczyn była, oczywi cie, utrata Sainte-Marine. Bez niej modlitwy nie mogły zosta wysłuchane, a fale poskromione. Omer La Patate zaproponował natychmiastowe poszukiwania, lecz przyptyw si gał zbyt wysoko, a postrz piane skały były niebezpieczne, dlatego akcj odło ono do rana.

Ja sama wróciłam natychmiast do domu i czekałam tam na Grosjeana. Nie przyszedł. Wreszcie, około północy, wybrałam si do Angela, gdzie zastałam Capucine koj c zdenerwowanie kaw i devinnoiseres.

Na mój widok wstała z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Nie ma go - powiedziałam, siadaj c obok niej. - Nie wrócił do domu.

- I nie wróci. Nie teraz - skonstatowała Capucine. - Po tym, co si stało i jak znowu zobaczył ciebie, akurat dzisiejszego wieczoru... - Urwała, kr c c głów . - Ostrzegałam ci , Mado. Nie mogła wybra gorszej chwili.

Ludzie patrzyli na mnie; wyczuwałam ich zaciekawienie i pewien chłód, który sprawił, e poczułam si sztywno i obco.

- My lałam, e ka dy mo e przyj na uroczysto Sainte-Marine. Czy nie po to si j urz dza?

Capucine zmierzyła mnie wzrokiem.

- Nie wciskaj mi kitu, dziewczyno - rzekła surowo. Wiem, dlaczego wybrała dzisiejszy dzie . - Zapaliła papierosa i wydmuchn ła dym przez nozdrza. - Zawsze była uparta. Nie potrafiła do niczego podej spokojnie. Wszystko robiła bez zastanowienia, wszystko naraz próbowała zmieni . - Posłała mi zm czony u miech. - Daj swojemu ojcu szans , Mado.

- Szans ? - To był Aristide Bastonnet, pod r k z Desiree. - Po tym, co si dzisiaj zdarzyło na Point , jak mo emy mie szans ?

Uniosłam głów . Starzec stał za nami, wspieraj c si oci ale na lasce, jego oczy krzesły iskry. Młody człowiek w okularach trzymał si nieco z boku, włosy opadały mu na oczy, min miał zakłopotan . Teraz go poznałam: Xavier, wnuk Aristide'a. Dawniej był samotnikiem, wołał ksi ki od zabaw. Mimo niewielkiej ró nicy wieku prawie nie rozmawiali my z sob .

Aristide nadal piorunował mnie spojrzeniem.

- Po co wróciła , h ? - spytał z naciskiem. - Tu ju nic nie ma. Przyjechała , eby si pozby biednego Grosjeana? Przej jego dom? Jego pieni dze?

- Nie odpowiadaj - wtr ciła Capucine. - Jest pijany.

Aristide zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał.

- Wszystkie jesteście takie same! - oznajmił. - Wracacie tylko wtedy, kiedy czego chcecie!

- Dziadku - zaczął protestować Xavier, kładąc dłoń na ramieniu starego.

Aristide strzasknął jednak. Choć był niemy o głowę, gniew przeobraził go w olbrzymę; jego oczy płonęły jak u proroka. Ona, stojąc tu przy nim, spoglądała na niego niespokojnie.

- Przepraszam - odezwała się cicho. - Sainte-Marine... nasz syn...

- Zamilcz! - warknął Aristide, odwracając się tak raptownie, że mimo łaski byłby upadł, gdyby nie blisko Desiree. - Mylisz, że to obchodzi, ha? Mylisz, że kogokolwiek to obchodzi?

Wymaszerował, szurając drewnianymi nogami po betonie i nie oglądając się nawet, a za nim podbiegła rodzina. Zapadła cisza.

Capucine wzruszyła ramionami.

- Nie przejmuj się nim, Mado. Po prostu wypił o jedno devinnoise za dużo. Przybór wód, sprawa ze wsi... no i jeszcze ty wróciłaś do domu.

- Nie rozumiem.

- Tu nie ma nic do rozumienia - powiedział Matthias Guenole. - On jest Bastonnetem. Pomieszało mu się w głowie.

Zabrzmiało to mniej pocieszająco, niż mogłoby się wydawać; Guenole od pokoleń nienawidził Bastonnetów.

- Biedny Aristide. Wszędzie widzi spiski.

Odwróciłam się i zobaczyłam drobną staruszkę we wdowiej czerni, przycupniętą na stołku tu obok mnie. Toinette Prossage, matka Omera i najstarsza mieszkanka wyspy.

- Jeśli idzie o Aristide'a, ludzie bez przerwy próbują się go pozbyć, dobra się do jego oszczędności... ha! - Za miała się chrapliwie. - Jakby wszyscy nie wiedzieli, że wydał je całe na remonty w domu. Bonne Marine, nawet gdyby po tylu latach jego chłopak powrócił, nie zostanie mu nic prócz starej łodzi i skrawka nasiekanej tej wodzi, od której nawet Brismand go nie uwolni.

Matthias prychnął.

- Ten s... p.

Musnęłam palcami list, który wciśniętą miałam w kieszeni.

- Brismand?

- Oczywiście - odparła Toinette. - Kogo innego byłoby stać na inwestycje w tej okolicy?

Według Toinette, Brismand miał pewne plany w związku z Les Salants. Plany tyle złowrogie, co niejasne. Dostrzegałam tradycyjniech salanian do houssinianina, któremu się powiodło.

- On by mógł sporo zrobić dla Les Salants. Ot tak, fiu! oznajmiła staruszka z wymownym gestem. - Ma pieniądze i maszyny. Osuszy bagno, postawi falochron w La Goulue - może to załatwi w pół roku. Koniec z podtopieniami. Ha! Ale nie za darmo, rzecz wam. Nie na wiadzeniu uprzejmości zdobył majątek.

- Może powinniście wysłuchać jego propozycji.

Matthias posłał mi nieprzyjemne spojrzenie.

- Co, sprzeda wszystko houssinianinowi?

- Daj jej spokój - rzuciła Capucine. - Dziewczyna chce dobrze.

- Tak, a gdyby potrafił zapobiec podtapianiu...

Matthias stanowczo pokręcił głową.

- Nie sposób kontrolować morza - powiedział. - Robi, co zechce. Jeśli z woli wiemy tej mamy utonąć, to utoniemy.

Był to któryś z kolei zły rok, jak się dowiedziałam. Mimo opieki Sainte-Marineka tej zimy przyprły się gale wyjącej. Tego roku woda zalała nawet Rue de l'Océan, pierwszy raz po wojnie. Lato również okazało się wyjątkowo niespokojne. Wezbrane fale zatoki przykryły pół wioski na trzy stopy, wyrządzając szkody, których jeszcze do końca nie udało się usunąć.

- Jak tak dalej pójdzie, czeka nas los starej wioski - powiedział Matthias Guenole. - Wszystko zatopione, nawet kościół. Napełnił fajkę i uderzył tyto brudnym kciukiem. - No właśnie. Kościół. Jeśli wiemy ta nie może nam pomóc, to kto może?

- Naprawdę czarny rok - oznajmiła Toinette Prossage to był tysiąc dziewięćset ósmy. Moja siostra Marie-Laure zmarła na grype tej samej zimy, kiedy ja się urodziłam. Dłga powietrze wykrzywionym palcem. - Tak, ja, dziecko czarnego roku; wszyscy myśleli, że nie przeżyję. Ale przeżyłam! I jeśli chcemy przeżyć ten rok, musimy zrobić coś więcej niż tylko kłapać na siebie dziobami jak mewy. Popatrzyła surowo na Matthiasa.

- Łatwo powiedzieć, Toinette, ale skoro wiemy ta nie wstawia się za nami...

- Nie to miałam na myśli, Matthiasie Guenole, i ty o tym wiesz.

Matthias wzruszył ramionami.

- Nie ja zacząłem tę historię - powiedział. - Gdyby Aristide Bastonnet choć jeden raz przyznał, że się omylił...

Toinette zwróciła się do mnie z roziskrzonymi oczyma:

- Widzisz, jak to wygląda? Dorośli mężczyźni czy nie, starzy mężczyźni czy nie, a zachowuj się jak małe dzieci. Nic dziwnego, że ci to okazuje niezadowolenie.

Matthias najęty się.

- To nie moi chłopcy upuścili wiązki.

Capucine przeszła go gniewnym spojrzeniem. Jego twarz przybrała zakłopotany wyraz.

- Przepraszam - powiedział. - Nikt nie ma pretensji do Grosjeana. Jeśli ktoś tu zawinił, to Aristide. Nie pozwolił swojemu wnukowi nieść wiązki, bo wtedy byłoby dwóch Guenole na jednego Bastonnetta. On sam, rzecz jasna, nie mógł pomóc. Przez te drewniane nogi. - Westchnął. - Już wam mówiłem. To był czarny rok. Słyszałyście przecież dzwonienie La Marinette.

- To nie był La Marinette - zaprzeczyła Capucine. Odruchowo rozstawiła palce lewej dłoni w geście odpędzającym niebezpieczeństwo. Zauważyłam, że Matthias robi to samo.

- Powiadam wam, on nadciąga. Minie to trzydzieści lat...

Matthias ponownie rozstawił palce.

- Siedemdziesiąty drugi. To był niedobry rok.

Wiedziałam o tym; tamtego roku poniosło śmierć trzech mieszkańców wioski, w ród nich brat mojego ojca.

Matthias pociągnął tyk devinnoise.

- Pewnego razu, wiecie, Aristide wyobraził sobie, że znalazł La Marinette. To było wczesną wiosną tamtego roku, gdy stracił nogę. Okazało się, że to niewypał z pierwszej wojny wiatowej. Ironia losu, nie uważacie?

Zgodziłam się z nim. Słuchałam najuprzejmiej, jak mogłam, choć w dzieciństwie wielokrotnie opowiadano mi tę historię. Nic się nie zmieniło, pomyślałam z odcieniem desperacji. Nawet opowieści były równie stare i zmęczone, jak mieszkańcy wioski, z ułtym paciorek na sznurku, których zbyt często dotykano. Wezbrały we mnie litość i zniecierpliwienie i westchnęłam głęboko. Matthias kontynuował, nie zwracając na nic uwagi,

jakby wypadek zdarzył się wczoraj:

- Był na pół zagrzebany w ławicy piasku. Wydawał dziwny krzyk, kiedy rzuciło się w niego kamieniem. Wszystkie dzieciaki przyszły z patykami i odłamkami skał i próbowały wydobyć ten dziwny krzyk. Kilka godzin później odpływ zabrał bombę i wybuchła, sama z siebie, sto metrów od miejsca, gdzie jest teraz La Jete. Wytłukła chyba wszystkie ryby stamtąd aż do Les Salants. Ha!

- Matthias pospiesznie delektował się fajką. - Desiree przyrzadziła cały kocioł bouillabaisse, bo nie mogła znaleźć innych, a te wszystkie ryby się zmarnują. Zatrwała pół wioski. - Popatrzył na mnie przekrwionymi oczyma. - Nigdy nie umiałem rozstrzygnąć, czy to był cud, czy nie.

Toinette przytaknęła ruchem głowy.

- Cokolwiek to było, przyniosło nam pecha. Syn Aristide'a, Olivier, zginął tamtego roku, no i... wiadomo kto. Przy tych słowach spojrzała na mnie.

- P'titjean.

Znowśkinęła głowę.

- Ha! Ci bracia! Trzeba ci było ich słyszeć w dawnych latach - podjęła. - Gadatliwi jak sroki. Gadali bez przerwy.

Matthias napił się deuinnoise.

- Czarny Rok zabrał Grosjeanowi serce, zupełnie tak samo, jak zabrał domy z La Goulue. Przyływy morze i były wszystkie tamtego roku, ale niewiele. - Westchnął z ałolną satysfakcją i machnął w moją stronę cybuchem fajki. Ostrzegam cię, dziewczyno. Nie czuj się tu jak w domu. Bo jeszcze jeden rok taki jak tamten...

Toinette wstała i spojrzała przez okno na niebo. Za Point rozciągał się matowopomarańczowy horyzont, rozszczępiony teraz odległym błyskawicą.

- Nadchodzą złe czasy - zauważyła bez widocznego niepokoju. - Zupełnie jak w siedemdziesiątym drugim.

7

Spałam w moim dawnym pokoju, wciąż mając w uszach szum morza. Gdy się obudziłam, było już jasno - i nadal ani śladu ojca. Zaparzyłam kawę i popijałam ją powoli, czując bezsensowne przygnębienie. Czego się spodziewałam? Powitania córki marnotrawnej? Wciąż przeładowała mnie gorzka atmosfera wiatu, a stan, w jakim znajdował się dom, jeszcze pogarszał sprawę. Postanowiłam wyjść na zewnątrz.

Niebo było zasnute chmurami i słyszałam krzyki mew znad La Goulue. Domy liłam si , e nadeszła pora odpływu. Włó yłam płaszcz i poszłam si rozejrze .

Mo na poczu zapach La Goulue, zanim si j zobaczy. Zawsze jest silniejszy podczas odpływu; wo ryb i wodorostów, która obcemu przybyszowi mogłaby si wyda nieprzyjemna, lecz we mnie budzi skomplikowane, nostalgiczne skojarzenia. Nadchodz c od strony wyspy, widziałam opuszczone płaskodenne łodzie, połyskuj ce w srebrzystym wietle. Stary niemiecki bunkier, na pół zagrzebany w wydmie, wygl dał na tle nieba jak porzucony klocek. Dym unosz cy si nad wie yczk oznaczał zapewne, e Flynn szykuje niadanie.

Z całego Les Salants przez lata najbardziej ucierpiała La Goulue. Brzuch wyspy uległ daleko posuni tej erozji, a cie ka, któr pami tałam z dzieci stwa, zapadła si do morza, pozostawiaj c po sobie niechlujne osuwisko. Morze zmyło rz d wiekowych pla owych budek; ocalała tylko jedna, podobna do długonogiego owada, zawieszona nad kamieniami. Wylot przesmyku był szerszy, acz najwyra niej podj to pewne wysiłki, by go zabezpieczy - chropowaty mur z kamieni spojonych zapraw nadal wznosił si krzywo po zachodniej stronie, cho i on osun ł si z czasem, wystawiaj c przesmyk na działanie przyptywów. Zaczynałam rozumie pesymizm Matthiasa Guenole; przyptyw poł czony z silnym wiatrem musi podnie poziom wody, która przeleje si przez grobl nad przesmykiem wprost na drog . Ale główna zmiana, jaka zaszła w La Goulue, była o wiele wymowniejsza. Mur wodorostów, pi trz cy si nawet w lecie, znikn ł i pozostały tylko nagie kamienie, których nie pokrywała nawet warstwa mułu. To mnie zaintrygowało. Czy zmienił si kierunek wiatrów? Zazwyczaj wszystko powraca do La Goulue. Dzisiaj nie było tu nic - adnych wodorostów, adnych mieci ani kawałka drewna. Mewy zdawały si o tym wiedzie : skrzeczały gniewnie jedna na drug , kołuj c w powietrzu, lecz siadały na ziemi na krótko, nie szukaj c po ywienia. W oddali kr g La Jete rysował si blad falbank na tle ciemnej wody. Na brzegu nie dostrzegłam adnych ladów obecno ci ojca. Mo e poszedł do La Bouche, pomy lałam; cmentarz znajdował si kawałek od wioski, za przesmykiem. Byłam tam kilka razy, ale nie chodziłam cz sto; na Le Devin zmarli to m ska sprawa.

Stopniowo docierała do mnie wiadomo czyjej bliskiej obecno ci. By mo e zaszła jaka zmiana w sposobie poruszania si mew; nie ulega w tpliwo ci, e podszedł bezszelestnie. Odwróciwszy si , zobaczyłam Flyna stoj cego kilka jardów za mn i patrz cego w t sam stron , co ja. Trzymał dwa wi cierge do połowu homarów, a przez rami przewieszony miał

plócienny worek. Wi cierge były pełne, na ka dym za wymalowano czerwón liter B - jak Bastonnet.

Przywłaszczenie to jedyne przest pstwo, które na Le Devin traktuje si powa nie. Okradanie czyich wi cierge jest takim samym złem, jak spanie z czyj on .

Flynn u miechn ł si do mnie bez ladu skruchy.

- Zdziwiał ce, co morze potrafi wyrzuci - zauwa ył pogodnie, wykonuj c jednym z wi cierge gest w stron Point . - Pomy lałem, e przyjd tu wcze niej i rozejrz si , zanim połowa wioski zacznie szuka wi tej.

- wi tej?

Pokr cił gów .

- Obawiam si , e lad po niej zagin ł. Musiał j porwa przyplryw. Pr dy s tu tak silne, e mo e si teraz znajdowa w drodze do La Goulue.

Milczałem. Potrzeba czego wi cej ni wysoki przyplryw, by morze wyrzuciło wi cierz z homarami. Gdy byłam mała, Guenole i Bastonnetowie zwykli czatowa na siebie nawzajem na wydmach, uzbrojeni w rutówki naładowane sol , w nadziei e przyłapi tych drugich na gor cym uczynku.

- Szcz ciarz z ciebie - powiedziałam.

Jego oczy błysn ły.

- Jako sobie radz .

W nast pniej chwili nie zwracał ju na mnie uwagi i wygarniał bos stop perełki dzikiego czosnku, który rósł na piasku. Kiedy zbierał kilka, podniósł je i wło ył do kieszeni. W słonym powietrzu doleciał mnie ich ostry zapach. Pami tałem, e sama je kiedy zbierałem dla matki do gulaszu rybnego.

- Swego czasu była tu cie ka - odezwałem si , patrz c na zatok . - Schodziłem ni na mielizn . Teraz jej nie ma.

Flynn kiwn ł gów .

- Toinette Prossage pami ta, e stał tutaj cały szereg domów, z przystani , mał pla i tak dalej. Wszystko wyl dowało w morzu dawno temu.

- Pla a? - To brzmiało sensownie. Niegdy podczas odpływu mo na było doj z La Goulue do piaszczystych ławic La Jete; z biegiem lat migrowały niczym ółte wieloryby wraz ze zmieniaj cymi si pr dami. Popatrzyłem na samotn budk pla ow , teraz bezu yteczn ,

przycupni t wysoko nad kamieniami.

- Na wyspie nic nie jest bezpieczne.

Ponownie zerkn łam na wi cierce. Unieruchomił homa - ry, eby nie mogły walczy .

- „Eleanore” Guenole zerwała si z cumy dzi w nocy ci gn ł Flynn. - My l , e to sprawka Bastonnetów. Ale to musiał zrobi wiatr.

Najwyra niej Alain Guenole, jego syn Ghislain i ojciec Matthias byli od witu na nogach, poszukuj c zaginionej „Eleanore”. Solidna, płaskodenna łód rybacka mogła popłyn z fal przybrze n i teraz spoczywa, nienaruszona, gdzie na mieli nie. Optymistyczne my lenie, ale warto spróbować .

- Czy mój ojciec wie? - spytałam.

Flynn wzruszył ramionami. Jego mina mówiła, e uwa a „Eleanore” za stracon .

- Mo e nie doszły go wie ci. Nie wrócił na noc do domu, prawda? - Musiał dostrzec wyraz zaskoczenia na mojej twarzy, poniewa si u miechn ł. - Mam lekki sen - wyja nił. - Słyszałem twojego ojca, jak szedł do La Bouche.

La Bouche. Wi c miałam słuszno .

Cisza, zakłócana jedynie wrzaskami mew. Wyczuwałam, e Flynn czeka, a si odezw ; i ponownie zaczęłam si zastanawia , ile dowiedział si od Grosjeana. Pomy łałam o skrzynce wypełnionej nieotwieran korespondencj , o okaleczonej fotografii urodzinowej.

- To skomplikowany człowiek - powiedziałam wreszcie. - Trzeba si nauczyć patrze na sprawy jego oczyma. Trzeba si stara .

- Długo ci tu nie było.

- Znam mojego ojca.

Pauza. Flynn w milczeniu bawił si swym koralowym naszyjnikiem.

- Nie była tam, prawda?

- Nie. To miejsce nie nale y do moich ulubionych. Czemu pytasz?

- Chod - powiedział, kład c wi cierce na ziemi i wyci gaj c do mnie r k . - Jest co , co powinna zobaczyć .

Ci, którzy odwiedzają La Bouche po raz pierwszy, zawsze s zaskoczeni. By mo e rozmiarami cmentarza; cie kami i alejkami w ród nagrobków, na których wryto nazwiska salanian - setki, a kto wie, czy nie tysiące Bastonnetów, Guenole, Prossage'ów, nawet naszych krewnych Prasteau, którzy spoczywają jeden obok drugiego niczym zm czeni pławicze,

zapomniawszy o dawnych niesnaskach.

Kolejna zaskakująca rzecz to wielkość nagrobków; pobliskie i wygładzone przez wiatr olbrzymie z wyspiarskiego granitu wznoszą się niczym monolity, przykute samym ciężarem do niespokojnej gleby. W przeciwieństwie do żywych, martwi salanie mają towarzyski charakter: chętnie odwiedzają się nawzajem w grobach, niesieni przemieszczają się warstwami piasku, nie zważając na rodowe wzniesienia. Aby ich pohamować, używamy najcięższych kamiennych płyt. Nagrobek P'titjeana jest masywnym blokiem różowo-szarego granitu, jak gdyby jeden wykopany grób nie był dla zmarłego wystarczająco głęboki.

Flynn nie chciał odpowiedzieć na moje pytania, gdy kroczyli my w stronę starego cmentarza. Szłam za nim niechętnie, stąpając ostrożnie po kamieniach. Widziałam już pierwsze nagrobki, wyrastające ponad grzbiety osłaniających je wydmy. Cmentarz La Bouche zawsze stanowił dla mojego ojca teren prywatny. Nawet teraz czułam niejasne wyrzuty sumienia, zupełnie jakbym wykradała czyjąś tajemnicę.

- Wejść na wydmy - polecił Flynn, dostrzegając moje wahanie. - Stamtąd wszystko zobaczysz.

Przez długi czas stałam po prostu na grzbiecie wydmy, spoglądając w dół na La Bouche.

- Od jak dawna to tak wygląda? - spytałam wreszcie.

- Od wiosennych sztormów.

Podjęto próby ochrony grobów. Wzdłuż cieki biegnącej najbliżej przesmyku leżały worki z piaskiem, niektóre nagrobki obwałowano ziemią, lecz było widać jak na dłoni, że te skromne rodki zawiodły w obliczu tak rozległych zniszczeń. Kamienie nagrobne sterczały z podmytej ziemi niczym chore zębry - niektóre stały jeszcze prosto, inne przybrały niebezpieczny kształt nachylenia nad płytkim rozlewiskiem, utworzonym w miejscu, gdzie woda przelała się przez niskie obwałowania nad przesmykiem. Tu i ówdzie wystawał wazon ze zwidłymi kwiatami; w innych miejscach na obszarze ponad pięćdziesięciu metrów widziałam tylko kamienie i gładkie, blade odbicie nieba.

Przez długi czas trwałam w milczeniu, patrząc.

- Od tygodni przychodzi tu codziennie - wyjął Flynn. - Mówiłem mu, że to nie ma sensu. Nie chciał mi uwierzyć.

Widziałam teraz grób P'titjeana, nieopodal zatopionej cieki. Ojciec przystroił go

czerwonymi kwiatami i koralikami, na cze Sainte-Marine. Te skromne ofiary wygl dały dziwnie ało nie na tle kamiennej wysepki.

Dla ojca był to niew tpliwie cios. Nawet dzwonięcie La Marinette nie wywołałoby w tym gł boko przes dnym człowieku równie silnej reakcji.

Ruszyłam w stron cie ki.

- Nie radz - ostrzegł Flynn.

Zignorowałam go. Ojciec był odwrócony ode mnie plecami i do tego stopnia pochłoni ty tym, co robił, e usłyszał mnie, dopiero gdy zbli yłam si na odległo kroku. Flynn nie ruszył si z miejsca, prawie niewidzialny w ród poro ni tych traw wydm, je li nie liczy stłumionego przebłytku kasztanowatych włosów.

- Ojczy? - przemówiłam po chwili, a on odwrócił si do mnie.

Teraz, w dziennym wietle, dostrzegłam, jak bardzo GrosJean si postarzał. Wydał mi si ni szy, skurczony, ubranie zwisało na nim fałdami, a kr gł twarz powlekała szpakowata szczecina starczego zarostu. R kawy miał poplamione błotem, jakby po kopaniu, dostrzegłam tak e błotniste bryzgi na cholewach jego gumiaków. Z jego dolnej wargi zwisał gitane.

Post piłam krok naprzód. Ojciec wpatrywał si we mnie w milczeniu, błyszcz cymi niebieskimi oczyma, okolonymi sieci słonecznych zmarszczek. Nie zareagował na moją obecno ; równie dobrze mógł obserwowa łodzie rybackie, wypływaj ce w morze, albo oblicza odległo mi dzy łodzi a przystani , uwa aj c, by si nie po lizn .

- Ojczy - powtórzyłam z obcym, sztywnym u miechem. Odgarn łam włosy, by odsłoni twarz. - To ja.

Gros Jean nadal sprawiał wra enie, jakby mnie nie słyszał. Jego dło pow drowała w stron szyi, ku wisiorowi. Nie, to nie był wisior. Raczej medalion. Taki, w jakim trzyma si pami tki.

- Pisałam do ciebie. My łałam, e... gdyby chciał... Mój głos tak e brzmiał obco. Grosjean wpatrywał si we mnie z twarz pozbawion wyrazu. Cisza zakryła wszystko, jak skrzydła czarnych motyli.

- Mógłby przynajmniej spróbowa co powiesz rzuciłam.

Cisza. Trzepotanie skrzydeł.

- No i co ty na to?

Cisza. Powy ej na wydmie czekał nieruchomo Flynn.

- No i co? - powtórzyłam. Dręce motyle zagnie dziły się w moim głosie, wprawiając go w dygot. Z trudem łapałam oddech. - Wróciłam. Nic na to nie powiesz?

Przez chwilę wydało mi się, że widzę przelotny błysk w jego oczach. Może sprawiła to tylko moja wyobraźnia. W każdym razie błysk zniknął w ciągu sekundy. A potem, zanim zdałam sobie z tego sprawę, ojciec zawrócił i bez słowa skierował się ku wydmom.

8

Powinno mi być tego spodziewała. W pewien sposób spodziewałam się tego, przeżyłam przed laty podobne odrzucenie. Mimo to co mnie paliło: skoro matka nie żyła, a Adrienne odeszła, miałam chyba prawo oczekiwać jakiejś reakcji.

Mogłoby być inaczej, gdybym była chłopcem. Gros Jean, jak wiemy, wyspiarz, pragnął mieć syna, kilku synów, którzy by zadbali o przystań i o rodzinny grób. Córki, pociągające za sobą koszty, nie interesowały Grosjeana Prasteau w najmniejszym stopniu. Do niego urodziła się jedna; po czterech latach druga zniszczyła resztki intymnego współżycia rodziców. W okresie dojrzewania usiłowałam odpokutować za rozczarowanie, które sprawiłam: krótko strzygłam włosy i unikałam towarzystwa dziewcząt, byle uzyskać jego aprobatę. W pewnym stopniu okazało się to skuteczne: niekiedy pozwalał mi łowić ryby albo zabierał z widłami i koszami na ławice ostryg. Były to dla mnie cenne chwile, wykradane Adrienne i matce, gdy w drowały razem do La Houssiniere; przechowywałam je i napawałam się nimi w tajemnicy.

Odzywał się wówczas do mnie, nawet gdy nie rozmawiał z moją matką. Pokazywał mi gniazda mew i piaszczyste wybrzeża La Jetee, do których rok w rok powracały foki. Czasami znajdowali my przedmioty wyrzucone przez fale i zabierali my je do domu. Z rzadka przytaczał mi wyspiarskie opowieści i porzekadła. Wszystko powraca. To był jego ulubiony motyw.

- Przepraszam - odezwał się Flynn. Zapewne podszedł ukradkiem, gdy stanęłam nad grobem P'titjeana.

Skinęłam głowę. Gardło bolało mnie jak od krzyku.

- On z nikim nie rozmawia - wyjaśnił Flynn. - Przeważnie porozumiewa się znakami. Nie wydaje mi się, żeby przemówił więcej niż tuzin razy, odkąd tu jestem, a i wtedy wygłasza zwykle swoje „tak” lub „nie”.

Czerwony kwiat unosił się na wodzie tuż nad ciekiem. Obserwowałam go, czując mdłość.

- Wi c rozmawia z tob - powiedziałam.

- Czasami.

Czułam go przy boku, zakłopotanego, gotowego udzielił pociechy - i przez chwilę jej zapragnęłam. Wiedziałam, że mógł zwrócić się ku niemu - był na tyle wysoki, że mogłam złożyć głowę na jego ramieniu - i pachniałby ozonem i morzem, a także niewyprawioną wełną. Wiedziałam, że pod ubraniem byłby ciepły.

- Mado, przepraszam...

Spojrzałam ponad nim, z twarzą pozbawioną wyrazu, nienawidząc jego współczucia, a jeszcze bardziej własnej słabości.

- Stary skurczybyk nadal rozgrywa swoje gierki - powiedziałam. Tu nastąpił długi, roztrząsiony wdech. - Nic się nie zmienia.

Flynn obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

- Dobrze się czujesz?

- Wietnie.

Odprowadził mnie do domu, niosąc wiązki z homarami i worki. Mówiłam niewiele; on podtrzymywał rozmowę. Nie słyszałam jego zdania, lecz byłam za niego w jakiś sposób wdzięczna. Od czasu do czasu dotykałam listu w kieszeni.

- Dokąd teraz pójdziesz? - zapytał Flynn, gdy dotarliśmy do cieki skrajcej w stronę Les Salants.

Opowiedziałam mu o paryskim mieszkaniu. O brasserie na froncie. O kafejce, do której chodziłyśmy w letnie wieczory. O lipowych alejach.

- Brzmi nieźle. Może się tam kiedyś przeprowadzisz.

Spojrzałam na niego.

- Myślałam, że podoba ci się tutaj.

- Może i tak, ale nie zamierzam zostać tu na zawsze. Nikt nigdy nie zrobił mi tutaj, zakopując się w piasku.

- Majtku? Czy do tego właśnie dążysz?

- Oczywiście. Jak wszyscy.

Zapadło milczenie. Kroczyliśmy obok siebie, on bezszelestnie, ja - miażdżąc za cielajce wydmy odłamki muszli, które chrzęściły cicho pod moimi butami.

- Nigdy nie t sknisz za domem? - spytałam po chwili.

- Bo e, sk d! - Grymas wykrzywił jego twarz. - Mado, to był lepy zaulek. Zapadła dziura. Ani pracy, ani pieni dzy, ani w ogóle ycia. Wszystko, co mieli my, zawsze dostawał mój brat. Wyniosłem si stamt d najwcze niej, jak mogłem.

- Twój brat?

- Tak. John. Złoty Chłopiec. - U miechn ł si surowo, z gorycz , podobnie jak ja, gdy my lałam o Adrienne. Krewni. Komu wła ciwie s potrzebni, h ?

Zastanawiałam si , czy Gros Jean jest tego samego zdania; czy to dlatego wykluczył mnie ze swojego ycia.

- Nie mog go tak po prostu zostawi - wyznałam cicho.

- Naturalnie, e mo esz. To jasne, e on nie chce...

- A czy to wa ne, czego on chce? Widziałe podwórze, prawda? Widziałe dom? Sk d bierze pieni dze? I co b dzie, kiedy si wyczerpi ?

W Les Salants nie ma banku. Zgodnie z wyspiarskim porzekadłem, bank po ycza ci parasol podczas słonecznej pogody i odbiera go, gdy zaczyna pada . Oszcz dno ci przechowuje si w pudełkach po butach i pod kuchennymi zlewami. Po yczki s przewa nie zaci gane w ramach prywatnych umów. Nie potrafiłam sobie wyobrazi Grosjeana po yczaj cego pieni dze ani maj tku ukrytego pod podłog .

- Da sobie rad - powiedział Flynn. - Ma tutaj przyjaciół. Zaopiekuj si nim.

Spróbowałam przywoła obraz Omera La Patate, opiekuj cego si moim ojcem; albo Matthiasa; albo Aristide'a. Zamiast tego ujrzałam twarz Grosjeana w dniu, kiedy opuszczały my dom. Ów pusty wyraz, za którym równie dobrze mogła si kry rozpacz, oboj tno lub jeszcze co innego; niemal niedostrzegalne skinienie głow na znak potwierdzenia, gdy si odwracał. Łodzie czekaj . Nie ma czasu, by si egna . Wołanie z okna taksówki: „Napisz , obiecuj !”. Matka zmagaj ca si z walizkami, jej twarz skurczona pod brzemieniem niewypowiedzianych słów.

Byli my coraz bli ej domu. Widziałam nad wydmami jego czerwony dach. Z komina unosiła si cienka smuga dymu. Flynn kroczył obok mnie z pochylon głow , w milczeniu, opadaj ce włosy przesłaniały mu twarz.

Wtem przystan ł. Kto znajdował si w rodku; kto stał przy kuchennym oknie. Nie widziałam jego rysów, lecz masywn sylwetk łatwo było rozpozna : pot na, nied wiedziowata

posta , przyciskaj ca czoło do szyby.

- Grosjean? - szepn łam.

Flynn zaprzeczył ruchem głowy. Oczy miał czujne.

- Brismand.

9

Nie zmienił si . Owszem, był starszy. Posiwiął. Przytył w pasie, ale wci nosił espadryle i ryback czapk , któr pami tałam z dzieci stwa. Na grubych palcach połyskiwały pier cionki, a koszul pod pachami miał poplamion potem, cho dzie był chłodny. Gdy weszłam, stał przy oknie z paruj cym kubkiem w dłoni. W powietrzu unosiła si silna wo kawy z armaniakiem.

- Ach, to przecie mała Mado. - Jego dudni cy głos brzmiał gł boko i dono nie. U miech był szczery i zara liwy. W sy, cho szpakowate, wygl dały bardziej pompatycznie ni kiedykolwiek, jak u komicznej postaci z wodewilu albo komunistycznego dyktatora. Zrobił trzy szybkie kroki naprzód i otoczył mnie piegowatymi ramionami. - Mado, jak to dobrze, jak dobrze ci znowu widzie ! - Jego u cisk, jak wszystko w nim, był pot ny. - Zaparzyłem kaw . Mam nadziej , e ci to nie przeszkadza. W ko cu jeste my rodzin , czy nie? - Skin łam głow , na wpół uduszona w jego obj ciach. - Jak si miewa Adrienne? A dzieci? Mój bratanek nie pisuje tak cz sto, jak powinien.

- Moja siostra te nie.

Za miał si , a jego miech był mocny jak kawa.

- Dzieciaki, ha! Ale ty... ty! Niech ci si przyjrz . Ale wyrosła ! Czuj si przy tobie jak stuletni staruszek, ale to nic, skoro mog popatrze na twój buzi . Twój prze liczn buzi .

Niemal o tym zapomniałam - o jego wdzi ku. Jest w nim co zaskakuj cego, co , co uniemo liwia obron . Dostrzegałam inteligencj za jego wylewn powierzchowno ci , oczy miał m dre, ciemnoszare, niemal czarne. Tak, lubiałam go w dzieci stwie. Teraz nadal go lubiałam.

- Ci gle zalewa wiosk , co? Przykra sprawa. - Westchn ł gło no. - Pewnie wszystko wydaje ci si inne ni dawniej. Ale nie ka demu odpowiada ycie na wyspie. Młodzie pragnie rozrywek, których biedna stara wyspa nie mo e zaoferowa .

Miałam wiadomo , e tu za drzwiami stoi Flynn, trzymaj c te swoje wi cierz. Odniosłam wra enie, e nie chce wej , cho jednocze nie wyczułam jego zaciekawienie, a tak e, e nie zamierza zostawi mnie sam na sam z Brismandem.

- Wejd do domu - zach ciłam go. - Napijesz si kawy.

Flynn pokr cił głow .

- Zobaczymy si pó niej.

- Zostaw go. - Brismand, obrzuciwszy Flynna przelotnym spojrzeniem, zwrócił si ponownie w moj stron i przyjacielskim gestem obj ł mnie za ramiona. - On si nie liczy. Opowiedz mi wszystko o sobie.

- Monsieur Brismand...

- Claude, prosz ci , Mado. - Jego wszechogarniaj ca yczliwo wydawała mi si nieco przytłaczaj ca, jak gdyby był jakim olbrzymim wi tym Mikołajem. - Dlaczego mnie nie zawiadomiła , e przyje d asz? Ju prawie straciłem nadziej .

- Nie mogłam wcze niej. Mama była chora.

Na chwil wszystko wróciło: zapach szpitalnej sali, syczenie aspiratora, ton jej głosu, gdy napomkn łam o powrocie, cho by na krótko.

- Wiem. - Nalał fili ank kawy. - Przykro mi. A teraz ta sprawa z Grosjeanem. - Usadowił si w krze le, które zatrzeszczało pod jego ci arem, i poklepał miejsce obok. Ciesz si , e tu jeste , mała Mado - powiedział z prostot . - Ciesz si , e mi zaufała .

Najci sze okazały si pierwsze lata po opuszczeniu Le Devin. Na szcz cie były my silne. Romantyczna natura matki nabrała przera aj co twardych, praktycznych rysów, co nam si bardzo przydało. Nie posiadaj c adnych kwalifikacji, dorabiała jako sprz taczka. Mimo to yły my w biedzie.

Grosjean nie przysyłał ani grosza. Matka przyj ła to z gorzk satysfakcj , czuj c, e sama ma czyste sumienie. W szkole - du ym paryskim liceum - sfatygowane ubrania pogł biały moje wyobcowanie.

Pomógł nam jednak Brismand - na swój sposób. Stali my si rodzin , mimo odmiennych nazwisk. Nie przysyłał nam pieni dzy, ale na Bo e Narodzenie dostawały my paczki z ciuchami i ksi kami, a dla mnie, gdy odkrył moje zainteresowania, nadchodziły pudła farb. W szkole odnalazłam w sobie zamiłowania artystyczne, które przypominały mi niekiedy warsztat ojca, pił i zapach wie ych trocin. Z ut sknieniem oczekiwałam tych lekcji. Miałam talent. Rysowałam pla e, łodzie i pobielone chaty na tle nieba. Moja matka ich nie znosiła, rzecz jasna. Stały si pó niej naszym głównym ródłem utrzymania, lecz mimo to matka nienawidziła tematyki.

Podejrzewała, choć nigdy nie powiedziała tego głośno, że łami w ten sposób nasz umów.

Gdy studiowałam w college'u, nadchodziły listy od Brismanda. Nie do matki - ona pokochała blichtr i wiatła Pary a i nikt nie miał prawa przypominać jej o Le Devin - ale do mnie. Nie były to długie listy, lecz pochłaniałam każdą strzęp informacji. Czasami słowałam, że to Grosjean, a nie on, jest moim ojcem.

A potem, rok temu, nadeszła pierwsza wiadomość, że w Les Sañants nie najlepiej się dzieje. Na początek zdawkowa wzmianka - nie widział Grosjeana od pewnego czasu a potem cię dalszy. Ekscentryczność mojego ojca, dająca się łatwo zauważyć już w latach męgo dzieciństwa, objawiała się coraz wyraźniej. Kręły pogłoski, i zapadł na poważną chorobę, choć odmówił póćia do lekarza. Brismand martwił się o niego.

Nie odpisałam na te listy. Całą moją uwagę pochłaniała wówczas matka. Rozedma płuc, którą pogłbiło zatrute miejskie powietrze, coraz bardziej jej dokuczała, a lekarz usiłował ją nakłonić do zmiany klimatu. Doradzał nadmorskie okolice, gdzie powietrze byłoby zdrowsze. Ale matka nie chciała o tym słyszeć. Uwielbiała Pary. Przepadała za sklepami, kinami, kafejkami. O dziwo, nie zazdrościła bogatym kobietom, u których sprzątała, czerpiąc zaspę przyjemności z ich strojów, mebli, ich życia. Wyczuwałam, że czego takiego pragnie dla mnie.

Listy od Brismanda nadchodziły nieprzerwanie. Cięgle się martwił. Napisał do Adrienne, lecz nie otrzymał odpowiedzi. To akurat rozumiałam: gdy matka znalazła się w szpitalu, zadzwoniłam do siostry i dowiedziałam się od Marina, że Adrienne spodziewa się następnego dziecka i nie może podróżować. Matka zmarła cztery dni później, a zapłakana Adrienne poinformowała mnie przez telefon, że lekarz zabronił jej wszelkich wysiłków. Po dwóch synach rozpaczliwie pragnęła córki i czuła, że matka by ją zrozumiała.

Piłam kawę bardzo powoli. Brismand czekał cierpliwie, obejmując mnie potnym ramieniem.

- Wiem, Mado. Nie jest ci lekko.

Otarłam oczy.

- Mogłam się tego spodziewać.

- Trzeba było przyjść do mnie. - Rozejrzył się; z pewnością zauważył brudną podłogę, spierzone talerze, nieotwarte listy, atmosferę zaniedbania.

- Chciałam się sama przekonać.

- Rozumiem - kiwn łą głow Brismand. - To twój ojciec. Rodzina jest wszystkim.

Wstał nagle, wypełniając sob ą całą kuchnię i wsun łą r ęce w kieszenie.

- Miałem syna, jak wiesz. Moja ą ona wywiozła go st ąd, zaledwie sko ńczył trzy miesi ęce.

Czekałem trzydzie ci lat z nadzieją , niemal z pewno ci ą , e kiedy wróci.

Przytakn ąłam ruchem głowy. Słyszałam wcze niej t ę histori ę . Mieszka cy Les Salants uwa ą ali, oczywi ęcie, e to Brismand jest winien.

Pokr cił głow , nagle postarzały, odrzucając teatralne gesty.

- Głupota, nie s dzisz? Te nasze złudzenia. Te haczyki, które zarzucamy na siebie nawzajem. - Spojrzał na mnie. Grosjean ci ę kocha, Mado. Na swój sposób.

Pomy ąłam o urodzinowej fotografii i o r ęce ojca spoczywaj ącej na ramieniu Adrienne. Brismand uj łął moj ą dłoń .

- Nie chc ę wywiera ą na ciebie ądnego nacisku - powiedział ąłagodnie.

- Wiem. W porz ędku.

- To miłe miejsce, Mado. „Les Immortelles”. Szpitalne wyposa ąenie, lekarz z kontynentu, du ąe pokoje, no i mógłby si ę widywa ą ze znajomymi, kiedy by tylko zechciał. Ja bym to załatwił.

Zawahałam si ę . Siostra Therese z siostr ą Extase zd ąły mi opowiedzie ą o długofalowym planie Brismanda, dotycz ącym mieszka ą. Wydawał si ę kosztowny, i przytoczyłam t ę opini ę . Brismand potrz ąsn ął lekcewa ąco głow .

- Zajm ą si ę tym. Pieni ądze ze sprzeda ąy gruntów pokryj ą wszystkie jego wydatki. Mo ąe nawet co zostanie. Wiem, co czujesz, Mado. Ale kto musi wykaza ą si ę zdrowym rozs ądkiem.

Obiecałam, e przemy ąl spraw ą. Ju ą wcze niej Brismand napomykał o tym w listach, cho ą nigdy tak otwarcie, jak teraz. Propozycja wydawała si ę korzystna; w przeciwie ąstwie do matki Grosjean nie wierzył w ubezpieczenie zdrowotne, ja za ą nie mogłam sobie pozwoli ą na dokładanie jego finansowych trosk do moich. Potrzebował opieki, to było oczywiste. A na mnie czekało w Pary ą u ąycie, do którego mogłam - powinnam - wróci ą. O czymkolwiek wcze niej marzyłam, rzeczywiście ą Les Salants okazała si ę ponura. Zbyt wiele si ę tu zmieniło.

10

Wychodz ąc z domu, spotkałam Alaina Guenole i jego syna Ghislaina, zbli ąj ących si ę od strony wioski. Obydwaj dyszeli ci ęko, a pod wyspiarsk ą rezerw ą wyczuwało si ę poruszenie. Byli bardzo do siebie podobni, mieli typowe dla wyspiarzy ostre rysy, ale podczas gdy jego

ojciec nosił tradycyjną płócienną vareuse, Ghislain miał na sobie jadowicie żółtą koszulkę z krótkimi rękawami, która przylegała do niego niczym neon na tle jego smagłej skóry. Na mój widok wyszczerzył zębami w uśmiechu i przyśpieszył kroku, wbiegając niepewnie po zboczu wielkiej wydmy.

- Madame Grosjean - wysapał i urwał, by nabrać tchu. - Chcemy położyć przyczepę od cięgnika. To pilne.

Przez chwilę byłam przekonana, że mnie nie poznał. Ghislain Guenole, dwa lata starszy ode mnie, z którym bawiłam się w dzieciństwie. Czy naprawdę nazwał mnie „madam Grosjean”?

Alain skinął mi głową na powitanie. On również był zaniepokojony, lecz najwyraźniej nie uznawał żadnej sprawy za dostatecznie pilną, by skłoniło go to do biegu.

- Chodzi o „Eleanore”! - zawołał zza wydmy. - Widziano ją w La Houssiniere, tu koło Les Immortelles. Idziemy po nią, ale potrzebna jest nam przyczepa. Czy twój ojciec jest w domu?

Pokręciłam głową.

- Nie wiem, gdzie jest.

Na twarzy Ghislaina odbiła się troska.

- Nie możemy czekać - powiedział. - Musimy ją wziąć natychmiast. Może pani... jeżeli pani powie, do czego była potrzebna...

- Oczywiście, możemy ją wziąć - szybko podjął decyzję. - Pójdź z nami.

Alain, który podszedł do nas, spojrzał na mnie z powściągliwością.

- Nie sądzę...

- Mój ojciec zbudował ten łódź - oznajmiłam stanowczo. - Przed laty, jeszcze zanim się urodziłam. Nigdy by mi nie wybaczył, gdybym wam nie pomogła. Wiecie, jak ją lubi.

Grosjean ją lubił, nawet więcej niż ją; tyle pamiętałam. „Eleanore” była pierwszą z jego „dam”, lecz chyba najdroższą jego sercu. Myślałam, że mogłaby zaginąć bez śladu, napełniła mnie przerażeniem.

Alain wzruszył ramionami. Łódź stanowiła dla niego źródło utrzymania, nie więcej. Tam gdzie wchodziły pieniądze, nie było miejsca na sentymenty. Gdy Ghislain pobiegł po traktor, uwiadomiłam sobie, że czuję ulgę, jakby ten kryzys był swego rodzaju odroczeniem.

- Na pewno chce się pani fatygować? - spytał Alain, kiedy jego syn mocował przyczepę do starego cięgnika. - Trudno to nazwać rozrywką.

Ubole mnie zawarta w jego słowach niedbała sugestia.

- Chcę pomóc.

- Skoro pani sobie życzy.

„Eleanore” osiadła na skałach około pięćset metrów od La Houssiniere. Zaklinował ją w miejscu wzbierający przytyw i choć morze nie podniosło się jeszcze wysoko, porywisty wiatr przy każdej fali popychał uszkodzony kadłub dalej na skały. Niewielka grupka salanian, w tym Aristide, jego wnuk Xavier, Matthias, Capucine i Lolo, przyglądała się z wybrzeża. Przebiegłam uważnym spojrzeniem po twarzach, lecz nie dostrzegłam wśród nich ojca. Zobaczyłam za to Flynnę w rybackich gumiakach i golfie, z workiem przerzuconym przez ramię. Wkrótce przyłączył się do nich kolega Lola, Damien; widząc go obok Alaina i Ghislaina, zauważyłam od razu, że ma rysy Guenole.

- Odsuś się, Damien - polecił Alain zbliżyć się chłopakowi. - Nie chcę, żeby płasko się pod nogami.

Damien posłał mu ponure spojrzenie i usiadł na kamieniu. Gdy po chwili popatrzyłam w tamtą stronę, zobaczyłam, że pali papierosa, wyzywając odwrócony plecami. Alain, z oczyma utkwionymi w „Eleanore”, zdawał się tego nie dostrzegać.

Usiadłam obok Damiena. Przez pewien czas mnie ignorował. Potem ciekawo zwróciła się i odwrócił się twarzą do mnie.

- Słyszałem, że mieszka pani w Paryżu - odezwał się półgłosem. - Jaki on jest?

- Taki jak inne miasta - odparłam. - Duży, hałaśliwy, zatłoczony.

Przez chwilę miał przygnębioną minę, ale zaraz się rozpogodził.

- Europejskie miasta, być może. Amerykańskie miasta są inne. Mój brat dostał amerykańską koszulkę. Ma ją teraz na sobie.

Uśmiechnęłam się, odwracając oczy od wieczego torsu Ghislaina.

- W Ameryce jedz tylko hamburgery - powiedział Alain, nie odrywając oczu od „Eleanore” - i wszystkie dziewczyny są grube.

Na twarzy chłopaka odmalowało się oburzenie.

- Skąd wiesz? Nigdy tam nie byłam.

- Ty też nie.

Z pobliskiego mola, chroniącego zatoczek, uszkodzony łódź obserwowała również grupa

houssinian. Jojo-le-Goeland, stary houssinianin o marynarskim obejściu i lubie nym oku, pozdrowił nas machnięciem ręki.

- Przyszliście popatrzeć? - Uśmiechnął się szeroko.

- Z drogi, Jojo - warknął Alain. - Może nie mają tu robot do zrobienia.

Jojo parsknął śmiechem.

- Nie leście się napracujecie, próbujcie się dostać do niej - zauważył. - Idzie przytłumiony i wieje wiatr od morza. Wcale bym się nie dziwił, gdybyście napytali sobie biedy.

- Nie słuchajcie go - doradziła Capucine. - Gada tak, odkąd tu stoimy.

Jojo zrobił złośliwą minę.

- Mogłbym ja wam odholować na plażę - zaproponował. - Z pomocą mojej „Marie Joseph”. Łatwiej będzie podjechać traktorem po piasku. A potem ja załaduję.

- Ile? - zapytał podejrzliwie Alain.

- No cóż, jest łódź. Robota. Kwestia dostępu... Powiedzmy, tysiąc.

- Dostęp? - Alain był rozdrażniony. - Dokąd?

Jojo uśmiechnął się drwiłco.

- Do Les Immortelles, ma się rozumieć. Do prywatnej plaży. Polecenie pana Brismanda.

- Prywatna plaża! - Alain zerknął na „Eleanore” i zmarszczył brwi. - Od kiedy?

Jojo pieczołowicie zapalił niedopałek gitany.

- Wyłecznie dla gości hotelowych - dodał. - Nie chce, żeby mu tam mieściła się hałastrą.

Było to kłamstwo, o czym kiedyś wiedział. Widziałam, że Alain rozważa a może liwo popychania „Eleanore” gołymi rękami. Spiorunowałam Jojo spojrzeniem.

- Znam pana Brismanda - poinformowałam go - i nie sądzę, żeby zechciał pobierać opłat za dostęp do tej plaży.

Jojo uśmiechnął się szyderczo.

- To może idźcie go zapytajcie - zaproponował. - Zobaczymy, co ci odpowie. Nie musisz się spieszyć, „Eleanore” nigdzie nie odpłynie.

Alain ponownie spojrzał na łódź.

- Uda nam się to zrobić? - spytał Ghislaina.

Ghislain wzruszył ramionami.

- Uda się, Rouget?

Flynn, który w trakcie poprzedniej wymiany zdań poszedł ze swoim workiem w stronę

mola i zniknął nam z oczu, teraz się pojawił, już bez worka, przyjrzał się łodzi i pokręcił głową.

- Chyba nie - odparł. - Nie bez pomocy „Marie Joseph”. Lepiej zróbcie, co on mówi, zanim woda jeszcze bardziej się podniesie.

„Eleanore” była typowo wyspiarską, ciemną łodzią do połowu ostryg, o płytkim kilu, ułatwiającym dotarcie do ławic, i dnie powleczonym ołowiem. Przy fali pływowej napierającej od tyłu ciężkie jej ze skał mogło wkrótce okazać się niewykonalne. Oczekiwanie na sprzyjający prąd - dziesięć godzin albo dłużej - oznaczało wyłącznie dalsze uszkodzenia. Jojo uśmiechnął się szerzej.

- Uwaga, może nam się uda - powiedziałam. Trzeba obrócić dziób na wiatr. Na płytkiej wodzie białki mogliśmy przyczepić.

Alain popatrzył na mnie, a potem na pozostałych salanian. Widziałam, że ocenia nasz wytrzymałość, oblicza, ilu rekinów potrzeba do przeprowadzenia akcji. Obejrzałam się z nadzieją, że wypatrzy gdzieś Grosjeana, ale go nie było.

- Wchodź w to - rzuciła Capucine.

- Ja też - zawtórował Damien.

Alain zmarszczył brwi.

- Wy, chłopcy, trzymajcie się z boku - polecił. - Nie chcę, żeby coś wam się stało.

Ponownie zerknął na mnie, a następnie na innych. Matthias był za stary, by wziąć udział w niebezpiecznym przedsięwzięciu, ale z Flynnem, Ghislainem, Capucine i ze mną mogło nam się powieść. Aristide wzdurliwie trzymał się na dystans, choć w oczach Xaviera dostrzegłam tęskny wyraz.

Jojo czekał, wciąż uśmiechnięty.

- No i co powiesz?

Starego eglarza najwyraźniej bawiło, że Alain liczy się z moją opinią. Tanie jak babska gadanina. Tak brzmi jedno z wyspiarskich porzekadeł.

- Spróbuj - zachęcałam. - Co masz do stracenia?

Alain ciężko się wahał.

- Ona ma rację - wtręcił niecierpliwie Ghislain. - Co z tobą? Starzejesz się czy jak? Mado ma w sobie więcej bojowego ducha niż ty!

- Dobra - postanowił wreszcie Alain. - Podejmiemy próbę.

Złowiłam spojrzenie Flynn'a.

- Chyba zyskała wielbiciela. - Umiechnął się i zeskoczył lekko na mokry piasek.

Popatrzyłam na niego z dezaprobatą.

- A więc sprzedała swój zdobycz - zauważyłam.

- E, daj spokój - rzucił. - Nie mów mi, że na moim miejscu nie zrobiłaby tego samego.

- Oczywiście, że nie. To przywłaszczenie.

- Tak, jasne. - Miał zarażony liwy u siebie.

- Jasne - potwierdziłam stanowczo i ruszyliśmy w milczeniu po liskich skałach ku „Eleanore”.

Zapadał już wieczór, a przypływy osiągnęły trzy czwarte wysokości, gdy w końcu uznaliśmy, że pora kłócić, a tymczasem cena wzrosła o kolejny tysiąc franków. Byliśmy przemarznięci, zdrętwiali, wyczerpani. Flynn stracił animusz, a mnie „Eleanore” omal nie przygwoździła do skały w trakcie prób ruszenia jej z miejsca. Pod nieoczekiwanym naporem wezbranej fali dziób zwrócił się ostro w prawo, a kadłub łodzi uderzył mnie boleśnie w boki, odrzucił mnie na bok i spowijał moją twarz czarną płachtą wody. Poczulałam skałę za plecami i ogarnęła mnie panika, gdy przez chwilę byłam pewna, że zostanę przygnieciona, a może i gorzej. Lęk i ulga, że o włos uniknęłam nieszczęścia - wprawiły mnie w wojowniczy nastrój. Natarłam na Flyna, który stał tuż za mną.

- Miała przytrzymać dziób! Co się stało, do diabła?

Flynn upuścił liny zabezpieczające łódź. W przygasającym świetle jego twarz była zamazana plamami. Obrócił się do mnie bokiem i usłyszałam jego przekleństwo, bardzo płynne jak na cudzoziemca.

Z przeciwnym, zgrzytliwym dźwiękiem kadłub „Eleanore” raz jeszcze przemierzył skały, a potem znowu osiadł w poprzednim miejscu. Od strony mola dobiegły szydercze wiwaty houssinian.

Spospinały Alain zawołał nad wodę do Jojo:

- No dobra! Wygrała. Idź po „Marie Joseph”.

Popatrzyłam na niego, a on pokręcił głową.

- To na nic. Teraz już nie mamy rady. Lepiej mieć to wszystko za sobą.

Jojo umiechnął się od ucha do ucha. Przez cały czas przyglądał się akcji, między jeden niedopałek za drugim i nic nie mówiąc. Rozgoryczona, ruszyłam w stronę brzegu. Pozostali, w

przemoczonych ubraniach, brn li za mn . Najbli ej znalazł si Flynn, z opuszczon głow i dło mi wetkni tymi pod pachy.

- Prawie j mieli my - powiedziałam. - Mogło nam si uda . Gdyby my tylko unieruchomili przekl ty dziób.

Flynn wymamrotał co pod nosem.

- Co mówisz?

Westchn ł.

- Kiedy sko czysz si mnie czepia , mo e by zechciała przyprowdzi traktor. B dzie potrzebny w „Les Immortelles”.

- Nie przypuszczani, eby my ju teraz wybierali si dok dkolwiek.

- Nie wy ywaj si na mnie. O ile pami tam, mówiłem od pocz tku...

- O, tak. Naprawd dałe mi szans , no nie?

Rozczarowanie nadało mojemu głosowi szorstki ton. Alain zerkn ł na mnie przelotnie, a potem odwrócił oczy. Widziałam, e jest mu wstyd, i mnie posłuchał. Grupka gapiów z La Houssiniere zacz ła ironicznie klaska . Salanie mieli ponure miny. Aristide, który przygl dał si z mola, obrzucił mnie pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Xavier, towarzysz cy dziadkowi przez cały czas akcji ratunkowej, u miechn ł si z za enowaniem, błyskaj c okularami w drucianych oprawkach.

- Mam nadziej , e dla ciebie gra była warta wieczki odezwał si Aristide swoim ostrym głosem.

- Mogło si uda - powiedziałam.

- Bo kiedy ty zajmowała si udowadnianiem, e jeste równie twarda jak wszyscy inni, Guenole omal nie stracił łodzi.

- Przynajmniej si starałam - burkn łam z rozdra nieniem.

Stary wzruszył ramionami.

- Czemu mieliby my pomaga temu Guenole?

I opieraj c si mocno na lasce, pod ył mołem w stron wybrze a, a za nim kroczył w milczeniu Xavier.

Doholowanie „Eleanore” do pla y zaj ło dwie godziny, a wci gni cie jej z mokrego piasku na przyczep - nast pne półtorej. Do tej chwili przyplływ osi gn ł najwy szy poziom i

zaczęła zapadać zmrok. Jojo palił swoje niedopałki i wiał okruszki tytoniu, od czasu do czasu strzykając liną pod nogi. Ponieważ Alain nalegał, obserwowałam powolny przebieg akcji ratowniczej nad linią przyływu i czekałam, aż wróci mi uczucie w posiniaczonym ramieniu.

Wreszcie operacja dobiegła końca i nadeszła chwila wytchnienia. Flynn usiadł na suchym piasku, opierając się plecami o koło traktora. Capucine i Alain zapalili gitane'y. Z tego krańca wyspy wyraźnie było widać stały ląd, pod wietlony pomarańczowy łun. Co pewien czas balise - latarnia ostrzegawcza - wysyłała swój prosty, migotliwy sygnał. Zimne niebo miało fioletowy odcień i mleczne obrzeże, a w przewidywanych chmurach pokazały się pierwsze gwiazdy. Wiatr od morza przenikał przez moje mokre odziegi, przyprowadzając mnie o dreszcze. Dłonie Flynn'a krwawiły. Nawet w półmroku dało się dostrzec miejsca, gdzie mokre liny wierzchniły się w ciało. Trochę łowiąc, zaczęłam krzyczeć na niego. Zapomniałam, że nie ma rękawic.

Ghislain stanął obok mnie. Słyszałam jego oddech tuż nad karkiem.

- Dobrze się czujesz? Nie leżałaś, kiedy łódź ci walnęła.

- Czuję się świetnie.

- Jest ci zimno. Cała drżysz. Może przyniosę ...

- Daj mi spokój. Czuję się świetnie.

Zapewne nie powinnam była burczeć na niego. Chciał dobrze. Ale co pobrzmiwało w jego głosie - jakiś paskudnie opiekuńczy ton. Niektórzy mężczyźni nie mają w stosunku do mnie takich odruchów. Usłyszałam cichy, drwiący śmiech Flynn'a. O jego samopoczuciu, jak zauważyłam, nikt nie zapytał.

Byłam przekonana, że Grosjean w końcu się pojawi. Teraz, gdy zrobiło się tak późno, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie przyszedł. Musiała przecie dotrzeć do niego wieś o „Eleanore”. Ze zniechęceniem otarłam oczy.

Ghislain wciągnął mi się przyglądając nad swojego gitane'a. Jego jaskrawa koszulka połyskiwała słabo w półmroku.

- Na pewno nic ci nie jest?

Uśmiechnęłam się do niego blade.

- Przepraszam. Powinniśmy byli uratować „Eleanore”. Gdybyśmy tylko mieli więcej ludzi. - Potarłam ramiona dla rozgrzewki. - Wydaje mi się, że Xavier by nam pomógł, gdyby nie obecność Aristide'a. Widziałam, że ma ochotę.

Ghislain westchnął.

- Kiedy dobrze się dogadywaliśmy z Xavierem - powiedział. - Jasne, ale jest Bastonnetem. Ale wtedy to nie miało aż tak wielkiego znaczenia. Teraz jednak Aristide nie spuszcza go z oka i...

- Ten okropny staruch. O co mu chodzi?

- Myślę, że się boi - odparł Ghislain. - Został mu tylko Xavier. Chce, żeby nie opuszczał wyspy i oenił się z Mercedes Prossage.

- Mercedes? To ładna dziewczyna.

- Niebrzydka. - Było już zbyt ciemno, by to dostrzec, ale słysząc ton Ghislaina, nie miałam wątpliwości, że się rumieni.

Patrzyliśmy na mroczniejsze niebo. Podczas gdy Ghislain dopalał papierosa, Alain i Matthias oglądali szkody wyrządzone „Eleanore”. Okazały się poważniejsze, niż przypuszczaliśmy. Skały zerwały całe poszycie. Ster był w kawałkach i brakowało silnika. Czerwona kulka na szczycie, którą mój ojciec umieszczał na kładce swojej łodzi, zwisała ze szczytków masztu. Czułam się wyczerpana i chora, ruszając za naszymi transportujcymi łódź na drogę. Zauważyłam, że wzmocniono kamiennymi blokami stary falochron na drugim końcu plaży, tworząc szeroki grzebień, wysunięty w kierunku La Jetee.

- To chyba coś nowego, prawda? - spytałam.

Ghislain przytaknął.

- Roboty Brismanda. Przez ostatnie dwa lata przyływy dawały się we znaki. Wymywały piasek. Te kamienie trochę chroni plażę.

- Czego takiego wam potrzeba w Les Salants - zauważyłam, myśląc o spustoszeniach w La Goulue.

Jojo uśmiechnął się szeroko.

- Idź z tym do Brismanda. Na pewno będzie wiedział, co robić.

- Jakbyśmy zamierzali go pytać - mruknął Ghislain.

- Wy, salanie, jesteście bandą uparciuchów - zawyrokował Jojo. - Wolicie, żeby wszystko zabrało morze, niż mielibyście zapłacić godzinę sum za naprawy.

Alain popatrzył na niego. Jojo natychmiast uśmiechnął się jeszcze szerzej, odsłaniając piekielne zęby.

- Zawsze powtarzałem twojemu ojcu, że powinien się ubezpieczyć - zauważyłam. - Nie chciał mnie słuchać. - Zerknął na „Eleanore”. - Tak czy siak, czas już był pozbyć się tej krypy.

Kup sobie coś nowego. Nowoczesnego.

- To przyzwoita łódź - odparł Alain, nie chwytajcie przynajmniej. - Stare łodzie są praktycznie niezniszczalne. Nie jest tak łatwe, jak się wydaje. Trzeba ją załatwić, dać nowy silnik...

Jojo ze śmiechem pokręcił głową.

- Całkiem po salania skąd - powiedział. - Kapuściana głowa. Pewnie, załatw ją. Będzie ci to kosztowało dziesięć razy więcej, niż jest warta. I co wtedy? Chcesz wiedzieć, ile wyciągam w sezonie za same przejażdżki?

Ghislain rzucił mu kosię spojrzenie.

- Sam mogłem zabrać ten silnik - oznajmił zaczepnie, żeby go sprzedać na wybrzeżu. Ci głębiej czym handlujesz. Nikt ci nie zadaje pytań.

Jojo wyszczerzył zęby.

- Widzisz, Guenole, nadal umiecie obracać się z tyłu - zauważył. - Twój dziadek był taki sam. Powiedz mi, co wynikło z tego procesu przeciw Bastonnetom? Ile na nim zarobiłeś, huh? A ile ci kosztował, jak myślisz? A twojego ojca? I brata?

Ghislain, speszony, spuścił oczy. Wszyscy dobrze wiedzą w Les Salants, że sprawa sadowa między Guenole a Bastonnetami ciągnęła się dwadzieścia lat i zrujnowała obie strony. Jej przyczyna - niemal zapomniany zatarg o ławice ostryg na La Jetee - stała się kwestią akademicką na długo przed końcem procesu, gdy przemieszczające się piaszczyste ławy pochłonęły sporny teren, lecz wzajemna wrogość nie wygasła, przechodząc z pokolenia na pokolenie, jakby miała zrekompensować zmarnotrawione dziedzictwo.

- Wasz silnik pewnie zmyło do zatoki - podjął Jojo, wykonując niedbały gest w stronę La Jetee. - Albo to, albo znajdziecie go w La Goulue, jeżeli będziecie kopać wystarczająco głęboko. - Wypłuł na piasek grudek mokrego tytoniu. - Słyszałem, że zeszłej nocy zgubiliście wiązki. Gapy z was, co?

Alain z wysiłkiem zachował spokój.

- Łatwo ci się miało, Jojo - odparł. - Ale, jak powiadają, fortuna kołem się toczy, nawet tutaj. Gdybyście nie mieli tej plaży...

Matthias kiwnął głową.

- Racja - wtrącił burkliwie. Mówił z takim silnym wyspiarskim akcentem, że z trudem rozumiałam jego słowa. - Dzięki tej plaży dobrze wam się wiedzie. Nie zapominaj o tym. Mogła należeć do nas.

Jojo zaniósł się chrapliwym rechotem.

- Do was! - zakpił. - Gdyby należała do was, zmarnowałiby cię już dawno temu, tak jak wszystko inne.

Matthias postąpił krok naprzód, jego starcze dłonie drżały. Alain ostrzegawczo położył ojcu dłoń na ramieniu.

- Do tego. Jestem zmęczony. A jutro czeka nas robota.

Co jednak zapadło mi w pamięć. Co zwiędzanego z La Goulue, pomyślałam, z La Bouche i zapachem dzikiego czosnku na wydmach. Mogła należeć do nas. Próbowałam to zidentyfikować, ale byłam zbyt zmęczona i wyczerpana, by jasno myśleć. I Alain miał słuszną rację; to nic nie zmieniało. Nadal rano czekała mnie robota.

11

Po powrocie do domu zastałam ojca w łóżku. Doznałam pewnej ulgi; nie czułam się na siłach podejmować dyskusji, która mogła - wedle wszelkich oznak - nabrać uszczypliwego charakteru. Położyłam mokre ubranie koło kominka, żeby przeschło, wypijałam szklankę wody i poszłam do swojego pokoju. Gasząc nocną lampkę, dostrzegłam przy łóżku stoik z polnymi kwiatami - dzikimi goździkami, niebieskim ostem i trawami o pierzastych kłoskach. Był to osobiście wzruszający gest ze strony mego niezbyt wylewnego ojca i leżałam przez jakiś czas bezsenne, próbowałam zrozumieć jego znaczenie, a wreszcie zmorzył mnie sen i za chwilę już nadszedł ranek.

Gdy się obudziłam, Grosjeana nie było w domu. Zawsze lubił wstawać wcześnie; latem budził się o czwartej i wyruszał na długie nadmorskie spacerowanie. Ubrałam się, zjadłam śniadanie i poszłam za jego przykładem.

Około dziesiątej dotarłam do La Goulue, gdzie tłoczyli się już salanie. Przez chwilę nie mogłam zrozumieć dlaczego, ale zaraz przypomniałam sobie zaginioną Sainte-Marine, którą poprzedniego dnia na krótko usunęło w cień zniknięcie „Eleanore”. Tego ranka, gdy tylko woda opadła, wznowiono poszukiwania w tej, na razie bez rezultatu.

W poszukiwaniach uczestniczyła chyba połowa wioski. Wszyscy czterej Guenole przeczesywali mieliznę, a na pokrytym drobnymi kamykami odcinku poniżej cieki zebrała się grupka gapiów. Mój ojciec zszedł daleko poza linię przyływu; uzbrojony w długie drewniane grabie, z metodyczną powolnością wodził nimi po morskim dnie, przerywając od czasu do czasu,

by usunąć kamyk lub kępki wodorostów.

Z boku poniżej cię ki dostrzegłam Aristide'a i Xaviera, którzy obserwowali akcję, lecz nie brali w niej udziału. Nieco dalej Mercedes opalała się i czytała czasopismo, a Charlotte patrzyła z włąciw sobie zaniepokojoną miną. Zauważyłam, że Xavier omija wzrokiem większość ludzi, ale najwytrwalej unika Mercedes.

Twarz Aristide'a wyrażała ponurą uciesę, jakby dotarli do niego złe wieści, dotyczące innej osoby.

- Niestety, liwy trafił z tą „Eleanore”, ha? Alain mówi, że w La Houssiniere dają sześć ciu tysięcy franków za naprawy.

- Sześć ciu tysięcy? - To przekraczało wartość łodzi; Guenole z pewnością ci nie było stać na taki wydatek.

- Ha. - Aristide uśmiechnął się kwaśno. - Nawet Rouget powiada, że nie opłaca się jej naprawiać.

Spojrzałam ponad jego ramieniem w stronę horyzontu; biała smuga spomiędzy chmur rozświetlała odkryty mieliznami piaszczystym brzegiem. U wylotu przesmyku kilku rybaków rozpostarło sieci i mozolnie wybierało z nich wodorosty. Wciąż to „Eleanore” wybiegła na brzeg, gdzie spoczęła przechylona w mule, z wrzaskami sterzycami niczym ebra martwego wieloryba.

Za moimi plecami Mercedes wykwintnym ruchem obróciła się na bok.

- Z tego, co słyszałam - oznajmiła dźwięcznym głosem byłoby lepiej, gdyby ona pilnowała własnego nosa.

- Mercedes! - jęknęła jej matka. - Jak możesz tak mówić?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- To przecież prawda. Gdyby nie zmarnowali aż tyle czasu...

- Natychmiast przestań! - Charlotte odwróciła się do mnie, poruszona. - Przepraszam. Mam napięte nerwy.

Xavier sprawiał wrażenie zażenowanego.

- Pechowo się zdarzyło - powiedział do mnie półgłosem. To była dobra łódź.

- Owszem. Mój ojciec ją zbudował. - Spojrzałam ponad mieliznami do miejsca, w którym Gros Jean wciąż prowadził poszukiwania. Musiał się oddalić prawie o kilometr od brzegu; jego drobna, uparta postać niemal zniknęła w lekkiej mgiele. - Od jak dawna szukaj?

- Od jakichś dwóch godzin. Odkąd zaczął się odpływ. Xavier wzruszył ramionami, nie

patrz c mi w oczy. - Do tego czasu mogła si znaleźć nie wiadomo gdzie.

Guenole najwyra niej czuli si odpowiedzialni. Zagini cie ich „Eleanore” opó niło poszukiwania, a krzy uj ce si pr dy z La Jetee dokonały reszty. Zdaniem Alaina, Sainte-Marine legła gdzie na dnie zatoki i tylko cud mógł j sprowadzi z powrotem.

- La Bouche, „Eleanore” i jeszcze to - usłyszałam głos Aristide’a, wci wpatruj cego si we mnie z podejrzan uciech . - Powiedz no, mówiła ju ojcu o Brismandzie? Czy mo e to kolejna niespodzianka?

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem.

- O Brismandzie?

Stary wyszczerzył z by.

- Ciekawiło mnie, ile czasu upłynie, zanim zacznie w szy . Miejsce w „Les Immortelles” w zamian za ziemi ? Czy to ci zaproponował?

Xavier zerkn ł na mnie, pó niej na Mercedes i Charlotte. Obie słuchały uwa nie. Mercedes przestała udawa , e czyta, i wlepiła we mnie oczy znad czasopisma, z lekko otwartymi ustami.

Spokojnie wytrzymałam wzrok starego, nie chc c, by zmuszano mnie do kłamstwa.

- Je li mam do czynienia z Brismandem, jest to wył cznie moja sprawa. Nie b d o tym rozmawia .

Aristide wzruszył ramionami.

- Wi c miałem słuszno - orzekł z gorzk satysfakcj . Idziesz na r k houssinianom.

- Tu nie chodzi o salanian i houssinian - zaprzeczyłam.

- Sk d, chodzi o to, co jest najlepsze dla Grosjeana. Tak mówi , no nie? e to wszystko dla jego dobra?

Zawsze miałam porywczy charakter. Niełatwo było wprawi mnie w gniew, ale gdy ju buchn ł płomieniem, buzował mocno. Teraz czułam, jak we mnie wzbiera.

- A co ty o tym wiesz? - spytałam ostro. - Nikt nigdy nie wrócił, eby si tob zaopiekowa , o ile mi wiadomo.

Aristide zeszywniał.

- To nie ma nic do rzeczy - odparł.

Ja jednak nie mogłam si powstrzyma .

- Dogryzasz mi, odk d przyjechałam - podj łam. - Czego nie potrafisz poj , to tego, e

kocham mojego ojca. Ty nie kochasz nikogo!

Drgnęłam, jakbym go uderzyła, i w tym momencie zobaczyłam go takim, jaki naprawdę był: już nie złego trolla, tylko zmęczonego starego człowieka, zgorzkniałego i przestraszonego. Wezbrał we mnie nieoczekiwany smutek i współczucie dla niego - dla mnie samej. Wraciałam do domu pełna dobrych chęci, pomyślałam bezradnie. Co je tak szybko zabiło?

Lecz Aristide nie stracił rezonu; popatrzył na mnie z wyzwaniem w oczach, choć wiedział, że wygrałam.

- Dlaczego miałaby przyjechać? - spytał półgłosem. Ty czy ktokolwiek inny, dlaczego, jeśli nie dlatego, że czego chcecie?

- Wstyd się, Aristide, ty stary pleciugo. - To była Toinette, która cicho zeszła ze ścieżki i stanęła za nami. Brzegi quichenotte niemal całkowicie zasłaniały jej twarz, ale widziałam oczy, błyszczące, bystre jak u ptaka. - W twoim wieku słuchasz głupich plotek? Powinieneś być mądrzejszy.

Aristide odwrócił się, zaskoczony. Toinette miała, wedle własnej rachuby, prawie sto lat; on, mając siedemdziesiąt, był w porównaniu z nią młokosem. Dostrzegłam w jego twarzy niechętny szacunek, zmieszany z lekkim zawstydzeniem.

- Toinette, Brismand był u nich w domu...

- A niby dlaczego nie? - Staruszka postąpiła o krok naprzód. - Dziewczyna jest jego powinowata. Co, myślisz, że jej obchodzi twoje stare wanie? Czy to nie one rozsadzają Les Salants od pięćdziesięciu lat?

- Mimo to mówi...

- Lepiej nic nie mów. - Oczy Toinette błysnęły niczym fajerwerki. - A jeśli się dowiem, że dalej rozpuszczasz te wredne plotki, ha...

Aristide spochmurniał.

- Mieszkamy na wyspie, Toinette. Wie ci się rozchodzi. To nie będzie moja wina, jeśli dotrą do Grosjeana.

Toinette spojrzała w stronę mielizny, a potem na mnie. Na jej twarzy odbiła się troska i w tym momencie zrozumiałam, że jest za późno. Aristide zasiał swoje trucie ziarno. Zastanawiałam się, kto mu powiedział o wizycie Brismanda; w jaki sposób tak wiele odgadł.

- Nie martw się. Przemówi mu do rozumu. Posłucha mnie. - Toinette ujęła moje dłonie w obie swoje; były suche i brzozy jak drewno wyrzucone na brzeg. - Chodź - powiedziała

dziarsko, poci gaj c mnie za sob . - Na nic si tu nie przydasz. Chod ze mn do domu.

Dom był jednoizbow chat na drugim ko cu wioski. Był staromodny nawet według wyspiarskich norm: o kamiennych cianach i niskim dachu, krytym omszał dachówk i wspartym na poczerniałych od dymu krokwiach. Drzwi i okna miał male kie, niemal dzieci cych rozmiarów, a funkcj toalety pełniła rozchwierutana szopa z boku domu, za stert drewna. Zbli ywszy si , ujrzały my samotn koz skubi c traw , która wyrastała z dachu.

- A wi c wzi ła i zrobiła to jednak, h ? - przemówiła Toinette, popychaj c frontowe drzwi.

Musiałam pochyli głow , eby nie zawadzi o futryn .

- Nic nie zrobiłam.

Toinette zdj ła quichenotte i posłała mi surowe spojrzenie.

- Nie próbuj ze mn tej gierki, dziewczyno - fukn ła. Wiem wszystko o Brismandzie i jego intrygach. Mnie namawiał na to samo, rozumiesz: miejsce w „Les Immortelles” w zamian za mój dom. Obiecał nawet doda gratis usługi pogrzebowe. Usługi pogrzebowe! - Zniosła si chichotem. - Powiedziałam mu, e zamierzam y wiecznie! Obróciła si do mnie, powa niej c. - Znam go dobrze. Wycyganilby pantalony od zakonnicy, gdyby trafił mu si kupiec. I ma pewne plany w zwi zku z Les Salants. Plany, w których nie widzi miejsca dla nikogo z nas.

Słyszałam to ju wcze niej u Angela.

- Je li je ma, nie potrafi ich sobie wyobrazi - odparłam. - Był dla mnie miły, Toinette. Milszy ni wi kszo salanian.

- Aristide. - Staruszka zmarszczyła brwi. - Nie os dzaj go zbyt surowo, Mado.

- Dlaczego?

D gn ła mnie patykowatym palcem.

- Twój ojciec nie jest tu jedyny, który ucierpiał - oznajmiła szorstko. - Aristide stracił dwóch synów, jednego na morzu, drugiego przez własny upór. Dlatego zgorzkniał.

Jego starszy syn, Olivier, uton ł podczas połowu w 1972 roku. Młodszy, Philippe, sp dził nast pne dziesi lat w domu, który stał si pogr onym w ciszy mauzoleum Oliviera.

- Naturalnie zszedł na manowce. - Toinette pokr ciła głow . - Zwi zał si z dziewczyn z La Houssiniere. Mo esz sobie wyobrazi , co o tym my łał Aristide.

Dziewczyna miała szesna cie lat. Kiedy zorientowała si , e jest w ci y, Philippe wpadł

w panik i obydwójce uciekli na kontynent, zostawiając Aristide'a i Desiree, by stawili czoło rozgniewanym rodzicom. Po tym wydarzeniu w domu Bastonnetów zabroniono wymawiać imienia Philippe'a. Wdowa po Olivierze zmarła kilka lat później na zapalenie opon mózgowych, a jej jedyny syn, Xavier, znalazł się pod opieką dziadków.

- Xavier to w tej chwili ich jedyna nadzieja - wyjąknęła Toinette, wtórując wczesniejszym słowom Ghislaina. Dostaje wszystko, czego zapagnie. Wszystko, dopóki tu mieszka.

Pomyślałam o bladej, pozbawionej wyrazu twarzy Xaviera, o jego niespokojnych oczach za szklami okularów. Ghislain stwierdził, że gdyby Xavier się oenił, na pewno zostałby na wyspie. Toinette odgadła moje myśli.

- O tak, od dzieciństwa jest prawie zaręczony z Mercedes - potwierdziła. - Ale moja wnuczka to królewna sztuka. Ma własne poglądy.

Przypomniałam sobie Mercedes, jej chmurną twarz i szczególnie nutę w głosie Ghislaina, kiedy o niej mówił.

- Ona nigdy nie wyjdzie za biedaka - podjęła Toinette. - Z chwilą, gdy Guenole stracili swój łódź, ich chłopak stracił u niej szansę.

Zastanowiłam się nad jej słowami.

- Chcesz powiedzieć, że to Bastonnetowie zniszczyli „Eleanore”?

- Nic nie chcę powiedzieć. Nie rozsiewam plotek. Ale cokolwiek się stało, ty przede wszystkim nie powinnaś się w to mieszać.

Ponownie pomyślałam o ojcu.

- On kochał ten łódź - oświadczyłam nieustępliwie.

Toinette spojrzała na mnie.

- Ha, może i tak. Ale to na „Eleanore” P'titjean wypłynął w ostatni rejs, to „Eleanore” znaleziono dryfując tamtego dnia, gdy zaginął i przez cały ten czas, ilekroć twój ojciec na nią patrzył, widział zapewne swego brata, który go wzywa. Wierz mi, lepiej mu będzie bez niej. - Toinette uśmiechnęła się i ujęła moje ręce drobnymi palcami, suchymi i lekkimi jak opadłe liście.
- Nie martw się o ojca, Mado - dodała. - Wszystko będzie dobrze. Porozmawiam z nim.

12

Zjawiłam się w domu pół godziny później i odkryłam, że Grosjean był tu przede mną. Gdy tylko dostrzegłam uchylone drzwi, wiedziałam już, że coś jest nie w porządku. Z kuchni

napływała silna woń alkoholu, a kiedy weszłam, pod nogami zachrzyciły mi odłamki szkła z rozbitej butelki de Vinnoise.

Okazało się, że to tylko poczekalnia.

Wytłukł całe porcelanowe i szklane naczynia. Kałda filiżanka, talerz i butelka zostały rozbite. Półmiski Jean de Bretagne należał do mojej matki; serwis do herbaty; ustawione rzędkiem kieliszki do likieru w kredensie. Drzwi mojego pokoju były otwarte; pudła z ubraniami i książkami porozrzucane. Wazonik leżał rozdeptany obok łóżka, kwiatki wymieszane z rozkruszonym szkłem. W niesamowitej ciszy wciąż wibrowało echo jego w ciekłości.

Nie było to dla mnie czymś zupełnie nowym. Napady szału mojego ojca, niezbyt częste, lecz przerażające, kołysały się zawsze okresami oderwania od rzeczywistości, trwającymi całymi dniami, a nawet tygodniami. Matka mówiła, że najbardziej jej męczyła nie te okresy ciszy, długie fazy pustki, kiedy wydawał się nieobecny, jeżeli nie liczyć pewnych rytuałów - wizyt w La Bouche, pijatyk w barze Angela, samotnych spacerów nad morzem.

Usiadłam na łóżku, czując nagle słabość w kolanach. Co spowodowało ten wybuch? Utrata wiary? Utrata „Eleanore”? Co jeszcze innego?

Zastanowiłam się nad tym, co Toinette powiedziała mi o P'titjeanie i „Eleanore”. Nic o tym nie wiedziałam. Usiłowałam wyobrazić sobie, co ojciec czuł, gdy dowiedział się o łodzi. Smutek po stracie najstarszego dziecka swych ręk? Ulga, że P'titjean nareszcie spocznie w spokoju? Zaczęłam rozumieć, dlaczego nie poszedł na ratunek. Chciał, żeby zaginął; a ja w swojej głupocie próbowałam je odzyskać.

Podniosłam książki - jedną z tych, których nie wzięłam ze sobą do Paryża - i wygładziłam okładkę. Jak się zdawało, wyładował furii przede wszystkim na książkach; niektóre miały wyrwane strony, inne nosiły ślady podszew. Tylko ja jedna z nas wszystkich lubiłam książki; matka i Adrienne wołały czasopisma i telewizję. Nie mogłam oprzeć się myśli, że ten akt wandalizmu był wymierzony bezpośrednio we mnie.

Dopiero po kilku minutach przyszło mi do głowy sprawdzić pokój Adrienne. Pozostał, oczywiście, nietknięty. GrosJean chyba nawet do niego nie zajrzał. Wsunęłam rękę do kieszeni, w której miałam zdjęcie urodzinowe. Wciąż tam było. Adrienne uśmiechnęła się do mnie nad pustym miejscem, które niegdyś zajmowała; długie włosy przesłaniały jej twarz. Przypomniało mi się, jak to zawsze dostawała prezent na moje urodziny. Tamtego roku była nim sukienka widoczna na fotografii - biała, powiewna, z czerwonym haftem. Ja dostałam swój pierwszy

w dół. Podobała mi się, naturalnie, ale czasami się zastanawiałam, dlaczego mnie nikt nigdy nie kupił sukienki.

Długo leżałam na łóżku Adrienne z nozdrzami wypełnionymi wonią devinnoise i twarz zakrytą spłódnionym różowym kapciem. Kiedy w końcu wstałam, zobaczyłam swoje odbicie w lustrze nad drzwiami szafy. Błada, spuchnięte oczy, smutnie zwisające włosy. Przyjrzałam się dobrze. A potem wyszłam z domu, stając ostro nie w ród potłuczonego szkła. Cokolwiek dzieje się z Grosjeanem, powiedziałam sobie, cokolwiek dzieje się z Les Salants, nie ja miałam temu zaradzić. Dał mi to bardzo wyraźnie do zrozumienia. Tu kończy się zakres mojej odpowiedzialności.

Wyruszyłam do La Houssiniere z ulgą, do której sama przed sobą nie chciałam się przyznać. Próbowałam, powtarzałam w duchu. Naprawdę próbowałam. Gdybym tylko znalazła w kim oparcie... ale milczenie ojca, nieskrywana wrogość Aristide'a, a nawet budząca w tobie cięczywo Toinette dowodziły, że jestem sama. Również Capucine, gdyby odkryła moje zamiary, stanęłaby najprawdopodobniej po stronie mego ojca. Zawsze darzyła Grosjeana sympatią. Nie, Brismand miał rację. Kto musiał wykazać się rozsądkiem. A salanie, trzymaj się kurczowo swego zabobonu i dawnych zwyczajów, mimo iż może co roku kogo zabierało, nie potrafili tego zrozumieć. Pozostawał jedynie Brismand. Skoro ja nie byłam w stanie przemówić Grosjeanowi do rozumu, może uda się to lekarzom Brismanda.

Pomaszerowałam w stronę Les Immortelles długą, okrąglą drogą, mijając La Bouche, gdzie zaczynał wzbierać przypływ, a z oddali dobiegał biały szum. Za La Bouche fale obmywały najwyższy cypel wyspy z obu stron naraz. Pewnego dnia morze połknie przewieśnięcie dwóch człeczek Le Devin, na zawsze odcinając Les Salants od La Houssiniere. Dla salanian, pomiędzy nimi, będzie to oznaczało koniec.

Pogrążona w zadumie, omal nie przeoczyłam Damiena Guenole, który siedział nieruchomo, oparty o skałę i palił papierosa. Miał na sobie skórzany kurtkę zapiętą pod szyją i rybkie gumki. Obok leżała jego torba i wódka.

- Przepraszam - powiedział, gdy drgnęłam nerwowo. Nie chciałem cię przestraszyć.

- Nie szkodzi. Po prostu zaskoczyła mnie twoja obecność.

- Podoba mi się tutaj - wyjął Damien. - Jest cicho. Nikt mnie nie zaczepia. - Jego oczy, gdy spojrzał na morze, miały podobnie jak ono zielonkawą odcień. - Lubię się obserwować

przytłum. Zbliła się jak maszerująca armia. - Zaciął się głębią boku, osłaniając papierosa przed wiatrem stuloną dłoń. Nie patrzył na mnie, lecz poza mnie, na obrzeżone białą falbanką brzegi La Jette i szare przestrzeże za nimi, ciągnące się aż po kontynent. Wyraz jego twarzy był zagadkowy: dziecinny, a jednocześnie nie zaskakujący co do twardości. Jeszcze trochę i będzie po nas, no nie? - zauważył półgłosem. - Les Salants przypadnie. I bardzo dobrze. - Uniósł papierosa, ukazując na chwilę różnioną twarz. - Ci Houssinianie wpadli na dobry pomysł - rzekł dobitnie. - Zalać to betonem i zacząć od nowa. Osobiście cię nie mogę się doczekać.

W połowie drogi do Les Immortelles spotkałam Flynna, nadchodzącego z przeciwnej strony. Nie spodziewałam się, że natrafię tu na kogoś - nadbrzeżna cieka była w słońcu i rzadko uczyszczana - on jednak nie okazał zdziwienia na mój widok. W jego zachowaniu zaszła pewna zmiana: pogodnie i bez trosk zastąpiła powściągliwość, oczy niemal straciły blask. Zadałam sobie pytanie, czy przyczyna tkwi w tym, co się zdarzyło poprzedniego wieczoru z „Eleanore”, i poczułam obręczającą mi serce.

- A gdzie cię nikt nie znalazł? - Mój owiony głos nawet dla mnie brzmiał fałszywie.

- Idziesz do La Houssiniere.

Choć nie było to pytanie, wiedziałam, że Flynn oczekuje odpowiedzi.

- Spotkała się z Brismandem - dodał tym samym, beznamiętnym tonem.

- Zdaje się, że wszystkich bardzo interesują moje posunięcia - zauważyłam.

- Nie bez powodu.

- Co masz na myśli? - Usłyszałam we własnym głosie ostrą nutę.

- Nic. - Przesunął się lekko w bok, robiąc mi miejsce i najwyraźniej zamierzając ruszyć w swoją stronę; jego oczy powdrowały już gdzieś indziej.

Nagle zatrzymanie go wydało mi się bardzo ważne. Przynajmniej on powinien zrozumieć mój punkt widzenia.

- Proszę... Jesteś jego przyjacielem - zaczęłam. Wiedziałam, że domyśli się, o kim mówię.

Przystanął na chwilę.

- Wiem?

- Wiem, może zechcesz z nim porozmawiać. Jako go przekonać.

- Co? - spytał. - Przekona go, żeby opuścił dom?

- Potrzebuje specjalistycznej opieki. Musz mu to wytłumaczy . Kto powinien przej odpowiedzialno . - Pomy lałam o domu, o potłuczonym szkle, podartych ksi kach. - Mo e sobie zrobi krzywd - doko czyłam.

Flynn spojrzal na mnie, a jego oczy miały tak srogi wyraz, e a si spłoszyłam.

- Brzmi to rozs dnie - powiedzial cicho. - Ale obydwaje wiemy lepiej, nieprawda ? - U miechn ł si nieprzyjemnie. - Chodzi o ciebie. Cale to gadanie o odpowiedzialno ci sprowadza si do jednego. Do tego, co tobie odpowiada.

Usiłowalam mu powiedzie , e to nie tak. Ale słowa, które wydawały si zupełnie naturalne w ustach Brismanda, w moich brzmiały sztucznie i nieprzekonuj co. Czułam, e Flynn odbiera je w ten sposób: uwa a, e robi to dla siebie, dla własnego bezpiecze stwa, a nawet w ramach zemsty na Grosjeanie za wszystkie lata milczenia. To nie tak, próbowałam powiedzie . Na pewno nie tak.

Flynn jednak nie okazał zainteresowania. Wzruszenie ramion, kiwni cie głow - i oddalił si szybkim, cichym krokiem kłusownika, ja za spogl dałam za nim z narastaj cym gniewem i oszołomieniem. Kim on wła ciwie jest, do diabła? I jakim prawem mnie os dza?

Dotarłszy do Les Immortelles, zdałam sobie spraw , e mój gniew, zamiast opa , wzmógł si jeszcze. Nie czułam si na siłach rozmawia z Brismandem - w obawie, e pierwsze yczliwe słowo mogłoby doprowadzi mnie do łez, które powstrzymywałam od dnia przyjazdu. Dlatego snułam si w okolicach mola, słuchaj c cichego pluskania fal i obserwuj c łódki spacerowe, egluj ce po zatoce. Pora była zbyt wczesna dla turystów; zaledwie kilka osób le ało na pla y poni ej promenady, gdzie wie o pomalowane budki przycupn ły rz dem na białym piasku.

W pewnej chwili zauwa yłam, e z drugiej strony drogi przygl da mi si jaki młody m czyzna, siedz cy na krzykliwym japo skim motocyklu. Długie włosy, wpadaj ce w oczy, papieros trzymany niedbale mi dzy palcami, obciste d insy, skórzana kurtka i ci kie buty. Nie od razu go poznałam. Joel Lacroix, przystojny i rozpuszczony syn jedyne go na wyspie policjanta. Zostawił motocykl przy kraw niku i podszedł do mnie, przecinaj c drog .

- Nie jeste st d, prawda? - zagadn ł i zaci gn ł si dymem.

Najwyra niej nie pami tał, kim jestem. Wła ciwie dlaczego miałby pami ta ? Ostatni raz odezwałam si do niego, kiedy jeszcze chodzili my do szkoły, a poza tym był o par lat starszy.

Uśmiechnął się, taksując mnie pełnym uznania wzrokiem. - Jeśli chcesz, mógłbym ci pokazać okolicę - zaproponował. - Wszystko, co tu warte obejrzenia. Choć nie jest tego dużo.

- Dzięki, może innym razem.

Joel pstryknął papierosem na drogę.

- Gdzie się zatrzymała, huh? W „Les Immortelles”? A może masz tu krewnych?

Z jakiego powodu - niewykluczone, może przez to jego badawcze spojrzenie - nie miałam ochoty ujawniać swojej tożsamości. Skinęłam głową.

- Mieszkam w Les Salants.

- No to pewnie lubisz prymitywne warunki. Tam, po zachodniej stronie, w ród kóz i słonych bagnisk? Połowa tamtejszych ma po sześć palców u każdej ręki, wiesz. Bliższym spokrewnieni. - Przewrócił oczyma, a potem przyjrzał mi się uważnie, z błyskiem spójrzenia rozpoznania. - Przecież ja cię znam - powiedział po pauzie. - Nazywałeś się Prasteau. Monique... Marie...

- Mado - poprawiłam.

- Słyszałem, że wróciłaś. Nie poznałem cię.

- To rozumiałe. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

Joel z zamyśleniem odrzucił włosy.

- A więc wróciłaś do Les Salants? Ludzie są dziwni. Moja obojętność ostudziła jego zainteresowanie. Zapalił następnego papierosa srebrnym zapalniczką harley-davidson, niemal dorównując rozmiarami paczce gitane'ów. Dla mnie nie ma jak miasto. Pewnego dnia po prostu wsiadł na motor i przysnął. Dokądkolwiek, byle tu nie siedział. Nie był przez resztę życia objadany po Le Devin. Schował zapalniczkę do kieszeni i niespiesznie ruszył w stronę czekającej hondy, zostawiając mnie obok plażowych budek.

Już wcześniej zdjęłam buty i teraz czułam, że piasek pod moimi stopami zrobił się ciepły. Po raz kolejny zdałam sobie sprawę z jego grubości. W jednym miejscu nadal widać było ląd traktora. Przypomniało mi się, jak buksowały w nim koła przyczepy, kiedy z mozołem wypychali my okaleczoną „Eleanore” na drogę; jak uległa pod naszym wspólnym naporem; i jeszcze zapach dzikiego czosnku na wydmach...

Przystanęłam. Ten zapach. Wtedy też o nim myślałam. W jaki sposób kojarzyłam go z Flynnem, a także z czymś, co powiedział Matthias Guenole, któremu rękę trzęsły się z gniewu po jednej z uwag Jojo-le-Goelanda - z czymś, co dotyczyło plaży.

O, właśnie. „Mogła należeć do nas”.

Dlaczego? Fortuna kołem się toczy, powiedział. Ale dlaczego wspomniał o plaży? Ci glemie to umykało; i pachniało tymiankiem, dzikim czosnkiem, słonym powietrzem znad wydm. Nieważne, to nie miało znaczenia. Dotarłam a nad wodę, przybierając teraz, lecz bez po piechu, ciekając po piasku łagodnymi strumyczkami, przeszczać się z zagłębieniem pod kamieniami. Na lewo, niedaleko mola, widziałam groblę wieńcową wzmocnioną kamiennymi blokami, dzięki czemu powstał szeroki falochron, rozciągający się na odległość stu metrów. Wspinając się na niego dwójka dzieci; w czystym powietrzu rozbrzmiewały ich pokrzykiwania, przypominające do złudzenia głosy mew. Próbowałam sobie wyobrazić, czym byłaby taka plaża dla Les Salants, ilu przyciągnęłyby turystów, jak to miejsce mogłoby być tymczasem. Dzięki tej plaży dobrze wam się wiedzie, powiedział Matthias. Cwany Brismand zasłużył na swój przydomek.

Kamienie tworzące falochron były jeszcze gładkie, nie osiadły na nich wodorosty ani porosty. Od mojej strony wznosiły się na wysokość mniej więcej dwóch metrów; druga strona była znacznie niższa. Spięzany tam piasek, naniesiony przez prąd. Słyszałam rozbawione dzieci, które rzucały w siebie garściami wodorostów, piszcząc z podniecenia. Obejrzałam się na plażowe budki. Jedyna ocalała budka w La Goulue ulokowana była wysoko nad ziemią; pamiętałam jej długie owadzie nogi, wczepione w skałę. Budki w Les Immortelles tuliły się do ziemi, tak i z trudem dałoby się podnieść.

Przybyło tu trochę piasku, pomyślałam.

I nagle do mnie dotarło; zapach dzikiego czosnku stał się mocniejszy i usłyszałam Flynnę mówić cicho mi, że Toinette pamięta „przystań, plażę i tak dalej” w La Goulue. Patrzyłam wtedy na budki i zastanawiałam się, gdzie się podział cały piasek.

Dzieci wciąż cisnęły wodorostami. Po drugiej stronie falochronu nazbierało się ich sporo; wprawdzie nie aż tyle, ile niegdyś w La Goulue, ale w Les Immortelles ktoś zapewne codziennie je usuwał. Podeszłam bliżej i dostrzegłam w ród brzozy i zieleni ciemnoczerwone łatki - ten kolor coś mi przypominał. Odsunęłam nogi warstw przesłaniających go wodorostów.

I wtedy rozpoznałam, co to takiego. Przypląwł obszedł się z nią brutalnie, jedwab był poszarpany, haft wystrzępiony, a całość oblepiona mokrym piaskiem. Ale nie mogłam jej pomylić z niczym innym. Od wież szata Sainte-Marine, która przepadła podczas uroczystości i której fale wyrzuciły nie u brzegów Łąkomczuchy, jak się tego spodziewaliśmy, lecz tutaj, w Les

Immortelles, miejscu przynoszący szczęście La Houssiniere. Przyniósł ją tu przyływ.

Przyływ.

Uwiedomiłam sobie nagle, że dygoczę, choć nie z zimna. O wszystkie nasze nieszczęścia obwinialiśmy południowy wiatr, a tymczasem to przyływy uległy zmianie; przyływy, które niegdyś nagały ławice ryb do La Goulue, a teraz ograbiały ją ze wszystkiego; przyływy wdzierają się przesmykiem do wioski, choć dawniej chronił nas przed nimi Point Griznoz.

Długo stałam wpatrzona w strzypę jedwabiu, nie o mielając się głębiej odetchnąć. Tak wiele skojarzeń; tak wiele obrazów. Pomyślałam o plażowych budkach, o piasku, o pierwotnym molo. Kiedy je zbudowano? Kiedy morze zabrało przystań i plażę w La Goulue? A teraz starą konstrukcję obudowano na nowo, tak niedawno, że nawet nie zdążyła porosnąć kłami.

Jedno prowadzi do drugiego; drobne powiżania, drobne zmiany. Pływy i prądy wokół wyspy tak małej i piaszczystej jak Le Devin są bardzo zmienne, a skutkiem takiej zmiany może okazać się niszczycielski. Przyływy wymyją piasek, powiedział mi Ghislain tamtego wieczoru, gdy ratowali my „Eleanore”. Brismand chronił swoją inwestycję.

Brismand był dla mnie miły, martwił się podtopieniami. I wyraził zainteresowanie ziemi Grosjeana. Zaproponował Toinette kupno jej domu. Do kogo jeszcze się zwracał?

Przyływy i odpływy nie pytają o pozwolenie. To wyspiarski aksjomat. Morze nie jest jednak całkowicie nieokiełznaną siłą. Bywa przewidywalne, a nawet można nad nim w pewnym stopniu zapanować. Salanian jednak zupełnie nie interesują przyczyny i skutki związane z bezpoziomym otoczeniem. Badanie przyływów i odpływów uważają za stratę czasu. Może dlatego tak długo nic nie zauważali. Raz jeszcze spojrzałam na poszarpany łachman, który był niedawno fragmentem odwietnej szaty Sainte-Marine. Zbyt nikła poszlaka, by na jej podstawie wyciągać istotne wnioski. Ale gdy już raz odkryłam powiżania, nie zapomnę o nich. Czy umocnienia wzniesione przez Brismanda w jakiś sposób skierowały siłę przyływów na Les Salants? A jeśli tak, czy on o tym wiedział?

13

W pierwszej chwili pomyślałam, że muszę natychmiast porozmawiać z Brismandem. Po zastanowieniu doszłam jednak do wniosku, że lepiej nie. Oczyma duszy widziałam jego zdumioną twarz, błysk rozbawienia; słyszałam tubalny śmiech, kwitujący moje podejrzliwe uwagi. Był dla mnie miły, okazał mi niemal ojcowską życzliwość. Nienawidziłam samej siebie

za to, że go podejrzewam.

Ale nie mogłam wyzbyć się przebiegłości, że prace przeprowadzone w La Houssiniere spowodowały szkody w Les Salants. To było proste równanie; i działało w widoczny sposób.

Capucine i Toinette nie zdradzały najmniejszego zainteresowania moim odkryciem. W nocy woda wdarła się jeszcze dalej, a u Angela zapanowała niewesoła atmosfera, gdy salanie topili swoje nowe smutki w ponurym milczeniu.

- Gdyby odnalazła samą wiat... - Toinette odsłoniła w uśmiechu piekielny zółty. - To ona przynosi szczęście Les Salants, a nie jakaś plaża sprzed trzydziestu lat. Chyba nie chcesz powiedzieć, że Sainte-Marine dopłynęła do Les Immortelles? To faktycznie byłby cud.

Zaginiona wiat nie pojawiła się, rzecz jasna, na Pointe ani w La Goulue. Pewnie utonęła, orzekła Toinette, przykryło ją błoto koło La Griznoz i za dwadzieścia lat odkopie ją jakiś dzieciak szukający małżym - o ile ktokolwiek ją odkopie.

Wszyscy we wsi czuli, że wiat opuściła Les Salants. Ci bardziej przez dni mówili o czarnym roku; nawet młodzież odczuwała przygnębienie.

- Uroczysto Sainte-Marine była jedynym naszym wspólnym przedsięwzięciem - wyjaśniła Capucine, wlewając sobie do kawy szczyptę devinnoise. - Tylko wtedy próbowaliśmy nawiązać kontakt. Teraz wszystko się rozlatuje. I nic na to nie poradzimy.

Ruchem ręki wskazała okno, lecz nie musiałam przez nie wyglądać, by zrozumieć, o co chodzi. Ani w pogodzie, ani w połowach nie nastąpiła poprawa. Sierpniowe przypięty dobiegały kośćca, ale we wrześniu mogło być gorzej, a październikowa równonoc oznaczała sztormy z Atlantyku, które dotrą do wyspy. Rue de l'Océan zmieniła się w kipielce błoto. Kilka płaskodennych platt, podobnie jak „Eleanore”, zmyło morze, mimo i wycięgnięto je wysoko ponad linię pływu. Co gorsza, zniknęły gdzieś ławice makreli i rybołówstwo utknęło w martwym punkcie. Na dodatek rybacy z La Houssiniere przeżywali okres niezwyklego dobrobytu.

- To cholerna klęska - oświadczył Aristide z pobliskiego stolika. - Ci przeklęci houssinianie, ha. Zagarnęli wszystko. Zatokę, miasteczko, teraz nawet ryby. Niedługo zostaną tylko skały, żebyśmy mieli się czego trzymać. Ustawił wygodniej drewniane nogi i pocięgnął bokiem devinnoise.

- W La Houssiniere nie dzieje się nic złego - odezwał się Omer z stolika. - Mercedes, moja córka, mówi, że pakuj ryby wagonami. Niektórzy to mają szczęście.

- Szczęście? - Matthias Guenole popijał pospiesznie i samotnie pod ciemnym bar. - Szczęście

nie ma z tym nic wspólnego. Oni mają pieniądze; twardą gotówkę i solidne zabezpieczenie. Nam te by się to przydało.

- Znowu to samo - prychnął wzgardliwie Aristide. - Pleciesz jak stara baba. - Obrzucił mnie ponurym spojrzeniem; nigdy nie krył przekonania, że Angelo nie powinien wpuszczać do baru kobiet. - Kto potrzebuje szczęścia? Jeśli szukacie gotówki, zawsze musicie dostać po życiu od przyjaciół z La Houssiniere.

Była to zadawniona kłótnia, odkąd jeden fałszywie oskarżył drugiego o koneserską zdradę.

Matthias wstał. Jego długie włosy drżały.

- Mylisz, że wzięłbym pieniądze od Brismanda, ha? Mylisz, że bym mu sprzedał dom?

- To ty zaczęłaś mówić o zabezpieczeniach, nie ja!

Dwaj starcy, stojący teraz naprzeciw siebie, mierzyli się spojrzeniami niczym stojący do współzawodnictwa prorocy. Omer, który przysłuchiwał się wymianie zdań, wkroczył między nich.

- Przestańcie obydwa. - Jego dobroduszna twarz była nienaturalnie ciemniejsza. - Nie tylko wy macie problemy.

Aristide spieszył się nieco; pomimo worków z piaskiem dom Prossage'ów bardzo ucierpiał wskutek podtopienia.

- No właśnie - wtrąciła Toinette. - Wy dwaj ani na chwilę nie zapominać o waszych zatargach, choćby całe Les Salants miało utonąć.

Aristide usiadł, siłując się na obojętność.

- Powiedz to Guenole - doradził oschle. - To on mówił o sprzedaży domu, nie ja.

Powinnam była mieć więcej oleju w głowie i nie wtrącać się w ich rozmowy. Ale nie mogłam się powstrzymać. Pragnęłam zawiadomić wszystkich o odkryciu, jakiego dokonałam w Les Immortelles. To przesłanie nadziei, myślałam; wyraźny dowód, że sami musicie stworzyć własne szczęście.

- Nie rozumiem, dlaczego ochrona Les Salants miałaby zaraz oznaczać wyprzedaż własnościami - zaczęłam najłagodniej, jak potrafiłam.

Aristide rzucił mi pogardliwe spojrzenie.

- Ruszyła do boju - oznajmił głośno, stukając laską w nogi stołu. - Ple, ple, ple. Spodziewałam się tego lada chwila!

Przysięgam sobie, że nie uda mu się mnie rozszalać.

- Możliwe, że nic ci nie obchodzi, co się tu dzieje - cięgnęłam - byle tylko Houssinianie trzymali się z daleka.

- Ha. - Stary odwrócił głowę. - A ciębie co to obchodzi? Ty sobie poradzisz, Brismand się tobą zaopiekuje.

Wzmianka o Brismandzie sprawiła, że poczułam się nieswojo. Byłam przekonana, że nie wie, jak oddziałują na Les Salants zabezpieczenia Les Immortelles, a mimo to nie miałam ochoty mówić o tym wzajemnym wpływie Aristide'owi, który od razu dopatrzyłby się najgorszego.

- Robisz z Brismanda jakiego demona - podjęłam. Może już czas na własną ocenę sytuacji. Zamiast z nim walczyć, może na przyjęcie jego pomocy.

- On nie może nam pomóc - odparł Aristide, nie odwracając głowy. - Nikt nie może.

- Nie rozumiem cię! - wykrzyknęłam. - Co się stało z Les Salants? Jeden wielki chaos, droga na pół zatopiona, morze porywa łodzie, domy się rozpadają. Czemu nikt z tym nic nie robi? Czemu wy wszyscy tylko siedzicie i patrzycie?

- A co mamy zrobić, huh? - rzucił Aristide przez ramię. Odwrócił się przyływ, jak król Kanut?

- Zawsze coś można zrobić - fuknęłam. - Zabezpiecz się, jak w La Houssiniere. Choćby obłożyć drogę workami z piaskiem.

- To na nic - prychnął stary, niecierpliwie przekładając drewniane nogi. - Nie da się zapanować nad morzem. Równie dobrze mogłaby płu pod wiatr.

Wiatr przyjemnie chłodził moją twarz, gdy przecinałam, zniechcona, Rue de l'Océan. Jaki sens miały próby przyjęcia im pomocy? Jaki sens miało cokolwiek, skoro Les Salants nie chciało się zmienić? To ten typowy dla salanian uparty stoicyzm, cecha, której nie zrodziła pewno siebie, lecz fatalizm, a nawet przesady. Co on powiedział? „Równie dobrze mogłaby płu pod wiatr”. Podniosłam kamień i cisnęłam nim pod wiatr najdalej, jak potrafiłam; wpadł w koryt i zniknął. Pomyślałam o matce; o tym, jak całe jej ciepło i dobre chęci uległy erozji, ona sama zaś stała się oschłą, napiętą i przepełnioną gorzkimi myślowymi. Kiedy te kochała wyspę. Przez pewien czas.

Ale ja odziedziczyłam uparty charakter ojca. Często o tym wspominała, gdy wspólnie spędzałyśmy wieczory w naszym małym paryskim mieszkaniu. Mówiła, że Adrienne jest bardziej podobna do niej - czuła i uczliwa. Ja zaś byłam trudnym dzieckiem, chmurnym,

zamkni tym w sobie. Gdyby tylko Adrienne nie musiała przeprowadzi si do Tangeru...

Nie reagowałam na te utyskiwania. Nie było sensu nawet próbowa . Dawno ju przestałam zwraca jej uwag na rzeczy oczywiste - e Adrienne rzadko pisze i dzwoni, e ani razu nie zaprosiła matki do siebie. Adrienne nie musiała si nigdzie przeprowadza ; jak si wydaje, obydwój z Marinem pragn li tylko uciec jak najdalej od Le Devin. Dla matki jednak milczenie Adrienne dowodziło po prostu jej przywi zania do zało onej rodziny. Nieliczne listy, które nadeszły, były pieczołowicie przechowywane; polaroidowe zdj cie dzieci zaj ło honorowe miejsce nad kominkiem. Nowe ycie Adrienne w Tangerze - nieprawdopodobnie uromantycznione i przeobra one w ba o bazarach i wi tyniach Maghrebu - stało si nirwan , do której obie powinny my d y i która nas w ko cu wezwie.

Odp dziłam przykre my li. Chwilowo zachowałam moje odkrycie w, tajemnicy - jedynym dowodem rzeczowym był wystrz piony kawałek jedwabiu. Potrzebowałam mocniejszych dowodów, zarówno dla siebie, jak i dla innych - dowodów, z którymi mogłabym stan przed Claude Brismandem i, by mo e, zapewni sobie jego pomoc. To oczywiste, pomy lałam, e je li zdołam mu pokaza , do czego niechc cy doprowadził, wyka , na czym polega jego odpowiedzialno , b dzie musiał podj jakie działania.

Najpierw poszłam do domu. Nadal panował w nim ten sam zatrwa aj cy bałagan i na chwil niemal opu ciła mnie odwaga. Brismand powiedział, e zawsze znajdzie si dla mnie miejsce w „Les Immortelles”. Wystarczy tylko poprosi . Wyobraziłam sobie czyste łó ko, biało po ciel, gor c wod . Pomy lałam o ciasnym paryskim mieszkaniu, o parkiecie i krzepi cym zapachu farby i politory. A tak e o kafejce po drugiej stronie ulicy, o moules-frites w pi tkowy wieczór i ewentualnym pó niejszym kinie. Co ja tutaj robi ? Zadałam sobie pytanie. Po co si z tym wszystkim u eram?

Podniosłam jedn z moich ksi ek, wygładzaj c kartki. Bogato ilustrowana opowiadka o królewnie przemienionej za przyczyn złych czarów w ptaka i o my liwym, który... W dzieci stwie miałam bujn wyobra ni , ycie wewn trzne wynagradzało mi wyspiarsk stagnacj . Zało yłam, e mój ojciec czuje to samo. Teraz nie byłam pewna, czy chc wiedzie , co - je li cokolwiek - kryje si za jego milczeniem.

Zebrałam z podłogi jeszcze kilka ksi ek, wzdrygaj c si na ich widok - rozrzucone bezładnie, walały si na potłuczonym szkle, grzbietami do góry. Ubrania nie były a tak wa ne -

przywiozłam ich niewiele i zamierzałam zrobić zakupy w La Houssiniere - ale pozbierałam je i wrzuciłam do pralki. Nieliczne papiery, przybory do rysunku, które posiadałam od dzieciństwa - popkane akwarele, podzielwółam z powrotem do tekturowego pudła przyłóku. I wówczas zauważyłam co w nogach łóka - co błyszczącego i prawie wdeptanego w dywanik, leżącego na kamiennej posadzce. Ja niejsze niż szkło, połyskiwało łagodnie w zablakanej plamce słonecznego blasku, chociaż tego się przez szpary w okiennicach. Podniosłam to co .

Był to medalion mojego ojca, ten sam, który wcześniej zauważyłam, teraz nieco wyszczerbiony, z łacuzkiem rozerwanym obok zapięcia. Pewnie go zgubił w ataku szału, pomyślałam; może kiedy szarpnął za kołnierzyk koszuli, żeby go rozluźnić. Wtedy zerwał łacuzek i nie zwrócił uwagi na medalion, który wyśliznął mu się spod ubrania. Przyjrzałam się bliżej. Medalion był posrebrzany, mniej więcej rozmiarów pięciofrankówki, a z boku miał malutki zatrzask. Bardziej pasowałby do kobiety. Z jakich powodów przypomniawszy mi się Capucine. Pamiętam.

Otworzyłam go z absurdalnym poczuciem winy, zupełnie jakbym podpatrywała ojca, by wykryć jego tajemnice i co wypadło mi na dłoń: loczek puszystych włosów. Miał brzozy odcień, taki, jaki niegdy miały włosy Grosjeana, i w pierwszej chwili pomyślałam, że mógł należeć do jego brata. Grosjean nie miał romantycznej natury; o ile mi wiadomo, nigdy nie pamiętał o urodzinach matki ani o rocznicy lubu i sama myślałam, że nosił na szyi kosmyk włosów swojej siostry, skłoniła mnie do założenia enowanego u miechu. Odchyliłam wieczko i wtedy zobaczyłam fotografię.

Był to fragment wycięty z wikszej całości; młoda twarz w złoczonej ramie, z ustami rozciągniętymi w szerokim uśmiechu, z krótkimi, najczystszymi włosami i dużymi, okrągłymi oczyma... Wpatrywałam się w nią z niedowierzaniem, jak gdybym potrafiła przekształcić spojrzeniem własnego podobiznę w wizerunek kogoś godniejszego. Ale to oczywiście byłam ja, moja postać z urodzinowego zdjęcia: w jednej ręce trzymałam nóż do krojenia tortu, drugą wyciągałam w stronę ojca. Wydobyłam z kieszeni pierwotną fotografię, nieco sfatygowaną od ciężkiego dotykania. Twarz mojej siostry wydała mi się teraz nadzwyczajna, zazdrosna, głowa odwrócona z urazem, jak u dziecka, które zawsze musi znajdować się w centrum uwagi...

Poczułam, że policzki płoną mi z emocji, a serce tłucze się dziko w piersi. To mnie wybrał mimo wszystko, to moje zdjęcie nosił na szyi razem z kosmykiem dziecięcych włosów. Nie matki. Nie Adrienne. Moje. Myślałam, że o mnie zapomniał, a tymczasem właśnie mnie

upami tnił w ten sposób, nosząc przy sobie w tajemniczym talizman. Jakże to miało znaczenie, że nie odpowiadał na moje listy? I że się do mnie nie odzywał?

Wyprostowałam się, zapominając o rozterkach i mocno ciskając medalion w dłoń. Teraz już dokładnie wiedziałam, co mam robić.

Zaczekałam, a zapadł zmrok. Przytyły zbliżył się do najwyższego poziomu - dobra pora na to, co zamylałam. W gumowcach i vareuse ruszyłam w stronę smaganych wiatrem wydm. Za La Goulue widziałam przy mione wiatła kontynentu i latarnie wysyłające co kilka sekund czerwony sygnał ostrzegawczy; poza tym morze miało typowy dla Jadeitowego Wybrzeża zielonkawym blaskiem, rozbłyskując od czasu do czasu zimniejszym powiatem, gdy rybek księżycy wyłaniał się zza chmur.

Na dachu blokhauzu dostrzegłam Flynnę spojrzącego w stronę zatoki; jego sylwetka rysowała się na tle nieba. Obserwowałam go przez chwilę, usiłując odgadnąć, co robi, lecz było za daleko. Po piesznie skierowałam się ku La Goulue, gdzie wkrótce miał nastąpić odpływ.

W torbie przerzuconej przez ramię niosłam pomarańczowe plastikowe pływaki, którymi rybacy z wysp oznaczają sieci do połowu makreli. Jako dziecko nauczyłam się pływać, posługując się pasem ratunkowym zrobionym z takich pływaków, a ponadto czysto u ywali my ich do znakowania wycierzy na homary i koszy na kraby u wybrzeży La Goulue, zbierając je po skałach w czasie odpływu i wycierze razem z niczym gigantyczne paciorki. Wówczas była to zabawa, acz niepozbawiona powagi; kiedy rybak płacił franka za odzyskany pływak, co stanowiło czysto nasze jedyne kieszonkowe. Ta zabawa z pływakami miała mi się dzisiaj przydać.

Stanowiąc na skałach poniżej urwiska, wyrzuciłam pływaki do morza, wszystkie trzydzieści sztuk, uważając, by trafiły poza linię fal powierzchniowych, w otwarty port. Kiedy, nie tak dawno temu, najbliższy przytyły wyrzuciłby z powrotem co najmniej połowę. Teraz... ale na tym polegał eksperyment.

Przez kilka minut obserwowałam morze. Mimo podmuchów wiatru było ciepło, ostatnie tchnienie lata, a gdy rozproszyły się chmury nad moją głowę, zobaczyłam na niebie szeroki pas Drogi Mlecznej. Czując, jak spływa na mnie wielki spokój, czekałam pod bezkresnym, dziko rozgwieżdżonym niebem na przesilenie pływu.

wiatło w kuchennym oknie powiedziało mi, że Grosjean wrócił. Widziałam jego przygarbioną postać z papierosem w ustach, rysując się niczym monolit w żółtym poblasku. Przeszył mnie dreszcz niepokoju. Czy się odezwie? Czy wpadnie w furię?

Nie obejrzał się, kiedy weszłam. Nie oczekiwałam tego zresztą. Trwał nieruchomo w różnym kierunku tego jego własnym dziełem; w jednej ręce trzymał filiżankę kawy, po której palce otulały gitany'ę.

- Zgubiłeś medalion - powiedziałam, kładąc go na stole.

Wydawało mi się, że dostrzegam drobne zmiany w układzie jego ciała, ale nie spojrzał na mnie. Obojgnie i cięki jak posąg Sainte-Marine, wydawał się nieporuszony.

- Jutro zaczął tu robić porządek - podjął. - Trzeba będzie w to włożyć trochę pracy, ale niedługo będzie miał znowu przytulny dom.

Nadal nie odpowiadał. Zamiast gniewu poczułam nagły i przemożny litość - obudziło je jego ałosne milczenie, te zmęczone oczy.

- Nie martw się - powiedziałam. - Wszystko będzie dobrze.

Podeszłam i objąłem go za szyję, wdychając dobrze znany zapach soli i potu, farby i pokostu. Siedzieliśmy tak razem około minuty, dopóki z jego papierosa nie pozostał niedopałek, który wypadł mu z ręki na kamienną podłogę, sypiąc wokół iskrami.

Nazajutrz rano wstałam wcześniej i ruszyłam na poszukiwanie moich rybackich pływaków. Nie natrafiłam na ich ślad ani w La Goulue, ani w przesmyku, bliżej Les Salants; nie spodziewałam się zresztą tego. Nadeszły chude czasy dla Łakomczuchy.

Przed szóstą znalazłam się w La Houssiniere; niebo było blade i bezchmurne, a w pobliżu dostrzegłam zaledwie kilka ludzkich postaci, głównie rybaków. Wydawało mi się, że widzę Jojo-le-Goelanda grzebiącego na mieliźnie i dwie odległe sylwetki przy linii przyływu, z dużymi kwadratowymi sieciami, jakich houssinianie używają do połowu krewetek. Poza tym było pusto.

Pierwszy pomarańczowy pływak znalazłam pod mołem. Podniosłam go i ruszyłam dalej w stronę falochronu, przystając od czasu do czasu, by zajrzeć pod kamień lub kępę wodorostów. Zanim dotarłam do falochronu, zebrałam jeszcze tuzin pływaków i wypatrzyłam trzy inne, zaklinowane między skałami, poza moim zasięgiem.

Czyli razem szesnaście. Niezły połów.

- Czy to jaka gra?

Odwróciłam się zbyt raptownie, upuszczając na mokry piasek torbę, z której wyleciała zawartość. Flynn obrzucił płynątki zaciekawionym spojrzeniem. Jego włosy załopotały na wietrze niczym chorągiewka sygnalizacyjna.

- No jak? To gra?

Przypomniała mi się jego wczorajsza oziębłość. Dzisiaj wydawał się odprężony, zadowolony z siebie, a z jego oczu zniknął agresywny wyraz.

Nie odpowiedziałam od razu. Zmusiłam się, żeby pozbiierać płynątki, i bardzo wolno wkładałam je do torby. Szesnaście na trzydzieści. Niewiele więcej niż połowa. Ale wystarczało, aby potwierdzić to, o czym i tak już wiedziałam.

- Nie wyobrażałem sobie siebie jako plażowej poszukiwaczki skarbów - zauważył Flynn, wciśnięty mi się przyglądając. - Znalazła coś ciekawego?

Zastanowiłam się, jako co mnie sobie wyobrażał? Miejska dziewczyna na urlopie? Zawadza? Zagroźenie?

Usiadłam u stóp falochronu i opowiedziałam mu o swoim odkryciu, wspomagając się rysunkami na piasku. Dygotałam - poranny wiatr był zimny - ale umysł miałam jasny. Zdobyłam dowód, tak łatwy do uzyskania, gdy raz się zaczął szukać. Teraz Brismand będzie musiał zwrócić na to uwagę. Będzie musiał mnie wysłuchać.

Flynn przyjął moje słowa z irytującym brakiem zdziwienia. Zastanawiałam się, dlaczego opowiedziałam o wszystkim właśnie nie jemu - cudzoziemcowi, obcemu. Oczywiście, że go to nie obchodziło. Dla niego jedno miejsce nie różniło się od drugiego.

- Czy to ma dla ciebie jakie znaczenie? Czy ci w ogóle interesuje, co się tu dzieje?

Flynn patrzył na mnie dziwnie.

- Widz, że zmieniasz front. Ostatnim razem, jak słyszałem, prawie się odciła od wszystkich w Les Salants. Łącznie z twoim ojcem.

Poczułam, że płonę mi policzki.

- To nieprawda - zaprotestowałam. - Próbuj pomóc.

- Wiem. Ale tracisz tylko czas.

- Brismand mi pomoże - nie ustawałam. - Będzie musiał.

Uśmiechnął się niewesoło.

- Tak się dzisz?

- Je li nie zechce, sami co wymy limy. We wsi znajdzie si mnóstwo ludzi ch tnych do pomocy. Teraz mam ju dowód.

Flynn westchn ł.

- Nie dasz rady tym ludziom niczego udowodni - wyja nił cierpliwie. - Twoja logika do nich nie dociera. Pr dzej przywaruj w miejscu, b d si modli i narzeka , dopóki woda nie przeleje im si nad głowami. Naprawd wyobra sz sobie, e ktokolwiek z nich odsunie swary na bok dla dobra społeczno ci? My lisz, e ci posłuchaj , je li b dziesz ich do tego namawiała?

Przeszylaam go gniewnym spojrzeniem. Miał, oczywi cie, racj . Tyle sama wiedziaaam.

- Mog przynajmniej spróbowaa - odparaaam. - Kto musi.

Flynn wyszczerzył z by w u miechu.

- Wiesz, jak ci nazywaj we wsi? La Poule. Ci gle o czym gdaczesz.

La Poule. Przez chwil staaaam w milczeniu, zbyt w ciekła, by wydoby z siebie głos. W ciekła na siebie za to, e si tym przejmuj . Na niego - za beztroski defetyzm. Na nich za ich głupi , bydl c oboj tno .

- Spórz na to od ja niejszej strony - doradził zło liwie Flynn. - Przynajmniej masz ju wyspiarski przydomek.

15

Nie powinnam byaa w ogóle z nim rozmawia , pomy laaaam sobie. Nie ufaaaam mu, nie lubiaaaam go; dlaczego waa ciwie oczekiwaaaam od niego zrozumienia? Maszeruj c pust pla w stron du ego biaaaego domu, nosz cego t sam , co ona, nazw , czuaaaam na przemian fale zimna i gor ca. Naiwnie poszukiwaaaam u niego aprobaty, poniewa byaa nieznajomym, czlowiekiem z kontynentu, który potrafił rozwi zywa problemy techniczne. Chciaaaam zrobi na nim wra enie moimi waaasnymi wnioskami, dowie mu, e nie jestem wtr calsk , za jak mnie uwa a. A on tylko mnie wy miaa. Piasek osuwaaa si pod moimi butami, gdy wchodziaaaam po stopniach na promenad ; pod paznokciami te miaaaam piasek. Nie powinnam byaa zawraca sobie głowy Flynnem, powtórzyaaam gniewnie. Powinnam byaa zaufa Brismandowi.

Zastaaaam go w holu „Les Immortelles”, przegl daj cego jakie rejestry. Wydawaaa si uszcz liwiony, e mnie widzi, i poczuaaam tak wielk ulg , e przez chwil byaaam niebezpiecznie bliska łez. Porwaaaam mnie w ramiona; jego woda kolo ska pachniaaa intensywnie, głos dudnił wesoło.

- Mado! Właśnie nie o tobie myślałem. Kupiłem ci prezent. - Torba z pływakami upadła mi na wyłożone płytkami podłogę. Z trudem chwytałem oddech w jego niedźwiedziemu cisku. - Zaczekaj chwilę, zaraz przyniosę. Wydaje mi się, że rozmiar będzie dobry.

Zniknął w jednym z pomieszczeń na tyłach i zostałam sama w holu. Wrócił szybko, przyniosł coś zawiniętego w bibułę.

- No, chérie, rozpakuj. Czerwony to kolor w sam raz dla ciebie. Wiem o tym.

Matka zawsze zakładała, że - w przeciwieństwie do niej i Adrienne - ładne rzeczy po prostu mnie nie interesują. Nasunęły jej to przekonanie moje lekceważące uwagi i pozorny brak dbałości o wygląd, w rzeczywistości ci jednak pogardzałam moją siostrą, jej kolekcję zdjęć porozwieszanych na ścianie, zestawami kosmetyków i rozchichotanymi przyjaciółkami, bo wiedziałam, że to nie dla mnie. Lepiej było udawać, że mnie te rzeczy nie interesują, nie chcę ich. Że nic mnie nie obchodzi.

Bibułka zaszeleciała cicho pod moimi palcami. Przez chwilę nie mogłam wydobyć głosu.

- Nie podoba ci się - skonstatował Brismand z miną smutnego psa; nawet jego włosy lekko opadły.

Z zaskoczenia nie potrafiłam znaleźć słów.

- Podoba - wykrztusiłam wreszcie. - Jest liczna.

Odgadł mój rozmiar nad podziw trafnie. A sukienka była piękna: z jaskrawoczerwonego krepeśzyny, który połyskiwał w chłodnych promieniach porannego słońca. Wyobraziłam sobie, że noszę ją w Paryżu, a do niej sandały na wysokim obcasie, włosy rozpuszczone...

Brismand wydawał się wręcz komicznie zadowolony z siebie.

- Pomyślałem, że to ci trochę oderwie od trosk. Podniesie na duchu. - Jego oczy powdrowały w stronę torby u moich stóp. - Co to takiego, mała Mado? Szukała skarbow na plaży?

Pokręciłam głową.

- Sprawdzalam co.

Opowiedzenie Flynnowi o wnioskach, do jakich doszłam, nie sprawiło mi trudno ci. Z Brismandem poszło gorzej, choć słuchał mnie z całą powagą, od czasu do czasu kiwał cicho z zainteresowaniem głową, gdy przedstawiałam pokrótce moje odkrycie, wspomagając się zamasztywanymi gestykulacjami.

- Tu masz Les Salants. Widać kierunek głównych prądów morskich z La Jete. Tędy

wieje najsilniejszy wiatr z zachodu. A tutaj, o, masz przód zatokowy. Wiadomo, że La Jetee osłania wschodnią stronę wyspy, ale ta ławica piasku - postukałam palcem - kieruje przód w tę stronę, on zaś omija Point Griznoz i dociera tutaj, do La Goulue.

Brismand zachęcał co skinął głową.

- Przynajmniej tak było kiedyś. Ale teraz coś się zmieniło. Zamiast się tu zatrzymać, przodem mija La Goulue i dociera tutaj.

- Do Les Immortelles, tak.

- Dlatego właśnie „Eleanore” ominęła zatokę i dotarła na drugą stronę wyspy. I dlatego makrele popłynęły dalej!

Znowu skinął głową.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnęłam. - Skąd się biorą obecne zmiany? Co się zmieniło?

Wydawało się, że to go zastanawia. Jego spojrzenie pobiegło ku plaży, odbijając promienie słoneczne.

- Popatrz. - Wskazałam nowe umocnienia. Z naszego miejsca widzieliśmy je wyraźnie; zadarty nos grobli sterczał na wschód, a obie strony osłaniał falochron. - Teraz widzisz, jak to wygląda. Wydłużyła groblę, żeby ochraniała plażę. Falochron zapobiega wymywaniu piasku. A grobla osłania plażę i kieruje przodem leciutko w tę stronę, więc gajc piach z La Jetee - z naszej części wyspy - prosto do Les Immortelles.

Brismand raz jeszcze przytaknął ruchem głowy. Pomyślałam, że nie do końca zrozumiał znaczenie moich słów.

- Nie widzisz, co się dzieje? - spytałam z naciskiem. Musimy coś zrobić. Trzeba to powstrzymać, zanim wyrzuci wiksze szkody.

- Powstrzymać? - uniósł brew.

- No tak. Les Salants... podtopienia...

Brismand współczującym gestem położył dłonie na moich ramionach.

- Mała Mado. Wiem, że próbujesz im pomóc, ale ja muszę chronić Les Immortelles. To dlatego kazałem obudować falochron. Nie mogłem go teraz usunąć, bo niby jakieś przemyśleń zmieniły kierunek. Z tego, co wiemy, i tak by go zmieniły. Wydał jedno ze swoich potępionych westchnień.

- Wyobraź sobie syjamskie bliźnięta - podjął. - Czasami należałoby je rozdzielić tak, by jedno mogło przeżyć. - Upewnił się rzutem oka, że rozumiem, co do mnie mówi. - A czasami trzeba dokonać trudnego wyboru.

Wpatrywałam się w niego zdrętwiała. O co mu chodziło? e nale y po wi ci Les Salants, aby La Houssiniere mogło przetrwa ? e to, co si działo, było w jaki sposób nieuniknione?

Przypomniały mi się wszystkie te lata, gdy utrzymywał z nami kontakt; obszerne listy, paczki z książkami, od czasu do czasu prezenty. Nie zamykał żadnych furtek, porozumiewał się z wszystkimi. Chronił swoją inwestycję .

- Wiedziałyście, prawda? - wycedziłam. - Od początku wiedziałyście, co się stanie. I nie pisałyście słowa.

Jego postawa - przygarbione ramiona, ręce wsunięte głębokoboku w kieszenie - wyrażała głębokobokobolewanie z powodu tak okrutnego zarzutu.

- Mała Mado. Jak możesz tak mówić? Pechowy zbieg okoliczności ci, bez wątpienia. Ale to się zdarza. Jeśli wolno mi wyrazić swoją opinię, tym bardziej martwi się o twojego ojca i jestem głębokobokobolewany, e byłoby mu znacznie lepiej w innym miejscu.

Zmierzyłam go spojrzeniem.

- Mówiłyście, e mój ojciec jest chory - oznajmiłam dobitnie. - Co mu dolega? - Dostrzegłam nieznaczne wahanie. Serce? - nie ustawałam. - W troba? Płuca?

- Mado, nie wiem dokładnie i naprawd ...

- Czy to rak? A może marskość w troby?

- Przecież ci powiedziałem, Mado, e nie wiem dokładnie. - Lekko zacisnął szczęki i nie był już tak jowialny, jak przedtem. - Ale jeśli tylko zechcesz, mogę wezwać mojego lekarza, a on ci przedstawi bezstronną, fachową diagnozę .

„Mojego lekarza”. Popatrzyłam na prezent od Brismanda, spoczywający w zwojach bibułki. Promienie słoneczka lizały ognisty jedwab. Ma rację, pomyślałam; czerwie to mój kolor. Mogłam zostawić wszystko w jego rękach. Wrócić do Paryża - nowy sezon w galerii dopiero się zaczynał - i popracować nad nową sztuką. Tym razem miejskie krajobrazy, może kilka portretów. Po dziesięciu latach powinnam chyba zmienić temat.

Wiedziałam jednak, e tego nie zrobi. Sytuacja uległa zmianie; zmieniła się wyspa, a wraz z nią co we mnie. Nostalgia, którą odczuwałam przez wszystkie te lata, sprowadzona z dala od Les Salants, utkwiała we mnie głębokoboku, stała się brzemieniem. A mój powrót - złudzenia, sentyment, rozczarowanie, radość - tak naprawd, mimo tego wszystkiego, jeszcze się nie dokonał. A do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, e wróciłam do domu.

- Wiedziałem, że mogła na ciebie liczyć. - Uznał moje milczenie za zgodę. - Moją zamieszkała w „Les Immortelles”, dopóki sytuacja się nie wyklaruje. A jeśli się wzdragam na myśl, że siedzisz tam sama z Grosjeanem. Dam ci najlepszy pokój. Na koszt firmy.

Choć byłem pewna, że nie jest ze mną szczerzy, doznałam absurdalnego uczucia wdzięczności ci. Straciłam je z siebie.

- Nie, dziękuję - usłyszałam własny głos. - Zostań w domu.

16

Następny tydzień przyniósł kolejną falę burzliwej pogody. Woda zalała słone płycizny za wioską, obracając wniwecz dwuletnie prace melioracyjne. Poszukiwania w tej musiały zostać odłożone ze względu na wysokie przypływy, aczkolwiek jedynie garstka optymistów wciąż żyła nadzieją na jej odnalezienie. Stracili my drugą łódź rybacką - „Korrigane” Matthiasa Guenole, najstarsza pływająca jednostka na wyspie, ugrzęzła przy silnym wietrze na mieliźnie tuż za La Griznoz i Matthias z Alainem nie zdołali jej odzyskać. Nawet Aristide przyznał, że to duża strata.

- Miała chyba ze sto lat - ubolewała Capucine. - Pamiętam ją z czasów, kiedy jeszcze byłam dziewczyną. Piękne czerwone ogry. No tak, wtedy Aristide puszczał swoją „Peochka Labour” i płynęły razem, każda próbowała pierwsza złapać wiatr, aby zdystansować drugą. To było, rzecz jasna, zanim zginął Olivier, a Aristide stracił nogę. Później „Peochka” popadła w ruinę na etierze i w końcu pewnej zimy zabrał ją przypływ. A on nawet palcem nie ruszył, aby ją uratować. - Wzruszyła pulchnymi ramionami. - Nie rozpoznałaby go wówczas, Mado. Był młodym chłopcem w kwiecie wieku. Nigdy nie pogodził się ze śmiercią Oliviera. Teraz w ogóle o nim nie wspomina.

Był to głupi wypadek. Przeważenie nie tak bywa. Olivier i Aristide przeszukiwali roztrzaskany trawler na La Jetee podczas odpływu; kadłub niespodziewanie zmienił pozycję i uwiózł Oliviera tuż pod linią wody. Aristide usiłował dotrzeć do niego, ale ześlizgnął się po ślizgawce „Peochki” a rozbity trawler i burty zmiażdżyły mu nogę. Wzywał pomocy, lecz nikt go nie usłyszał. Po trzech godzinach wyłowili go przepływający rybacy, ale tymczasem odwróciła się fala i Olivier utonął.

- Aristide wszystko słyszał - powiedziała Capucine, dolewając sobie crème de cassis do kawy. - Mówił, że słyszał wołanie Oliviera o pomoc i jego płacz, gdy woda zaczęła przybierać.

Nigdy nie odnaleziono ciała. Przyplłyn ci gn ł wrak w odm ty Nid'Poule, zanim ktokolwiek zd ył go przeszuka , a poszedł na dno o wiele za szybko. Hilaire, miejscowy weterynarz, amputował Aristide'owi nog (w Les Salants nie ma lekarza, a Aristide nie yczył sobie pomocy houssinianina), lecz stary twierdzi, e do dzi czuje sw dzenie i bóle w nocy. Przypisuje to faktowi, e Olivier nie został nale ycie pochowany. Pochowano za to uci t nog - Aristide nalegał - w odległym kra cu La Bouche. Stoi tam drewniany palik, na którym kto napisał: Tu spoczywa noga starego Bastonneta, maszeruj ca ku chwale!!! Poni ej kto zasadził ro liny, które przypominaj kwiaty, ale z bliska okazuje si , e to ziemniaki. Capucine podejrzewa, e zrobił to który z Guenole.

- Potem uciekł Philippe, jego drugi syn - ci gn ła. Aristide wytoczył spraw s dow rodzinie Guenole, a Desiree, nie maj c własnych dzieci, zaj ła si Xavierem. Biedny stary Aristide ju nigdy nie był taki jak dawniej. Nawet kiedy mu powiedziałam, e dla mnie to nie jego noga najbardziej si liczy. - W jej chichocie zabrzmiała nuta znu onej lubie no ci. - Jeszcze jedn cafe-cassis?

Pokr ciłam głow . Z wydm dobiegały pokrzykiwania Lolo i Damiena.

- Wtedy był z niego przystojny m czyzna - snuła wspomnienia Capucine. - W tamtych czasach oni wszyscy byli przystojni, ci moi ulubieni chłopcy. Papierosa? - Zapaliła zr cznie i z pomrukiem rozkoszy zaci gn ła si dymem. Nie? Przydałoby ci si , wiesz. To uspokaja.

- Nie s dz - u miechn łam si .

- Jak sobie chcesz. - Wzruszyła pulchnymi ramionami, opi tymi jedwabnym szlafrokiem. - Nie wyzb d si moich drobnych słabostek. - Ruchem głowy wskazała pudełko wi ni w czekoladzie, stoj ce przy oknie. - Podaj mi jedn , dobrze, kochanie?

Pudełko miało kształt serca i było jeszcze do połowy pełne.

- Wielbiciel - wyja niła, wrzucaj c czekoladk do ust. - Nadal si podobam, mimo mojego wieku. Pocz stuj si .

- Dzi kuj , ale tobie chyba smakuj bardziej ni mnie odparłam.

- Skarbie, wszystko smakuje mi bardziej ni tobie - zapewniła Capucine, przewracaj c oczyma.

Parskn łam miechem.

- Widz , e nie poddajesz si przygn bieniu.

- Puf. - Ponownie wzruszyła ramionami. - Zawsze mog si przeprowadzi , gdybym

musiała. Po tylu latach byłoby z tym trochę roboty, ale dałabym sobie radę. - Pokręciła głowę. - Nie, to nie ja powinnam się martwić. A jeśli chodzi o innych...

- Wiem. - Zdążyłam już jej opowiedzieć o przeobrażeniach w Les Immortelles.

- Ale to taka drobnostka - zaprotestowała. - Ci głębiej nie rozumiem, jak kilka metrów falochronu mogło spowodować tak wielkie zmiany.

- Och, niewiele potrzeba - poinformowałam ją. - Wystarczy skierować je trochę w bok. Prawie tego nie widać. A jednak wywołuje zmiany odczuwalne na całej wyspie. To coś takiego, jak padające klocki domina. Brismand o tym wie. Może nawet wszystko sobie wcześniej zaplanował.

Przytoczyłam jej uwagę przez Brismanda porównanie z syjamskimi bliźniakami. Capucine kiwała głową, pocieszyła się kolejnymi wianami w czekoladzie.

- Skarbie, jeśli chodzi o tych przeklętych houssinian, uwierz mi we wszystko - oznajmiła swobodnie. - Hm. Spróbuj chociaż jedną. Mam ich jeszcze dużo.

Niecierpliwie pokręciłam głowę.

- Ale po co mu podtopiona ziemia? - cicho ją Capucine. - Miałyby z niej nie wyciągnąć pożytku dla nikogo.

Mimo przestróg Flynn'a przez cały ten długi tydzień próbowałam przekazać nowin salanianom. Lokal Angela wydawał się najlepszym miejscem do tego celu i chociaż tam zaglądałam, w nadziei że obudzi zainteresowanie rybaków. Ale karty, szachy, telewizja satelitarna, transmitująca mecze piłkarskie, zawsze miały pierwszeństwo i moje uporczywe nalegania napotykały niechętnie twarze, uprzejme skinienia głową i artobliwe spojrzenia, które mroziły wszelkie dobre chęci i sprawiały, że czułam się głupio i wrzałam we mnie gniew. Gdy wchodziłam, cichły rozmowy. Garbiły się plecy. Miny rzedły. Niemal słyszałam szepty, niczym na widok surowej nauczycielki: „Idź La Poule. Szybko. Udawaj, że jesteś zajęty”.

Aristide niezmiennie okazywał mi wrogość. To on nadał mi przydomek La Poule; a moje wysiłki, by wytłumaczyć salanianom ruchy przyptywów, wzmagały jeszcze jego niechęć. Teraz ilekroć skrzyżowały się nasze drogi, witał mnie z ponurym sarkazmem.

- A oto i La Poule. Wpadła na kolejny zbawienny pomysł, czy? Zaprowadzisz nas do Ziemi Obiecanej? Zrobisz z wszystkich milionerów?

- Ha, to La Poule. Jakie plany na dzisiaj? Zamierzasz cofnąć przyptyw? Powstrzymaj

deszcz? Wskrzesi zmarłych?

Jednym ze ródół jego goryczy, jak mnie poinformowała Capucine, było ewidentne fiasko jego wnuka w staraniach o Mercedes Prossage, pomimo złej passy rywała. Obezwładniaj ca nie miało , jak Xavier okazywał w obecno ci dziewczyny, stanowiła wi ksz przeszkod ni utrata rodków utrzymania, która dotkn ła Guenole, a zachowanie Aristide'a, obserwuj cego Mercedes przez cały czas i przybieraj cego marsow min , ilekro odezwała si do innego m czyzny, bynajmniej nie poprawiało sytuacji. Skutek był taki, e Mercedes nieodmiennie trwała w swej wzdardliwej i napuszonej pozie, i cho cz sto, gdy przyływały łodzie, widywałam j nad etier, zdawała si nie zwraca uwagi na adnego z wielbicieli; opiłowywała paznokcie albo czytała jakie czasopismo, przyodziana w który ze swych sk pych kostiumów.

Nie tylko Ghislain i Xavier podziwiali jej wdzi ki. Zauwa yłam z pewnym rozbawieniem, e równie Damien sp dza wyj tkowo długie godziny nad przesmykiem, pal c papierosy i podnosz c kołnierz kurtki dla osłony przed wiatrem. Opuszczony Lolo wał sał si samotnie po wydmach. Mercedes, rzecz jasna, nie zwróciła najmniejszej uwagi na zauroczenie Damiena, a je li nawet, nie dała tego pozna po sobie. Obserwuj c dzieciaki wracaj ce mikrobusem ze szkoły w La Houssiniere, zauwa yłam, e Damien cz sto siedzi sam i nie odzywa si nawet do kolegów. Kilkakrotnie dostrzegłam si ce na jego twarzy.

- Wydaje mi si , e młodzi houssinianie daj naszym dzieciom wycisk w szkole - zwróciłam si do Alaina wieczorem u Angela.

Alain jednak nie okazał współczucia. Od czasu zagini cia „Korrigane” był skwaszony i małomówny, gotów si obrazi za najniewinniejsz uwag .

- Chłopak musi si czego nauczy - odparł krótko. Dzieciaki zawsze sobie dokuczaj . Musi to jako znie i tyle. My te to znosili my.

Powiedziałam mu, e to do surowe post powanie w przypadku trzynastoletniego chłopca.

- Niedługo sko czy czterna cie - u ci lił Alain. - Tak to ju jest. Houssinianie i salanie. Zupełnie jak kosz z krabami. Zawsze tak było. Ojciec musiał mi sprawi lanie, ebym poszedł do szkoły, bo a tak si tego bałem. Ale jako prze yłem, no nie?

- Mo e nie wystarczy tylko prze y - powiedziałam. Mo e powinni my si broni .

Alain u miechn ł si znacz co i nieprzyjemnie. Za nim Aristide uniósł głow i poruszył ramionami w trzepocz cym ge cie. Zignorowałam go, cho pały mnie policzki.

- Wiecie dobrze, co wyrabiają houssinianie. Widzieliście zabezpieczenia w Les Immortelles. Gdyby postawili coś takiego w La Goulue, wtedy może...

- Ha! Znowu to samo! - prychnął Aristide. - Nawet Rouget uważa, że nie ma się co wysila!

- Tak, znowu to samo! - Byłam zła i kilka osób podniosło głowy, słysząc mój głos. - Bylibyśmy bezpieczni, gdybyśmy zrobili to samo, co houssinianie. Jeszcze możemy się zabezpieczyć, teraz, zanim będzie za późno.

- Zabezpieczyć? Jak? I kto za to zapłaci?

- My wszyscy. Możemy się złożyć. Zmobilizowaliśmy.

- Bzdura! To niemożliwe! - Stary wstał i przeszył mnie pełnym spojrzeniem nad ramieniem Alaina.

- To sprawa Brismanda - oznajmiłam.

- Brismand, Brismand. - Podziabął ziemią swoją łaskę. Brismand jest bogaty. I masz go! - za miał się chrapliwie. - Na wyspie kiedy to wie!

- Brismand sam zasłużył na swoje szczęście - odparłam spokojnie. - A my możemy zrobić to samo. Wiesz o tym, Aristide. Ta plaża... mogła być nasza. Gdybyśmy tylko potrafili odwrócić to, co się stało...

Oczy Aristide'a na chwilę zetknęły się z moimi i wydało mi się, że coś przebiegło między nami; jaka iskra, bliska zrozumienia. Wtedy się odwrócił.

- Fantazje - prychnął szorstko. - Jesteśmy salarianami. Po co nam, do jasnej cholery, jaka plaża?

17

Zniechęcona i wściekła, skupiłam się na naprawie domu. Zadzwoiłam do gospodyni w Paryżu, żeby ją uprzedzić, i pozostawić tu nieco pieniędzy. Przełałam trochę gotówki z mojego konta i spędziłam długi czas na czyszczeniu, odmalowywaniu i urządzaniu wnętrza. Grosjean złagodniał trochę, choć nadal rzadko się odzywał; przyglądał mi się w milczeniu, gdy pracowałam, pomagając od czasu do czasu z naczyniami albo przytrzymując drabinę, gdy wymieniałam dachówki. Tolerował radio; za rozmowami nie przepadał.

Musiłam się od nowa nauczyć rozumieć chwile jego milczenia, znaczenie jego gestów. Posiadałam talent w dzieciństwie; przypominałam sobie niczym grana niemal

zapomnianym instrumencie. Drobne gesty, niezauważalne dla obcych, lecz pełne znaczenia. Gardłowe dźwięki, wyrażające zadowolenie lub znużenie. Skłęknięcie miechy.

Uwiedziłam sobie, że to, co brałam za dźwięk urazu, było w rzeczywistości ciężki bok, cichy depresyjny. Zupełnie jakby mój ojciec wycofał się ze zwykłego biegu życia, opadając na dno niczym zatopiona łódź, poprzez coraz głębsze warstwy obojętności, a jego pijatyki u Angela pogarszały tylko sytuację.

- Prędzej czy później dojdzie do siebie - pocieszyła mnie Toinette, gdy wyraziłam owe dręczące obawy. - Czasami robi się taki na miesiąc, pół roku, niekiedy dłużej. Ale tylko, że nie wszyscy mają podobne symptomy.

Zastałam ją w ogrodzie; zbierała limaki ze sterty drewna. Z wszystkich salarian ona jedna lubiła niepogodę.

- To musisz przyznać deszczowi na plus - oznajmiła, schylając się tak nisko, że trzasnęła jej w krzyk. - Wywabia limaki. - Sięgnęła z wysiłkiem za stertę drewna, strząsnęła i wrzuciła mi czaka do garnka. - Ha! Dorwałam go jednak. - Pokazała mi swój plon. - Najlepsze jedzenie na świecie. Pełza dookoła i aś się prosi, żeby je zgarnąć. Trzeba trochę posolić, żeby pozbyć się luzu. A potem wrzucić na patelnię z cebulką i czerwonym winem. Zapewnia życie wieczne. Co ci powiem - dodała nieoczekiwanie, podsuwając mi garnek. - Zabierz kilka sztuk dla ojca. Wydobdziesz go ze skorupy, co ty na to? - Zaniosła się radosnym chichotem.

Niestety, nie było to takie łatwe. Przyczyna tkwiła niewątpliwie w La Bouche; Grosjean bywał tam codziennie, choć woda nadal podchodziła. Czasami siedział aż do zmroku, niemrawo okopując podmyte groby lub - przeważnie - stojąc u wylotu przesmyku i obserwując morze, jak wznosi się i opada. La Bouche to klucz, powtarzałam sobie. Jeśli istniała jakakolwiek droga do mojego ojca, wiodła włącznie tamtędy.

18

Po mokrym sierpniu nastał wietrzny wrzesień i choć wichury zwróciły się ku zachodowi, warunki w Les Salants nie uległy zmianie na lepsze. Aristide paskudnie się przeziębiał podczas zbierania małży u wybrzeży la Goulue. Toinette Prossage również się rozchorowała, ale nie życzyła sobie, żeby Hilaire ją zbadał.

- Nie bódź mi ten konował mówił, co mam robić - wysapała z irytacją. - Niech lepiej dogląda koni i kóz. Jeszcze nie jest ze mną tak źle.

Omer udawał, że stroi sobie z tego arty, lecz widziałam, że się martwi. Zapalenie oskrzeli w wieku lat dziewięćdziesięciu to powód na sprawę. A pogoda nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę i mieli napięte nerwy.

La Bouche, w ogólnym mniemaniu, znalazło się na końcu listy naszych problemów.

- To zawsze było pechowe miejsce - zauważył Angelo, który pochodził z Fromentine i nie miał żadnych krewnych pochowanych w La Bouche. - Co możesz poradzić, h ?

Jedynie starsi ludzie naprawdę przejmowali się podtopieniem cementarza; między innymi Desiree Bastonnet, która odwiedzała grób syna ze wzruszającą akuracją co dwa tygodnie po mszy. Mimo zrozumienia dla uczucia Desiree przeważał pogląd, że żywi mają pierwsze prawo przed zmarłymi.

Jednak to Desiree zapoczątkowała kolejną falę zmian. Od dnia przyjazdu wymieniałam z nią tylko ukłony, ona natomiast ledwo kiwała mi głową i umykała po piesznie choć miałam wrażenie, że nie tylko nie życzy sobie rozmowy ze mną, ale boi się urazić Aristide'a. Tym razem była sama, szła drogą od strony La Houssiniere, odziana jak zwykle w ałobną czere. Umiechnęłam się do niej, gdy mnie mijala, ona zaś rzuciła mi zaskoczone spojrzenie, zerknęła ukradkiem na boki i odwzajemniła uśmiech. Jej drobna twarz kołysała się pod rondem czarnego kapelusza. W rękę ciskała bukiet żółtych kwiatów.

- Mimoza - wyjął, zauważając moje spojrzenie. Ulubiony kwiat Oliviera. Zawsze dostawał je na urodziny... takie wesołe kwiatuszki, tak licznie pachnące. - Umiechnęła się niepewnie. - Aristide mówi, że to nie ma sensu i drogo kosztuje poza sezonem. Ale pomyślałam sobie...

- Idź pani do La Bouche.

Desiree skinęła głową.

- Miałby teraz pięćdziesiąt sześć lat.

Pięćdziesiąt sześć lat; może byłby ojcem. Dostrzegłam w jej oczach jakiś błysk i niewypowiedziany smutek; wizję wnuków, które mogły przyjechać na wiat.

- Chce kupić tabliczkę - podjęła. - Do kogoś w La Houssiniere. „Ukochany syn. Zaginął na morzu”. Pere Alban mówi, że mogłabym składać pod nią kwiaty, kiedy tylko odwiedzę Les Immortelles. - Obdarzyła mnie słodkim, bolesnym uśmiechem. - Twojemu ojcu dopisało szczęście, Mado, cokolwiek mówi o tym Aristide. Ma szczęście, że wróciła do domu.

Była to najdłuższa przemowa, jaką kiedykolwiek słyszałam z ust Desiree Bastonnet. Tak

mnie zdumiała, że nie zdołałam wykrztusić słowa; a gdy wreszcie ułożyłam odpowiedź, Desiree już odeszła ze swoim bukietem mimozy.

Natknąłem się na Xaviera przy etier; płukał puste wiązki na homary. Wydawał się jeszcze bledszy niż zwykle, a okulary nadawały mu wygląd zabłąkanego naukowca.

- Twoja babcia chyba nie najlepiej się czuje - powiedziałam. - Przekaj jej, żeby mnie zawiadomiła następnym razem, gdy będzie się wybierała do La Houssiniere. Nie powinna przebywać takiej drogi pieszo, w jej wieku.

Xavier miał zakłopotany min.

- Pewnie się przeziębła - powiedział. - Człowiek przesiaduje w La Bouche. Myśli, że jeśli będzie się wystarczać co długo modliła, nastąpi cud. - Wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że gdyby w końcu chciała sprawić cud, już by to uczyniła.

Po drugiej stronie przesmyku dostrzegłem Ghislaina i jego brata przy wraku „Eleanore”. Jak było do przewidzenia, Mercedes siedziała w pobliżu, opiółując paznokcie; miała na sobie jaszkrawo fioletową koszulkę z napisem TO TUTAJ. Xavier ani na chwilę nie odrywał od niej oczu.

- Zaproponowano mi pracę w La Houssiniere - powiedział. - Przy pakowaniu ryb. Dobrze płacą.

- O?

Kiwnął głową.

- Nie mogę tu utknąć na zawsze - powiedział. - Muszę szukać zarobku. Wszyscy wiedzą, że z Les Salants już koniec. Lepiej brać, co dają, zanim ktoś mnie uprzedzi.

Znad wody dobiegł miech Ghislaina, nieco zbyt głośny, po którejś z uwag Damiana. Z dziobu „Eleanore” zwisał niedbale długi sznur z nawleczonymi barwenami.

- Kupuje te ryby od Jojo-le-Goelanda - zauważył cicho Xavier. - Udaje, że złowił je w La Goulue. Jakby już w ogóle obchodziło, ile on nałowi ryb.

Jak gdyby wiadoma, że o niej rozmawiamy, Mercedes wyjęła lusterko i poprawiła kredki ust.

- Żeby tylko dało się dziadkowi przemówić do rozumu mruknął Xavier. - Dom jest jeszcze coś wart. Łódź tak. Żeby on nie był taki zawzięty na houssinian... - Speszył się, jakby zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo.

- To stary człowiek - wtrąciłam. - Nie lubi zmian.

Xavier pokręcił głową.

- Próbował osuszyć La Bouche - wyjął, zniżając głos. - Myśli, że nikt nie wie.

Zdaniem Xaviera, dlatego wła nie zachorował; zi b chwycił, kiedy kopał rowki koło tablicy pami tkowej syna. Stary zd ył wykopa dziesi metrów rowu, zanim upadł. Znalazł go Grosjean, który pobiegł po Xaviera.

- Stary dure - podsumował nie bez czuła ci. - Naprawd my łał, e to co zmieni.

Zaskoczenie musiało si odbi na mojej twarzy, bo Xavier parskn ł miechem.

- Nie jest takim twardzielem, jakiego udaje - powiedział. - I wie, co La Bouche znaczy dla Desiree.

To mnie zdziwiło. Zawsze uwa ałam Aristide'a za patriarch , który nie zastanawia si nad uczuciami innych.

- Gdyby był sam - ci gn ł Xavier - ju dawno by si przeniósł do „Les Immortelles” lata temu, kiedy jeszcze mógł sprzeda dom za przyzwoit sum . Ale nie zrobiłby tego babci. Za ni te czuje si odpowiedzialny.

Rozmy łałam o tym, wracaj c do domu. Aristide - opieku czy mał onek? Aristide - sentymentalny? Zastanawiałam si , czy w moim ojcu równie kryje si co podobnego, czy za jego chmurn bierno ci płon ł niegdy ogie .

19

Przez kilka ostatnich dni Flynn był bardziej przyst pny, jego zachowanie bli sze temu, co prezentował podczas naszego pierwszego spotkania w La Houssiniere, w towarzystwie dwóch sióstr. Mo e z powodu Grosjeana; po odrzuceniu propozycji Brismanda, by umie ci ojca w „Les Immortelles”, niech , z jak si do mnie odnoszono w Les Salants, wyczuwalnie zel ała pomimo drwin Aristide'a. Przekonałam si , e Flynn naprawd lubi mojego ojca i było mi troch wstyd, e tak niesprawiedliwie go oceniłam. Za u ytkowanie blokhauzu zapłacił ci k prac ; nawet teraz wpadał co kilka dni, przynosz c złowion (lub ukradzion) ryb albo jakie warzywa, a przy okazji dokonuj c przyobiecanych Grosjeanowi napraw. Zacz łam si dziwi , jak mój ojciec dawał sobie rad bez Flynnna.

- O, całkiem dobrze - zapewnił mnie Flynn. - Jest twardszy, ni ci si wydaje, i bardzo uparty.

Zastałam Flynnna wieczorem w blokhauzie; pracował nad doprowadzeniem wody.

- Piasek pod skałami działa jak filtr - wyja nił. - Aktywno powierzchniowa podnosi poziom wody. Pozostaje mi tylko przepompowa j przez t rur .

Był to typowy dla niego przebłysk pomysłowo ci. W całej wiosce dały się zauważyć lady jego działalności: stary wiatrak, przebudowany tak, że osuszał pola, agregat prądowy w domu Grosjeana, kilkanaście uszkodzonych bądź popsutych urządzeń, które zostały naprawione, wyczyszczone, naoliwione, dostosowane, przerobione i uruchomione na nowo jedynie dzięki smykałce i kilku czynom zapasowym.

Opowiedziałam Flynnowi o mojej rozmowie z Xavierem i zapytałam, czy może na by zbudować coś podobnego, co osuszyłoby La Bouche.

- Osuszy może na - odparł po namyśle - ale nie na długo. Kiedy przytytu podtopi go na nowo.

Przemyslałam jego słowa. Miał rację: cmentarz La Bouche potrzebował czegoś więcej niż melioracji. Potrzebowali my czegoś takiego, jak falochron w La Houssiniere, solidnej kamiennej bariery, chroniącej wylot La Bouche i powstrzymującej fale przytytu przed wdzieraniem się do przesmyku. Podsunęłam to Flynnowi.

- Jeśli houssinianie potrafili zbudować groblę - powiedziałam - my też potrafimy. Możemy użyć kamieni z La Goulue. Przywróciliby nam bezpieczeństwo.

Flynn wzruszył ramionami.

- By może. Zakładając, że zdobiesz trochę pieniędzy. Przekonasz ludzi, żeby ci pomogli. I wybierzesz właściwe miejsce. Wystarczy się pomylić o kilka metrów i cała robota na nic. Nie wystarczy ot, tak sobie, zwałiś ton skały przy Point i liczy, że to zadziała. Będzie ci potrzebny inżynier.

Nie dałam się zniechęcić.

- Ale może na to przeprowadzi? - spytałam z naciskiem.

- Nie bardzo. - Przyjrzał się pompie i coś w niej poprawił. - Twój problem nie zniknie, tylko przeniesie się w inne miejsce. Procesu erozji tak nie odwrócisz.

- Nie, ale może da się ocalić La Bouche.

Dostrzegłam na twarzy Flynn'a rozbawienie.

- Stary cmentarz? W jakim celu?

Przypomniałam mu o Grosjeanie.

- Bardzo to wszystko przeżył - wyjaśniłam. - Wiata, La Bouche, „Eleanore”... - No i mój przyjazd, rzecz jasna, dodałam w duchu. Oraz związane z nim zamieszanie. - Uważa, że to moja wina - dokończyłam po chwili.

- Wcale nie.

- Przeze mnie upu cił wi t . A teraz jeszcze La Bouche...

- Na miło bosk , Mado. Czy ty zawsze musisz bra na siebie odpowiedzialno ? Nigdy nie zostawisz w spokoju biegu wydarze ? - Głos Flynnna brzmiał oschle. - On ci nie obwinia, Mado. Obwinia siebie.

20

Zawiedziona, e nie udało mi si przekona Flynnna, poszłam prosto do La Bouche. Trwał odpływ i poziom wody był niski, lecz mimo to wiele grobów znajdowało si pod wod , a cie k wypełniały gł bokie kału e. Im bli ej przesmyku, tym powa niej wygl dały szkody: przez wyrw w umocnionym brzegu przeciekał morski szlam.

Tu wła nie, jak zauwa yłam, pojawił si słaby punkt na odcinku nie dłu szym ni pi tna cie metrów. T dy przelewała si fala przyplýwu, ilekro napierał na przesmyk, podobnie jak w Les Salants, zanim osiadła na słonej mieli nie. Gdyby tylko dało si troch podnie wały, woda miałaby czas si cofn .

Kto ju podj ł prób , pi trz c worki z piaskiem nad kraw dzi przesmyku. Prawdopodobnie mój ojciec albo Aristide. Było jednak oczywiste, e same worki nie wystarcz ; aby naprawd chroniły, nale ałoby zgromadzi ich setki. Ponownie rozwa yłam kamienn barier ; nie w La Goulue, lecz tutaj. Prowizoryczny rodek, by mo e, ale przyci gaj cy uwag , u wiadamiaj cy salanianom mo liwo ci...

Pomy lałam o traktorze z przyczep , stoj cym na podwórzu przy warsztacie. Był tam równie podno nik, gdybym tylko zdołała go uruchomi : wci garka przeznaczona do ustawiania lodzi w odpowiednim poło eniu dla dokonania przegl du czy napraw. Działała w powolnym tempie, wiedziałam jednak, e ud wignie ka d ryback łód , nawet tak jak „Marie Joseph” Jojo-le-Goelanda. Z pomoc podno nika, my lałam, mogłabym nawet przywlec nad przesmyk pojedyncze głazy i wznie co w rodzaju bariery, któr by si pó niej wzmocniło wałami ziemnymi i zabezpieczyło kamieniami oraz brezentowymi płachtami. To mogłoby zadziała , powiedziałam sobie. Tak czy inaczej, warto było spróbow a .

Sprowadzenie traktora z przyczep do La Bouche zaj ło mi prawie dwie godziny. Tymczasem nadeszło popołudnie, cho sło ce przebijało blado przez powłok chmur, a kierunek

wiatru znowu uległ zmianie, zwracając się ostro na południe. Włożyłam rybackie gumki i vareuse, włóczkowate czapki i rękawiczki, lecz mimo to odczuwałam chłód, a powiewy wiatru niosły z sobą wilgoć; nie deszcz, tylko drobny mżawkę, towarzysząc przyływowi. Sprawdziłam położenie słupa; wynikało z niego, że mam cztery, może pięć godzin. Niewiele czasu, by zrobić to, co było do zrobienia.

Pracowałam najszybciej, jak potrafiłam. Już wczoraj nie wypatrzyłam kilkadziesiąt pojedynczych głazów, okazało się jednak, że tkwią w piasku mocniej, niż mi się wydawało, i musiałam je wykopać. W dołach wezbrała woda i do wycięcia głazów użyłam traktora. Wcięgarka z irytującą powolnością przenosiła je na miejsce krótkim, dynamicznym uchwytem. Musiałam je kilkakrotnie przestawiać, zanim uzyskałam odpowiednie położenie; za każdym razem poprawiałam łańcuchy opasujące głaz i wracałam do podnośnika, a potem opuszczałam uchwyt tak, by skała ułożyła się na brzegu we właściwej pozycji, umożliwiającej zdjęcie łańcucha. Zdobyłam je przemocą mimo rybackiego przyodziewku, ale nie zwracałam na to uwagi. Widziałam, że poziom wody cięgle się podnosi; przy uszkodzonym brzegu był wręcz niebezpiecznie wysoki, a powierzchnia marszczyła się lekko. Głazy znajdowały się jednak na miejscu, okryte brezentową płachtą, i aby je dodatkowo zabezpieczyć, potrzebowałam tylko paru mniejszych kamieni i kilku łopat ziemi do umocnienia konstrukcji.

I wtedy właśnie nie zepsuł się podnośnik. Nie jestem pewna, czy nawaliło ramie, zmuszone do wysiłków przekraczających jego wytrzymałość, czy coś w silniku, czy może zawinięła płytką woda, po której je dźwigała – może maszyna stanęła i nie chciała ruszyć. Zmarnowałam sporo czasu, szukając przyczyn usterki, a gdy ich nie znalazłam, zaczęłam przenosić kamienie własnoręcznie, wybierając najwłaściwsze, jakie zdołałam udźwignąć, i obsypując je łopatami ziemi. Przyływ wzbierał radośnie, napędzany południowym wiatrem. Z oddali dobiegał szum fal wdzierających się na mielizny. Kopałam dalej, wólcami przyczepiłam na brzeg. Użyłam całej brezentu, obciążając go kamieniami, aby woda nie wypłukała ziemi.

Zabezpieczyłam mniej niż jedną czwartą nieodzownego odcinka. Mimo to moje prowizoryczne umocnienia zdawały egzamin. Gdyby tylko podnośnik nie odmówił posłuszeństwa...

Zapadał zmrok, choć chmury nieco się rozproszyły. Niebo nad Les Salants przybrało złowrobną, czerwono-czarne barwy. Przystanęłam na chwilę, by rozprostować obolałe plecy, i na grzbiecie wydmy dostrzegłam jak sylwetkę, rysującą się na tle nieba.

Gros Jean. Nie widziałam jego twarzy, lecz układ ciała zdradzał, że mnie obserwuje. Trwał tak jeszcze przez krótką chwilę, a potem, gdy zaczął brnąć niezdarnie w jego stronę przez zamuloną wodę, po prostu odwrócił się i zniknął za zboczem wydmy. Ruszyłam jego ładem, lecz zmęczona, poruszałam się zbyt wolno i zdawałam sobie sprawę, że go już nie dogonię.

Ponieważ widziałam przed sobą wpływający w przesmyk. Przytyw nie osiągnął jeszcze wysokiego poziomu, ale z obecnego punktu obserwacyjnego dostrzegłam słabe punkty w moich zabezpieczeniach, miejsca, w których zwinne palce brunatnych fal wydlubiły ziemię i kamienie, tworząc wyrwy. Traktor stał już po sam brzuszek w wodzie; jeszcze trochę, a zaleje silnik. Zakląłam i runęłam biegiem w stronę przesmyku. Uruchomiłam traktor, który dwukrotnie zgasł, zanim wreszcie udało mi się wyprowadzić go - przy wtórze głośnie protestów i w kłóbach tłustego dymu - w bezpieczniejsze miejsce.

Niech diabli wezmą przytyw. Niech diabli wezmą szczęście. Ze złości cisnęłam kamieniem w wodę. Obił się o brzeg z ironicznym młaniem. Podniosłam szczętki zwiędłej azalii i posłałam je w ład za kamieniem. Nagle wezbrał we mnie gwałtowny, apokaliptyczny gniew i w jednej sekundzie zaczął się gąszyć po następne pociski, kamienie, kawałki drewna, rozmaite szczętki. Łopata leżała na przyczepie traktora; złapałam ją i wbiłam z wściekłością w podmokły grunt, kopiąc zajadle i wyrzucając obfite fontanny ziemi i wody. Z oczu spływały mi strumienie łez, gardło miałam obolałe. Zatraciłam się w tej czynności.

- Mado, przestań już. Mado.

Zapewne go słyszałam, ale odwróciłam się, dopiero gdy poczułam dłoń na ramieniu. Na palcach pod rękawiczkami zrobiły mi się pęcherze. Mój oddech niemal płonął. Twarz miałam zbryzgana błotem. Stał za mną po kostki w wodzie, jego zwykły ironiczny grymas ust pił miejsca zagniewaniu i trosce.

- Na miłość boską, Mado. Nigdy nie dajesz za wygraną?

- Flynn. - Wbiłam w niego bezmyślne spojrzenie. - Co tutaj robisz?

- Szukałem Grosjeana. - Zmarszczył brwi. - Znalazłem coś, co morze wyrzuciło w La Goulue. Pomyślałem, że mogłoby go to zainteresować.

- Wić cię z homarami - podsunęłam cierpko, przypominając sobie ów pierwszy dzień w La Goulue.

Flynn odetchnął głębiej.

- Jeste równie szalona jak on - powiedział. - Wykończysz się w tych warunkach.

- Kto musi coś zrobić - odparłam, podnosząc łopat, którą upuściłam, kiedy mi przeszkodził. - Ktoś im musi pokazać.

- Komu? I co pokazać? - Starał się panować nad sobą, lecz nie bardzo mu to wychodziło; jego oczy rzucały groźne błyski.

- Pokaż, jak się broni. - Spiorunowałam go wzrokiem. - Jak poćwiasty.

- Poćwiasty? - powtórzył drwiąc. - Chyba już tego próbowałaś. I jak, osi gnęła coś?

- Dobrze wiesz, dlaczego nic nie osi gnęłam. Gdyby tylko zechciał się przyłożyć... Ciebie by posłuchali.

Z wysiłkiem zniżył głos.

- Zdaje się, że nie rozumiesz. Ja nie chcę się angażować. Przez całe życie bez przerwy ałuję, że się zaangażowałem w to czy tamto. Jedno zawsze prowadzi do drugiego, a potem do następnego.

- Jeśli Brismand potrafił zabezpieczyć Les Immortelles - nalegałam przez zaciśnięcie zębów - my możemy zrobić to samo. Moglibyśmy odbudować stary falochron, wzmocnić cianki klifu w La Goulue...

- Jasne - prychnął ironicznie Flynn. - Ty, dwieście ton skały, spychacz, inżynier brzegowy... aha, i jeszcze z pół miliona franków.

Zatkało mnie na moment.

- A tyle? - wykrztusiłam wreszcie.

- Co najmniej.

- Jak się zdaje, dużo wiesz na ten temat.

- Owszem. Zwracam uwagę na takie rzeczy. Widziałem prace w Les Immortelles. Zapewniam ci, że nie było łatwo. A Brismand wykorzystał fundamenty położone ponad trzydzieści lat temu. Ty zaś mówisz o zaczynaniu od zera.

- Potrafiłby coś wymyślić, gdyby zechciał - powtórzyłam, dygocząc. - Orientujesz się, na czym to wszystko polega. Mogłoby znaleźć sposób.

- Nie - zaprzeczył Flynn. - A nawet gdybym mógł, to w jakim celu? La Houssinière potrzebuje tej plaży. Czerpie z niej zyski. Po co naruszać równowagę?

- Brismand już ją naruszył - rzuciłam ostro. - Wiedział, że kradnie nam piasek. Piasek z La Jetée, który powinien nas chronić.

Flynn wpatrywał się w horyzont, jakby mógł tam wyłedzić coś godnego uwagi.

- Nigdy nie dajesz za wygraną, prawda?

- Nigdy - odparłam bezbarwnym tonem.

Nie patrzył na mnie. Nisko wiszące chmury miały niemal ten sam ochrowy odcień co jego włosy. Słone tchnienie wzbierające przy przyływie szczypało mnie w oczy.

- I nie zrezygnujesz, dopóki nie uzyskasz rezultatów?

- Nie.

Chwila ciszy.

- Czy rzeczywiście cię warto? - spytał wreszcie.

- Moim zdaniem, tak.

- Słowo daj. Jeszcze jedno pokolenie i nikt tu nie zostanie. Przyjrzyj się im, na miłość boską. Kiedyś, kto miał choć szczyptę rozsądku, już dawno wyjechał. Nie lepiej byłoby po prostu zostawić to naturze?

Popatrzyłam na niego bez słowa.

- Lokalne społeczeństwo cię czuje obumierając. - Jego cichy głos brzmiał przekonująco. - Wiesz o tym. To czuje tętno tego życia. Może nawet tak jest lepiej. Ludzie zaczęli nareszcie myśleć samodzielnie. Ułożyli sobie życie od nowa. Spójrz na nich, jak się krzywią między sobą. Przyda im się zastrzyk wiekowej krwi. Tutaj po prostu kurczowo trzymaj się pustki.

- To nieprawda - obstawałam przy swoim. - Maj prawo. I zbyt wielu z nich to starzy ludzie. Zbyt starzy, by gdziekolwiek zaczynać od nowa. Przypomnij sobie Matthiasa Guenole albo Aristide'a Bastonneta czy Toinette Prossage. Znajdź jedynie wyspę. Oni nigdy nie przeprowadzą się na kontynent, nawet jeśli to zrobi ich dzieci.

Wzruszył ramionami.

- Wyspa niekończy się na Les Salants.

- Co? Maj zostać obywatelami drugiej kategorii w La Houssinière? Płacić czynsz Claude'owi Brismandowi? Skąd wezmą pieniądze? Wiesz przecież, że jeden z tych domów nie jest ubezpieczony. Stój za blisko morza.

- Pozostaje jeszcze „Les Immortelles” - przypomniał łagodnie.

- Nie! - Prawdopodobnie myślałam o ojcu. - To nie do przyjęcia. Tu jest nasz dom. Niedoskonały, niełatwo w nim żyć, ale tak się rzeczy mają. Tu jest dom - powtórzyłam. I tu zostaniemy.

Czekałam. Intensywny zapach przybieraj cego morza stał si przytłaczaj cy. Szum fal pulsował mi w głowie i w yłach niczym krew. Patrzyłam na Flynnna i czekałam, a si odezwie, czuj c, jak ogarnia mnie nagle wielki spokój.

W ko cu spojrzął na mnie i pokiwał głow .

- Jeste uparta. Podobnie jak twój ojciec.

- Jestem salaniank - odparłam z u miechem. - Kapu ciana głowa.

Nast piła kolejna, dłu sza pauza.

- Nawet gdybym wymy lił jaki sposób, to wiesz, mo e nie zadziała . Przebudowa wiatraka to jedno, ale tu wchodzi w gr co innego. Nie ma adnej gwarancji, e si uda. B dziemy musieli skłoni ich do współdziałania. Zagna do roboty wszystkich w Les Salants. Trzeba nam cudu.

Nam. Od tego słowa zapłon ły mi policzki, a serce podskoczyło gwałtownie w piersi.

- Wi c to mo liwe? - Zapało mi dech, mój głos brzmiał groteskowo. - Istnieje sposób, eby zapobiec podtopieniom?

- Musz si nad tym zastanowi . Ale to jest sposób, eby zacz li działa wspólnie.

Patrzył na mnie dziwnym wzrokiem, jak gdyby z rozbawieniem. W jego oczach pojawiło si jednak co jeszcze, wyraz nieruchomego skupienia, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy. Nie byłam pewna, czy mi si to podoba.

- Wiesz - odezwał si po chwili - wcale nie wiadomo, czy kto ci za to podzi kuje. Nawet je li si uda, mog ci mie za złe. Ju wyrobiła sobie reputacj .

Wiedziałam o tym.

- Wszystko mi jedno.

- W dodatku złamiemy prawo - ci gn ł. - Powinna zwróci si o zezwolenie, dostarczy plany, dokumentacj . To najwyra niej nie wchodzi w rachub .

- Ju mówiłam, wszystko mi jedno.

- Trzeba nam cudu - powtórzył, czułam jednak, e wzbiera w nim miech. W jego oczach, jeszcze przed chwil tak chłodnych, ta czyły iskierki.

- No wi c?

Za miał si nieskr powanie, a ja u wiadomiłam sobie, e cho mieszka cy Les Salants cz sto si u miechaj , parskaj , a nawet chichocz pod nosem, tylko nielicznym spo ród nich zdarza si gło no mia . Był to dla mnie dziwny, egzotyczny d wi k, pochodz cy z jakiego

odległego miejsca.

- Zgoda - powiedział Flynn.

CZ DRUGA

Odwracanie przyływu

W nocy zalało dom Omera. Woda w przesmyku wezbrała po deszczach i gdy nadszedł przyływ, znowu przerwała umocnienia; a ponieważ dom Omera stał najbliżej, ucierpiał w pierwszej kolejności.

- Ostatnio nawet nie kłopoty się wynoszeniem mebli wyjechała Toinette. - Charlotte otwiera po prostu wszystkie drzwi i czeka, a woda wyleje się tyłem. Wziąłbym ich do siebie, ale nie mam miejsca. Poza tym ich córka zamazała mnie na śmierć. Jestem za stara, żeby wytrzymała z młodzieńcami.

Mercedes wkroczyła w fazę buntu. Znużony Ghislainem i Xavierem, zaczęła przesiadywać w „Chat Noir” w La Houssinière, królując w gronie wielbicieli. Xavier przypisywał to zaborczej postawie Aristide’a. Charlotte, która mogła wezwać dodatkową pomoc, nie miała do tego głowy. Toinette przewidywała katastrofę.

- Mercedes igra z ogniem - oznajmiła. - Xavier Bastonnet to dobry chłopak, ale w głębi duszy jest równie zawzięty, jak jego dziadek. Ona go w końcu straci, a znajcie mój Mercedes, wtedy właśnie nie odkryje, że tylko na nim jej zależało.

Jeżeli Mercedes oczekiwała reakcji na swoją nieobecność, spotkał ją zawód. Ghislain i Xavier przeszywali się nawzajem spojrzeniami nad etier, niczym zważeni kochankowie. Od czasu do czasu zdarzały się drobne złośliwości, o które kiedyś z nich obwiniał rywala - pociecha na „Cecylii”, kłębki rosówek, które tajemniczym sposobem znalazły się w bucie Ghislaina - choć aden nie potrafił niczego udowodnić. Młody Damien zniknął z Les Salants i teraz przebywał głównie w okolicach promenady, wdając się w bójki.

Mnie również przyciągało to miejsce. Nawet poza sezonem tętniło tam życie, rysowały się nieprzewidywalne możliwości. Les Salants było martwe, toniło w stagnacji. Sam widok sprawiał ból. Poszłam do Les Immortelles ze szkicownikiem i ołówkami, choć moje zdrętwiałe palce nie potrafiły już rysować. Czekałam; nie wiem, na co, nie wiem, na kogo.

Flynn nie chciał powiedzieć, czego mam się spodziewać. Byłoby lepiej, oznajmił, gdybym nie wiedziała. Wtedy moje reakcje okazały się bardziej spontaniczne. Po naszej rozmowie zniknął na dłużej i choć wiedziałam, że co planuje, nie chciał mi udzielić wyjaśnień, gdy go wreszcie wytropiłam.

- Potpisz mnie. - Wydawał się napompowany energią, jego oczy ciskały iskry, szare,

połyskliwe i nieprzewidywalne niczym proch strzelniczy. Za jego plecami widziałam uchylone drzwi blokhauzu, a w środku coś do niego, owiniętego w papier. Łopata opierała się o ścianę, czarna od szlamu z mielizny. Flynn, zauważywszy moje spojrzenie, zamknął drzwi kopniakiem.

- Jesteś zbyt podejrzliwa, Mado - westchnął. - Mówiłem ci przecież, nie pracuj nad moim cudem.

- Skąd mam wiedzieć, że nie są piły?

- Będziesz wiedziała.

Obejrzałam się ponownie na drzwi blokhauzu.

- Chyba niczego nie ukradłam?

- Oczywiście, że nie. Zostały po mnie tylko szczątki wyrzucone przez morze.

- Znowu kradzież - oznajmiłam z dezaprobatą.

Wyszczerzył zębami w uśmiechu.

- Nigdy mi nie zapomnisz tych homarów? Co znaczy jedna mała kradzież mi przyjacielami?

- Kto ci kiedy przyłapie - oznajmiłam, powściągnij się uśmiech - i jeśli zarobisz postrzał ze ruty, dobrze ci tak.

Flynn parsknął tylko śmiechem, lecz nazajutrz rano znalazłam za kuchennymi drzwiami starannie zapakowaną paczkę, owiniętą w czerwony wstążek.

Wewnątrz znajdował się jeden homar.

Wkrótce potem nadeszła zimna, wietrzna noc. W takie noce Gros Jean często zdradzał niepokój. Wstawał z łóżka i sprawdzał okiennice albo popijał kawę w kuchni, nasłuchując szumu morza. Zastanawiałam się, czego właściwie nasłuchuje.

Tamtej nocy słyszałam go wyraźnie, bo i ja nie mogłam zasnąć. Znowu zerwał się wiatr od wschodu i słyszałam, jak dobija się do drzwi i okien niczym stado rozzuchwalonych szczurów. Około północy zapadłam w drzemkę i przyśniła mi się matka, o czym niemal natychmiast zapomniałam, lecz te sny kojarzyły się z rytmem jej oddechu, gdy leżałyśmy obok siebie w jednym z wielu tanich, wynajmowanych pokoi; jej oddech, który od czasu do czasu zatrzymywał się na pół minuty lub nawet dłużej, a potem powracał ze słyszalnym charkotem...

Wstałam o pierwszej i zaparzyłam kawę. Widziałam przez szpary okiennic czerwone światło latarni za La Jetée, a dalej ciemnopomarańczowe niebo, rozdzielane górami

błyskawicami. Morze dyszało chrapliwie; wichura, choć nie nabrała siły sztormu, zmuszała do piewu liny kotwiczne, zasypując szyby fontannami piasku. Nasłuchując, odniosłam wrażenie, że dobiega mnie pojedyncze uderzenie dzwonu - jedno tępne „bum!” ponad szumem wiatru. To zapewne kaprys wyobraźni, pomyślałam, noc płata mi figle; lecz zaraz usłyszałam ten dźwięk po raz drugi, a potem trzeci, wyraźnie i jednoznacznie poprzez wycie wichru i szum fal. „

Zadręłam.

A więc się zaczęło.

Bicie dzwonu narastało, niesione z La Pointe porywami wiatru. Brzmiało niesamowicie, nienaturalnie głucho, jak gdyby zatopiony kościół dzwonił na trwogę. Tuż za skalistym Pointe dostrzegłam coś niezwyklego, roztańczony, niebieskawy odblask morza. Wysłał w górę wietliste smugi, co najmniej dwa razy, rozdzierając chmury gwałtownym rozbłyskiem bladego ognia.

Nieoczekiwanie uwiadomiłam sobie, że Grosjean stoi za mną. Był ubrany; miał na sobie nawet vareuse i gumki.

- Wszystko w porządku - powiedziałam. - Nie ma powodów do zmartwienia. To tylko sztorm, nic więcej.

Ojciec milczał. Trwał obok mnie niby figura wyciosana z drewna, jak jedna z zabawek, które niegdyś bawił dla mnie z okrawków. Nie dał mi w żaden sposób do zrozumienia, że mnie słyszy. Wyczuwałam jednak silne emocje, co, co chwyciło mnie jak kot nylonowy po czochoch. Jego dłonie dręły.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzyłam idiotycznie.

- La Marinette - powiedział mój ojciec.

Jego głos zabrzmiał chrapliwie, jakby go od dawna nie używał. Nierozszyfrowane sylaby przez chwilę cigały się w moim umyśle.

- La Marinette - powtórzył Grosjean, tym razem z większym naciskiem, kładąc mi dłoń na ramieniu. Jego błękitne oczy przybrały błagalny wyraz.

- To tylko kościelny dzwon - pocieszyłam go. - Ja też to słyszę. Po prostu wiatr niesie dźwięki z La Houssiniere.

Grosjean niecierpliwie pokręcił głową.

- La... Marinette - powtórzył.

Flynn - byłam pewna, że to jego dzieło - wybrał właściwy symbol we właściwym czasie. Ale reakcja ojca na dźwięk dzwonu zmroziła mnie. Wyrwał się naprzód niczym pies na smyczy,

ciskaj c moje rami tak mocno, e niew tpliwie pozostawil si ce. Jego twarz byla biala.

- Prosz , powiedz mi, o co chodzi - przemowilam, delikatnie wysuwaj c rami . - Co jest nie w porz dku?

Ale Grosjean ju nie potrafil nic powiedzie . Przemawialy tylko jego oczy, mrocne i rozplomienione, niczym oczy wi tego, ktory zbyt dlugo przebywal na pustyni i postradal zmysly.

- Pjd si rozejrze - oznajmilam. - Zaraz wróc .

Zostawilam go z twarz przy szybie, naci gn lam przeciwdeszczow kurtk i wyslam prosto w d d yst noc.

22

Szum fal rozbrzmiewal dono nie, lecz d wi k dzwonu wybijal si ponad ten szum, gl boki i ci ki, wprawiaj cy w dr enie cal wysp - a przynajmniej tak si wydawalo. Zaledwie zbli ylam si do wydmy, wytrysn l zza niej kolejny snop wiatla. Przemkn l po niebie, roz wietlaj c wszystko, a potem znikn l bez ladu. Widzialam wiatla padaj ce od okien, rozchylaj ce si okiennice i sylwetki - nie do rozpoznania w dlugich plaszczach i wloczkowych czapkach staj ce ciekawsko w drzwiach i wychylaj ce si przez plot. Pod znakiem drogowym zauwalam zwalist sylwetk Omera, ktoremu towarzyszyla zwiewna posta w szlafroku - niew tpliwie Charlotte. Przy oknie uplasowala si rownie Mercedes w nocnej koszuli. Zjawili si Ghislain i Alain Guenole, a tu za nimi Matthias. Gromada dzieci w rod nich Lolo i Damien. Lolo mial na glowie czerwon czapk i skakal wawo w niklym wietle zza otwartych drzwi. Jego cie wyprawial harce. Glos ledwo docieral poprzez d wi k dzwonu.

- Co si tam dzieje, do diabla? - Glos Angela tlumila rybacka czapka i peleryna. Mial przy sobie latark i za wecił mi ni w twarz, jakby spodziewal si intruza. Gdy mnie rozpoznal, wyra nie si uspokoil.

- A, to ty, Mado. Byla mo e na Point ? Co si tam dzieje?

- Nie wiem. - Podmuchy wiatru sprawily, e moj glos brzmial cicho i niepewnie. - Zobaczylam wiatla.

- Ha, jak mo na ich nie widzie ? - Guenole dotarli do wydmy z lampami i strzelbami. - Je li jaki sukinsyn wyczynia sztuczki... - Alain wykonal wymowny gest swoj rutowk . - Ci Bastonnetowie s do tego zdolni. Zaraz pjd na Point i sam zobacz , co si tam dzieje, ale

zostawi młodego na straży. Jeśli myślisz, że dam się na to nabrać, to chyba im się wydaje, że urodziłem się wczoraj.

- Ktokolwiek się za tym kryje, to nie Bastonnetowie oznajmił Angelo. - Już widzę Aristide'a, a Xavier trzyma go pod ręką. Bardzo się spieszy.

Istotnie, staruszek ku tykał najszybciej, jak potrafił, wzdłuż Rue de l'Océan, wspierając się z jednej strony na lasce, z drugiej zaś na ramieniu wnuka. Jego długie włosy powiewały dziko spod rybackiej czapki.

- Guenole! - ryknął, zaledwie znalazłszy się w zasięgu słuchu. - Powiniennem być wiedzieć, że to wy się za tym kryjecie, sukinsyny! Co wy sobie, do diabła, wyobrażacie, budząc ludzi o tej porze?

Matthias parsknął miechem.

- Nie myśl, że możesz rzucić mi piaskiem w oczy - powiedział. - Nieczyste sumienie zawsze najgłośniej krzyczy. Chyba nie powiesz, że nic o tym nie wiedziałeś, he? Bo po co byś tak szybko zgłaszał?

- Moja matka zniknęła - odparł Aristide. - Usłyszałem tylko trzask drzwi. Wyszła na skały przy tej pogodzie... w jej wieku. Zamierznie na śmierć! - Uniósł łaskę, głos łamał mu się z gniewu. - Czy nie zostawisz jej w spokoju? - wykrzyknął chrapliwie. - Nie wystarczy, że nasz syn... twój syn... - Zamachnął się łaską na Matthiasa i byłby upadł, gdyby Xavier go nie podtrzymał. Ghislain uniósł swój rutówkę, Aristide zarechotał.

- No, dalej e! - wrzasnął. - Strzelaj do mnie i sprawdź, czy mnie to obchodzi! Zastrzel jednonogiego starca, co ci zależy, czego w końcu można się spodziewać po Guenole. No, strzelaj, mogą stanąć bliżej, wtedy nawet ty trafisz... Santa Marina, czy ten przeklęty dzwonek wreszcie nie zamilknie? - Postąpił o jeden długi krok naprzód, lecz powstrzymał go Xavier.

- Mój ojciec mówi, że to La Marinette - powiedziałam.

Guenole i Bastonnetowie wpatrywali się we mnie przez chwilę. Aristide pokręcił głową.

- Nie - zaprzeczył. - Po prostu ktoś się wygłupia. Nikt nie słyszał La Marinette od czasu, gdy...

Wiedziona przecuciem, obejrzałam się w stronę wydmy. Dostrzegłam sylwetki mężczyzn na tle zachmurzonego nieba i rozpoznałam mojego ojca. Aristide tego go zobaczył i ze stłumionym uśmiechem ugryzł się w język.

- Ojciec - zaczęłam łagodnie - dlaczego nie idziesz do domu?

Gros Jean nawet nie drgnął. Objąłem go i poczułam, że drży.

- Słuchajcie, wszyscy jesteście myżczyźni - odezwał się przyciszonym głosem Alain. - Chodźmy sprawdzić, co się dzieje. Wstałem dzisiaj skoro wstanie. - Z nieoczekiwaną gwałtownością odwrócił się do syna. - A ty, na rany Chrystusa, odłóż cholerną strzelbę. Wyobraź sobie, że jesteś na Dzikim Zachodzie?

- Jest naładowana tylko solą - zaczął Ghislain.

- Powiedziałem, odłóż ją!

Ghislain z uraioną miną opuścił broń. Nad Point wyszły dwie kolejne racje, wypełniając ciśnie powietrze skwierczącym, błękitnym ogniem. Grosjean wzdygnął się na ten dźwięk.

- Ognie tego Elma - oznajmił Angelo.

Aristide nie wydawał się przekonany. Pomaszerowaliśmy w stronę Point Griznoz. Dołączyli do nas Omer i Charlotte Prossage, a potem podpierający się łaską Hilaire, Toinette i kilka innych osób. Dum-dum, grzmiał zatopiony dzwon, błękitne ognie trzaskały, a podniesione głosy zdradzały podniecenie, które łatwo mogło się przerodzić w gniew, lęk lub coś jeszcze gorszego. Poszukałam wzrokiem Flynną, ale nigdzie go nie dostrzegłam. Poczułam ukłucie niepokoju; miałam nadzieję, że ten człowiek wie, co robi.

Pomogłam Grosjeanowi wspiąć się na wydmę. Xavier szedł przodem, niosąc latarnię, Aristide zaś podał za nami, powłócząc drewnianą nogę i mocno podpierając się łaską. Ludzie szybko nas wyprzedzili, sadząc nierównymi susami po sypkim piasku. Zauważyłam Mercedes z rozpuszczonymi włosami, w płaszczu narzuconym na białą nocną koszulę, i zrozumiałam, dlaczego Xavier wysforował się naprzód.

- Desiree - wymamrotał Aristide.

- Wszystko w porządku - powiedziałam. - Na pewno nic jej nie stało.

Ale stary mnie nie słuchał.

- Już raz go słyszałam, wiesz - mruknął tak cicho, jakby mówił do siebie. - La Marinette. W lecie Czarnego Roku, tego dnia, kiedy utonął Olivier. Wmawiałem sobie, że to kadłub trawlera tak łomocze, bo rzuca nim fala. Potem zrozumiałem. To były dźwięki La Marinette. Zwiastowały nieszczęście, jak zawsze. A Alain Guenole... - Jego ton uległ gwałtownej zmianie. - Alain się z nim przyjaźnił, wiesz? Byli rówieśnikami. Wypływali razem na połowy, choć nie pochwalali mnie tego.

Był już zmęczony, opierał się mocno na lasce, gdy okrążyli my dół wydm. Za nimi trzymały się skały Point Griznoz, a ocalała ściana zniszczonej kaplicy Sainte-Marine rysowała się na tle nieba niczym megalit.

- Powinien tam być - powiedział Aristide władczym tonem. - Umówili się na dwunastą, żeby uratować, co się da, ze starego statku. Gdyby przyszedł, może by ocalił mojego syna. Gdyby przyszedł. Ale on zabawiał się na wydmach ze swoją dziewczyną, Evelyne Gaillard, córką Georges'a Gaillarda z La Houssinière. Stracił poczucie czasu. Poczucie czasu! powtórzył stary niemal tryumfalnie. - Pieprzył się do upadłego z tą houssinière, kiedy jego przyjaciel, mój syn...

Dyszał ciężko, zanim wspierali się na grzbiet wydmy. Zebrała się tam już grupa salarian; latarki i latarnie oświetlały ich twarze. Ognie w tym Elma - jeżeli to były one zniknęły. Umilkł także dzwon.

- To znak! - wykrzyknął jakiś głos, zdaje się, że Matthiasa Guenole.

- To podstęp - mruknął Aristide.

Z każdą chwilę przybywało ludzi. Zjawiła się już połowa wioski i mogłam sobie o zakład, że na tym nie koniec.

Wiatr siekł nam twarze solą i piaskiem. Jakie dziecko zaczęło płakać. Słyszałam za plecami szmer modlitwy. Toinette wykrzykiwała coś o Sainte-Marine - pacierz albo przestroga.

- Gdzie jest moja siostra? - głos Aristide'a wzniósł się ponad wrzawę. - Co się stało z Desirée?

- Wiata! - zawołała Toinette. - Wiata!

- Patrzcie!

Popatrzyli my. Była tam; stała nad nami w wysokiej ciennej niszy. Toporna figura, ledwo widoczna w nikłym świetle, o grubych rysach, wytrawionych ogniem. Rozmigotane promienie latarek wprowadzały ją w ruch, jak gdyby zamierzała ulecieć ze swego nieprawdopodobnego piedestału. Jej odwieczna szata wydymała się jak balon, a na głowie Sainte-Marine miała pozłacaną koronę. Poniżej zastygły w pełnych czci pozach dwie stare zakonnice, siostra Therese i siostra Extase. Za nimi dostrzegłam na nagiej ścianie zrujnowanej kaplicy jakiś rysunek, coś w rodzaju graffiti.

- Skąd, u diabła, ona się tam wzięła? - Alain gapił się na rozchybotaną witę, jakby nie wierzył własnym oczom.

- I co tu robi te dwie sroki? - warknął Aristide, piorunując zakonnice spojrzeniem.

Ale natychmiast umilkł. Obok sióstr klęczała na trawie postać w nocnej koszuli, ze złoconymi włosami.

- Desiree!

Aristide pokiwał najszybciej, jak mógł, w stronę klęczącej sylwetki, która podniosła na niego szeroko otwarte oczy. Jej wymizerowana twarz promieniała.

- Och, Aristide, ona wróciła! - zawołała kobieta. - To cud.

Stary dygotał na całym ciele. Otworzył usta, ale przez kilka sekund nie potrafił wydobyć słowa. Jego głos brzmiał szorstko, gdy wyciagnął się do przodu, przemówił wreszcie do niej.

- Gotowa zamarznąć, ty stara wariatko. Czemu nie włożyła płaszcza, ha? Bóg ci chyba musiał oddać swój. Zdjął rybacką kurtkę i narzucił ją na ramiona Desiree, która prawie tego nie zauważyła.

- Słyszałam wiśnie - oznajmiła z uśmiechem. - Przemówiła... och, Aristide, przemówiła do mnie.

Ludzie gromadzili się powoli pod drzewami.

- Mój Boże - powiedziała Capucine, rozstawiając palce w geście odpędzającym pecha. - Czy to naprawdę wiśnie?

Angelo kiwnął głową.

- Choć Bóg jeden wie, skąd się tu wzięła.

- Sainte-Marine - zakwilił ktoś spod wydmy.

Toinette opadła na kolana. Przez tłum przebiegło westchnienie - aiiii! Uderzenia fal przyboju o ziemię przypominały bicie serca.

- Jest chora - zawyrokował Aristide, usiłując dźwignąć Desiree z klęczek. - Niech mi ktoś pomoże.

- O, nie - zaprzeczyła Desiree. - Nie jestem chora. Już nie.

- Hej, wy! - zwrócił się Aristide do dwóch karmelitanek, wciąż stojących pod niszą wiśni. - Może byście mi z nimi pomogły, ha?

Zakonnice popatrzyły na niego, nie ruszając się z miejsca.

- Zostałyśmy wezwane - powiedziała siostra Therese.

- W kaplicy. Jak Joanna d'Arc.

- Nienie, wcale nie jak Joanna d'Arc, u niej to były głosy, ma soeur, nie wiesz, i przypomnij sobie, do czego je doprowadziły.

Wytęłam słuch, by poprzez wycie wichru zrozumieć, co mówi.

- Marine-de-la-Mer, cała w bieli...

- Z koron i latarni, i...

- W welonie zasłaniaj cym twarz.

- W welonie? - Wydało mi się, że zaczynam pojmować.

Siostry skinęły głowami.

- I przemówiła do nas, mała Mado.

- Przemówiła. Do nas.

- Jesteś cię pewne, że to była ona? - Nie zdołałam się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

Karmelitanki spojrzały na mnie, jakbym była niespełna rozumu.

- Ale oczywiście cię, mała Mado. Któż ...

- ...inny mógłby to być? Powiedziała, że wróci dzisiejszej nocy, ha, i oto...

- ...jest.

- Tam, w górze.

Ostatnie słowa wypowiedziały chórem, z oczyma błyszczącymi jak u ptaków. Desiree Bastonnet słuchała w nabożnym skupieniu. Grosjean, który dotychczas trwał w bezruchu, wznosił ku nim rozpromienione spojrzenie.

Aristide niecierpliwie pokręcił głową.

- Sny. Głosy. Nie warto dla nich wyskakiwać z ciepłego łóżka w zimną noc. Chodź, Desiree.

Ale Desiree wykonała przeczący gest.

- Ona do nich przemówiła, Aristide - oznajmiła dobitnie. - Kazała im tu przyjść. Przyszły... ty spała... zastukały do drzwi i pokazały mi znak na ścianie kaplicy...

- Wiedziałem, że to ich sprawka! - wybuchnął w ciekle Aristide. - Te sroki...

- Uwaga, że nie powinien nas tak nazywać - wtręciła siostra Extase. - Te ptaki przynoszą pecha.

- Przyszły my tutaj - podjęła Desiree. - I w końcu ta przemówiła do nas.

Za naszymi plecami ludzie wyciągali szyje. Mruczyli oczy, w które wiatr sypał piaskiem. Palce rozczapierały się ukradkiem w zabobonnym geście. Słyszałam chwytną i wstrzymywaną oddech.

- Co powiedziała? - spytał wreszcie Omer.

- Nie brzmiało to zbyt pobożnie - odparła siostra Therese.

- Nienie - zgodziła się siostra Extase. - Wcale nie pobożnie.

- To dlatego, że jest salarianką - orzekła Desiree a nie obłudną housinią. - Z uśmiechem ujął dłoń Aristide'a. - Szkoda, że ci przy tym nie było, Aristide. Szkoda, że jej nie słyszałeś. Zbyt wiele czasu minęło, odkąd nasz syn utonął; o trzydzieści lat za wiele. Od tamtego dnia widz tylko gorycz i gniew. Nie potrafię płakać, nie potrafię się modlić, twoja złość i despotyzm wypędziły z domu naszego młodszego syna...

- Milcz - nakazał Aristide z kamienną twarzą.

Desiree pokręciła głowę.

- Nie tym razem - odrzekła. - Klócisz się z wszystkimi. Dokuczasz nawet Mado, gdy napomyka, że życie tutaj mogłoby iść naprzód zamiast stać w miejscu. Tak naprawdę chcesz, żeby wszystko poszło na dno, jak Olivier. Ty sam. Ja. Xavier. żeby wszyscy przepadli. żeby wszystko się skończyło.

Aristide popatrzył na nią.

- Desiree, prosz...

- To cud, Aristide - przerwała. - Zupełnie jakby on sam do mnie przemówił. Gdyby tylko mógł to zobaczyć. - W różowym świetle uniosła twarz ku niej i w tej samej chwili dostrzegłam, że co opada ku niej łagodnie z wysokiej, mrocznej wnęki; co, co przypominało pachnący nieg. Desiree Bastonnet klęczała na Point Griznoz, obsypana pyłkami mimozy.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niszy w tej. Zdawało się, że coś się poruszyło poniżej - zapewne cień, wywołany przez lampy.

- Kto tam jest! - warknął Aristide, wyrwał strzelbę z ręk wnuka, wycelował i wygarnął z obu luf. Rozległ się głośnie trzask, porażony w nagłej ciszy.

- Możliwe, że chodzi o strzelanie do cudów - zauważyła Toinette. - Strzeliłby nawet do Matki Boskiej z Lourdes, gdyby mógł, prawda, ty półgłówku?

Aristide miał zaenowianą minę.

- Byłem pewien, że kogoś widz.

Desiree wreszcie wstała, z dłońmi pełnymi kwiatów.

- Wiem.

Zamieszanie trwało kilkanaście minut. W jego centrum znajdowali się Xavier, Desiree,

Aristide i zakonnice, a ka de z nich usiłowało postawi tam fali pyta . Ludzie chcieli zobaczyć cudowne kwiaty, usłysze słowa wi tej, przyjrze si znakom na cianie kaplicy. Spogl daj c poza cypel, odniosłam wrażenie, e co kołysze si na falach daleko w dole, a w ciszy przed odpływem chyba nawet usłyszałam plusk, jakby co wpadło do wody. Ale to mogło by cokolwiek. Figura - je li w ogóle tam była - zniknęła z niszy.

23

Kolejka wychylona w barze, który Angelo otworzył po godzinach z tej wyjątkowej okazji, pomogła nam odzyskać spokój. Zapomniano o obawach i podejrzeniach, devinnoise łąło si strumieniami i pół godziny później w lokalu zapanował nastrój niemal karnawałowy. Dzieci, zachwycone, e nikt nie zagania ich do łódek, grały w kcię na flipperach. Nie musiały nazajutrz i rano do szkoły i ju sam ten fakt należało uczci . Xavier zerkał nie miało na Mercedes, która po raz pierwszy odwzajemniała jego spojrzenia. Toinette, mi dzy jednym kieliszkiem a drugim, rado nie znieważała, kogo tylko mogła. Zakonnice przekonały w końcu Desiree, eby si położyła, lecz Aristide przyszedł do baru, dziwnie przygaszony. Flynn zjawił si jako jeden z ostatnich, w czarnej włóczkowej czapce, zakrywając włosy. Mrugn ł do mnie i usadowił si dyskretnie przy stoliku za moimi plecami. Grosjean siedział obok mnie ze swoim devinnoise, pal c gitane'a i nie przestaj c si u miecha . Mimo obaw, e osobliwa ceremonia mogła rozstroi jego nerwy, u wiadomiłam sobie, e po raz pierwszy od mego powrotu ojciec jest szczęśliwy.

Posiedział obok mnie ponad godzin , a potem wyszedł tak cicho, e prawie tego nie zauważyłam. Nie próbowałam i za nim; nie chciałam naruszać kruchej harmonii między nami. Obserwowałam go jednak przez okno, gdy szedł w stronę domu; ledwo widoczny ognik jego papierosa arzył si nad wydm .

Dysputa trwała. Matthias, siedzący przy najwęższym stole w towarzystwie najbardziej wpływowych salanian, wywił gł bokie przekonanie, e pojawienie si Sainte-Marine naprawdę było cudem.

- Czym e innym mogłoby by ? - pytał z naciskiem, s c c trzeci kieliszek devinnoise. - Historia zna mnóstwo przykładów nadprzyrodzonych ingerencji w ycie codzienne. Czemu nie miałyby si to przydarzyć tutaj?

Zd yło si ju pojawi tyle wariantów zdarzenia, ilu było wiadków. Niektórzy twierdzili, e na własne oczy widzieli wi t frun c do zrujnowanej wie y. Inni słyszeli upiorn

muzyk . Toinette, zajmuj ca zaszczytne miejsce obok Matthiasa i Aristide'a, rozkoszowała si po wi can jej uwag , popijała devinnoise i opowiadała, jak to pierwsza zauwa yła znaki na cianie. Bez w tpienia stał si cud, o wiadczyła. Kto mógł odnale zaginion wi t ? Kto mógł przenie j a do La Griznoz? Kto mógł umie ci j wysoko w niszy? Z pewno ci aden człowiek. To było po prostu niemo liwe.

- A na dodatek dzwon - przypomniał Omer. - Wszyscy go słyszeli my. Co by to mogło by , je li nie La Marinette? I te znaki na cianie kaplicy...

Uznano zgodnie, e wyst piło zjawisko nadprzyrodzone. Ale co oznaczało? Desiree doszukała si w nim wiadomo ci od syna. Aristide nie poruszał tego tematu, siedział jednak nad swoim kieliszkiem pogr ony w niezwyklej zadumie. Zdaniem Toinette, wydarzenie zwiastowało odmian losu. Matthias wyraził nadziej na obfitsze połowy. Capucine wyszła, zabieraj c Lola, lecz i ona sprawiała wra enie przygaszonej, tak i zastanowiło mnie, czy nie my li o swojej córce na kontynencie. Próbowałam przyci gn wzrok Flynna, on jednak wydawał si zadowolony z przebiegu dyskusji. Poszłam za jego przykładem i czekałam.

- Tracisz orientacj , Rouget - powiedział Alain. - My lałem, e nam przynajmniej wyja nisz, w jaki sposób wi ta przyleciała na La Griznoz.

Flynn wzruszył ramionami.

- Nie mam poj cia. Gdybym potrafił czyni cuda, wyniósłbym si z tej dziury i popijał szampana w Pary u.

Przyptyw opadł, a wiatr przycichł. Chmury zacz ły si rozprasza , odsłaniaj c niebo, które nadchodz cy wit zabarwił czerwieni . Kto zaproponował, eby my wrócili do kaplicy i obejrzeni miejsce cudu w wietle dziennym. Kilka osób zgłosiło si na ochotnika; reszta rozeszła si do domów, stawiaj c niezbyt pewne kroki na wyboistej drodze.

Po bli szym zbadaniu znaków na cianie nadal wiedzieli my tyle samo, co przedtem. Wygl dały na wypalone jakim sposobem w kamieniu, lecz nie były to litery, które ktokolwiek potrafiłby rozpozna - tylko prymitywny rysunek i kilka liczb.

- To przypomina... jakby plan - zauwa ył Omer La Patate. - Mo e tu s zapisane wymiary.

- A mo e to ma jakie znaczenie religijne - podsun ła Toinette. - Warto by zapyta siostry.

Ale zakonnice odeszły z Desiree i nikt si nie kwapił po nie pó j , eby nie przegapi

czego wa nego.

- Mo e Rouget b dzie co wiedział - zasugerował Alain. - Mówi si o nim, e jest intello, no nie?

Obecni pokiwali głowami na znak zgody.

- Tak, niech Rouget tu podejdzie. Hej tam, przepu cie go.

Flynn nie okazywał po piechu. Obejrzał wypalone znaki z ka dej strony. Przymru ył oczy, sprawdził kierunek wiatru, podszedł na skraj urwiska i popatrzył na morze, a nast pnie wrócił i ponownie dotkn ł znaków opuszkami palców. Gdyby nie to, e wiedziałam swoje, uwierzyłabym, i nigdy przedtem ich nie widział. Wszyscy obserwowali jego ruchy wyczekuj co i z respektem. Wstał wit.

Wreszcie Flynn podniósł wzrok.

- Wiesz, co one znacz ? - spytał Omer, nie mog c ju pohamowa niecierpliwoci. - Czy pochodz od wi tej?

Flynn skin ł głow , a cho jego twarz zachowała wyraz powagi, widziałam, e w duchu u miecha si szeroko.

24

Aristide, Matthias, Alain, Omer, Toinette, Xavier i ja wysłuchali my wyja nie Flynnna. A potem Aristide wybuchn ł:

- Arka? Chcesz powiedzie , e ona ka e nam zbudowa ark ?

Flynn wzruszył ramionami.

- Niezupełnie. Chodzi o sztuczna raf , pływaj cy mur. Jakkolwiek by to nazwa , widzicie, jak działa. Piasek stamt d - wskazał odległy punkt na La Jetee - zamiast ucieka od wybrze a, wraca tutaj, do La Goulue. Taka zatyczka, je li wolicie, dzi ki której Les Salants nie spłynie do morza.

Zapadła długa, pełna zdumienia cisza.

- I my lisz, e pozostawiła to wi ta? - zapytał Alain.

- A któ by inny? - odparł niewinnie Flynn.

Matthias zgodził si z nim.

- Ona jest nasz wi t - powiedział wolno. - Prosimy j o ratunek. Pewnie w ten sposób chce nas ocali .

Potakujcie gesty. To miało sens. Zniknięcie w tej zostawiło najwyraźniej nie zrozumiane; po prostu potrzebowała czasu na przeprowadzenie badań.

Omer spojrzał na Flynna.

- Ale my nie mamy z czego zbudować muru - zaproponował. - Popatrz, ile zapłaciłem za cięgnięcie kamieni do wiatraka. Kosztowały mnie majątek.

Flynn pokręcił głową.

- Nie potrzebujemy kamieni - wyjątkowo. - To musi być coś, co unosi się na wodzie. Nie falochron. Falochron może powstrzymać erozję, w każdym razie na jakiś czas. Ale to będzie znacznie lepsze. Właściwie usytuowana rafa wytwarza własne mechanizmy obronne. Przeważnie.

Aristide nie dawał się przekonać.

- Nie uda ci się zbudować tego tak, aby działało. Nawet za dziesięć lat.

Matthias miał jednak zaintrygowany min.

- Myślę, że może się uda - powiedział wolno. - Ale co z materiałem? Nie zbudujesz bariery z papieru i liny, Rouget. Nawet ty nie jesteś do tego zdolny.

Flynn zastanawiał się przez chwilę.

- Opony - oznajmił. - Opony samochodowe. Unoszą się na wodzie, nieprawda? Można je dostać za darmo w każdym autokomisie. W niektórych nawet płacą za ich zabranie. Przetransportuje się je, poł czy razem...

- Przetransportuje? - przerwał Aristide. - Jak? Na to, o czym mówisz, potrzeba setek, jeżeli nie tysięcy opon. Co...

- Jest przecież „Brismand I” - podsunął Omer La Patate. - Można by go wynająć.

- I nabię kabz houssinianinowi! - wybuchnął Aristide. - To mi dopiero cud!

Alain długo patrzył na niego bez słowa.

- Desiree miała rację - rzekł wreszcie. - Zbyt wiele już straciliśmy. Zbyt wiele wszystkiego.

Aristide odwrócił się, wsparty na lasce, widziałam jednak, że nadal słucha.

- Nie odzyskamy tego, co przepadło - ciągnął Alain półgłosem. - Ale możemy dołożyć starań, aby nie stracić więcej. Możemy spróbować nadrobić stracony czas. - Mówi cię, patrzył na Xaviera. - Powinniśmy walczyć z morzem, a nie z sobą nawzajem. Powinniśmy pomyśleć o naszych rodzinach. Zmarli zmarłymi, ale wszystko powraca. Jeżeli tylko pozwolimy.

Aristide spojrział na niego w milczeniu. Omer, Xavier, Toinette i inni patrzyli wyczekująco. Gdyby Guenole i Bastonnetowie zaakceptowali plan, reszta poszłaby za ich przykładem. Twarz Matthiasa, ocieniona bujnym wosem, była nieprzenikniona. Flynn uśmiechnął się. Wstrzymałam oddech.

Po chwili Aristide skłonił lekko głowę, gestem uchodzącym na wyspie za znak szacunku. Matthias odwzajemnił gest. Podali sobie ręce.

Wzniesli mi toast za ich decyzję pod kamiennym spojrzeniem Marine-de-la-Mer, w tej patronki wszystkiego, co zaginęło na morzu.

25

Zrobiło się zupełnie jasno, gdy dotarłam do domu. Nigdzie nie widziałam Grosjeana, a aluzje w jego oknie były opuszczone, uznałam więc, że wrócił prosto do łóżka i poszłam w jego łody. O wpół do pierwszej obudziło mnie stukanie do drzwi i powlokłam się zaspiana do kuchni, żeby otworzyć.

Na progu stał Flynn.

- Wstawaj, szkoda dnia - zachciał kpić. - Czas się zabrać do naprawy ciękiej roboty. Jesteś gotowa?

Przyjrzałam się sobie. Bosa, w niekompletnym, wilgotnym i wymyślnym ubraniu, z włosami sztywnymi od soli i przypominającymi szczotkę. On natomiast wydawał się pogodny jak zawsze, włosy ścięgnął schludnie z tyłu nad kołnierzem płaszcza.

- Wydajesz się trochę za bardzo zadowolony z siebie zauważyłam.

- Czemu za bardzo? - uśmiechnął się. - Uważam, że dobrze mi poszło. Namówiłem Toinette, żeby obeszła domy i zebrała datki, a także zarekwirowałem parę skrzynek w przetwórni ryb, do konstrukcji rafy. Alain próbuje się skontaktować z giełdą samochodów. Pomyślałem, że ty mogłabyś załatwić trochę linii i łańcuchów do mocowania. Omer dostarczy beton. Nie zużył całego przy wiatrakach. Jeśli pogoda się utrzyma, niewykluczone, że zdążymy do końca miesiąca. - Umilkł, widząc wyraz mojej twarzy. - Ej, e zaczynaj ostro nie - co mi mówi, że zaraz urwiesz mi głowę. O co chodzi? Nie piła jeszcze kawy?

- Ty to masz tupet - powiedziałam.

- Co znowu? - Szeroko otworzył oczy, w których błysnęło rozbawienie.

- Mogłem cię przynajmniej uprzedzić. Ty i twoje cuda. A gdyby się nie udało? Gdyby

Grosjean...

- My łałem, e b dziesz zadowolona - wtr cił Flynn.

- To jaki absurd. Zanim si obejrzymy, na Point powstanie sanktuarium; ludzie b d chcieli zobaczy cudowne miejsce.

- Zrobi si ruch w interesie - zauwa ył.

Zignorowałam go.

- To było okrutne. Wszyscy dali si nabra : biedna Desiree Aristide, nawet mój ojciec. Tak łatwo ich podej , ka de z nich. Zdesperowani, zabobonni ludzie. Sprawile , e naprawd uwierzyli w cud, czy nie? I dobrze si przy tym bawiłe .

- No wi c? Przecie poskutkowało, prawda? - Wydawał si nieco ura ony. - W tym wła nie rzecz. Nie chodzi tu o salanian i ich godno . Chodzi o to, e zrobiłem co , czego ty nie potrafiła . Ja, człowiek z zewn trz. A oni mnie wysłuchali.

Podejrzewałam, e w jego słowach kryje si prawda. Wcale go za to bardziej nie polubiłam.

- W nocy, jak zauwa yłem, nie zgłaszała adnych zastrze e - dodał Flynn.

- Nie wiedziałam, co zamierzasz. Ten dzwon...

- La Marinette - u miechn ł si . - Miły akcent, pomy łałem sobie. Ta ma z nagraniem i stare gło niki.

- A wi ta? - Nie chciałam dodatkowo schlebia jego pró no ci, ale byłam ciekawa.

- Znalazłem j tego dnia, kiedy spotkałem ci w La Bouche. Zamierzałem powiedzie Grosjeanowi, pami tasz? Przypuszczała , e przywłaszczyłem sobie homary.

Pami tałam. Musiał do niego przemawia teatralny, poetycki nastrój; uroczysto ku czci wi tej, lampy, hymny, zamiłowanie salanian do malowniczo ci.

- Zabrałem od wi tn szat i koron z zakrystii w La Houssiniere. Pere Alban omal mnie nie przyłapał, ale udało mi si czmychn w sam por . Z zakonnicami poszło jak po ma le.

No oczywi cie. Na co takiego czekały całe ycie.

- Jak wstawiłe pos g do niszy na górze?

Wzruszył ramionami.

- Naprawiłem podno nik. Podczas odpływu wjechałem na mokry piasek i wywindowałem j na miejsce. Gdy morze przybrało, wygl dało to niesamowicie. Cud błyskawiczny. Tylko dola wody.

Istotnie, jak o tym pomyśle, wszystko wydawało się jasne. A reszta - bukiet kwiatów, race sygnalizacyjne - załatwił za pomocą raków wspinaczkowych, wbitych od tyłu w cian kaplicy oraz kajaka przycumowanego w pobliżu, by móc szybko uciec. To było takie proste, gdy się już znało rozwiązanie. Tak proste, że niemal obelżywe.

- Jedyne ryzykowne moment nastąpił, gdy Aristide dostrzegł mnie tam, na cianie - uśmiechnął się Flynn. - Sól wielkiej krzywdy nie zrobi, ale szczybie. Na szczęście wikszo przeleciała obok mnie.

Nie odwzajemniłam uśmiechu. I tak wydawał się nadmiernie zadowolony z siebie.

Oczywiście, nie zamierzał snuć przypuszczeń co do rezultatów. Sprawa i tak była ryzykowna. Właściwie należało przeprowadzić obliczenia, zastosować skomplikowane formuły matematyczne, oparte na tempie opadania ziaren piasku, kącie nachylenia wybrzeża i prędkości fazy fal przyboju. Wikszo tego musiała pozostać w sferze domysłów. Ale wicej nie dało się zrobić w tak krótkim czasie.

- Niczego nie obiecuj - przestrzegł Flynn. - To tylko prowizorka. Nie zlikwiduje problemu na zawsze.

- Nawet jeśli się sprawdzi?

- W najgorszym wypadku ograniczy szkody.

- A w najlepszym?

- Brismand zgarniał piasek z La Jete. Czemu nie mielibyśmy robić tego samego?

- Piasek z La Jete - powtórzyłam.

- Wystarczy na jeden albo dwa zamki. Może na wicej.

- Wicej - powiedziałam zachłannie. - Wicej.

26

Mieszkać w kontynencie z pewnościc trudno to zrozumieć. Mimo wszystko piasek nie bywa raczej symbolem trwałości. Napisy na piasku zmywa woda. Pieczołowicie wznoszone zamki obracają się w ruinę. Piasek jest uparty i zwodniczy. Trawi skały i grzebie mury pod wydmami. Jest wciągłym ruchem. Na Le Devin piasek i sól są wszystkim. Nasza wywność nie jest osolona na czymś, co nie bardzo zasługuje na miano gleby. Nasze owce i kozy, pasące się na wydmach, mają delikatne, słonawe mięso. Z piasku budujemy nasze siedziby. Z piasku powstają nasze kuchnie i piece. Wyspa tysiąc razy zmieniała kształt. Kołysze się na skraju Nid'Poule, co

roku tracąc kolejne fragmenty siebie. Odnawia je piasek z La Jete, owijając się wokół wyspy niczym ogon syreny, przechodząc niepostrzeżenie z jednej strony na drugą w grudkach leniwej piany, przewalając się, szmerząc. Wszystko może się zmienić, ale piasek będzie zawsze.

Wspominam o tym, by ludzie z kontynentu zrozumieli emocje, jakie odczuwałam w ciągu tych tygodni i później. Pierwszy tydzień zajęło układanie planów. Następnie - praca i jeszcze raz praca. Wstawali my o piętej rano, a kończyli my późną noc. Gdy dopisywała pogoda, pracowali my solidnie aż do następnego dnia; kiedy zaś wiał zbyt silny wiatr albo padał deszcz, przenosili my się pod dach - do hangaru, wiatraka Omera lub opuszczonej szopy - byle nie tracić czasu.

Omer udał się z Alainem do La Houssiniere, by wynająć „Brismanda I”, utrzymując, że chodzi o dostawę materiałów budowlanych. Claude Brismand chętnie się zgodził; sezon już minął i z wyjątkiem nagłych wypadków używano promu raz w tygodniu, do przewozu głównie ryb oraz przesyłek z przetwórci ryb. Aristide znał zakład wulkanizacyjny przy drodze do Pornic i zamówił dostawę na pokład „Brismanda I” u tych samych przewoźników, którzy zwykle dostarczali beczki makreli. Postanowiono, że pieczę nad całą operacją obejmie pere Alban - był jedyną osobą, do której ani Bastonnetowie, ani Guenole nie zgłaszali zastrzeżeń. Ponadto, jak zauważył Aristide, nawet ci z kontynentu dwa razy się zastanowili, zanim oszukają księdza.

Pieniądze napływały z najmniej prawdopodobnych źródeł. Toinette odkryła w poduszce pod materacem trzynaście złotych suwerenów, o których istnieniu nawet jej krewni nie mieli zielonego pojęcia. Aristide Bastonnet ofiarował dwa tysiące franków ze swoich oszczędności, aby nie był gorszym, Matthias Guenole zaoferował dwa i pół tysiąca. Inni podarowali skromniejsze sumy: Omer dwieście franków plus pięć worków cementu, Hilaire pięćset franków, Capucine także pięćset. Angelo nie wpłacił pieniędzy, lecz za to obiecał darmowe piwo dla robotników. Zapewniało to stały dopływ siły roboczej, choć Omer został kilkakrotnie upomniany, że coraz częściej przesiaduje w lokalu przy elementach bariery.

Zadzwoiłam do swojej gospodyni w Paryżu z zawiadomieniem, że nie wracam. Zgodziła się oddać moje meble na przechowanie i wysłać niezbędne rzeczy - ubrania, książki i przybory malarskie - kolejną do Nantes. Opróżniłam i zamknęłam konto w banku. W Les Salants nie było mi do niczego potrzebne.

Rafał, jak orzekł Flynn, należało budować w odcinkach. Każdy odcinek składał się ze stu pięćdziesięciu opon, połączonych w pionie stalowymi linami, sprowadzonymi z kontynentu.

Ogółem miało powstać dwanaście takich elementów, złożonych na lądzie, aby później, w czasie odpływu, umieścić je na La Jete. Betonowe płyty, takie jak te, których używa się przy cumowaniu łodzi, miały posłużyć jako kotwice, z dodatkowymi linami zabezpieczającymi. Była to męcząca praca, z jednym podnośnikiem do przenoszenia ciężarów, i kilkakrotnie nastąpiły przerwy, gdy nie udało się umieścić w porządku ciętych materiałów, ale każdy starał się, jak mógł.

Toinette przynosiła robotnikom na Pointe Gorge napoje. Charlotte przyrządzała kanapki. Capucine podarowała kombinezon i włóczkowy czapkę, sama zaś przytuliła się do grupy mieszanych cement, zawstydzając tym samym pewnych przedstawicieli płci męskiej, którzy natychmiast postanowili włączyć się do akcji. Mercedes godzinami przesiadywała na wydmiem, niby to w celu przekazywania wiadomości, lecz tak naprawdę bardziej ją interesowała obserwacja mężczyzn przy pracy. Ja prowadziłam podnośnik. Omer układał opony, a Ghislain Guenole upychał je w skrzyniach. Przy odpływie grupa dzieci, kobiet i starszych mężczyzn kopnęła boki rowy na kotwiczne płyty, które przewozili my przyczepą na La Jete, oznaczając miejsca bojami. Łódź Bastonnetów, „Cecilia”, sprawdzała elementy konstrukcji podczas przyptywu. Przez cały czas Flynn kręcił mi dzwoniem z arkuszem papieru, mierząc odległości, obliczając kąt i prędkość wiatru, zastanawiając się nad prądami, które opłatały La Goulue i krzyżowały się wokół niej. Winda czuwała nad nami w swej niszy na Pointe Griznoz, a kamienie poniżej oblepione były stearynem. Podciągane były złożone ofiary - sól, kwiaty, kubki wina. Aristide i Matthias kręcili wokół siebie, utrzymując rozmowę i starając się nawzajem przyciągnąć w drodze do finalizacji dzieła. Stary Bastonnet, ze względu na swoje drewniane nogi, nie był zdolny do wykonywania ciężkich prac, w związku z czym zmuszał swego nieszczęśliwego wnuka - na którego przypadało dwóch Guenole - do coraz większego wysiłku.

W miarę postępu robót stan mojego ojca uległ niezwyklej poprawie. Grosjean nie przesiadywał już godzinami w La Bouche, tylko doglądał robotników, aczkolwiek sam rzadko wchodził się w budowanie rafy. Często widywałam na tle wydmy jego zwalistą sylwetkę, powściągliwą i nieporuszoną. W domu częściej się uśmiechał i nawet odzywał do mnie, choć głównie monosylabami. Także w jego milczeniu wyczuwałam zmiany, a oczywiście były już takie puste. W niektóre wieczory nie kładł się spać o zmierzchu, lecz słuchał radia albo przyglądał mi się, gdy szkicowałam coś na kartkach. Raz czy dwa miałam wrażenie, że ktoś przejrzał moje rysunki. Zostawiałam odtąd szkicownik na wierzchu, żeby ojciec mógł do niego zaglądnąć, choć nigdy tego nie robił w mojej obecności. To dopiero początek, pomyślałam. Nawet u Grosjeana

co mogło pojawić się na nowo.

No i, oczywiście, był jeszcze Flynn. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się dzieje; erozja mojego muru obronnego post powała stopniowo i podstępnie, zaskakując mnie i zbijając z tropu. Złapałam się na tym, że obserwuję go zupełnie bez powodu, sprawdzam wyraz jego twarzy, jakbym zamierzała namalować portret Flynna, szukam tej twarzy w tłumie. Nie rozmawialiśmy tamtego ranka po cudzie, ale coś się między nami zmieniło. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nastąpił dziwny zbieg okoliczności. Zaczęłam dostrzegać rzeczy, których wcześniej nie zauważałam. Zjednoczyła nas wspólna praca. Pociliśmy się razem, znosząc opony, i razem przemakaliśmy do nitki, mocując je przy wzbierającym przypiływie. Razem piliśmy u Angela. I mieliśmy wspólną tajemnicę, która nas łączyła. Uczyniła z nas parę spiskowców, niemal przyjaciół.

Flynn potrafił słuchać, kiedy trzeba, sam zaś stanowił źródło zabawnych anegdotów i niewiarygodnych historii z Anglii, Indii i Maroka. Były to przeważnie bzdury, lecz on istotnie podróżował, znał miejsca i ludzi, potrawy i zwyczaje, rzeki i ptaki. Za jego pośrednictwem ja również poznałam świat. Zawsze jednak wyczuwałam w nim ukrytą cząstkę, miejsce, do którego nie miałam dostępu. Nie powinno mnie to być martwić. Gdyby zapytał, czego od niego chce, trudno byłoby mi odpowiedzieć.

Jego dom urządzony w starym blokhauzie był wygodny, choć prowizoryczny. Obszerna izba wewnątrz, czysta i pobielona, okno z widokiem na morze, krzesła, stół, łóżko wszystko z magazynu staroci. Efekt był krzykliwy, a zarazem satysfakcjonujący, jak zdarza się to ludziom - muszelki wetknięte w zaprawę wokół okna, krzesła z opon przykrytych aglowym płótnem. Z sufitu zwisał hamak zrobiony z sieci rybackiej. Na zewnątrz pomrukiwał generator.

- Nie do wiary, ile tu zrobiłeś - zauważyłam. - Kiedy to był betonowy sześciąt, wypełniony piaskiem.

- Nie mogłem na wieki zamieszkać u Capucine - odparł. - Ludzie już zaczęli gadać. - Z namysłem powiodł się wzrost muszelek ułożonych na betonowej posadzce. Wzorcowy wyrzutek, nieprawda? - zagadnął. - Wszelkie domowe wygodki.

Wydawało mi się, że słyszysz tęsknotę w jego głosie.

- Wyrzutek? Tak o sobie myślisz?

Flynn parsknął śmiechem.

- Wszystko jedno.

Nie było mi wszystko jedno, ale wiedziałam, że nie może na go skłonić do mówienia, jeżeli nie chce. Jego milczenie nie powstrzymało mnie jednak od domysłów. Czy schronił się na Le Devin, uciekając przed prawem? To było niewykluczone; tacy ludzie, jak Flynn, zawsze balansują na krawędzi i już wcześniej zachodziłam w głowę, dlaczego w ogóle wylądował na Le Devin, wysepce tak małej, że rzadko kto umieszcza ją na mapach.

- Flynn - zacząłam po chwili.

- Tak?

- Gdzie się urodziła?

- W miejscu podobnym do Les Salants - odparł niedbale. - W małej wiosce na wybrzeżu, w pobliżu górnego Kerry. Oprócz plaży niewiele tam było.

A zatem nie był Anglikiem. Zadałam sobie pytanie, jakie jeszcze błędne założenia poczyniłam na jego temat.

- Nigdy tam nie wracasz? - Chyba nie za bardzo potrafiłam sobie wyobrazić, że kogoś zupełnie nie obchodzi miejsce urodzenia; szukałam odpowiednika własnego instynktu, który kazał mi powrócić do gniazda.

- Tam? O Boże, skąd! Po co miałbym wracać?

Zmierzyłam go spojrzeniem.

- A po co tu przyjechała?

- Po skarb piratów - odparł tajemniczo. - Miliony franków, cała fortuna, w dublonach. Kiedy je już odkopie, fru! Zniknie ślad. Witaj, Las Vegas. - Uśmiechnął się szeroko.

Mimo to znowu usłyszałam w jego głosie nutę sknoty, nieomal żalu.

Rozejrzałam się i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że mimo pogodnego charakteru nie ma w tym pokoju ani jednego drobiazgu o charakterze osobistym, żadnej fotografii, książki ani listu. Mógłby się ślad jutro wyprowadzić, pomyślałam, nie pozostawiając wskazówek, kim jest i dokąd zmierza.

27

Następne dwa tygodnie przyniosły obfitsze przypływy i silniejsze wiatry. Burzliwa pogoda przez trzy dni uniemożliwiła pracę. Książyciel z okrawką przybrał do rozmiarów plasterka. Pełnia księżycy przy równonocy oznacza sztormy. Wiedzieliśmy o tym i bez słowa prowadzili nas wyścig z jego zmieniającym się zarysem.

Od dnia mojej wizyty w „Les Immortelles” Brismand zachowywał osobliwe milczenie. Wyczuwałam jednak jego ciekawość, jego wzmożoną czujność. Tydzień po naszym spotkaniu przysłał mi kwiaty i krótki list z zaproszeniem do hotelu na czas nieokreślony, gdyby sytuacja w Les Salants stała się dla mnie zbyt trudna. Wydawało się, że nic nie wie o naszych pracach i przypuszcza, iż poświęcam czas na wprowadzenie w domu niezbędnych wygód dla Grosjeana. Pochwalił moją lojalność, dając jednocześnie do zrozumienia, że brak zaufania, jaki wobec niego okazuję, głębię rani i budzi w nim ból. Wyraził nadzieję, iż noszę jego dar, w którym spodziewa się mnie niebawem ujrzeć. Prawdę mówił, czerwona suknia nadal leżała nierozpakowana na dnie szafy. Nie odważyłam się jej przymierzyć. Ponadto budowa rafy zbliżała się do końca i mieliśmy mnóstwo roboty.

Flynn rzucił się z energią w wir pracy. Nikt z nas się nie oszczędzał, ale Flynn był zawsze w centrum wydarzeń, przenosił ciężary, przeprowadzał próby, studiował wykresy, beształ opornych robotników. Nie tracił zapału; nawet gdy przypląwy zaczęły wzbierać niemal tydzień przed czasem, otucha go nie opuściła. Zupełnie jak rodowity salanianin, walczył z morzem o skrawek lądu.

- Właśnie dlaczego to robisz? - spytałam go raz późnym wieczorem, gdy znowu został w hangarze, by zabezpieczyć połączenia gotowych elementów. - Sam mi mówiłeś, że to się mija z celem.

Byli my sami, a jedyna neonówka dostarczała za mało światła. Zapach smaru i gumy niemal zbijał z nóg.

Flynn przyjrzał mi się zmrużonymi oczyma znad elementu bariery, który właśnie sprawdzał.

- Czy masz mi coś do zarzucenia?

- Ale skąd. Po prostu mnie zaciekawiło, czemu zmieniłeś zdanie.

Wzruszył ramionami i odrzucił włosy z czoła. Jarzeniówka oświetlała go bezlitośnie, podkreślając czerwienie włosów i sprawiając, że jego twarz wydawała się jeszcze bladejsza niż zwykle.

- Po prostu poddała mi pomysł.

- Ja?

Kiwnęłam głową. Poczułam niedorzeczne zadowolenie na myśli, że stałam się katalizatorem.

- Uświadomiłem sobie, że przy kilku odpowiednich wskazówkach Grosjean i inni mog

jeszcze długo mieszka w Les Salants - powiedział, dokrajcąc kombinerkami złote na kablu. -
Pomyślałem, że ich zdopinguj.

Ich. Zauważyłam, że nie mówi „my”, choć zaakceptowano go łatwiej niż mnie.

- I co dalej? - spytałam bez zastanowienia. - Zostaniesz tutaj?

- Na jaki czas.

- A potem?

- Kto wie?

Przyglądałam mu się przez chwilę, usiłując zrozumieć jego obojętność. Ani ludzie, ani
miejsca - nic nie wywierało na nim szczególnego wrażenia, zupełnie jakby potrafił przejść przez
życie niczym kamień przez wodę, czysty i nietknięty. Zszedł z konstrukcji, wytarł kombinerki
i odłożył do skrzynki z narzędziami.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- To przez to wiatło. - Odgarnął włosy, brudząc sobie twarz smarem.

Starłam tę plamę.

- Kiedy się poznaliśmy, wziąłem cię za obiboka. Nie miałam racji.

- Miło, że tak mówisz.

- I nigdy ci nie podziękowałam za to, co zrobiłeś dla mojego ojca.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

- Nic takiego. Pozwolił mi zamieszkać w blokhauzie. Miałem wobec niego dług. - W jego
głosie zabrzmiała stanowcza nuta, dająca do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych wyrazów
wdzięczności. Mimo to z jakich przyczyn nie chciałam, żeby odchodził.

- Niewiele opowiadasz o swojej rodzinie - zauważyłam, naciągając róg brezentu na
ukończony fragment konstrukcji.

- Bo tę niewiele o niej myślałem.

Pauza. Zastanawiałam się, czy jego rodzice nie żyją, czy ich opłakuje, czy ma kogo
jeszcze. Raz wspomniał o bracie z mimowolnie niechcąco, która nasunęła mi myśl o Adrienne. A
zatem adnej blisko ci. Może tak woli, pomyślałam; adnych wiązów, adnych obowiązków.
Była jak wyspa.

- Dlaczego to robisz? - powtórzyłam wreszcie. - Dlaczego postanowiłeś nam pomóc?

Ponownie wzruszył ramionami, z wyrazem zniecierpliwienia.

- Bo ja wiem? Była robota do zrobienia. Tak się złożyło, chyba dlatego. Dlatego, że

mogłem.

„Dlatego, że mogłem”. Zdanie to przeładowało mnie pół niej, lecz w tamtej chwili potraktowałam je jako wiadectwo wi zi z Les Salants i poczułam nagły przyływ sympatii do niego - za to jego pozornie obojętne, brak temperamentu, metodyczne układanie narzędzi w skrzynce, choć był pół żywy ze zmęczenia. Rouget, który nigdy nie stawał po niczyjej stronie, stanął po naszej.

28

Dokończyli my konstrukcję elementów w hangarze i przygotowaliśmy się do ich ustawienia. Betonowe zakotwiczenia znajdowały się już przy La Jete, razem z sześcioma zmontowanymi fragmentami i teraz pozostało tylko doholować pozostałe przyczep na płycizn. Potrzebne były próby, skracanie i wydłużanie lin, przesuwanie opon. Znalezienie najlepszej metody mogło zajść nieco czasu. Za to pół niej, wyjechał Flynn, rafa powinna się sama ustawić w zależności od kierunku wiatru, a nam pozostało tylko czekać na wyniki eksperymentu.

Niemal przez tydzień morze nie pozwalało dotrzeć do La Jete, a silny wiatr uniemożliwiał pracę. Wdzierał się w wydmy, podrywał w powietrze warstwy piasku. Zrywał okiennice i zasuwę. Pchnął przyływ niemal w samo serce Les Salants i chłostał fale wokół Point Griznoz, a pokryły się bujnym pianem. Nawet „Brismand I” nie wypłynął w morze i zaczęli my się zastanawiać, czy pogoda w ogóle pozwoli nam zakończyć budowę rafy.

- Wczoraj nie się zaczyna - obwieścił pesymistycznie Alain. - Za osiem dni pełnia. Do tego czasu pogoda się nie uspokoi. Nie teraz.

Flynn pokręcił głową.

- Będzie skończyć, potrzeba nam jednego ładnego dnia powiedział. - Byle odholować, co trzeba, gdy woda opadnie. Wszystko gotowe i czeka. Pół niej już rafa sama o siebie zadba.

- Ale morze nam nie sprzyja - zaproponował Alain. - Odpływ nie jest dostatecznie daleki o tej porze roku. No i wiatr też nie pomaga. Cofa fale prosto na nas.

- Damy sobie radę - oznajmił niezłomnie Omer. - Przecież nie zrezygnujemy właśnie teraz, kiedy koniec jest już tak bliski.

- Robota zrobiona - przyznał Xavier. - Pozostał tylko ostatni szlif.

Matthias miał sceptyczny min.

- Twoja „Cecilia” nie zabierze ładunku - rzekł szorstko. - Widziałe, co się stało z

„Eleanore” i „Korrigan”. Te łodzie po prostu nie podołaj takiemu morzu. Powinni my zaczekać na ciszę.

I czekali my u Angela, posłuchaliśmy niczym słobnicy na stypie. Kilku starszych mężczyzn czytno grało w karty. Capucine i Toinette siedziały w kącie, udając zainteresowanie jakim czasopiśmie. Ktoś wrzucił franka w szafę grając. Angelo podał piwo, na które mało kto z nas miał ochotę. Za to ledzili my prognozy pogody z ponurą fascynacją: burzowe chmury cigały się po mapie Francji, a niefrasobliwa prezenterka zalecała ostro. Niedaleko, na Pile de Sein, przypiływ zrównał domy z ziemi. Na zewnątrz, za horyzontem, grzmiało i błyskało. Zapadła noc; morze osiągnęło najniższy poziom. Wiatr niósł zapach dymu z brzozy palnej.

Flynn odsunął się od okna, przy którym stał.

- Zaczyna się - oznajmił. - Jutro może będzie za późno.

Alain spojrzał na niego.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że mamy to zrobić dzisiaj?

Matthias sięgnął po swój kieliszek de vinnoise i parsknął śmiechem, niezbyt przyjemnym.

- Widziałe, co się dzieje na zewnątrz, prawda, Rouget?

Flynn w milczeniu wzruszył ramionami.

- W każdym razie mnie tam nie zacięgniesz - podjął stary. - Nie na La Jeteé po ciemku, gdy nadciąga burza i zbliża się przypiływ. Niezły sposób, żeby stracić życie, czy nie? A może myślisz, że wiata ci ocali?

- Myślę, że wiata już zrobiła, co do niej należało - odparł Flynn. - Teraz kolej na nas. I jeżeli mamy skończyć robotę, zabierzmy się do tego zaraz. Jeżeli nie zabezpieczymy pierwszych elementów, stracimy szansę.

Alain pokręcił głową.

- Tylko szalenie wypływałby dokądkolwiek tej nocy.

Aristide zarechotał szkaradnie z kąta.

- Za wygodnie ci tutaj, czy nie? Wy, Guenole, zawsze byliście tacy. Siedzieliście w knajpie i snuliście plany, podczas gdy prawdziwe życie toczy się za oknami. Ja idę - oświadczył, wstając z wysiłkiem. - Potrzymam lampę, jeżeli do niczego innego się nie przydam.

Matthias w jednej chwili zerwał się na nogi.

- Pójdiesz ze mną - rzucił w stronę Alaina. - Nie pozwól, żeby Bastonnet opowiadał, że Guenole boję się odrobiny wysiłku i wody. Szykuj się, i to już! Gdybym tylko miał swój

„Korriganę”, załatwiliby my wszystko dwa razy szybciej, ale nic si na to nie poradzi. Dlaczego...

- Przy mojej „Peoch” twoja „Korriganę” wygl dała niczym wieloryb wyrzucony na brzeg - przerwał zaczepnie Aristide. - Pami tam, jak pewnego razu...

- Idziemy? - spytała Capucine, wstaj c z krzesła. - Bo ja pami tam czasy, kiedy was obu sta było na co wi cej ni gadanie!

Aristide zerkn ł na ni , rumieni c si lekko pod w sem.

- Ha, La Puce, to nie jest zaj cie dla ciebie - burkn ł. Ja i mój chłopak...

- To jest zaj cie dla wszystkich - uci ła Capucine, naci gaj c vareuse.

Z pewno ci wygl dali my dziwacznie, brn c przez płytk wod w stron La Jetee. Prowadziłam wci gark na g sienicach; jej pojedynczy reflektor omiatał mielizn i zmieniał ochotników w woderach i vareuse w rozta czone cienie. Dojechałam nad sam wod , wioz c „Cecili ” w przyczepie. Płaskodenna łód do połowu ostryg mogła bez trudu unosi si na plyci nie i łatwo było j załadowa . Za pomoc podno nika umie cili my na niej fragmenty konstrukcji. Ugi ła si pod ci arem i zanurzyła, lecz wytrzymała. M czy ni ustawieni po obu stronach utrzymywali ładunek w stabilnej pozycji. Inni ochotnicy pomagali zepchn „Cecili ” na gł bsz wod . Stopniowo, wykorzystuj c długie wiosła i niewielki silnik, skierowali my łód ku La Jetee. Powtórzyli my t powoln i mudn procedur czterokrotnie, zanim nadszedł przyptyw.

Pó niej ju niewiele widziałam. Moje zadanie polegało na dostarczeniu elementów rafy i odprowadzeniu wci garki z powrotem na brzeg. Dostrzegałam tylko oddalone wiatło i zarys „Cecili” na tle bladej ławicy piasku, a w chwilach ciszy mi dzy podmuchami wiatru dobiegały mnie podniesione głosy.

Przyptyw nadchodził szybko. Bez łodzi nie mogłam doł czy do pozostałych ochotników, ale obserwowałam ich z wydmę przez lornetk . Wiedziałam, e czas nam si ko czy. Na Le Devin przyptyw wzbiera pr dko - mo e nie a tak pr dko, jak na Mont Saint-Michel, gdzie fale potrafi prze cign galopuj cego konia, lecz z pewno ci szybciej ni biegn cy człowiek. Łatwo zosta odci tym od brzegu, a mi dzy Point a La Jetee pr dy s wartkie i niebezpieczne.

Zagryzłam wargi. To wszystko trwało zbyt długo. Na La Jetee znajdowało si sze ciu ludzi: Bastonnetowie, Guenole i Flynn. Zbyt wielu dla łodzi rozmiarów „Cecili”. Do tej pory

zapewne stracili grunt pod nogami. Widziałam wiatła w drujce wzdłuż piaszczystych łach, niebezpiecznie daleko od brzegu. Umówiony, mrugający sygnał. Wszystko szło zgodnie z planem. Ale trwało zbyt długo.

Aristide opowiedział mi później, jak to było. Łańcuch zabezpieczający pozycję jednego z elementów uwiązł pod łodzią, unieruchamiając rufę. Poziom morza wciąż się podnosił. Praca, która byłaby łatwa w płytkiej wodzie, zaczęła graniczyć z niemożliwością. Alain i Flynn zmagali się z zaczepionym łańcuchem, używając niedokończonyj rafy jako dźwigni. Aristide siedział skulony na dziobie „Cecilia” i patrzył.

- Rouget! - burknął, gdy Flynn wynurzył się z wody po kolejnej nieudanej próbie poluzowania łańcucha.

Flynn spojrział na starego pytając co. Już wcześniej zrzucił vareuse i czapkę dla większej swobody ruchów.

- To na nic - orzekł szorstko Aristide. - Nie przy tej pogodzie.

Alain uniósł głowę i fala bryzgała mu prosto w twarz. Zanurkował, kaszlał i klął.

- Mojesz tam ugrzać się - upierał się Aristide. - Jeśli wiatr popchnie „Cecilia” na rufę ...

Flynn po prostu nabrał tchu i zanurzył się ponownie. Alain podciągnął się na łódź.

- Musimy zaraz wracać, bo inaczej trzeba będzie przybijać do brzegu! - zawołał Xavier, przekrzykując wicher.

- Gdzie Ghislain? - zapytał Alain, otrząsając się jak pies.

- Tutaj! Wszyscy wrócili na pokład. Oprócz Rougeta.

Fale wzbierały. Rozkołys nadchodził zza La Jetee i w świetle lamp widzieli przed sobą płynący w stronę La Griznoz, nabierający impetu w miarę podnoszenia się poziomu wody. To, co było płycizną, przeobraziło się w otwarte morze, burza nadciągała nieubłaganie. Nawet ja ją wyczuwałam. Wyładowania elektryczne wisiały w powietrzu. „Cecilia” zakotłosała się gwałtownie - sprawił to zanurzony fragment niezabezpieczonej rafy a Matthias zaklął i klął cięko na deski. Alain, wypatrujący Flynną w ciemnej wodzie, omal nie upadł.

- To nic nie daje - powiedział z niepokojem. - Jeśli nie założymy ostatnich lin, cała rafa rozleci się na kawałki.

- Rouget? - zawołał Aristide. - Rouget, nic ci się nie stało?

- Ruffa się obraca - zawiadomił z rufy Ghislain. - Rouget już w końcu uwolnił.

- Więc gdzie on się, do diabła, podziewa? - warknął Aristide.

- Posłuchajcie, musimy wraca - nalegał Xavier. - I tak nie pójdzie łatwo. Pepe - zwrócił się do Aristide'a - wracajmy natychmiast!

- Nie. Zaczekamy.

- Ale...

- Zaczekamy, powiedziałem! - Aristide zerknął na Alaina. - Nikt nie będzie mówił, e Bastonnet opuścił przyjaciela w potrzebie.

Alain przez sekundę wytrzymał jego spojrzenie, po czym odwrócił się, aby zwinąć kawałek liny.

- Rouget! - krzyknął na całe gardło Ghislain.

Flynn wynurzył się w następnej chwili z drugiej strony łodzi. Xavier dostrzegł go pierwszy.

- Jest tam! - zawołał. - Wyciągnijcie go!

Potrzebował pomocy. Udało mu się odzyskać od dna łodzi, teraz jednak należało umieścić element konstrukcji we właściwym miejscu. Kto musiał przytrzymać opony dostatecznie długo, by można było je spiąć razem. Niebezpieczne zadanie: gdyby silna fala pchnęła je ku sobie, mogłyby zgnieść człowieka. Ponadto rafa znajdowała się teraz pod wodą; piśtóp czarnego, rozkołysanego morza zmuszało do działania po omacku. Alain zdjął vareuse.

- Ja to zrobię - zaproponował. Ghislain chciał go zastąpić, lecz ojciec nie pozwolił. - Nie. Przepu mnie - powiedział i zsunął się do wody nogami naprzód.

Pozostali ochotnicy wyciągali szyję, ale „Cecilia”, spuszczone z uwięzi, zaczęła się oddalać od rafy.

Przypływ brał górę; pozostał zaledwie w wąskim pasie mulistej płytkości, do której łódź mogła przybić. Jeszcze chwila i zniknie wszystko prócz skał, a ochotnicy, przy wietrze od morza, uwięźniemy przy urwiskiem a nadciągającym sztormem. Dobiegł mnie niesamowity, zawodzący dźwięk z pokładu „Cecilii”, lampa zamrugała ostrzegawczo i dostrzegłam przez lornetkę dwie postaci, wciągane na łódź. Z tej odległości nie dało się stwierdzić, czy wszystko w porządku. Nie nadszedł żaden sygnał.

Niecierpliwie obserwowałam z La Goulue pełnię na brzegu „Cecilii”. Za nią błyskawica przecięła horyzont. Księżyc, któremu zaledwie kilku dni brakowało do pełni, wyliznął się za cian chmur.

- Nie zdążyła - skomentowała Capucine, wpatrzona w kurczącą się płytkość.

- Oni nie płyną na Le Griznoz - powiedział Omer. Znam Aristide'a. Zawsze powtarzał, że jeśli przytyły odetnie łódź, powinno się zawrócić do La Goulue. Długa droga, ale przynajmniej nie są takie silne i można bezpieczniej przybić do brzegu.

Miał słuszność. Pół godziny później „Cecilia” okrążyła Point, rozkołysana nieco, lecz nadal dość stabilna i skierowała łódź ku La Goulue. Pobiegliśmy na jej spotkanie, wciąż nie wiedząc, czy rafa została zabezpieczona, czy pozostawiona na pastwę żywiołów.

- Patrzcie! To ona!

„Cecilia” wpłynęła w obręb zatoki. Dalej na morzu wysokie, grzywiaste fale odzwierciedlały sinieje niebo. Wewnątrz kręgu panował względny spokój. Boja wietlna jarzyła się czerwonym blaskiem, wydobywając z mroku ich twarze. W chwilowej ciszy usłyszeliśmy podniesione, pieśń głosy.

Dziwny, niesamowity dźwięk w ród zimnej nocy i przy nadciągającej burzy. Lampa Aristide'a oświetlała sześciu ludzi na pokładzie i gdy się zbliżyli, potrafiłam już rozróżnić twarze skapanie w czerwonym poblasku. Alain i Ghislain mieli na sobie długie peleryny; Xavier stał na rufie, a obok niego siedzieli Aristide Bastonnet i Matthias Guenole. Przedstawiali dramatyczny obraz, co jak z Johna Martina, na tle tego apokaliptycznego nieba: dwaj starcy o długich włosach i sumiastych woskach, zwrócenie profilami ku lądowi z posępnym tryumfem. Dopiero później uświadomiłam sobie, że wtedy po raz pierwszy w życiu widziałam Matthiasa i Aristide'a siedzących ramię w ramię i słyszałam ich wspólny śpiew. W owej godzinie dwaj wrogowie stali się moimi nieprzyjaciółmi, lecz kimś w rodzaju sprzymierzeńców.

Pobiegłam na spotkanie „Cecylii”. Ludzie wskakiwali do wody, żeby pomóc wyciągnąć ją na brzeg. Był wśród nich Flynn. Uciszył mnie szorstko, gdy wyciągnęłam za dziób „Cecylii”. Mimo wyczerpania jego oczy jaśniały. Zarzuciłam mu ręce na szyję, dygocząc w zimnej wodzie. Parsknął miechem.

- Co się dzieje?

- Jednak ci się udało. - Mój głos drżał.

- Oczywiście.

Był lodowato zimny i pachniał mokrymi wełnami. Osłabłam z ulgi; przygłębłam do niego kurczowo i omal nie przewrócili nas oboje. Jego włosy smagnęły mnie po twarzy. Usta miały słony smak i były ciepłe.

U dziobu łodzi Ghislain opowiadał wszystkim, którzy chcieli słuchać, jak to Alain i

Rouget nurkowali na zmian , eby zamocowa ostatni komplet lin. Na urwisku czekała grupa mieszka ców wioski - rozpoznałam Angela, Charlotte, Toinette, Desiree i mojego ojca. Gromadka dzieci z latarkami zaczęła wiwatowa . Kto odpalił rac sygnalizacyjn , która pomkn ła wawo po kamieniach w stron wody. Angelo krzykn łą z góry:

- Stawiam devinnoise wszystkim ochotnikom! Wypijcie toast za Sainte-Marine!

Podchwycono daleki okrzyk.

- Niech yje Les Salants!

- Precz z La Houssiniere!

- Hip, hip, hura dla Rougeta!

To wołał Omer, przepychaj c si koło mnie w kierunku dziobu. Alain z jednej, Omer za z drugiej strony d wign li Flynna nad powierzchnię wody. Doń czyli do nich Ghislain i Xavier. Flynn u miechał si szeroko, jad c na ich ramionach.

- Pierwszy mechanik! - zakrzykn łą Aristide.

- Przecie jeszcze nie wiadomo, czy ta bariera zadziała za miał si Flynn.

Grzmot zagłuszył jego protesty. Czyj dziarski, wyzywaj cy okrzyk wzniósł si ku niebu. Jak gdyby w odpowiedzi lun łą deszcz.

29

Nadszedł teraz okres niepewno ci, zarówno dla mnie, jak i dla innych. Wyczerpani tygodniami intensywnych zaj budowlanych, popadli my w marazm - zbyt zm czeni, by pracowa , i zbyt niespokojni, by wi towa . Dni upływały w nieustannym napi ciu. Czekali my, niczym mewy na wodzie, a fala si odmieni.

Alain napomykał o zainwestowaniu w kolejn łód . Utrata „Korrigane” udaremniła Guenole połowy ryb i cho robili dobr min do zlej gry, cała wioska wiedziała, e rodzina tonie w długach. Jeden Ghislain wydawał si optymist ; kilka razy zauwa yłam go w La Houssiniere, wał saj cego si wokół kawiarni „Chat Noir” w coraz to nowym podkoszulku o psychodelicznych barwach. Je li nawet Mercedes była pod wra eniem, nie zdradziła si z tym.

Nikt nie wspominał o rafie. Trzymała si na razie, znalazłszy - jak przepowiedział Flynn - odpowiednie dla siebie poło enie, wyczuwano jednak, e gło ne mówienie na ten temat oznaczałoby igranie z losem. Mało kto ywił wi ksze nadzieje. Ale zmniejszyły si podtopienia w La Bouche, Les Salants było czyste a po ni ej poło one mokradła, a po listopadowych

przyptywach nie odnotowano dalszych uszkodzeń ani w La Bouche, ani w La Goulue.

Nikt zbyt głośno nie wyrażał nadziei. Osoba z zewnątrz nie zauważyłaby w Les Salants żadnej zmiany. Ale Capucine dostała kartkę od córki z kontynentu, Angelo zaczął odnawiać bar, Omer i Charlotte uratowali ziemniaki na zimę, a Desiree Bastonnet poszła do La Houssiniere i spędziła ponad godzinę przy telefonie, rozmawiając ze swym synem Philippe'em w Marsylii.

Żadne z tych wydarzeń nie miało wielkiego znaczenia. Z pewnościami nie zwiastowały nam ostatecznej odmiany losu. Mimo to coś wisiało w powietrzu: nastrój rysujący cichym liwo ci, zaczął się rozpuścić.

Grosjean również się zmienił. Po raz pierwszy od mojego przyjazdu przejawiał zainteresowanie opuszczonym warsztatem na podwórzu i pewnego dnia po powrocie zastałam go w kombinezonie roboczym, słuchającego ciego radia i porządkującego narzędzia w skrzynce. Kiedy indziej zaczął uprzątać pokój gościnny. Raz poszliśmy razem na grób P'titjeana - podtopienia do tego czasu prawie ustąpiły i wysypali my teren wokół nagrobka wieżowym wiatrem. Grosjean przyniósł w kieszeni cebulki krokusów, które zasadziliśmy razem. Przez chwilę było niemal tak, jak w dawnych czasach, kiedy pomagałam ojcu przy łodziach, a Adrienne z matką szły do La Houssiniere, zostawiając nas samych sobie. To był nasz czas, kradziony i dlatego cenny; zdarzało się, że porzucali my warsztat i wyprawiali my się na ryby do La Goulue albo wędrowali my łódkami po etier, jak gdyby - byłam synem, którego powinienem być.

Jedynie Flynn wydawał się taki sam jak zawsze. Kontynuował codzienne zajęcia, jakby z raf nie miał nic wspólnego. A przecież, myślałam sobie, naraził dla niej życie tamtej nocy na La Jetee. Zupełnie go nie rozumiałam. Pomimo swobodnego obejścia było w nim coś niejednoznacznego, jakieś miejsce w środku, do którego nigdy mnie nie zapraszał. Budziło niepokój, jak cicho w głębi bokiej wodzie. Niemniej, jak kładła się, przyciskało mnie.

Nasza fala odwróciła się dwudziestego pierwszego grudnia o wpół do dziewiętej rano. Nagle zmienił się wiatr i zapadła cisza; ostatni i najwyższy przytyw tego miesiąca ustąpił w kołach przed rafą przy La Jetee. Jak co dzień, poszłam sama do La Goulue wypatrywać oznak zmiany. Białe wiatrołowy padało na pozieleniałe od wodorostów kamyczki, a cofając się morze odsłoniło płycizny. Kilka bouchotsdrewnianych palików oznaczających stare ławice ostryg które przetrwały zimowe pogodę nietknięte, sterczało z wody, obwieszonych naszyjnikami ze sznurów.

Gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że cała linia wody za ciętą odpadki naniesione przez przyływ: kawałek liny, wiązki na homary, zgubiona tenisówka. W kałuży u moich stóp przywarł do podłoża samotny zielony skałoczek.

Skorupiaki żyły. To było niezwykle. Burzliwe pływy w La Goulue raczej nie zachęcały morskich stworzeń do osiedlania się tutaj. Jeńcy, od czasu do czasu. Zabłykane meduzy, przywodziły na myśl foliowe woreczki, które pozostawiono na brzegu do wyschnięcia. Nachyliłam się, by obejrzeć z bliska kamienie. Osadzone w mule, tworzyły szeroki pas, po którym lepiej było nie stąpać. Tego dnia jednak zauważyłam coś nowego. Coś twardszego niż szlam z mielizny, coś gładszego, co pokrywało zanurzone otoczaki powłoczek jakby rozdrobnionej miki.

Piasek.

O, nie zebrałyby się go nawet gary. Ale to był piasek; jasny piasek z La Jete, połyskiwał wokół zatoki. Poznałabym go wszędzie.

Powiedziałam sobie, że to nic takiego: cienka warstewka, naniesiona przez przyływ, i tyle. Nic nie oznaczała.

Oznaczała wszystko.

Zgarnęłam na dłoń, ile się dało - szczyptę, na której bez trudu zacisnęłam palce - i pobiegłam ciekawą nad urwiskiem do starego blokhauzu. Flynn był jedyną osobą, która potrafiła zrozumieć znaczenie tych kilku ziarenek. Flynn, który stał po mojej stronie. Zastałam go w niekompletnym stroju, przy kawie; jego worek na skarby z plecakami przy drzwiach. Gdy weszłam, zadyszana, odniosłam wrażenie, że Flynn jest zmęczony i - jak na siebie - dziwnie zasypiony.

- Udało się! Spójrz! - Wyciągnęłam ku niemu otwartą dłoń.

Patrzył długo, a potem wzruszył ramionami i zaczął wciągać buty.

- Szczypta piasku - mruknął obojętnie. - Można by go zauważyć, gdyby dostał się człowiekowi do oka.

Moje emocje zgasły, jak gdyby wylano na nie wiadro zimnej wody.

- Ale to dowodzi, że rafa działa - zaproponowałam. - Twój cud. Zaczęło się.

Nie zareagował uśmiechem.

- Cuda to nie moja specjalność.

- Piasek jest dowodem - upierałam się. - Odwróciła bieg spraw. Uratowała Les Salants.

Flynn za miał si zło liwie.

- Na miło bosk , Mado! - rzucił. - Nie potrafisz my le o niczym innym? Tylko tego pragniesz? By cz ci tej... tego sm tnego kółka nieudaczników i degeneratów, bez pieni dzy, bez ycia, starzej c si i tkwi c w miejscu, modl c si do morza i dogorywaj c z roku na rok? Pewnie, twoim zdaniem, powinienem si cieszy , e tu utkn łem, e to co w rodzaju przywileju... - Urwał i popatrzył w okno; jego gniew opadł nagle. Zło liwy wyraz znikn ł z twarzy bez ladu, jakby go nigdy nie było.

Zdr twiałam, zupełnie jakby mnie uderzył. Czy jednak nie wyczuwałam tego wcze niej - napi cia, gro by nagłego wybuchu?

- My łałam, e ci si tu podoba - powiedziałam. - W ród nieudaczników i degeneratów.

Znowu wzruszył ramionami, tym razem z lekkim zawstyżeniem.

- Podoba mi si - przyznał. - Mo e a za bardzo.

W ciszy, która zapadła, nadal wpatrywał si w okno, a w jego ciemnoszarych oczach odbijało si wiatło poranka. Potem spojrział na mnie, rozchylił moje palce i rozgarn ł piasek, który trzymałam w dłoni.

- Ziarenka s drobne - zauwa ył po chwili. - Zawieraj du o miki.

- I co z tego?

- To jest lekkie. Nie osi dzie na dłu ej. Pla a potrzebuje solidnej podstawy, kamieni, otoczków i tak dalej, jako punktu oparcia. Inaczej woda j po prostu wypłucze. Z tym b dzie podobnie.

- Rozumiem.

Dostrzegł wyraz mojej twarzy.

- Czy to dla ciebie a tak wiele znaczy?

Nie odpowiedziałam.

- Pla a nie przemieni tego miejsca w La Houssiniere.

- Wiem.

Westchn ł.

- No dobra. Spróbuj .

Poło ył dłonie na moich ramionach. Przez chwil czułam g stniej c w powietrzu zapowied mo liwo ci, niczym wyładowania elektryczne. Zamkn łam oczy, czuj c zapach tymianku, starej wełny i wydm o poranka. Lekko st chły zapach, jak w zagł bieniach pod

budkami plaowymi w La Houssiniere, gdzie si niegdy chowałam i czekałam na ojca. Zobaczyłam twarz Adrienne obserwujcej mnie i uśmiechajcej się pełnymi, umalowanymi ustami - i po piesznie otworzyłam oczy. Ale Flynn już się odwrócił.

- Musz i . - Podniósł worek i zaczął wkładać kurtkę.

- Dlaczego? Co ci przyszło do głowy? - Wciąż czułam na ramionach jego dotyk. Było to ciepłe wspomnienie i coś we wnętrzu mnie otworzyło się na to ciepło jak kwiat w słońcu.

- Może. Zastanowił się nad tym. - Ruszył szybko ku drzwiom.

- O co ci chodzi? Skąd ten pośpiech?

- Musz skoczyć do miasteczka. Chce coś zamówić, zanim prom odpłynie. - Umilkł i posłał mi bez troski, promienny uśmiech. - Do zobaczenia, Mado. Czas na mnie.

Zaintrygowana, wyszłam za nim na zewnątrz. Jego nagłe zmiany nastroju, przechodzenie z jednej skrajności w drugą, przypominające jesienne wahania pogody, nie były niczym nowym. Coś go jednak gnębiło, coś wiściwego niemoja nieoczekiwana wizyta. Ale szansa, że mi powie, co to takiego, była znikoma.

Wtem, gdy Flynn zamykał drzwi, jakiś drobny ruch przyciągnął mój wzrok; czyja biała koszula mignęła w pewnej odległości za wydmami. Postała ciecie. Niemal natychmiast przesłoniła ją sylwetka Flynn'a, a zanim się odsunął, postać zniknęła. Mimo to, choć widziałam ją zaledwie przez sekundę i wyłazłam od tyłu, wydało mi się, że rozpoznałam krok, zważyłam figurę i włożyła ona na bakieryback czapkę.

To nie miało sensu; ciećka wiodła tylko na wydmy, nigdzie indziej. Później jednak, wracając tą samą drogą, odkryłam na twardym piasku lądyspadryli i upewniłam się, że miałam słuszną. Brismand był tam przede mną.

30

Dotarwszy do wioski, od razu wiedziałam, że co się stało. To wisiąco w powietrzu - nieznaczące napięcie, powiew obcości. Biegłam przez całą drogę z La Goulue, ciskając piasek w garść tak mocno, że drobiny miki wbiły mi się w skórę. Gdy znalazłam się za wielką wydmą, naprzeciw opuszczonego warsztatu Grosjeana, poczułam, jak lodowata obręcz zaciska się na moim sercu.

Przed domem stało pięć osób, trójka dorosłych i dwoje dzieci. Wszyscy mieli smagłocier; mężczyzna nosił długi, jakby arabski szat pod grubą zimową kurtkę. Dzieci dwaj chłopcy

o niadej skórze i włosach spłowiałych od słońca - wyglądał na jakieś osiem i pół lat. Zobaczyłam, że mężczyzna otwiera furtkę, a dwie kobiety wchodziły za nim.

Jedna była drobna i niepozorna; jej włosy skrywał kaptur ciemnego burnusa. Kroczyła za dziećmi, gderając w języku, którego nie rozumiałam.

Drugą kobietą okazała się moja siostra.

- Adrienne?

Kiedy ją ostatni raz widziałam, miała dziewiętnaście lat, dopiero co wyszła za mąż, była smukła i ładna na swój chmurny, cygański sposób, na ładowany przez Mercedes Prossage. Nadal była taka, choć odniosłam wrażenie, że lata dodały jej surowości, stała się bardziej czujna, kanciasta. Długie, proste włosy ufarbowane miała henną. Na brzoźwach przegubach dzwoniły złote bransolety. Odwróciła się, słysząc mój głos.

- Mado! Ale wyrosła! Skąd wiedziała, że przyjeżdżamy?

Jej uścisk był krótki i przesycony wonią paczuli. Marin ucałował mnie w oba policzki. Pomyślałam, że wyglądał jak młodsza wersja stryja, lecz jego szczupła postać i pokryty meszkiem podbródek nie miały w sobie nic z żywiołowego, niebezpiecznego wdzięku Claude'a.

- Nie wiedziałam.

- No cóż, znasz ojca. Jest raczej małomówny. - Zgarnęła młodszego z chłopców z ziemi i wyciągnęła ramiona w moją stronę. Dziecko zaczęło się wyrywać. - Nie widziała jeszcze moich małych wojaków, prawda, Mado? To jest Franek. A ten to Loïc. Przywitaj się z ciotką Mado, Loïc.

Chłopcy zwrócili ku mnie identyczne, smagłe i pozbawione wyrazu buzie, ale się nie odezwali. Drobna kobieta w burnusie, którą uznałam za nianię, zagadkała do nich gorczakowo po arabsku. Ani Marin, ani Adrienne jej nie przedstawili i wydawała się zaskoczona moim powitaniem.

- Napracowała się tutaj - zauważyła Adrienne, zerkając na dom. - Za naszej ostatniej bytności był w strasznym stanie. Wszystko się rozpadało.

- Za ostatniej bytności? - O ile wiedziałam, obydwójce z Marinem nigdy nie odwiedzili wyspy.

Ale Adrienne otwierała już drzwi do kuchni. Grosjean stał przy oknie i patrzył przez nie. Za nim resztki niadania - chleb, zimna kawa, otwarty słoik dżemu - oczekiwały mego przybycia niczym wyrzut sumienia.

Dzieci spoglądały z zaciekawieniem. Franek szepnął coś po arabsku do Loica i obaj zachichotali. Adrienne podeszła bliżej.

- Papo?

Grosjean odwrócił się powoli. Jego powieki opadły.

- Adrienne - powiedział. - Miło cię widzieć.

Z uśmiechem nalał sobie kubek zimnej kawy z dzbanka stojącego na stole. Jego powitanie oczywiście nie zdziwiło Adrienne. Dlaczego miałoby ją dziwić? Oboje z Marinem uśmiechnęli się sumiennie. Chłopcy trzymali się z tyłu i chichotali. Niania, uśmiechając się, skłoniła głowę i z szacunkiem spuściła oczy. Grosjean poprosił gestem o więcej kawy i zabrała się do jej parzenia, zadowolona, że mogła się czymś zająć. Niezdarnie nalewała wodę, wyjmowała cukier. Filiżanki wylizgiwały mi się z rąk jak wiewiórki o złowione ryby.

Za moimi plecami Adrienne opowiadała wysokim, dziewczęcym głosem o swoich dzieciach. Chłopcy bawili się na dywaniku przed kominkiem.

- Nazwali my ich na twój cześć, papo - tłumaczyła Adrienne. - Twój i P'titjeana. Ochrzcili my ich Jean-Franck i Jean-Loic, ale na razie skracamy te imiona, dopóki chłopcy do nich nie dorosną. Widzisz, nigdy nie zapomnieli my, że jesteście moimi salianami.

- Ha.

Nawet ta monosylaba stanowiła coś w rodzaju cudu. Ile razy od mojego powrotu Grosjean bezpośrednio do mnie przemówił? Odwróciłam się z dzbankiem, lecz mój ojciec wpatrywał się jak urzeczony w chłopców, turlających się i mocujących na dywanie. Franek zauważył jego spojrzenie i pokazał jej złyk. Adrienne za nią się pobłaźliwie.

- Mały łobuziak.

Ojciec zachichotał cicho.

Nalałam wszystkim kawy. Chłopcy zjedli po kawałku ciasta i utkwili we mnie szeroko otwarte brzośce. Wyjwszy różnicę wieku, byli niemal identyczni: długie ciemnoblonde grzywki, chude nogi i zaokrąglone brzuszki pod jaskrawymi ocieplanymi kurtkami. Adrienne mówiła o nich z czułością, zauważyłam jednak, że ilekroć należało zrobić coś konkretnego - wytrzeć lepkie usta lub mokre nosy, zabrać puste talerzyki - zwracała się do niani.

- Już od tak dawna chciałam przyjechać do domu - westchnęła, popijając kawę. - Ale interesy, papo, no i dzieci... cięgle brakowało nam czasu. Wiesz, tam nikomu nie można ufać. Europejczycy łatwo padają ofiarą. Złodziejstwo, korupcja, wandalizm, co tylko chcesz. Ani na

chwil nie mogła na siebie odwrócić.

Grosjean słuchał. Pił kawę, a filiżanka niemal gniła w jego potnej dłoni. Gestem założył drugą kawałek ciasta. Ukroiła i podała mu talerzyk nad stołem. Nie doczekała się reakcji. A jednak kiedy Adrienne mówiła, ojciec od czasu do czasu kiwał głową, czemu towarzyszyło niekiedy wyspiarskie „ha” na znak potwierdzenia. W jego przypadku równało się to gadulstwu.

Później Marin zaczął opowiadać o swoich interesach w Tangerze, o antycznych płytkach ceramicznych, które stały się ostatnim krzykiem mody w Paryżu, o możliwościach eksportu, podatkach, zadziwiająco taniej sile roboczej, francuskiej diasporze, do której się zaliczali, bezwzględnie konkurencji, ekskluzywnych klubach, do jakich należeli. Ich życie rozwijało się przed nimi niczym białokolorowy jedwabiu. Bazary, baseny, tancerze, uzdrowiska, wieczorne rozrywki brydżowe, handlarze uliczni, wyzysk w zakładach pracy. Słuchali do wszystkiego. Moja matka byłaby pod wrażeniem.

- A oni się chcieli do pracy, tato. Tak wygląda tam poziom życia. Absurdalnie niski. Płacimy im znacznie więcej, niż by zarobili w rodzinnych krajach. Wiem, że z nich jest nam naprawdę wdzięczna.

Zerknęłam na drobniaki, która zamasyżowała buzię Francka wilgotną szmatką. Zastanawiałam się, czy zostawiła w Maroku rodzinę, czy została za domem. Franek wyrwał się i skarżył po arabsku.

- Mieliśmy, oczywiście, pewne problemy - ciągnęła Adrienne. Pojechał w magazynie, dzieło zawistnego konkurenta. Milionowe straty. Drobne kradzieże i oszustwa, popełniane przez pozbawionych skrupułów pracowników. Rasistowskie napisy na ścianach ich rezydencji.

Powiedziała, że fundamentalni ci zdobywają władzę i utrudniają życie cudzoziemcom. Ponadto należało mieć na względzie dzieci... Przeżyli wszyscy wiele miłych chwil. Teraz jednak należało pomyśleć o przeprowadzce.

- Pragnę dla moich chłopców najlepszego wykształcenia, tato - oznajmiła. - Chcę, żeby wiedzieli, kim są. To dla mnie ważne po wszystkim. Pamiętaj tylko, że mama nie zobaczyła... - Urwała i skierowała wzrok na mnie. - Sama wiesz, jaka ona była - podjęła. - Nie przyjmowała żadnych rad. Nie chciała nawet przyjąć pieniędzy. Była zbyt uparta.

Popatrzyłam na siostrę bez uśmiechu. Pamiętałam, jak bardzo matka była dumna ze swojej pracy sprzątaczką, jak opowiadała mi o koszulach od Hermesa, które prasowała, i

kostiumach Chanel, odbieranych z pralni; i jak gdy znalazła pieniądze poduszkami sofy, kładła je zawsze na popielnicze, bo ich zabranie byłoby równe kradzieży.

- Pomagali my jej, ile my mogli - podjęła Adrienne, zerkając na Grosjeana. - Chyba o tym wiesz, prawda? Bardzo się martwili my, papo, a jesteś tu całkiem sam.

Władczym gestem założyła kawę. Nalała.

- Na pewien czas zatrzymamy się w Nantes, żeby załatwić pewne sprawy. Marin ma tam stryja, Amanda, kuzyna Claude'a. Importera antyków. On nas przyjmie, dopóki nie znajdziemy sobie czegoś na dłuższą metę.

Marin przytaknął ruchem głowy.

- Warto wiedzieć, że chłopcy chodzą do dobrej szkoły. Mały Jean-Franck prawie nie mówi po francusku. A obaj muszą się nauczyć czytać i pisać.

- No, a najmłodsze dziecko? - Przypomniałam sobie, że gdy matka umierała, Adrienne była w ciąży. Mimo to nie wyglądała na kobietę, która właśnie urodziła dziecko. Zawsze była bardzo szczupła, a teraz jeszcze bardziej. Zauważyłam jej kruche, kościste przeguby i dłonie, cienie pod kośćmi policzkowymi.

Marin spojrzał na mnie z wyrzutem.

- Adrienne poroniła w trzecim miesiącu - odezwał się nosowym głosem. - Nie rozmawiamy na ten temat. - Jego ton sugerował, że bezpośrednio się do tego przyczyniłam.

- Przykro mi - wymamrotałam.

Adrienne uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nie szkodzi - odparła. - Jedyne matka potrafi to zrozumieć. - Dotknęła głowy jednego z chłopców chudym, smagłym dłoniem. - Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie te moje aniołki - podsumowała.

Chłopcy zachichotali i wymienili kilka słów po arabsku. Grosjean wpatrywał się w nich jak w zwierzęta.

- Możemy ich przywieźć w wakacje - podsunęła Adrienne bardziej ożywionym głosem. - Miło nam będzie przyjechać na dłuższą.

31

Spędzili w domu dwie godziny. Adrienne zwiedziła wszystko, od strychu po piwnice, a Marin zbadał opuszczony warsztat. Grosjean zapalił gitane'a, wypił kawę i obserwował

chłopców błyszczą cymi, niebieskimi oczyma.

Ci chłopcy. To nie powinno mnie dziwić. Zawsze marzył o synach i przybycie Adrienne, matki jego wnuków, pogryzło nasz wygodny egzystencję w nieoczekiwanym chaosie. Grosjean bacznie ledził ich poruszenia, mierzwił od czasu do czasu długie łoki chłopców i odsuwał ich od kominka, gdy przetaczali się zbyt blisko; pozbierał ich kurtki i złożył na krześle. Siedziałam niepozornie i niezdarne naprzeciw niani, która również nie miała nic do roboty. Garbiła piasku - schowana teraz w kieszeni - wierzyła mnie. Pragnęłam wrócić do La Goulue albo na wydmy, gdzie mogłabym zostać sama, ale zafrapował mnie wyraz twarzy mojego ojca. Wyraz, który powinnam zobaczyć tylko ja.

W końcu nie mogłam się powstrzymać.

- Dzisiaj poszłam do La Goulue.

Brak reakcji. Franek i Loic tarzali się po podłodze w udawanej walce. Niania uśmiechnęła się, nie miała, najwyraźniej nie rozumiejąc ani słowa.

- Pomyślałam, że przytyłem co przyniesie.

Grosjean ukrył twarz w filiżance. Dało się słyszeć ciche siorbanie. Odstawił naczynie i podsunął mi je gestem oznaczającym „chcę więcej”.

Zignorowałam go.

- Widzisz? - Wyciągnęłam rękę z kieszeni i rozłożyłam dłoń. Przyłgnęłam do niej piasek.

Grosjean ponownie trzymał swoją filiżankę.

- Wiesz, co to znaczy? - Mój głos ostro się podniósł. Obchodzi cię to choć trochę?

Znowu ten sam gest. Frank i Loic wpatrywali się we mnie z otwartymi ustami, zapomniawszy o zabawie. Grosjean utkwiał oczy gdzieś poza mną, obojętny i nieporuszony niczym posąg z Wyspy Wielkanocnej.

Nagle ogarnęła mnie złość. Wszystko układało się nie tak jak trzeba: najpierw Flynn, potem Adrienne, a teraz Grosjean. Z rozmachem postawiłam przed nim dzbanek, wychlapując kawę na obrus.

- Chcesz kawy? - rzuciłam w ciekłe. - To sam jej sobie nalej! A jeśli chcesz, abym ja ci naląła, poproś! Wiem, że potrafisz. Wystarczy powiedzieć!

Cisza. Grosjean znów wpatrzył się w okno, lekceważąc mnie i wszystko inne. Wyglądał zupełnie tak samo, jak dawniej, przed naszymi ostatnimi postapami. Chwilę później Franek i Loic wznowili zabawę. Nie miała niania spuszczać oczy. Z zewnątrz dobiegł mnie wysoki,

podniecony głos Adrienne. Zaczęłam uprzątać naczynia, wrzucając je do zlewu. Wylałam resztę kawy, oczekując sprzeciwu, którego nikt nie zgłosił. Umyłam naczynia i wytarłam je bez słowa. Piekły mnie oczy. Wraz z okruchami zmiołam ze stołu piasek.

32

Moja siostra z rodziną zatrzymała się na dwa tygodnie w „Les Immortelles”. Przyszli na obiad w Boże Narodzenie, a potem wpadali niemal codziennie na godzinę, by następnie wrócić do hotelu. W Nowy Rok Franek i Loïc wyjechali z nowymi rowerami po trzy tysiące franków, specjalnie zamówionymi na kontynencie przez mojego ojca.

Dopiero na trapie „Brismanda I”, gdy Grosjean pomagał niani wnieść bagaże, Adrienne odwołała mnie na bok. Spodziewałam się tego i ciekawa byłam, ile czasu zajmie jej dojście do sedna.

- Chodzi o papieża - wyznała. - Nic nie mówiłam przy chłopcach, ale bardzo się martwi.

- Czy by? - Staralam się, by nie zabrzmiało to sarkastycznie.

Adrienne miała niezadowolony min.

- Wiem, że mi nie wierzysz, ale jestem bardzo przywiązana do papieża - oznajmiła. - Martwi się, że mieszka tu na odludziu i jego byt zależy od jednej osoby. Nie sądzę, aby to było dla niego dobre.

- Tak naprawdę - odparłam - to sądzę, że jego stan się poprawił.

- Nikt ci nie zarzuca braku starania. - Adrienne uśmiechnęła się. - Ale nie jesteś pielęgniarką i nie masz kwalifikacji, by zajmować się jego problemami. Zawsze uważałam, że jest mu potrzebna pomoc.

- Jaka pomoc? - usłyszałam swój podniesiony głos. - Taka jak w „Les Immortelles”? Taka, jak proponuje Claude Brismand?

Moja siostra zrobiła urągon min.

- Nie mów tak, Mado. Wiem, że cię jest rozstrojona po pogrzebie mamy. Jest mi strasznie przykro, że nie przyjechałam. Ale mój stan...

Zignorowałam to.

- Czy Brismand kazał ci wrócić? - spytałam. - Doniósł ci, że odmawiam współpracy?

- Chciałam, żeby papa zobaczył chłopców.

- Chłopców?

- Tak. Aby zobaczyć, czy życie toczy się dalej. To mu nie służy mieszka tutaj, kiedy mógłby przebywać w pobliżu rodziny. Twoje postępowanie jest egoistyczne i niebezpieczne.

Wytrzeszczyłam na niego oczy, zdumiona i wstrząsnęta. Naprawdę jestem egoistką? Naprawdę moje plany i marzenia tak mnie pochłonęły, że nie zważałam na potrzeby mojego ojca? Czy rzeczywiście Grosjean nie chciał ani rafy, ani plaży, ani w ogóle niczego, co dla niego zrobiłam? I pragnęłam tylko zobaczyć wnuków, których przywiozła Adrienne?

- To jego dom - odparłam po chwili. - A ja należałam do jego rodziny.

- Nie bądź naiwna - prychnęła moja siostra i w tym momencie była dawną Adrienne, wzdąbną starszą siostrą, siedzącą na tarasie kawiarni w La Houssinière i wyzywającą moje krótko ostrzyżone włosy oraz znoszone ubrania. Może tobie się wydaje, że życie na pustkowiu jest czymś romantycznym. Ale dla biednego papy to wygląda zupełnie inaczej. Spójrz tylko na ten dom... skłębiony z resztek. Nie ma w nim nawet porządnej łazienki. A gdyby ojciec zachorował? Macie tu tylko tego starego weterynarza, jak mu tam? Co by było, gdyby potrzebny był szpital?

- Nie zmuszam go do niczego. - Nienawidziłam obronnego tonu, który pojawił się w moim głosie. - Opiekuj się nim, to wszystko.

Adrienne wzruszyła ramionami. Równie dobrze mogła powiedzieć: „Tak jak opiekowała się matką”. Na sam myśl o tym poczułam się chora; rozbolała mnie głowa.

- Przynajmniej spróbowałam - podjęłam. - A co ty dla nich zrobiła, kiedy w tej swojej wieży z kości słoniowej? Skąd możesz wiedzieć, co się z nami działo przez te wszystkie lata?

Nie wiem, dlaczego mama zawsze się upierała, że to ja bardziej przypominam Grosjeana. Adrienne uśmiechnęła się tym swoim nieprzeniknionym uśmiechem, pogodna jak odbitka fotograficzna i równie milcząca. Jej pełne samozadowolenia milczenie zawsze w ciekło. Igiełki gniewu zakłuły mnie niczym ukłosa stada mrówek.

- Ile razy nas odwiedziła? Ile razy obiecywała zadzwonić? Ty i twoje urojone ciębie... Zadzwoniłam do ciebie, Adrienne, powiedziałam ci, że mama umiera...

Moja siostra wpatrywała się we mnie; krew odpłynęła z jej twarzy.

- Urojone ciębie?

Jej zboląta mina zmusiła mnie do zamknięcia. Poczułam, że się czerwieni.

- Słuchaj, Adrienne, przepraszam cię, ale...

- Przepraszasz? - Jej głos zabrzmiał piskliwie. - Skąd możesz wiedzieć, jak to ze mną

było? Straciłam dziecko, wnuka mego ojca, a tobie się wydaje, że wystarczy zwykłe „przepraszam”?

Spróbowałam dotknąć jej ramienia, ale odskoczyła z nerwowym, histerycznym wzdrygnięciem, które w jakiś sposób przypomniało mi matkę. Przeszyła mnie spojrzeniem ostrym jak sztylet.

- Mam ci powiedzieć, Mado, dlaczego tu nie przyjeżdżali my? Mam ci powiedzieć, dlaczego zamieszkali my w „Les Immortelles”, a nie u papy, gdzie mogliby my codziennie go widywać? - Jej głos był jak latawiec, lekki, kruchy i bujający w powietrzu.

Potrzebuję ławki.

- Proszę ci, Adrienne...

- To przez ciebie, Mado! Dlatego, że ty tu byłaś! - Niemal płakała, złościła jej się dech, lecz wyczułam w tym odcieniu satysfakcji; podobnie jak matka, Adrienne uwielbiała przedstawienia. - Zawsze się czepiała! Zawsze mnie przeladowała! - Zaszlochała głosem. - Zastraszyła mamę, chciała, żeby się wyprowadziła z Paryża, który kochała, a teraz robisz to samo z biednym papą! Ta wyspa to u ciebie obsesja, tak jest, Mado, i nie potrafisz zrozumieć ludzi, którzy pragną czegoś innego niż ty! - Adrienne otarła twarz rękawem. - A jeżeli nie wrócimy, Mado, to nie z powodu papy, tylko dlatego, że nie zniosę twojej obecności!

Zabuczała syrena promu. Gdy ucichła, usłyszałam za sobą jakieś szuranie i natychmiast się odwróciłam. Na trapie stał, nie wydobywając z siebie głosu, Grosjean. Wyciągnął rękę.

- Ojciec...

Ale on już zmierzał w przeciwną stronę.

33

W styczniu w La Goulue pojawiło się więcej piasku. Zanim minęła połowa miesiąca, był już widoczny na pierwszy rzut oka: w skałach biała fałbanka na tle skał, jeszcze nieplać, rzecz jasna, ale jednak piasek, pokrywany drobinami miki, które przy odpływie zaschły na proszek.

Flynn dotrzymał słowa. Z pomocą Damiena i Lolo przydławił z wydm worki pełne wiru i ułożył je na omszałych kamyczkach u stóp urwiska. Kępy szorstkiej trawy miały zapobiec wymywaniu piasku, a między warstwami wiru panoszyły się wodorosty, przygwożdżone palikami i oplatanie porzuconymi sieciami. Obserwowałam ten proces z zaciekawieniem i niechętą nadzieją. La Goulue, gdzie gromadziły się różne odpadki, ziemia, wodorosty i rybackie sieci,

jeszcze mniej niż przedtem przypominała plażę.

- To tylko podłoga - pocieszył mnie Flynn. - Chyba nie chcesz, żeby wywiało ci cały piasek?

W trakcie pobytu Adrienne okazywał dziwnie się nie miało; zajął do nas tylko dwa razy, zamiast - jak przedtem - codziennie. Brakowało mi go - zwłaszcza zważywszy zwłaszcza zachowanie Grosjeana - i zaczęłam rozumieć, jak wielki wpływ miała jego obecność w ciągu ostatnich kilku tygodni; w jakim stopniu ubarwił nasze życie.

Opowiedziałam mu o mojej sprzeczce z Adrienne. Słuchał bez swej zwykłej bez troski, z głębią zmarszczki między oczyma.

- Wiem, że to moja siostra - mówiłam - i wiem, że przeżyła trudne chwile, ale...

- Krewnych się nie wybiera - wpadł mi w słowo Flynn. Spotkał Adrienne tylko raz, przelotnie, i przypomniałam sobie, że zachowywał wówczas niezwykle jak na siebie milczenie. - Nie ma powodu, żebyście żyły w zgodzie tylko dlatego, że jesteście siostrami.

Uśmiechnęłam się. Gdyby tylko mama potrafiła to zrozumieć!

- Gros Jean chciał mieć syna - powiedziałam, wyrывая cędkę trawy. - Nie oczekiwał dwóch córek.

Adrienne, jak mi się wydawało, naprawiła ten błąd. Wszelkie moje wysiłki - krótko cię włosy, chłopięce ubrania, godziny spędzone w warsztacie ojca, łowienie ryb, strzępki czasu - zostały za mionę, pozbawione znaczenia. Flynn zapewne dostrzegł coś w mojej twarzy, ponieważ przerwał pracę i obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem.

- Nie po to tu jesteś, by spełniać oczekiwania Grosjeana czy kogokolwiek innego. Jeśli nie widzi, że to, co ma, jest warte tysiąc razy więcej niż jakaś tam fantazja... Wzruszył ramionami. - Nie musisz niczego udowadniać dorzucił nad wyraz szorstko. - Szczyt z niego, że ty mu się trafiła.

To samo mówił Brismand. Ale moja siostra zarzuciła mi egoizm i wykorzystywanie ojca. Ponownie zaczęłam się zastanawiać, czy nie ma racji; czy aby moja obecność nie wyrządza więcej złego niż dobrego. A jeśli jedynym jego pragnieniem była bliskość Adrienne i codzienne widywanie wnuków?

- Masz brata, prawda?

- Przyrodniego. Złotego Chłopca. - Przyspilił do wydmy oderwany kawałek sieci. Próbowałam sobie wyobrazić Flynna jako czyjś brata.

- Chyba za nim nie przepadasz.

- Powinien by jedyakiem.

Pomy lałam o sobie i Adrienne. Ona te powinna by jedyaczka . Cokolwiek próbowałam zrobi , moja siostra robiła to wcze niej. I lepiej.

Flynn ogl dał nowo wyrosłe trawy oyat na wydmach. Osobom postronnym jego twarz mogła si wydawa pozbawiona wyrazu, ale ja widziałam napi te mi nie wokół szcz k. Stłumiłam pragnienie, by zapyta go o brata, o matk . Cokolwiek si z nimi stało, odczuł to bole nie. Mo e nawet tak, jak ja odczułam zachowanie Adrienne. Przeszył mnie dreszcz, w którym kryło si co gł bszego ni czuło . Opu ciłam dło i dotkn łam włosów Flynnna.

- A wi c mamy co wspólnego - rzuciłam lekko. - Tragedi rodzinn .

- W adnym razie - u miechn ł si do mnie nieoczekiwanie swym zuchwałym, promiennym u miechem. - Ty wróciła . A ja uciekłem.

Tylko nieliczni mieszka cy Les Salants interesowali si rozszerzaniem pla y. U schyłku zimy byli zbyt zaj ci, by zauwa y rozmaite zjawiska: e zmieniony pr d morski niesie z sob barweny, i to wi cej ni przedtem; e sieci rzadko bywaj puste; e homary, mi czaki i tłuste kraby uwielbiaj osłoni t zatok i dosłownie bij si o to, który pierwszy wlezie do wi cierz. Zimowe przyptywy nie spowodowały adnych podtopie i nawet działki Omera zacz ły odzyskiwa pierwotn posta po niemal trzech latach pod wod .

Guenole w ko cu wprowadzili w ycie plan zakupienia nowej łodzi. „Eleanore II” budowano na kontynencie, w przystani niedaleko Pornic, i przez kilka tygodni wysłuchiwali my komunikatów o post pie robót. Miała to by wyspiarska łód , taka jak jej poprzedniczka, szybka i z wysokim kilem, z dwoma masztami i czworok tnym aglem. Alain nie zdradził, ile b dzie kosztowała, ale przy zmieniaj cych si pr dach zakładał optymistycznie, e szybko na siebie zarobi. Ghislain nie wykazywał a tak wielkiego entuzjazmu - najwyra niej odci gni to go od wystawy motorówek - lecz pocieszał si perspektyw rychłego zarobku. Miałam nadziej , e nowa łód , mimo swej nazwy, nie wzbudzi w moim ojcu nostalgicznych skojarze ; i e Guenole wybior inne miano. Tymczasem Gros Jean oboj tnie przyjmował informacje o budowie „Eleanore II” i doszłam do wniosku, e jestem przewra liwiona.

Rafa dorobiła si własnego imienia - Bouch'ou i dwóch wietlnych boi po obu ko cach, by mo na j było dostrzec w nocy.

Bastonnetowie, wci utrzymuj cy zawieszenie broni z Guenole, lecz przy tym zabezpieczaj cy tyły, odnotowali rekordowe połowy. Aristide ogłosił tryumfalnie, e Xavier złapał w ci gu tygodnia szesna cie homarów i sprzedał je houssinianinowi, kuzynowi mera i wła cicielowi „La Maree”, nadmorskiej restauracji, po pi dziesi t franków za sztuk .

- Spodziewaj si przed lipcem masowego napływu turystów - oznajmił z ponur satysfakcj . - Niedługo ta jego restauracja p knie w szwach. W sezonie mo e sprzeda pół tuzina dziennie, wi c mu si wydaje, e mo e je teraz wykupi , umie ci w vivier i zaczeka , a ceny poszybuj w gór . - Zachichotał. - No có , to obosieczna bro . Chłopak montuje dla nas pułapk na przesmyku. Ta sza od zbiornika, z siatk , przez któr homary nie uciekn . Mo emy je tam trzyma ywe, nawet te małe. Nie b dziemy musieli adnego wyrzuca . A potem je sprzedamy po najwy szych cenach. Rozdzielimy je, eby nie walczyły. Przyptyw w etier da im je . Dobrze pomy lane, h ? - Stary zatarł r ce. - My, salanie, mo emy tych houssinian jeszcze niejednego nauczy .

- Z cał pewno ci - przyznałam zaskoczona. - Wykazał pan du inicjatyw , monsieur Bastonnet.

- Prawda? - Aristide miał zadowolon min . - Przyszło mi do głowy, e ju czas dla odmiany pomy le o sobie. Zarobi par groszy dla wnuka. Przecie nie mo na oczekiwa , e taki chłopak, jak on, b dzie ył powietrzem, zwłaszcza gdy my li o zało eniu rodziny.

U miechn łam si , oczyma duszy widz c Mercedes.

- A to jeszcze nie wszystko - ci gn ł Aristide. - Nigdy nie zgadniesz, kto chce wej ze mn w spółk , kiedy ju b dzie miał łód . - Spojrzałam wyczekuj co. - Matthias Guenole. Moje zdziwienie wywołało szeroki u miech i błysk w starczych, niebieskich oczach. - Tak te my lałem, e ci to zaskoczy - rzekł, zapalaj c papierosa. - Id o zakład, e niewiele osób na wyspie spodziewało si zobaczy współprac Bastonnetów i Guenole za mojego ycia. Ale tu chodzi o interesy. Pracuj c razem, dwie łodzie, pi ciu m czyn, mo emy wyłapa wszystkie barweny, ostrygi i homary. Mo emy zrobi maj tek. Z osobna tylko si nawzajem podgryzamy, a houssinianie bawi si naszym kosztem. - Aristide zaci gn ł si dymem i odchylił na oparcie, układaj c wygodniej drewnian nog . - Zdziwiłem ci , h ? - zagadn ł.

Skromnie powiedziane. Zaniechanie walki, któr obie rodziny prowadziły od lat, radykalna zmiana w sposobie prowadzenia interesów - pół roku wcze niej nie uwierzyłabym, e która z tych rzeczy jest mo liwa.

Właśnie to ostatecznie mnie przekonało, że Bastonnetowie nie mieli nic wspólnego z utratą „Eleanore”. Sugerowała coś takiego Toinette; Flynn umocnił mnie w podejrzeniach i myślałam o tym, czułam się tak, jakbym stała po niepewnym gruncie. Teraz jednak mogłam wreszcie dać spokój całej sprawie. Zrobiłam to z przyjemnością i głębią ulgi. Cokolwiek spowodowało utratę „Eleanore”, nie uczynił tego Aristide. Nagle obudziła się we mnie sympatia dla szorstkiego staruszka i poklepałam go przychylnie po ramieniu.

- Zaszłaś na devinnoise - oznajmiłam. - Postawił ci.

Aristide zdusił papierosa w popielniczce.

- Nie powiem „nie”.

Bo onarodzeniowa wizyta mojej siostry wywołała pewne emocje. Człowiek z powodu chłopców, należał do wychwalanych od Point Griznoz po Les Immortelles, ale głównie dlatego, że dawała nadzieję tym, którzy wciąż czekali. Mój powrót wzbudził nieufność, jej natomiast - w tym terminie, z synami i obietnicą czegoś lepszego - spotkał się wyjątkowo z aprobatą. Aprobowano nawet jej małżeństwo z housinianinem; Marin Brismand był bogaty, a nawet jeżeli nie on, to jego stryj, w braku żadnych innych krewnych Marin miał wszystko odziedziczyć. Powszechnie uważano, że Adrienne świetnie się powiodło.

- Nie byłoby źle, gdyby poszła za jej przykładem - doradziła Capucine przy ciastkach w swojej przyczepie. - Założenie rodziny dobrze by ci zrobiło. To, co trzyma wyspę przy życiu, to małżeństwo i dzieci. Rybołówstwo i handel są na drugim miejscu.

Wzruszyłam ramionami. Choć moja siostra wciąż się ze mną nie skontaktowała, od czasu naszej rozmowy na trapie „Brismanda I” czułam się nieswojo, kwestionując swoje własne i jej motywy. Czy traktowałam ojca jako pretekst do tego, żeby się ukryć? Czy Adrienne wybrała najlepszą drogę życia?

- Dobra z ciebie dziewczyna - orzekła Capucine, rozparta wygodnie na krześle. - Już bardzo pomogła ojcu. I całemu Les Salants. Teraz przyszła pora, aby zrobić coś dla siebie. - Usiadła prosto i przyjrzała mi się krytycznie. - Jesteś całkiem ładna, Mado, naprawdę. Widziałam, jak patrzy na ciebie Ghislain Guenole i kilku innych... - Próbowałam jej przerwać, ale zamachała rękami z dobroduszną irytacją. - Nie burczysz już na ludzi jak dawniej - cięgnęła. - Nie paradujesz z wysuniętym podbródkiem, jak gdyby któraś chwila spodziewała się z kim pokłócić. Ludzie przestali cię nazywać La Poule.

Istotnie, nawet ja to zauważyłam.

- No i znowu zaczęła malować. Prawda?

Z absurdalnym poczuciem winy spjrzałam na półksiężyc ochry pod moimi paznokciami. To nie było w sumie nic wielkiego, kilka szkiców i na pół ukończony wiszący obraz płótno w pokoju. Flynn okazał się niespodziewanie dobrym modelem. Zauważyłam, że pamiętam jego rysy lepiej niż rysy innych. Naturalna sprawa: spędziłam do czasu w jego towarzystwie.

Capucine się uśmiechnęła.

- No cóż, to ma na ciebie korzystny wpływ - oznajmiła. Dla odmiany pomyśl o sobie. Przestań dawać się wciągać na barkach całego wiatru. Przypływy i odpływy nie potrzebują twego pozwolenia.

34

W lutym zmiany w La Goulue stały się widoczne dla wszystkich. Odwróciwszy kierunek, przed La Jetée wciąż niosł piasek - tylko dzieci i ja ledziliśmy ten stopniowy proces z pewnością zainteresowania. Cienka warstewka pokrywała teraz wiszący tłucznia i wiry, przywiezionych przez Flynną z wydm, a trawa oyat i „zajcze kitki”, które zasiał, zapobiegały wywiewaniu i wyflukiwaniu piasku. Pewnego ranka zastałam w La Goulue Lola i Damiana Guenole, dzielnie usiłujących zbudować zamek. Niełatwe zadanie: warstwa piasku była zbyt cienka, pod nią jedynie muł, ale przy odrobinie pomysłowo udało się to zrobić. Zbudowali z kawałków drewna coś w rodzaju tamy i przepychali mokry piasek przez kanał wykopany w mulach.

Lolo uśmiechnął się do mnie szeroko.

- B dziemy mieli plan z prawdziwego zdarzenia - powiedział. - Piach z wydm i wszystko. Rouget tak mówi.

Odwzajemniłam uśmiech.

- To by się wam podobało, prawda? Miał plan?

Chłopcy kiwnęli głowami.

- Tylko tutaj mogą sobie pobawić - wyjaśnił Lolo. - Nawet etier jest strefą zakazaną przez tąd nowo się na homary.

Damien kopnął kamyk.

- To nie był pomysł mojego taty. To ci Bastonnetowie. Rzucił mi wyzywające spojrzenie spod ciemnych rzęs. Może tata zapomniał, co zrobili naszej rodzinie, ale ja nie.

Lolo wykrzywił się do niego.

- Nic ci to nie obchodzi - powiedział. - Po prostu jesteś zazdrosny, bo Xavier chodzi z Mercedes.

- Nie chodzi!

Istotnie, nie było to oficjalne chodzenie. Mercedes wciąż spędzała mnóstwo czasu w La Houssiniere, gdzie - jak twierdziła - najwięcej się działo. Ale widywano ich z Xavierem w kinie i w „Chat Noir”, a Aristide stał się zdecydowanie pogodniejszy i obszernie rozprawiał o inwestycjach i planach na przyszłość.

Posłpni Guenole również tryskali niezwykłym optymizmem. Pod koniec miesiąca długo oczekiwana „Eleanore II” została wreszcie ukończona i można było odebrać. Alain, Matthias i Ghislain popłynęli po nią promem do Pornic, zamierzając wrócić do Les Salants. Zabrałam się z nimi na przejazd, żeby odebrać kufer z moimi rzeczami, głównie przyborami malarskimi i ubraniami, przysłany z Pary przez gospodynię. Wmówiłam sobie, że jestem ciekawa nowej łodzi; w rzeczywistości czułam się przytłoczona w Les Salants. Od wyjazdu Adrienne Grosjean cofnął się do swego dawnego, apatycznego ja; pogoda była kiepska i nawet perspektywa piasku w La Goulue straciła na wiewie o ci. Potrzebowałam zmiany scenerii.

Alain wybrał warsztat szkutniczy w Pornic, ponieważ leżał najbliżej Le Devin. Znał przelotnie właściciela, który był dalekim krewnym Jojo-le-Goelanda, choć mieszkając na kontynencie, nie uczestniczył w wianach między salanianami a houssinianami. Jego warsztat mieścił się nad morzem, obok niewielkiej przystani, i gdy tam weszli my, poczułam niezapomnianą, budzącą nostalgię woń farby, trocin, nadtopionego plastiku, spawania oraz klinkieru nasączonego chemikaliami. Była to firma rodzinna, nie aż tak mała, jak warsztat Grosjeana, lecz dostatecznie skromna, by nie przytłaczać Alaina. On i Matthias odeszli z właścicielem, by porozmawiać o zapłacie, my z Ghislainem pozostaliśmy na podwórzu, patrząc na suchy dok i rozpoczęte prace. Z łatwością dostrzegli my „Eleanore II”, jedyną drewnianą łódź w szeregu kadłubów z tworzywa, które Ghislain zmierzył zazdrosnym spojrzeniem. Była nieco większa niż pierwotna „Eleanore”, lecz Alain kazał ją zbudować w tym samym stylu i choć widziałam, że temu szkutnikowi brakuje staranności i sztuki mojego ojca, łódź wyglądała wspaniale. Obejrzałam ją całą, podczas gdy Ghislain powdrował nad wodę i właściciel nie zaglądał pod spód, żeby zbadać kil, kiedy wrócił zadyszany, z rozplamioną twarzą.

- Tam! - oznajmił, wskazując teren głównego magazynu. W hangarze składowano cztery

oraz podno niki i zgrzewarki. Ghislain poci gn ł mnie za r k . - Chod i zobacz!

Okr aj c hangar, zauwa yłam jak du jednostk w trakcie budowy. Nie była sko czona nawet w połowie, lecz przewy szała rozmiarami wszystko, co znajdowało si w warsztacie. W powietrzu wisiał ostry zapach oleju i metalu.

- Jak ci si zdaje, co to jest? - spytałam. - Prom? Trawler?

Łód miała około dwudziestu metrów długo ci i dwa pokłady, otoczone rusztowaniami. ci ty dziób, kwadratow ruf - w czasach mego dzieci stwa Grosjean nazywał je „metalowymi prosiakami” i traktował z gł bok pogard . Niedu y prom, którym przyłyn li my do Pornic, był wła nie takim metalowym prosiakiem, kwadratowym, brzydkim i bardzo funkcjonalnym.

- To prom. - Ghislain u miechn ł si do mnie, zadowolony z siebie. - Chcesz wiedzie , sk d wiem? Popatrz z drugiej strony.

Druga strona była niekompletna; du e arkusze blachy poł czono nitami, tworzc zewn trzny kadłub, ale wielu brakowało, przez co przypominał niedoko czon i monotonn układank . Arkusze miały ciemnoszar barw , lecz na jednym kto wypisał ółt kred nazw metalowego prosiaka: „Brismand II”.

Wpatrywałam si w ni przez chwil w milczeniu.

- No i co? - zagadn ł niecierpliwie Ghislain. - Co o tym my lisz?

- My l , e je li go na to sta , Brismandowi musi si powodzi jeszcze lepiej, ni sobie wyobra ali my - odparłam. - Drugi prom w La Houssiniere? Ledwo wystarcza miejsca dla jednego.

Rzeczywi cie, zatoczka przy Les Immortelles ju była przepelniona, a „Brismand I” kursował dwa razy dziennie.

- Mo e ten nowy ma zast pi stary? - podsun ł Ghislain.

- Niby dlaczego? Tamten nadal działa. - Brismand, który nie przez wyrzucanie pieni dzy zdobył maj tek, nigdy nie oddałby na złom sprawnego statku. Nie, je li buduje nast pny prom, zamierza korzysta z obu.

Ghislaina wydawały si interesowa wył cznie szczegóły natury finansowej.

- Ciekawe, ile to kosztuje - zastanawiał si . - Wszyscy wiedz , e stary łajdak pi na forsie. Ju połowa wyspy do niego nale y. - Była w tym jedynie drobna przesada.

Ale prawie go nie słuchałam. Gdy gadał niezmordowanie o milionach Brismanda i o tym, co on, Ghislain, zrobiłby z takim maj tkiem, gdyby dano mu szans (wi kszo owych planów

wi zała si w jaki sposób z Ameryk i bardzo szybkimi samochodami), ja rozmyślałam o „Brismandzie II”. Po co Brismandowi drugi prom? - zadałam sobie pytanie. I gdzie zamierzał go uruchomi ?

35

Wracałam sama, okr n drog przez Nantes, eby zabra swój kufer. Mo e przez to, e upłyn ło troch czasu, odk d naprawd po wi ciłam uwag La Houssiniere, ale gdy si rozejrzałam, odniosłam wra enie, e co tu jest inne ni zwykle. Nie bardzo wiedziałam co, ale miasteczko wydało mi si jakie obce, dziwnie odbiegaj ce od dawnego siebie. Ulice ja niały innym wiatłem. Powietrze pachniało inaczej, jakby było bardziej słone, troch jak w La Goulue podczas odpływu. Ludzie obserwowali mnie, gdy przechodziłam; jedni pozdrawiali mnie krótkim skinieniem głowy, drudzy odwracali oczy, jak gdyby byli zbyt zaj ci, eby rozmawia .

Zima to zawsze na wyspie martwy sezon. Wielu młodszych mieszka ców poza sezonem przenosi si na kontynent w poszukiwaniu pracy i wraca dopiero w czerwcu. Tego roku zimowy sen La Houssiniere wydawał si niezdrowy, bli szy mierci. Wi kszo sklepów była zamkni ta, okna zasłoni te okiennicami. Rue des Immortelles opustoszała. Trwał odpływ, płycizny bielity si od mew. Tam, gdzie w podobny dzie tuziny rybaków szukałyby sercówek i mał y, stała samotna posta z siatk na długiej r czce i szturchała ni bez celu k p wodorostów.

Był to Jojo-le-Goeland. Przeszłam przez murek i ruszyłam na przełaj przez greve. Rze ki wiatr omotywał mi twarz włosami i wprawiał w dygot. St panie po gruncie pokrytym kamykami było bolesne. ałowałam, e nie mam na nogach rybackich butów, jak Jojo, tylko espadryle na cienkiej podeszwie.

Za piaszczystym terenem widziałam „Les Immortelles”, oddalony o kilkaset metrów biały sze cian na wale nadmorskim. Poni ej - w ski klin pla y. Im dalej, tym wi cej kamieni. Nie pami tałam, eby było ich a tyle; a z miejsca, w którym stałam, pla a wygl dała inaczej, wydawała si jakby mniejsza i bardziej odległa, zniekształcona skrócon perspektyw , tak i nawet nie przypominała pla y; falochron odcinał si wyra nie na tle piasku. Pod murem stał znak z jakim napisem, zupełnie nie do odczytania z tej odległości.

- Witaj, Jojo.

Odwrócił si na d wi k mego głosu, z siatk w dłoni. Drewniany kubetek u jego stóp zawierał jedynie k pk wodorostów i kilka rosówek.

- A, to ty. - Wyszczerył z by w u miechu, nie wyjmuj c z ust wilgotnego niedopałka.
- Jak tam z rybami?
- Chyba w porz dku. Co robisz tak daleko od domu, h ? Kopiesz rosówki?
- Chciałam si przej . Ładnie tu, prawda?
- Ha.

Id c przez płycizny w stron Les Immortelles, czułam, e mnie obserwuje. Wiatr wiał umiarkowanie, drobne kamyki uwierały mnie w podeszwy. Zbli ywszy si do pla y, stwierdziłam, e jest bardziej kamienista, ni pami tałam, a w niektórych miejscach dostrzegłam odsłoni te spłachetki uło onych kamieni brukowych - tam, sk d pozniakał piasek, ukazały si fundamenty starej grobli.

Les Immortelles utraciło nieco piasku. Zobaczyłam to wyra niej, dotarłszy do linii przyplýwu; drewniane paliki budek pla owych sterczały obna one niczym zepsute z by. Ile piasku? Nie miałam poj cia.

- No, witam ponownie!

Głos dobiegł z za moich pleców. Mimo pot nej postury ten człowiek poruszał si niemal bezszelestnie. Odwróciłam si , maj c nadziej , e nie zauwa ył, jak si wzdrygn łam.

- Monsieur Brismand.

Cmokn ł z niezadowoleniem i pełnym wyrzutu gestem uniósł palec.

- Claude, prosz . - U miechn ł si , najwyra niej zachwycony, e mnie spotyka. - Podziwiasz widoki?

Ten jego wdzi k. Przyłapałam si na tym, e bezwiednie na niego reaguj .

- S urocze. Twoi pensjonariusze niew tpliwie je sobie ceni .

Brismand westchn ł.

- Z pewno ci , o tyle, o ile potrafi jeszcze co oceni . Ha, to smutne, ale wszystkich nas czeka staro . Gergette Loyon słabnie z ka dym rokiem. Ale człowiek stara si , jak mo e. Mimo wszystko przekroczyła ju osiemdziesi tk . Otoczył mnie ramieniem. - Jak si miewa Grosjean?

Wiedziałam, e musz zachowa ostro no .

- Znakomicie. Nie wyobra asz sobie, jak znaczna nast piła poprawa.
- Twoja siostra mówi co innego.

Zdobyłam si na u miech.

- Adrienne z nim nie mieszka. Nie bardzo rozumiem, sk d mogłaby cokolwiek wiedzie .

Brismand kiwn 1 głow 1 współczuj co.

- Oczywiście cie. Łatwo wydawa krytyczne os dy, nieprawda ? Chyba e kto zamierza zosta na zawsze...

Nie chwyciłam przyn ty. Popatrzyłam za to w stron opustoszałej promenady.

- Chwilowo nie ma chyba zbyt wielkiego ruchu w interesie, prawda?

- No có , o tej porze roku nigdy go nie ma. Przyznam ci si , e obecnie wol t por ; robi si za stary na bran turystyczn . Za par lat powinienem przej na emerytur . U miechn 1 si dobrodusznie. - Ale co u ciebie? Ostatnio doszły mnie rozmaite s1uchy na temat Les Salants.

Wzruszyłam ramionami.

- Jako sobie radzimy.

Jego oczy błysn ły.

- A ja s1yszałem, e na tym nie poprzestajecie. e Les Salants bierze si dla odmiany do powa nych przedsi wzi . Wiwarium dla homarów na starym etier. Jeszcze troch i dojd do wniosku, e zamierzacie wysadzi mnie z siodła. - Zachichotał. - Twoja siostra ładnie wygl da - zauwa ył. - ycie z dala od wyspy musi jej słu y .

Cisza. Znad linii przypiywu poderwało si rozwrzeszczane stadko mew.

- A Marin i chłopcy! Grosjean z pewno ci si ucieszył, e wreszcie widzi swoich wnuków.

Cisza.

- Czasami si zastanawiam, jakim ja sam by1bym dziadkiem. - Westchn 1 rozdzieraj co. - Ale nigdy nie udało mi si zazna rado ci ojcostwa.

Te wzmianki o Adrienne i jej dzieciach zaczynały mnie kr powa , i Brismand to wyczuł.

- S1yszałam, e budujesz nowy prom - rzuciłam nagle.

Przez chwil jego twarz wyra 1ła szczere zaskoczenie.

- Naprawd ? Kto tak powiedział?

- Kto w wiosce - odparłam, nie chc c ujawnia mojej wizyty u skutnika. - Czy to prawda?

Brismand zapalił gitane'a.

- Zastanawiałem si nad tym - odparł. - Pomysł mi si podoba. Ale jest raczej niewykonalny. I tak mamy tu za mało miejsca. - Odzyskał pewno siebie; w jego bystrych

ciemnoszarych oczach błyszczało rozbawienie. - Lepiej nie rozpowszechnia takich plotek - doradził. - Sprawisz tylko wszystkim zawód.

Niedługo potem odszedł, błyskawicznie z bami w uśmiechu i namawiając mnie serdecznie do częstszych odwiedzin. Nie byłam pewna, czy po prostu nie wyobraziłam sobie tego przebiegu zakłopotania, autentycznego zaskoczenia. Jeśli budował prom, dlaczego trzymał to w tajemnicy? I po co w ogóle budować prom, skoro - jak Brismand sam przyznał - nie ma gdzie go trzymać?

W połowie drogi do Les Salants uwiadomiłam sobie, że ani on, ani Jojo nie wspomnieli słowem o uszczuplonej plaży. Może to naturalne zjawisko, pomyślałam sobie. Może występuje tylko w zimie.

A może nie. Może to my je wywołaliśmy.

Była to przykra, niepokojąca myśl. Tak czy owak, nic tu nie stanowiło pewnika; moje badania, eksperyment z pływakami, dni spędzone na obserwowaniu Les Immortelles nie oznaczały niczego. Nawet Bouch'ou nie musiała z tym mieć nic wspólnego, upierał się mój umysł. Potrzeba czegoś więcej niż niewielkiej amatorskiej konstrukcji, by zmienić kształt wybrzeża. Czegoś więcej niż odrobiny zawiesiny, aby ukraść plażę.

36

Flynn zlekceważył moje podejrzenia.

- Cóżby to mogło być, jeśli nie przytyłek? - rzucił, gdy szliśmy brzegiem morza z Point Griznoz. Wiatr wiał prosto z zachodu, tak jak lubi, rozdzielony na tysiące kilometrów otwartego morza. Już z cieki, ze szczytu niewielkiego urwiska, dostrzegłam jasny półksiężyc piasku, długości trzydziestu metrów i szerokości mniej więcej pięćdziesiąt.

- Naniósł mnóstwo więcej piasku! - zawołałam, przekrzykując wiatr.

Flynn pochylił się, aby obejrzeć kawałek drewna, wystający między dwoma kamieniami.

- No wiec? To chyba dobrze, prawda?

Ale kiedy zeszłam z cieki na wybrzeże, zauważyłam ze zdumieniem, że suchy piasek zapada się pod moimi stopami, jak gdyby na kamiennym podłożu leżała nie cienka warstewka, lecz gruby pokład. Zagłębiam w nim dłoń na trzy, może cztery centymetry - niedużo w przypadku plaży o długiej tradycji, lecz w naszych warunkach coś takiego graniczyło z cudem. Zagrabiono ten piasek w głębokie wybrzeże, tak i przywoził na myślnie schłodzone grządki. Ktoś tu ostro zabrał się do pracy.

- O co chodzi? - Flynn dostrzegł moje zaskoczenie. - Po prostu poszło szybciej, niż przewidywali my, i tyle. Czy nie tego chciała ?

Naturalnie, chciałam. Ale pragnęłam również wiedzieć, jak to się stało.

- Jesteś zbyt podejrzliwa - skomentował Flynn. - Powinnaś się trochę odprężyć. Zaczęły chwile. Wdychałam zapach wodorostów. - Zamiast się i machnąć kawałkiem drewna. Wyglądał przy tym jak groteskowy sztukmistrz, ze swymi rozczochranymi włosami i w trzepoczącym czarnym płaszczu. Wezbrała we mnie fala sympatii do niego i mimo woli sama parsknęłam śmiechem. - Spójrz tylko! - zawołał i pociągnął mnie za rękaw, ustawiając twarz do zatoki i bladego, niezmiernie widnokręgu. - Tysiąc mil oceanu, żadnej przeszkody stała do Ameryki. Wygraliśmy, Mado! Czy to nie wspaniale? Czy nie warto tego uczcić ?

Udzielił mi się jego entuzjazm. Kiwnęłam głowę; śmiech i podmuchy wiatru wci zapierały mi dech. Flynn obejmował mnie teraz ramieniem; poła jego płaszcza objęła się o moje udo. Zapach morza, ozonowy zapach przesycony słonecznym mgiełkami, był odurzający. Radosny wiatr wypełnił mi płuca i miałam ochotę krzyczeć. Zamiast tego jednak obróciłam się spontanicznie w stronę Flynn'a i pocałowałam go; był to długi, pełen uniesienia pocałunek o smaku soli, i nie mogłam oderwać ust. Wcisnęłam się do niego, choć już nie pamiętałam dlaczego. Zagubiłam się na chwilę; byłam kimś innym. Moje wargi płonęły, ciarki przebiegały mi po skórze. Włosy jeżyły się jak pod wpływem ładunku elektrycznego. Tak to jest, pomyślałam, na sekundę przed uderzeniem pioruna.

Fala wdarła się do nas, sięgnęła mi do kolan, i odskoczyłam, wydając stłumiony okrzyk z zaskoczenia i chłodu. Flynn patrzył na mnie dziwnie, najwyraźniej nie zauważając, że woda wlała mu się do butów. Pierwszy raz od miesięcy poczułam się nieswojo w jego towarzystwie, jak gdyby pod nami rozstąpiła się ziemia, odsłaniając coś, z czego aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy.

I wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, odwrócił się ode mnie.

Poczułam się tak, jakby mnie uderzył. Gorąca fala wstydu i zażenowania zalała mnie od stóp do głów. Jak mogłam być tak idiotką? Jak mogłam tak mylnie odczytać jego intencje?

- Przepraszam - za to miałam się sztucznie, choć moje policzki płonęły. - Sama nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Flynn obejrzał się, a w jego oczach nie było już blasku.

- Nie ma o czym mówić - odparł beznamiętnie. Wszystko w porządku. Zapomnijmy o

tym, dobrze?

Skin łam głow , ałuj c, e nie mog si skurczy tak, by zmiółł mnie wiatr.

Flynn nieco si rozlu nił. U cisl ł mnie zdawkowo jednym ramieniem, zupełnie jak mój ojciec swego czasu, gdy był ze mnie zadowolony.

- Dobrze - powtórzył, a rozmowa wróciła na bezpieczniejsze tory.

W miar jak zbli ała si wiosna, zac łam znowu co dnia obserwowa pla , wypatruj c uszkodze i zmian. Denerwowa łam si zwłaszcza na pocz tku marca: wiatr zmienił kierunek na południowy, co zwiastowało wysokie przyływy. Ale nic złego nie nast piło w Les Salants. Przesmyk trzymał si mocno, wi kszo łodzi tkwiła w bezpiecznym miejscu i nawet La Goulue wydawała si nienaruszona, je li pomin przyzmy nieapetycznych czarnych wodorostów, naniesionych przez przyływ, które Omer zbierał co rano, by u y ni pola. Bouch'ou ani drgn ła. W czasie mi dzy przyływami Flynn popłyn ł na La Jetee i stwierdził, e nic nie uszkodziło rafy. Nasza szcz liwa passa trwała.

Krok po kroku powrócił do Les Salants nowy optymizm. Nie chodziło tylko o popraw naszego losu czy nawet o plotki na temat La Houssiniere. Chodziło o co wi cej. Dało si to zauwa y u dzieci, które ju nie powłóczyły nogami w drodze do szkoły, w nowym, wesołym kapeluszu Toinette, w ró owej szmince i rozpuszczonych włosach Charlotte. Mercedes przestała przesiadywa godzinami w La Houssiniere. Aristide'a mniej bolała noga w deszczowe noce. Wci porz dkowa łam warsztat Grosjeana: czy ci łam stary hangar, odkłada łam na bok to, co nadawało si jeszcze do u ytku, odkopywa łam kadłuby zasypane przez piasek. Tymczasem w całym Les Salants wietrzono po ciel, kopano grz dki, odnawiano pokoje na przyj cie długo oczekiwanych go ci. Nikt o nich nie wspominał - w wiosce cz cie j mówi si o zmarłych ni o dezerterach - lecz mimo to wydobyto z szuflad fotografie, odczytano ponownie listy, zapami tano numery telefonów. Clo, córka Capucine, miała zamiar przyjecha na Wielkanoc. Desiree i Aristide otrzymali kartk od młodszego syna. Nie tylko Bouch'ou powodowała te zmiany. Było tak, jakby wiosna nadeszła wcze niej, pobudzaj c wzrost nowych p dów w pylistych zak tkach i słonych szczelinach.

Mój ojciec tak e dał si ponie tej fali. Po raz pierwszy nabra łam podejrze , gdy wróciwszy z La Goulue, zasta łam stert cegieł przed gankiem. Były tam równie pustaki i worki z betonow mieszkank .

- Twój ojciec planuje pewne prace budowlane - powiadomił mnie Alain, gdy spotkali my się w wiosce. - Jaki pawilon albo przybudówkę .

Nie byłam tym zaskoczona; w dawniejszych czasach Gros Jean bez przerwy angażował się w jakie projekty budowlane. Dopiero gdy zjawił się Flynn z ładowarką, betoniarką oraz nową dostawą cegieł i pustaków, zwróciłam na to uwagę .

- Co robisz? - zapytałam.

- Nic takiego - wykręcił się Flynn. - Twój ojciec chce, żeby mu naprawili to i owo.

Niech tylko o tym mówił: niby nowa pralnia, zamiast tej na tyłach hangaru. Może coś więcej. Gros Jean poprosił go o przeprowadzenie robót według własnych planów.

- To chyba dobrze, nie? - zagadnął Flynn, dostrzegając wyraz mojej twarzy. - świadczy o zainteresowaniu.

Nie byłam tego taka pewna. Od Wielkanocy dzieliły nas dwa miesiące i mówiono już o przyjeździe Adrienne, dostosowanym do szkolnych ferii chłopców. Mógł to być wybieg, by ją tu zwabić. Ponadto dochodziły koszty - materiałów, sprzętu, siły roboczej. Gros Jean nigdy się nie zdradził, że ma gdzieś ukryte pieniądze.

- Ile? - spytałam.

Flynn mi powiedział. Cena była uczciwa, lecz i tak przekraczała możliwości mojego ojca.

- Ja zapłać - oznajmiłam.

Pokręcił głową .

- Nie. To już ustalone. A resztę - dodał - jesteś splukana.

Wzruszyłam ramionami. Nie byłam splukana; miałam jeszcze trochę oszczędności. Ale Flynn obstawał przy swoim. Za materiały zapłacono. Robota - jak twierdził - nie kosztowała nic.

Materiały budowlane zajęły prawie cały warsztat. Flynn wyjechał ze skrucich, a naprawdę nie było gdzie ich umieścić i w ciągu tygodnia, najwyżej dwa. Opuściłam zatem chwilowo to miejsce i ze szkicownikiem w rękach powędrowałam do La Houssiniere. Zostałam „Les Immortelles” obstawione rusztowaniami - być może chodziło o wilgoć spowodowaną obfitymi przypiływami.

Morze włącznie wzbierało; zeszłam na pustą plażę i usiadłam, oparta plecami o wał, żeby popatrzeć. Przez kilka minut mój ołówek błądził niemal bezmyślnie po papierze, a potem zauważyłam tablicę przybitą do skały wysoko nad moją głowę, biały plansz z czarnym napisem,

który brzmiał:

LES IMMORTELLLES. Prywatna plaża.

Zabieranie PIASKU z tej plaży

jest PRZESTĘPSTWEM.

Każda popełniająca je osoba podlega

ODPOWIEDZIALNOŚCI KARNEJ.

Zarządzenie podpisali:

P. Lacroix (Gendarmerie Nationale)

G. Pinoz (mer)

C. Brismand (właściciel)

Wstałam i przyjrzałam się napisowi, zaintrygowana. Oczywiście, zdarzały się wczorne wypadki podbierania piasku, po kilka worków tu i ówdzie, zazwyczaj na budowę albo do porządkowania ogrodu. Nawet Brismand patrzył na to przez palce. Dlaczego miałby wywieszać ostrzeżenie? Tak czy inaczej, pomyślałam, wspominając swoją ostatnią wizytę, z plaży ubyło sporo piasku. Znacznie więcej, niż można by przypisać sporadycznym kradzieżom. Plażeowe budki, które przetrwały zimą, chwiały się na drewnianych podpórkach, metr lub więcej nad poziomem gruntu. Jeszcze w sierpniu dotykały brzuchami piasku. Zaczęłam po piesznieszkicować: budki na długich nogach, zaokrąglonej linii przypiływu, pas równo ułożonych kamieni za falochronem, wzbierający przypiływ i jego straż przednia - chmury.

Praca tak mnie pochłonęła, że dopiero po pewnym czasie zdałam sobie sprawę z obecności siostry Extase i siostry Therese, siedzących na wale nadmorskim tuż nad mną. Tym razem nie jadły lodów, lecz siostra Extase trzymała torebkę cukierków, którą od czasu do czasu podsuwała siostrze Therese. Obydwie sprawiały wrażenie szczerze uradowanych na mój widok.

- Przecież to Mado Grosjean, ma soeur...

- Mała Mado ze swoim szkicownikiem. Przyszła popatrzeć na morze, ha? Odetchnąć południowym wiatrem? zapytała siostra Therese.

- To on zniszczył za pierwszym razem naszą plażę. Południowy wiatr - owiadczyła siostra Extase. - Tak twierdzi Claude Brismand.

- Bystry człowiek ten Claude Brismand. - Zawsze bawił mnie sposobem, w jaki ich głosił

wtórowały jeden drugiemu i podejmowały w tek, przypominaj c tym ptasi szczebiot. Bardzobardzo bystry.

- A za bardzo, rzekłabym - u miechn łam si .

Zakonnice parskn ły miechem.

- Albo nie do bystry - powiedziała siostra Therese.

Zeszły z wału i ruszyły ku mnie, unosz c habity, gdy wkroczyły na piasek.

- Wypatrujesz kogo ?

- Tam nikogo nie ma, Mado Grosjean, zupełnie nikogo.

- Któ by mógł tam teraz by , bez wzgl du na pogod ? Zawsze my to powtarzały twojemu ojcu...

- ...bo on ci gle patrzył na morze, wiesz...

- ...ale ona nigdy nie wróciła.

Stare zakonnice usadowiły si na płaskim kamieniu tu obok i utkwily we mnie swe ptasie oczy. Spojrzałam na nie zaskoczona. Wiedziałam, e ojciec miał w sobie co z romantyka - dowodziły tego nazwy jego łodzi - ale my l, e mógł tu siedzie i wpatrywa si w horyzont, oczekuj c powrotu mojej matki, była niespodziewana i dziwnie poruszaj ca.

- W ka dym razie, ma soeur - zacz ła siostra Extase, si gaj c po cukierka - mała Mado wróciła, czy nie?

- I w Les Salants sytuacja si poprawiła. Dzi ki wi tej, ma si rozumie .

- Ach, tak. Dzi ki wi tej. - Obydwe zachichotały.

- U nas jednak sprawy wygl daj gorzej - powiedziała siostra Extase, spogl daj c na rusztowania wokół „Les Immortelles”. - Mamy mniej szcz cia.

Przyptyw wzbierał szybko. Zawsze tak było na Le Devin: fala mkn ła przez płycizny w zdradliwym tempie. Niejeden rybak musiał porzuci zdobycz i co sił płyn do brzegu, gdy ogarn ła go zniecka spi trzona masa wody. Widziałam pr d, na oko do silny, który torował sobie drog w kierunku pla y. Nic niezwykłego w wypadku wyspy osadzonej na piaszczystych łąkach; najdrobniejsze ich przemieszczenie mo e zmieni kierunek pr du, przekształcaj c w ci gu jednej zimy osłoni t zatoczk w pos pny cypel, osadzaj c muł na mieliznach i na przestrzeni zaledwie kilku lat tworz c na nowo pla , a potem wydmy.

- Po co to tutaj wisi? - zapytałam, wskazuj c siostram tablic z napisem.

- Och, to pomysł monsieur Brismanda. Uwa a, e...

- ...kto wykrada piasek.

- Wykrada? - Pomyślałam o wiejskiej warstwie piasku w La Goulue.

- Może wywozi go łodzi albo traktorem. - Siostra Therese uśmiechnęła się pogodnie. -

Wyzaczył nagrodę.

- Przecież to bez sensu - za miałam się. - Na pewno wie, że nikt nie dałby rady zabrać takiej ilości piasku. To dzieło przyływów. Przyływów i prądów. I tyle.

Siostra Extase sięgnęła po cukierka. Zauważywszy moje spojrzenie, podsunęła mi torebkę.

- Brismand tak nie uważa - oznajmiła spokojnie. - Brismand myśli, że ktoś mu kradnie pieniądze.

Siostra Therese przytaknęła ruchem głowy.

- Czemu by nie? - za wiergotała. - To już się zdarzało.

37

Marzec upłynął pod znakiem wysokich przyływów, ale tak była ładnej pogody. Interesy szły dobrze. Omer osiągnął doskonały zysk ze swoich zimowych warzyw i zaplanował na następny rok ambitniejsze zbiory. Angelo po drobnych pracach remontowych otworzył bar i miał duże obroty, gościli nawet Houssinian; ostryg dostarczała mu spółka Guenole-Bastonnet. Xavier zaczął odnawiać pewien niewielki, opuszczony domek w pobliżu La Bouche i kilka razy widziano go spacerującego za ręką z Mercedes Prossage. Nawet Toinette czerpała niezłe zyski z odwiedzin w kaplicy w tej na La Griznoz, która od czasu podtopienia zaczęła cieszyć się popularnością wśród starszych Houssinian.

Nie wszystkie zmiany były jednak zmianami na lepsze. Sojusz Guenole i Bastonnetów ucierpiał nieco, gdy Xavier został napadnięty na drodze z La Houssiniere, gdzie odebrał pieniądze za dostawę homarów. Tuż za wioską zatrzymali go trzej mężczyźni na motocyklach, którzy stłukli mu okulary, złamali nos i uciekli z dwutygodniowym zarobkiem. Xavier nie rozpoznał żadnego z napastników, ponieważ mieli na głowach motocyklowe kaski.

- Trzydzieści homarów po pięćdziesiąt franków za sztukę - narzekał Matthias, spotkawszy się z Aristide'em. A twój wnuk wypuścił je za ręką!

- Czy twój wnuk lepiej by sobie poradził? - najeżył się Aristide.

- Mój wnuk przynajmniej by walczył - odparł Matthias.

- Było ich trzech - bknł Xavier, bardziej onie mielony niż kiedykolwiek. Bez okularów wyglądał dziwnie i przypominał królika.

- I co z tego? - spytał Matthias. - Mogłoby przecież uciec.

- Przed motocyklem?

- To musieli być houssinianie - wtrcił pojednawczo Omer, czując, że zanoszą się na sprzeczek. - Xavier, czy oni coś do ciebie mówili? Cokolwiek, co pomogłoby ich rozpoznać?

Xavier pokrcił głowę.

- A motocykle? Rozpoznałby je chyba?

- By może. - Xavier wzruszył ramionami.

- By może?

W końcu Xavier, Ghislain, Aristide i Matthias udali się do La Houssiniere, by porozmawiać z Pierre'em Lacroix, jedynym na wyspie policjantem. Żadna ze stron nie ufała drugiej, jeżeli chodzi o rzetelne przedstawienie zdarzenia. Przedstawiciel władzy okazał współczucie, lecz nie tryskał optymizmem.

- Na wyspie jest tak wiele motocykli - powiedział, ojcowskim gestem poklepując Xaviera po ramieniu. - Mogli nawet przyplłyn na jeden dzień „Brismandem I” z kontynentu.

Aristide pokrcił głowę.

- To byli houssinianie - oświadczył z uporem. - Wiedzieli, że chłopak niesie gotówkę.

- O tym wiedział też kiedyś z Les Salants - odparł Lacroix.

- Tak, ale wtedy Xavier rozpoznałby motocykle.

- Przykro mi. - Zabrzmiało to kategorycznie.

Aristide popatrzył na Lacroix.

- Jednym z nich była czerwona Honda - powiedział.

- Pospolita marka - mruknął Lacroix, nie odwzajemniając spojrzenia.

- Czy twój syn Joel nie ma czerwonej Hondy?

Zapadła nieoczekiwana, groźna cisza.

- Czy by sugerował, Bastonnet, że mój syn... że mój syn... - W szacie oblicze Lacroix zapłonęło czerwienią. - To oszczerstwo - dokończył. - Gdyby nie był starcem, Bastonnet, i gdyby sam nie stracił syna...

Aristide zerwał się z krzesła, chwytając laskę.

- Mój chłopak nie ma z tym nic wspólnego!

- Mój równie !

Stali naprzeciw siebie, Aristide błądy, Lacroix czerwony, obaj dygoczący z w ciekło ci. Xavier chwycił dziadka za ramie i podtrzymał.

- Pepe, to na nic...

- Ha, pu mnie!

Ghislain łagodnie ujął jego drugie ramie .

- Proszę, monsieur Bastonnet, musimy już iść .

Aristide spiorunował go wzrokiem. Ghislain wytrzymał jego spojrzenie. Zapanowała długa, nabrzmiała furia cisza.

- No cóż - odezwał się wreszcie Aristide - już do dawna aden Guenole nie nazwał mnie „monsieur”. Jednak młode pokolenie nie jest aż tak zepsute, jak mi się wydawało.

Opuścili La Houssiniere z największą godnością, na jak mogli się zdobyć. Joel Lacroix obserwował ich z progu kawiarni „Chat Noir”, z gitane’em w zębach i półmiecchem na ustach. Czerwona honda stała zaparkowana na zewnątrz. Aristide, Matthias, Ghislain i Xavier minęli kawiarnię, nie zaszczycając Joela ani jednym spojrzeniem, wszyscy jednak usłyszeli uwagę, jak rzucił do dziewczyny uwieszoną u jego ramienia:

- Znowu ci salanie! Pewnie szukaj kolejny szwindel. A mogłoby się wydawać, że czegoś się nauczyli.

Xavier zerknął po drodze na drzwi kawiarni, lecz Matthias złapał go za ramie i syknął mu do ucha:

- Ani się waha, synu! Odplacimy mu, odplacimy im wszystkim innym razem.

Xavier spojrzał na Matthiasa w osłupieniu. Czy to zwrot „synu” z ust rywala jego dziadka, czy wyraz twarzy starego - w każdym razie jedna z tych rzeczy pozwoliła mu się opamiętać. Aden z nich nie miał już wątpliwości, że to Joel stał za napadem i kradzieżą, ale bez wątpienia jeszcze nie nadszedł czas, by o tym mówić. Wolno wyruszyli w drogę powrotną do Les Salants i zanim dotarli do domu, zdarzyło się coś wręcz nie do pomyślenia: po raz pierwszy od pokole Bastonnetowie i Guenole zgadzali się w jakiejś sprawie bez zastrzeżeń.

Tym razem, uznali jedynym łnie, zanosilo się na wojnę .

Zanim tydzień dobiegł końca, w wiosce huczało od plotek i domysłów; nawet dzieci usłyszały całą historię, którą przekazywano z ust do ust pełną sprzeczności i ozdobników, a wreszcie osiągnęła epickie rozmiary. Przy jednym wszakże kądy niezmiennie obstawał: co za

du o, to niezdrowo.

- Zapomnieli my o urazach - mówił Matthias podczas przyjacielskiej gry w belote u Angela. - Ch tnie z nimi handlowali my. Ale oni nas wyrolowali; zawsze si na tym ko czy, kiedy ma si do czynienia z houssinianami.

Omer skin ł głow .

- Czas zacz si broni - przytakiwał. - Da im do my lenia.

- Łatwo ci mówi - zauwa yła znad sterty banknotów i monet Toinette, która wygrywała.

- Ale zawsze jest to samo: ko czy si na gadaniu. Równie dobrze mógłby plu pod...

- Pff! - prychn ł Matthias. - Nie tym razem. Tym razem posun li si za daleko.

38

Rozpocz ła si ostra kampania przeciw houssinianom. Wymagało tego nasze nowo odkryte poczucie wspólnoty. Cena homarów i krabów gwałtownie wzrosła; Angelo zaczą ł pobiera ekstra opłaty, ilekro jaki houssinianin zajrzał do baru; minimarket w La Houssiniere otrzymał dostaw sple niałych warzyw z gospodarstwa Prossage'ow (Omer winił pogod); a pewnej nocy kto włamał si do hangaru, w którym Joel Lacroix trzymał swój drogocenn hond , i nasypał piasku do baku z benzyn . Całe Les Salants czekało m pojawienie si oburzonego policjanta, lecz to nie nast piło

- Ci houssinianie zbyt długo stawiali na swoim - o wiad czyi Omer. - My l , e skoro przez jaki czas sprzyjało iir szcz cie, to nic si nigdy nie zmieni.

Nikt tego nie podwa ył, co wiadczyło o post pie, jak] uczynili my. Nawet Matthias, który nie był zwolennikiem zmian, przytakn ł energicznie.

- Na zmiany nigdy nie jest za pó no - powiedział.

- Ha, a przyplywom czasami trzeba troch pomóc.

- Powinni my si zareklamowa - podsun ła Capucine - Stan na nabrze u w La Houssiniere z tablic , kiedy zaczn przyje d a tury ci. To nam nap dzi klientów. I da nauczki tym houssinianom!

Pół roku wcz niej tak nieprawdopodobny pomysł - i te pochodz cy od kobiety - wzbudziłby miech i wzgard . Teraz Aristide i Matthias wygl dali na zainteresowanych. Inni dorzucili swoje trzy grosze.

- Ha, czemu nie?

- Dla mnie to brzmi nie le.
- Dajmy houssinianom powód do płaczu.
- Wyobra cie sobie min Brismanda!

Kr cono głowami. Wychylono mnóstwo kieliszków devinnoise. Rzucenie La Houssiniere tak bezpo redniego wyzwania było dla Les Salants wielkim krokiem naprzód. Musiało zosta potraktowane - i słusznie - jako wypowiedzenie wojny.

- No i co w tym złego? - spytał Aristide, który nie zapomniał napa ci na swego wnuka. - To jest wojna. Zawsze była. Po prostu dotychczas oni zwyci ali.

Inni zastanowili si nad tym przez chwil . Nie po raz pierwszy kto wyraził to przekonanie gło no, lecz my l o współzawodnictwie z houssinianami na równej stopie przedtem wydawała si absurdalna. Teraz po raz pierwszy

Matthias przemówił w imieniu wszystkich.

- Branie ekstra opłaty za ryb to jedno - powiedział wolno. - Ale twoja propozycja oznacza...

Aristide prychn ł.

- La Houssiniere nie jest cudz ławic ostryg, Guenole - rzucił z odcieniem dawnego gniewu. - Tury ci s zwierzyn łown . Nie nale do La Houssiniere. Równie dobrze mog by nasi.

- To si nam nale y - dodała Toinette. - Ze wzgl du na samych siebie powinni my przynajmniej spróbowa . Boisz si houssinian, Matthias? O to chodzi? Uwa asz, e s lepsi ni my?

- Naturalnie, e nie. Zastanawiam si tylko, czy jeste my gotowi.

Staruszka wzruszyła ramionami.

- Mo emy si przygotowa . Sezon zaczyna si za cztery miesi ce. To oznacza dziennie, a do wrze nia, pół tuzina wycieczkowiczów, którzy tylko czekaj , eby ich zwabi . Mo e wi cej. Pomy l o tym!

- Ludzie musz si gdzie zatrzyma - ci gn ł Matthias. - Nie mamy adnego hotelu. Ani pola namiotowego z prawdziwego zdarzenia.

- Przemawia przez ciebie tchórzostwo Guenole - zaripostował Aristide. - Pozwól, e Bastonnet da ci przykład lateralnego my lenia. Masz pokój go cinny, no nie?

Toinette kiwn ła głow .

- Ha! Ka dy ma pokój lub dwa, które a si prosz o go ci. Wi kszo z nas posiada kawałek ziemi, na którym mo na rozbi namiot. Dodajcie do tego niadania i kolacje rodzinne, a dorównacie wszystkim innym miejscowo ciom na wybrze u. A nawet je przewy szycie. Ci miastowi dobrze zapłac za pobyt w typowym wyspiarskim domu. Mo na zapali polana w kominku, powiesi na cianie par miedzianych patelni.

- Upiec devinnoiseries w glinianym piecu.
- Wyci gn z szafy wyspiarskie stroje.
- Tradycyjna muzyka; mam gdzie na strychu biniou.
- R kodziela, robótki, wycieczki na ryby.

Trudno było zatamowa rzek pomysłów, gdy ju raz wezbrała. W miar jak wokół narastał entuzjizm, z wysiłkiem powstrzymywałam si od miechu, cho pomimo rozbawienia gdzie w gł bi duszy byłam wzruszona. Nawet sceptyczni Guenole dali si ponie emocjom. Wszyscy wykrzykiwali swoje propozycje, walili w stoły, stukali kieliszkami. Zapanowało zgodne przekonanie, e letnicy kupi wszystko, co uznaj za typowo wyspiarskie lub wykonane przez r kodzielnika. Od lat ubolewali my nad brakiem nowoczesnych udogodnie w Les Salants i zazdro cili my La Houssiniere hotelu, kina i pasa u z automatami do gry. Teraz po raz pierwszy zrozumieli my, e nasze pozorne mankamenty mog przynie nam korzy . Potrzebowali my tylko troch inicjatywy i skromnych inwestycji.

Niedługo przed Wielkanoc mój ojciec z nowym entuzjazmem zaangażował si w swój projekt budowlany. Nie on jeden; w całej wiosce dały si zauwa y oznaki wzmo onej aktywno ci. Omer zacz ł przerabia nieu ywan stodoł ; inni sadzili kwiaty na pustych podwórzach albo wieszali w oknach gustowne firanki. Les Salants przypominało nieładn kobiet , która si zakochała i po raz pierwszy odkrywa w sobie potencjaln urod .

Od Bo ego Narodzenia nie mieli my adnych wiadomo ci od Adrienne. Przyj łam to z ulg ; jej przyjazd przyniósł z sob fal kr puj cych wspomnie i wci gryzły mnie słowa, które wypowiedziała na odjeźdny. Je li nawet Grosjean odczuwał rozczarowanie, nie zdradzał si z tym. Sprawiał wra enie pochłoni tego bez reszty swoim nowym projektem i za to, mimo jego pow ci gliwo ci, byłam wdzi czna. Win za rezerw ojca obarczałam mojr siostr .

Flynn równie w ostatnich tygodniach trzymał si na dystans. W pewnej mierze dlatego, e ci ko pracował: pomagał nie tylko Grosjeanowi, lecz tak e innym mieszka com wioski.

Zainstalował u Toinette pralnię dla biwakowiczów i pomógł Omerowi zaadaptować stodołę na cele letniskowe. Dowcipkował tak samo, jak zawsze, grywał w karty i szachy z tą samą zabójczą precyzją, prawił komplementy Capucine, droczył się z Mercedes, wzbudzał nabożny podziw u dzieciaków nieprawdopodobnymi opowieściami o swych zamorskich podróżach i coraz bardziej podbijał serce Les Salants wdziękiem, pochlebstwem i kłamstwami. Nie obchodziły go jednak długoterminowe plany i przeobrażenia. Nie podsuwał żadnych nowych pomysłów. Był może już nie musiał, skoro salanie nauczyli się myśleć samodzielnie.

Nadal drczyło mnie wspomnienie tego, co zaszło między nami w La Goulue. Flynn natomiast, jak się wydawało, zupełnie o tym zapomniał, więc - odtworzywszy kilka razy owe sceny w przeznaczonym do tego celu zakamarku umysłu postanowiłam zrobić to samo. Pociągał mnie, owszem. Sama byłam tym zaskoczona i pewnie dlatego zachowałam się jak idiotka. Teraz jednak wawiejsza okazała się dla mnie jego przyjaźń. Nikomu bym się do tego nie przyznała, ale od czasu, gdy Les Salants uległo przeobrażeniu, a mój ojciec rozwijał swe plany budowlane, czułam się jak outsiderka.

Nie potrafiłam określić, skąd to się bierze. Ludzie okazywali mi sympatię i przychylność. Nie było ani jednego domu - łownie z siedzibą Aristide'a - w którym nie witano by mnie serdecznie. A mimo to odnosiłam niejasne wrażenie, że traktują mnie jak obcą osobę. Ich zachowanie w stosunku do mnie odznaczało się pewną sztywnością, dziwnie przytłaczającą. Kiedy wpadałam do kogoś na herbatę, podawano mi ją w filiżance z najlepszego serwisu. Ilekroć kupowałam warzywa u Omera, zawsze dorzucał coś ekstra. Czułam się przez to skrępowana. Inna niż wszyscy. Gdy napomknęłam o tym Capucine, wyśmieła mnie. Flynn był jedyną osobą, która potrafiła mnie zrozumieć.

W rezultacie przebywałam w jego towarzystwie częściej niż kiedykolwiek przedtem. Był dobrym słuchaczem i sprowadzał moje problemy do właściwych proporcji jednym uśmiechem lub nonszalanckimi uwagami. Co istotniejsze, rozumiał, jak wyglądało moje drugie życie, to w Paryżu, i podczas rozmowy z nim nie musiałam szukać prostszych słów ani wysilać się na tłumaczenie trudnych pojęć, jak bywało w wypadku niektórych salanian. Nigdy bym im tego nie powiedziała, ale czasami przy moich znajomych z wioski czułam się jak nauczycielka w niesfornej klasie. Urzekali mnie i irytowali na przemian; chwilami zachowywali się jak rozkapryszone dzieci, a chwilami wykazywali przedziwną mądrość. Gdyby tylko zechcieli rozszerzyć swoje horyzonty...

- Mamy teraz prawdziwą plażę - rzekłam pewnego dnia w La Goulue. - Może nawet zjawią się prawdziwi turyści.

Flynn leżał na plecach na piasku, patrzył w niebo.

- Kto wie - cięgnęłam uparcie - czy nie staniemy się modnym kurortem. - Moja uwaga zabrzmiała artobliwie, lecz on nawet się nie uśmiechnął. - Przynajmniej odpłacimy Brismandowi pićknym za nadobne. Po latach jego szczęśliwej passy kolej teraz na Les Salants.

- Mylisz, że tak się rzeczy mają, co? - rzucił. - Teraz wasza kolej?

Wyprostowałam się gwałtownie.

- Co się stało? O czym mi nie powiedziały?

Flynn nadal wpatrywał się w niebo. Przez jego oczy przepływały chmury.

- No?

- Jesteście tacy zadowoleni z siebie. Jedno, dwa drobne zwycięstwa i już wam się wydaje, że macie wszystko. Lada chwila ktoś zacznie stapać po wodzie.

- Wiem? - Nie podobał mi się jego ton. - Czy jest coś złego w odrobinie inicjatywy?

- Nie, Mado, tylko to wszystko trochę za dobrze idzie. Zbyt szybko, za dużo naraz. Jak mylisz, ile to jeszcze potrwa, zanim się rozejdzie? Zanim wszyscy zapragną z tego skorzystać?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie da się dozwonnie zachować nowej plaży dla siebie. Na wyspie prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw. Żadna tajemnica nie przepada na zawsze. Ponadto, co nam może zrobić?

Flynn zamknął oczy.

- Zaczekaj tylko - odparł zaskakującym tonem. - Wkrótce się przekonasz.

Byłam jednak zbyt zajęta, by tracić czas na pesymistyczne prognozy. Do rozpoczęcia sezonu turystycznego pozostały trzy miesiące i cała wioska pracowała ciężko i z wielkim zapalem przy budowie Bouch'ou. Sukces nas ośmielił; ponadto napawali się moimi ciemiami, jakie otwierały przed nami nasze plany.

Flynn, który - gdyby zechciał - mógłby jeszcze przez rok wykorzystywać swoje osiągnięcia, cieszył się oczywiście wszystkich mieszkańców Les Salants i pił na ich koszt, wciąż trzymał się na uboczu. Wszelkie zasługi przypisano zatem w tej i kapliczka wzniesiona przez Toinette wypełniona była po brzegi różnymi ofiarami. W prima aprilis Damien i Lolo

wywołali drobny skandal, ozdabiając ołtarz zdechłymi rybami, ale, ogólnie rzecz biorąc, odzyskaną Sainte-Marine otaczano prawdziwą czcią, a Toinette wiodła w tym prym.

Rok wcześniej salanianin nie brał nawet pod uwagę możliwości zainwestowania pieniędzy, nie wspominając już o zaciąganiu pożyczek. Na Le Devin nie ma banku, a nawet gdyby był, nikt nie mógł przedstawić zabezpieczenia kredytu. Teraz jednak sytuacja uległa zmianie. Można było wyciągnąć oszczędności z szaf i pudełek. Dostrzegliśmy możliwość tam, gdzie dotychczas nie istniała. Zwrotu „pożyczka krótkoterminowa” użył po raz pierwszy Omer i spotkał się z ostro negatywną aprobatą. Alain wyznał, że on również przemysliwał o czymś podobnym. Ktoś słyszał o jakiejś instytucji na kontynencie, związanej chyba z ministerstwem rolnictwa, do której można by się zwrócić o dotację.

Przygotowania nabierały rozpędu, pogajając za sobą coraz ambitniejsze pomysły. Zamawiano u mnie artystyczne szyldy z bryłek klinkieru i kawałków drewna.

Miejscowa sól morską (50 franków za 5 kilo)

Warsztat powrotniczy Bastonneta

Cafe-restauracja u Angela (Plat du Jour 30 franków)

Chambre-d'hôte - Pokoje do wynajęcia - Ciepła atmosfera rodzinna

Galerie Prasteau - Wyroby artystyczne

Kaplica Sainte-Marine-de-la-Mer

(Zwiedzanie z przewodnikiem 10 franków)

Wioski opustoszały: walono młotkami, wrywano chwasty, grabiono cieki, pokrzykiwano, malowano, bielono, pito (cała ta robota budziła pragnienie) i dyskutowano.

- Powinniśmy wysłać kogoś do Fromentine w ramach promocji - podsunął Xavier. - żeby rozpropagował ulotki, szepnął słowo tu i ówdzie.

Aristide przyznał mu rację.

- Pojedziemy razem. Ja stanę na nabrzeżu i zajmę się promem. Ty możesz oblecieć miasto. Mado zrobi ci tabliczki reklamowe do noszenia, no i jakie ulotki, h? Zatrzymamy się na kilka dni w pensjonacie. Proste jak drut! - Zarechotał z satysfakcją.

Xavier nie był zachwycony. Może niepokoiła go myśl o opuszczeniu Mercedes, choćby na parę dni. Lecz nie dało się słumi płomiennego entuzjazmu Aristide'a. Zapakował kilka

rzeczy, ł cznie z tablic reklamow , i rozpu cił pogłoski o wyje dzie w sprawach rodzinnych.

- Lepiej, eby ci houssinianie nie dowiedzieli si za wcze nie - zauwa ył.

Nie maj c dost pu do drukarki, wypisałam r cznie sto niedu ych plakatów. Xavier został zobowi zany do umieszczenia ich w oknach wszystkich sklepów i kawiarni we Fromentine.

ODWIED CIE LES SALANTS

Niezmienione od stu lat

Wy mienita miejscowa kuchnia

Nieskalana złocista pla a

Ciepła i go cinna atmosfera

LES SALANTS - POZNAJCIE RÓ NIC !

Bastonnetowie, Guenole i Prossage'owie obmy lali i przerabiali tekst, dopóki wszystkich nie zadowolił. Poprawiłam pisowni . Rozgłosili my, e Bastonnetowie jad do Pornic, by pomóc krewnemu w potrzebie, i zadbali my, aby ta informacja dotarła do wła ciwych uszu. Wszystko, cokolwiek usłyszcy Jojo-le-Goeland, rozchodzi si po La Houssiniere w mgnieniu oka. W Les Salants panowało powszechne prze wiadczenie, e houssinianie w niczym si nie połapi , dopóki nie b dzie za pó no.

Nasze natarcie kompletnie ich zaskoczy. Do lata, orzekł tryumfalnie Aristide, wojna dobiegnie ko ca, zanim zd y si rozpocz .

39

Nadeszła Wielkanoc i „Brismand I” zacz ł znowu kursowa dwa razy w tygodniu. Dobrze si składało dla Les Salants, gdy wszystkie przebudowy i przeróbki wyczerpały nasze zapasy, a nikt nie chciał ryzykowa zdemaskowania, zamawiaj c materiały w La Houssiniere. Aristide i Xavier spotkali si we Fromentine z doskonałym przyj ciem: rozdali wszystkie ulotki i poinformowali miejscowe biura turystyczne o szczegółach. Dwa tygodnie pó niej pojechali jeszcze raz i dotarli a do Nantes, zabieraj c dwukrotnie wi cej ulotek do rozprowadzenia. My za czekali my niecierpliwie na wie ci, nadaj c pracom ostatni szlif i bacznie wypatruj c szpiegów z La Houssiniere. Bo szpiegzy si pojawiali. Kilka razy zauwa ono Jojo-le-Goelanda zaczajonego w pobli u La Goulue z lornetk , słyszano warkot motocykli, a Joel Lacroix nabrał

zwyczaju przechadzania się wieczorami po wydmach dopóki ktoś nie postrzełił go z dubeltówki. Bez przekonania wszczynał ledźstwo, lecz - jak wyznał szczerze Alain Pierre'owi Lacroix - strzelby nabite sol posiadało tak wielu mieszkańców wyspy, że odnalezienie winnego graniczyłoby z niemożliwością, nawet przy założeniu, że był to salanianin.

- Równie dobrze mógł to być ktoś z kontynentu - przywiadczył Aristide. - Albo nawet jakiś houssinianin.

Lacroix zacisnął wargi z irytacją.

- Uwaga, Bastonnet - ostrzegł.

- Kto, ja? - zdumiał się Aristide. - Chyba pan nie podejrzewa, że miałem coś wspólnego z napadami na pańskiego syna?

Odwet nie nastąpił. Może Lacroix porozmawiał z synem albo houssinianie byli zbyt zajęci przygotowaniami do sezonu turystycznego - lecz w La Houssiniere panowała niezwykła, jak na ten porok, cisza. Nawet gang motocyklowy chwilowo znikł z pola widzenia.

- Ha, i bardzo dobrze! - oznajmiła Toinette, która schowała strzelbę z sol za drzwiami, tuż obok sterty drewna. Niechże któryś z tych hultajów zacznie tu w końcu, a potem mu najmocniejszy ładunek prosto w dupę.

Do pełnego tryumfu zabrakło Aristide'owi tylko jednego: oficjalnego ogłoszenia zaręczyn jego wnuka z Mercedes. Dawali powody do domysłów: ci dwaj przebywali razem, a Xavier nie potrafił wykrztusić słowa, tak jak ubóstwiał, podczas gdy przedmiot jego uczucia flirtował chłodno z wielbicielemi w efektownych strojach. Już to samo wystarczyło, by podsycać najrozmaitsze przypuszczenia. Ponadto, co istotne, Omer sprzyjał temu związku. Jako zaborczy rodzic, nie ukrywał preferencji. Chłopak ma perspektywy, oznajmił z zadowoleniem. Jest salanianinem z sercem po właściwej stronie. Szanuje starszych. Ma dogotówki, by rozpocząć działalność na własny rachunek. Aristide podarował już Xavierowi bliżej nieokreloną sumę - krzyły najrozmaitsze plotki, lecz najczęściej powiadano, że stary musiał mieć coś nieco odłożone na boku - na początek nowego życia, a Xavier poczynił niezwykle postępy w remoncie opuszczonej chaty, do niedawna składającej się jedynie ze ścian, do której zamierzał się wprowadzić.

- Już czas, żeby założyć rodzinę - orzekł Aristide. Wszyscy się starzejemy i chciałbym przed śmiercią zobaczyć prawnuki. Tylko Xavier mi został z krwi nieszczepnego Oliviera. Liczę, że dzięki niemu nazwisko przetrwa.

Mercedes była ładną salanianką. Omer przyjaźnił się z Bastonnetami od lat. A Xavier

kochał się w niej na zabój, jak oznajmił Aristide z lubie nym błyskiem w oku; oczekiwał wnuków.

- Co najmniej tuzin - mówił z zadowoleniem, kreśląc w powietrzu kształt klepsydry. Szerokie biodra, mocne plecy; Aristide znał swój inwentarz nie gorzej niż reszta wyspiarzy. Devinianie, jak mawiał, powinni wybierać sobie konie jak zarodowe klacze. Je li jeszcze ładna, tym lepiej. Tuzin - powtarzał radośnie, zacierając ręce. - Może więcej.

A jednak w naszym oświadczeniu było coś rozpaczliwego. Aby prowadzić wojnę, trzeba czegoś więcej niż buńczuczne słowa, a nasi przeciwnicy z La Houssiniere wydawali się zbyt chłodni, zbyt obojętni, by to nie budziło niepokoju. Kilkakrotnie widziano Claude'a Brismanda w okolicach La Goulue, z Jojo-le-Goelandem i merem Pinozem. Je li nawet zmartwiło go to, co zobaczył, z pewnościami nie dał nic po sobie poznać. Zachowywał niefrasobliwą postawę, witając ka dego przybysza dobrotliwym, ojcowskim uśmiechem. Mimo to docierały do nas różne pogłoski. Jak się wydawało, interesy nie szły zbyt dobrze.

- Słyszałem, że „Les Immortelles” musiało anulować rezerwację - poinformował Omer. - Z powodu zawilgoconych ścian.

Pod koniec tygodnia ciekawo zapytała i powdrowałam do Les Immortelles pod pretekstem zamówienia przyborów malarskich z kontynentu, a tak naprawdę chciałam zweryfikować coraz bardziej nieprawdopodobne plotki o rzekomych zniszczeniach w hotelu.

Były, rzecz jasna, przesadzone. Mimo to stan „Les Immortelles” uległ pogorszeniu od mojej ostatniej wizyty. Sam hotel wyglądał tak jak zawsze, pomijając rusztowanie przy jednej ze ścian, lecz warstewka piasku stała się jeszcze cieńsza i teren opadał stromo ku kamienistemu brzegowi.

Zrozumiałam, jak to się stało. Jakiś dzień zdarzenie doprowadziło do tego stadium: nasze prace w Les Salants, połączenie inercji z arogancją Houssinian, którzy nie potrafili dostrzec prawdy, choć mieli ją tuż przed nosem. Skala, zuchwałość naszego podstępu przekraczała wszelkie wyobrażenia. Nawet Brismand, pomimo swej dociekliwości, niczego nie zauważył.

Raz uruchomiony, proces musiał postępować szybko i nieodwracalnie. Fale uderzające o wał nadmorski, cofając się, pociągają za sobą resztki piasku, odsłoniły skały i kamienie, a wówczas pozostanie tylko gładka pochyłość starej grobli. Po kilku latach wszystko zniknie. Może nawet po dwóch sezonach, je li wichury zrobi swoje.

Rozejrzałam się za Jojo, Brismandem, kimkolwiek, kto udzieliłby mi informacji, ale w

po bliu nie było nikogo. Rue des Immortelles wieciła pustkami. Zauważyłam parę turystów kupujących lody od znużonej, uśmiechniętej dziewczyny w budce pod spłowiałym parasolem z reklamą „Choky”.

W pobliżu wału na mizernej plaży dostrzegłam grupkę wczesnych turystów, siedzących po wygniecionym rodzinnym, z niemowlętami i psem. Kulili się, drżąc, pod roztrzepotanym parasolem. Kwiecie jest na wyspach niepewnym miesiącem, a tamtego dnia porywisty wiatr od morza wysysał z powietrza całe ciepło. Na drugim końcu plaży wspinała się na skały dziewczynka, mniej więcej o miętowa, o okrągłych aksamitnych oczach i kręconych włosach. Zobaczyła mnie i pomachała ręką.

- Przyjechała pani na wakacje? - zawołała.

Pokręciłam głową.

- Nie. Mieszkam tutaj.

- A czy była pani gdzieś na wakacjach? Jeździ pani do miasta, kiedy my przyjeżdżamy tutaj? Pływa pani w morzu w weekendy i chodzi do piscine na specjalne dania?

- Letycjo! - rzucił karcącym tonem ojciec, odwracając głowę, by sprawdzić, co się dzieje.

- Nie zadawaj niegrzecznych pytań.

Letycja obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem. Mrugnęłam do niej. Okazało się, że wystarczyć zachęcić; w jednej chwili wdrapała się cięko na promenadę i usiadła obok mnie na wale, balansując na podwiniętej nodze.

- Czy ma pani plażę blisko domu? Wiąksza niż ta? Może pani tam chodzi o kadej porze? Można tam budować zamki z piasku w Boże Narodzenie?

- Jeśli ktoś zechce - uśmiechnęłam się.

- Super!

Dowiedziałam się, że jej matka ma na imię Gabi, a ojciec Philippe. Pies nazywał się Petrole. Zawsze chorował na łodziach. Letycja miała dorosłego brata, Tima, który studiował w Rennes. Drugi brat, Stephane, był jeszcze malutki. Skrzywiła się z dezaprobatą.

- Nic nie robi. Czasami pi. Jest strasznie nudny. Będzie codziennie chodziła na plażę! - oznajmiła nagle, rozpromieniona. - Będzie kopala, a się dokopi do gliny. A potem ulepi z niej różne rzeczy. Robili my to rok temu w Nicei wyjechała. - To było super. Super ekstra.

- Letycjo! - doleciał głos od strony plaży. - Letycjo, co ci mówiłam?

Letycja wydała teatralne westchnienie.

- Uff. Mama nie lubi, kiedy się za bardzo oddalam. Lepiej już wraca.

Zjechała z wału, beztrąsko lekceważyła sterty potłuczonego szkła na dole.

- Cześć! - Już po chwili znalazła się nad samym morzem, rzucając w morze wodorostami.

Pomachałam jej i wznowiłam przeszukiwanie promenady. Od mojej ostatniej wizyty kilka sklepów przy Rue des Immortelles otworzyło podwoje, lecz poza Letycją i jej rodziną nie było innych potencjalnych klientów. Siostra Therese z siostrami Extase, które wyglądały bardzo surowo w swych staromodnych czarnych habitach, siedziały na ławce z widokiem na morze. Tu obok stał niedbale zaparkowany motocykl Joela Lacroix, lecz nigdzie nie dostrzegłam właściciela. Pomachałam do zakonnicy, a potem podeszłam i usiadłam obok nich.

- To to znowu mała Mado - zauważyła jedna z sióstr. Obydwie nosiły identyczne białe coiffes i uświadomiłam sobie, że nie potrafię ich rozróżnić. - Nic dzisiaj nie szkicujesz?

Pokręciłam głową.

- Za mocno wieje.

- Ha, przyszły złe wiatry dla Les Immortelles... - orzekła siostra Therese, mając nogami.

- ... ale nie dla Les Salants - wpadła jej w słowo siostra Extase. - Dochodzicie nas...

- ...rozmaite słuchy. Sama byś się zdziwiła...

- ...gdybyś się dowiedziała.

- Uwaga, że jesteście my takie same, jak ci biedni pensjonariusze, zbyt stare i zbikowane, żeby zrozumieć, co się dzieje. No bo istotnie jesteście my, soeur, stare jak wiat, aczkolwiek...

- ... wiat jest większy niż ta wyspa i te wydmy...

- ...na których zresztą jest mniej piasku niż kiedyś, ma soeur, znacznie mniej.

Milczenie. Zakonnice zerknęły na mnie ptasimi oczyma spod białych coiffes.

- Słyszałam, że Brismant musiał w tym roku anulować rezerwacje - powiedziałam. - Czy to prawda?

Siostry jednocześnie skinęły głowami.

- Nie wszystkie. Ale...

- ...niektóre tak. Był bardzo zły. Przyszła duża fala, nieprawda, ma soeur, chyba tu po...

- ...wiosennych przypływach. Zalała piwnice i frontowiczian. Architekt mówi, że w murach jest wilgoć, a to przez...

- ...wiatr od morza. W zimie trzeba będzie nad tym popracować. A tymczasem...
- ...dla turystów pozostały tylko pokoje z tyłu, bez widoku na morze, bez plaży. To...
- ...bardzobardzo smutne.

Z pewnym zadowoleniem przytaknęłam.

- Jednak nie skoro taka jest wola pani tej...
- O, tak. Skoro taka jest wola pani tej...

Gdy pojechałam się z nimi i odeszłam, machały za mną i z odległości jeszcze bardziej przypominały ptaki; ich coiffees wyglądały jak mewy kołyszące się na ciepłej fali.

Przecinając drogę, zauważyłam Joela Lacroix, który obserwował mnie z progu „Chat Noir”. Palił gitane’a, osłaniając go stuloni dłońmi, jak to robi rybacy. Nasze spojrzenia się spotkały i pozdrowił mnie szorstko, lecz nic nie powiedział. Tuż za nim, przesłoni tą kłami bami dymu, stała dziewczyna - długie czarne włosy, czerwona sukienka, smukłe nogi, obute w sandały na wysokim obcasie - której sylwetka wydała mi się dziwnie znajoma. W tej samej chwili jednak Joel cofnął się w głąb razem z dziewczyną. Dostrzegłam w jego ruchu coś ukradkowego, jakby chciał ją zasłonić.

Dopiero po pewnym czasie, gdy maszerowałam w stronę Les Salants, uświadomiłam sobie, dlaczego dziewczyna wydawała mi się znajoma.

Była to - niemal na pewno - Mercedes Prossage.

40

Oczywiście nie powiedziałam nikomu ani słowa. Mercedes skończyła osiemnaście lat i mogła chodzić, dokąd jej się podobało. Poczułam się jednak nieswojo; Joel Lacroix nie należał do przyjaciół Les Salants i wolałam nie myśleć, jak wiele Mercedes mogła niechcący wygadać na temat naszych planów.

Wkrótce jednak pojawiły się przede mną inne powody do niepokoju. Po powrocie z La Houssiniere zastałam ojca przy kuchennym stole z Flynnem, oglądającym jakieś rysunki na arkuszach papieru. Zanim podnieśli głowy i mnie zobaczyli, dostrzegłam wyraz ich twarzy - mojego ojca, rozpalonego entuzjazmem, i Flynnę, zaabsorbowanego jak u chłopca obserwującego hodowlę mrówek.

- To inna sprawa - wyjaśnił Flynn. - Twój ojciec chce, abym mu pomógł w adaptacji hangaru.

- Naprawdę ?

Grosjean zapewne wyczuł mój dezaprobat, bo wykonał niecierpliwy gest. Moja ingerencja, jak się wydawało, nie była mile widziana. Odwróciłam się do Flynna, który wzruszył ramionami.

- Co mam robić ? - mruknął. - To jego dom. Ja go nie namawiałem.

Oczywiście mówił prawdę. Grosjean mógł zrobić ze swoim własnym domem, co mu się tylko podobało. Zastanawiałam się jednak, skąd wziął pieniądze. A warsztat, choć nieużywany, pozostawał ogniwem łączącym nas z przeszłością. Bardzo nie chciałam go tracić.

Przyjrzałam się bliżej rysunkom. Były dobre; ojciec miał bystre oko, jeżeli chodzi o szczegóły, i bez trudu odgadłam, co planuje - letni domek lub może studio z pomieszczeniami mieszkalnymi, niewielką kuchnię i łazienkę. Hangar był obszerny: gdyby położony tam podłóg, zamontowała klapy i drabiny, powstałaby przyjemna sypialnia pod okapem.

- Robisz to dla Adrienne, prawda? - zapytałam, znając odpowiedź. Ta sypialnia z kłapami, kuchnia, przestronny salon z podłogowym oknem. - Dla Adrienne i chłopców.

Grosjean popatrzył na mnie oczyma pozbawionymi wyrazu niczym dwa kawałki niebieskiej porcelany, a potem znowu pochylił się nad rysunkami. Odwróciłam się sztywno, bliska mdłości, i wyszłam z domu. Po chwili Flynn stanął za mną.

- Kto za to wszystko zapłaci? - spytałam, nie patrząc na niego. - Grosjean nie ma pieniędzy.

- Może ma oszczędności, o których nie wiesz.

- Przedtem umiała lepiej kłamać, Flynn.

Cisza. Nadal wyczuwałam za plecami jego obecność i spojrzenie. Z wydmy zerwało się z głośniejącym łopotem skrzydeł stado mew.

- Może przeczył jakieś pieniądze - odezwał się wreszcie. - Mado, on jest dorosłym człowiekiem. Sam kieruje swoim życiem.

- Wiem.

- Zrobiła, co w twojej mocy. Pomogła mu...

- I po co? - Obróciłam się ze złości. - Co to dało? Obchodzi go wyłącznie zabawa w domu z Adrienne i jej synami.

- Witaj w prawdziwym świecie, Mado - powiedział. Chyba nie oczekiwała od niego wdziaczności?

Cisza. Nakreśliłam stop linię na twardym piasku.

- Kto mu pozwolił pisać, Flynn? Czy to był Brismand?

Na twarzy Flynn'a odbiło się zniecierpliwienie.

- Skąd mogła wiedzieć?

- Czy to Brismand?

- Prawdopodobnie tak - westchnęła. - Jakże to ma znaczenie?

Odeszłam, nawet nie spojrzawszy na niego.

Odtąd nie wykazywałam zainteresowania pracami w hangarze. Flynn przywiózł z La Houssiniere całą kłódkę materiałów i spędził weekend na oskrobywaniu powierzchni hangaru. Grosjean stale mu towarzyszył, obserwując postępy i sprawdzając wykresy. Mimo woli zaczęłam być zazdrosna o czas, który poświęcał Flynnowi; odnosiłam wrażenie, że wyczuwając mój dezaprobat - ojciec mnie unika.

Dowiedziałam się, że Adrienne zamierza przyjechać w lecie na wakacje, razem z chłopcami. Nowina ta wywołała poruszenie w wiosce - kilka rodzin również oczekiwało własnych gości, którzy długo oczekiwali z odwiedzinami.

- Naprawdę? I tym razem dotrzyma słowa - zapewniła Capucine. - Nie jest złą dziewczynką moja Clo. Jedną z niej uczona, ale serce ma dobre.

Desiree Bastonnet także nie traciła nadziei. Zobaczyłam ją na drodze do La Houssiniere, w nowym zielonym płaszczu i kapeluszu ozdobionym kwiatkami. Wyglądała młodziej w tym wiosennym stroju; trzymała się prosto, policzki miała zaróżowione i uśmiechnęła się do mnie, gdy ją mijalam. Zaskoczona, zawróciłam i podeszłam do niej, by się upewnić, że nie pomyliłam jej z kimś innym.

- Idź na spotkanie z moim synem, Philippe'em - poinformowała mnie swym cichym głosem. - Jest z rodziną w La Houssiniere. W czerwcu skończy trzydzieści lat.

Pomyślałam przelotnie o Flynnie, zastanawiając się, czy on również ma matkę podobną do Desiree, oczekując jego powrotu.

- Ciesz się - powiedziałam. - I mam nadzieję, że pogodzi się z ojcem.

Desiree pokręciła głową.

- Wiesz, jaki mój mąż jest uparty. Udaje, że nie wie o moich kontaktach z Philippe'em; jego zdaniem, Philippe wrócił po tylu latach wyłącznie z powodu pieniędzy. - Westchnęła. -

Mimo to - podjęła stanowczym tonem - jeżeli Aristide chce zmarnować szansę, jego rzecz. Ja słyszałam w tej tamtej nocy na Point. Powiedziała, że odtąd sami mamy zadbać o swoje szczęście. Zamierzam jej usłuchać.

Uśmiechnęłam się. Cud, choć fałszywy, niewątpliwie odmienił Desiree. Nawet gdyby nie wyszło z Bouch'ou, sztuczka Flynn'a zapewniła przynajmniej tyle. Wezbrała we mnie fala ciepłych uczuć wobec niego. Mimo pozornego cynizmu, pomyślałam, nie był tak zupełnie obojętny.

Walczyłam, ale nie mogłam się zdobyć na bardziej pozytywne nastawienie do przyjazdu mojej siostry. W miarę jak postępowała adaptacja hangaru, Grosjean zdawał się nabierać rozpędu. Było to widoczne we wszystkim, co robił: widać energię, ożywienie, fakt, że nie przesiadywał już w kuchni, wpatrzony tylko w morze za oknem. Zaczynał się również częściej odzywać, choć przeważnie mówił o powrocie Adrienne, dlatego nie podnosiło mnie to na duchu, tak jakby mogło w innych okolicznościach. Zachowywał się jak ktoś, kto za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powrócił do życia. Starłam się wykrzesać z siebie radość, ale nie potrafiłam.

Rzuciłam się natomiast z szalonym entuzjazmem w wir prac malarskich. Namalowałam plażę w La Goulue, białe domy z czerwonymi dachami, blokhauz na Point Griznoz w różnorodnych odmianach, drzewa jedwabie w podmuchach morskiego wiatru, fale i trawy na wydmach, łódź podczas odpływu, stada ptaków kołyszące się na falach, długowłosych rybaków w spłowiałych, różnorodnych vareuses, Toinette Prossage w białej coiffe i wdowiej czerni, szukając limaków pod stertą drewna. Powiedziałam sobie, że gdy przyjadą turyści, znajdą kupców na moje obrazki i że wydatki na płótno, farby i inne materiały stanowią inwestycję. Tak miałam nadzieję; moje oszczędności ci skurczyły się niebezpiecznie i choć obydwójce z GrosJeanem wydawali mi się na życie stosunkowo niewiele, niepokoiły mnie koszty prac budowlanych. Zasięgnęłam informacji na miejscu i nawiązałam kontakt z niedugą galerią w Fromentine, której właściciel zgodził się wystawić kilka moich obrazków na sprzedaż, pobierając opłat za pośrednictwo. Wolałabym, żeby to było bliżej domu, ale od czego musiałam zacząć. Ostro nie wyczekiwałam początku sezonu.

Niebawem ponownie natknęłam się na rodzinę turystów. Poszłam ze szkicownikiem do La Goulue i próbowałam uchwycić połysk fal podczas odpływu, oni zaś wychynęli nagle znikąd:

przodem biegła Letycja z psem Petrole, a za nimi podali rodzice, Gabi i Philippe, z niemowlakiem w nosidełku. Philippe dźwigał kosz piknikowy i plecak pełen zabawek.

Letycja pomachała do mnie z zapalem.

- Salut! Znaleźli my plażę! - Podbiegła bliżej, zadyszana i rozpromieniona. - I w dodatku nikogo tu nie ma! Zupełnie jak na bezludnej wyspie. To najbardziej superowa bezludna plaża na świecie!

Z uśmiechem przyznałam jej słuszność.

Gabi powitała mnie przyjaznym skinieniem ramienia. Była niska, pulchna, smagła kobieta i miała na sobie żółte pareo, narzucone na kostium kąpielowy.

- Czy tu jest bezpiecznie? - zapytała. - Chodzi mi o pływanie. Nie widzę zielonej flagi ani niczego takiego.

- O, jest bezpiecznie! - zapewniłam ją. - Po prostu niewielu turystów dociera na tę stronę wyspy.

- Ta strona najbardziej nam się podoba - oznajmiła Letycja. - Najlepiej się nadaje do pływania. A ja umiem pływać - dodała z godnością - ale muszę dotykać nogami dna.

- Les Immortelles nie jest bezpieczna dla dzieci - wyjaśniła Gabi. - Stronny uskoki, no i te przybrzo morskie.

- Tu jest lepiej - orzekła Letycja i zaczęła schodzić skalistymi kładkami. - Skałki kamienie i w ogóle. Chodź, Petrole!

Pies pobiegł za nimi, szczekając entuzjastycznie. La Goulue rozbrzmiewała od dawna niesłyszczanymi odgłosami dziecięcej wiołowości.

- Woda jest trochę zimna - zauważyłam, popatrując w stronę Letycji, która dotarła już do linii przybrzo i grzebała pływakiem w piasku.

- Nic się jej nie stanie - powiedział Philippe. - Znam to miejsce.

- Naprawdę? - Teraz, z bliska, dostrzegłam jego wyspiarski powierzchownie, czarne włosy i niebieskie oczy. - Przepraszam, ale czy ja pana już gdzieś nie spotkałam? Wygląda pan... znajomo.

Pokręcił głową.

- Nie zna mnie pani - odparł. - Ale może pani zna moją matkę. - Jego oczy powędrowały w bok i uśmiechnął się bardzo znajomym uśmiechem.

Odwróciłam się odruchowo.

- Mamie! - wykrzyknęła Letycja znad brzegu morza i puściła się pędem w stronę plaży, rozbryzgując wodę.

Petrole zaczął ujadać.

- Mado - przemówiła Desiree Bastonnet z roziskrzonymi oczyma. - Widz, że poznała mojego syna.

Przyjechał na Wielkanoc. Wraz z Gabi i dziećmi zatrzymali się w letniskowym domku za Cios du Phare i od czasu naszego spotkania na drodze do La Houssiniere Desiree odwiedziła ich kilkakrotnie.

- To po prostu super - oznajmiła Letycja, wgrzyzając się z lubo ci w pain au chocolat z koszyka. - Przez cały czas miałam mamie i nawet o tym nie wiedziałam! Mam jeszcze papi, ale go nie widziałam. Zobaczymy się z nim później.

Desiree zerknęła na mnie i lekko pokiwała głową.

- Uparty stary głupiec - mruknęła, nie bez czułości. Wciąż rozpamiętuje te dawne historie. Ale my nie damy się wygrać.

Przebudowa hangaru dobiegała końca. Flynn sprowadził do pomocy kilku mężczyzn z La Houssiniere i robota szła jak z płatka. Nadal nie padła żadna wzmianka o źródłach finansowania.

Gdy zagadnąłam Aristide'a o koszty, odniósł się do tego filozoficznie.

- Czasy się zmieniają - skonstatował. - Jeśli twój ojciec korzysta z siły roboczej z La Houssiniere, to na pewno robi dobry interes. Inaczej by się w to nie angażował.

Miałam nadzieję, że tak jest; nie podobała mi się myśl, że ojciec mógłby się zadłużyć u Brismanda.

- Teraz zaciąganie cię skromnej pożyczki ma sens - podjął z werwą Aristide. - Trzeba zainwestować w przyszłość. Przy tym układzie spraw spłacimy wszystko bez problemu.

Zrozumiałam, że on również pożyczyciel pieniędzy. Rzecz jasna, wesele na wyspie kosztuje, a wiedziałam, że z chwilą ustalenia daty stary zechce zapewnić Xavierowi i Mercedes wszystko, co najlepsze. Mimo to drczył mi niepokój.

41

W pierwszym tygodniu czerwca zaczęły się wakacje szkolne. Tradycyjnie oznaczało to początek sezonu i z nowym zainteresowaniem oczekiwali przybycia „Brismanda I”. Lolo, na którego zawsze można było pod tym względem liczyć, pełnił straż w zatoce i obydwa z

Damienem na przemian, z udawan nonszalancj , obserwowali promenad . Je li kto zwrócił na nich uwag , nic nie mówili. La Houssiniere pra yło si cicho w coraz gor tszym sło cu; na niegdy podtopionym Cios du Phare ziemia p kała nieoczekiwanie pod nogami, przez co spacery stały si zaj ciem mudnym, a jazda na rowerze - ryzykownym. „Brismand I” przywoził codziennie zaledwie garstk wycieczkowiczów, a Les Salants niecierpliwiło si i z ymało niczym panna młoda, zmuszona zbyt długo czeka przy oltarzu. Byli my gotowi, wi cej ni gotowi; mieli my czas si zastanowi , ile energii i pieni dzy wło yli my w budow Les Salants i ile mamy do stracenia. Niektórym puszczały nerwy.

- Pewnie rozdałe za mało ulotek! - warkn ł Matthias do Aristide’a. - Wiedziałem, e trzeba było wysła kogo innego!

Aristide prychn ł.

- Rozdali my wszystkie! Pojechali my nawet do Nantes.

- No jasne, i zamiast pilnowa naszych spraw, pławili cie si w wiatłach wielkiego miasta.

- Ha, ty stary capie! Poka ci, gdzie mo esz sobie wsadzi swoje ulotki. - Aristide wstał gwałtownie, chwytaj c lask .

Matthias wykonał ruch, jakby chciał złapa za krzesło. Byłaby si z tego wywi zała jedyna w swoim rodzaju bójka starej gwardii, gdyby nie wtr cił si Flynn, proponuj c kolejn wypraw do Fromentine.

- Mo e si zorientujecie, co si tam dzieje - podsun ł łagodnie. - A mo e warto zastosowa wobec turystów nieco perswazji.

Matthias miał sceptyczn min .

- Nie zgadzam si , eby ci Bastonnetowie u ywali ycia we Fromentine na mój koszt - burkn ł. Najwyra niej wyobra ł sobie nieszkodliwe nadmorskie miasteczko jako siedlisko pokus i wyst pku.

- Mo cie jecha obaj - zaproponował Flynn. - B dziecie si mieli wzajemnie na oku.

- To jest my l.

Niepewny sojusz został zawarty na nowo. Ustalono, e Matthias, Xavier, Ghislain i Aristide popłyn w pi tek porannym promem do Fromentine. Pi tki s dobre, je li chodzi o turystów, orzekł Aristide, bo ludzie wyje d aj na weekend. Tablice reklamowe, owszem, mog by , ale nie ma nic lepszego ni naganiacz na trapie. W pi tek wieczorem, obiecali, nasze kłopoty

si sko cz .

Mieli my zatem przed sob prawie tydzie niecierpliwego wyczekiwania. Zabijali my czas - starsi przy szachach i piwie u Angela, mlodsi łowi c ryby w La Goulue, gdzie połowy zawsze były obfitsze ni koło Point .

Mercedes zacz ła si tam opala w gor ce dni, oblekaj c swe pon tne kr gło ci kostiumem w lamparcie c tki. Kilka razy przyłapałam Damiena na obserwowaniu jej przez lornetk . Podejrzewam, e nie był w tym odosobniony.

W pi tek po południu połowa wioski czekała na nabrze u na powrót „Brismanda I”. Desiree. Omer. Capucine. Toinette. Hilaire. Lolo i Damien. Flynn, jak zwykle, trzymał si nieco na uboczu i mrugn ł do mnie, złowiwszy moje spojrzenie. Przyszła nawet Mercedes - pod pretekstem powitania wracaj cego Xaviera - w kusej pomara czowej sukience i sandałkach na nieprawdopodobnie wysokich obcasach. Omer przyjrzał si jej bacznie, z mieszanin niepokoju i aprobaty. Mercedes udała, e tego nie zauwa a.

Claude Brismand równie patrzył, siedz c nad nami na tarasie „Les Immortelles”. Widziałam go z mola - monolityczn posta w białej koszuli i rybackiej czapce, ze szklank w dłoni. Jego poza wydawała si rozlu niona, wyczekuj ca. Z tej odległo ci nie mogłam dostrzec wyrazu jego twarzy. Capucine zauwa yła, e go obserwuj , i u miechn ła si filuternie.

- Ale b dzie zaskoczony, kiedy prom przybije.

Nie byłam tego taka pewna. Brismand wiedział niemal o wszystkim, co si działo na wyspie, i cho prawdopodobnie nie mógł ju niczego zmieni , raczej nie w tpiłam, e cokolwiek si stanie, nie b dzie dla niego niespodziank . Na my l o tym poczułam si nieswojo, zupełnie jakby kto mnie obserwował; prawd mówi c, im dłu ej zastanawiałam si nad t nieruchom postaci na tarasie, tym gł bszego nabierałam przekonania, e istotnie mi si przygl da ze szczególnym, znaczym skupieniem. Wcale mi si to nie podobało.

Alain zerkn ł na zegarek.

- Spó nia si .

Pi tna cie minut, nie wi cej. Ale nam, gdy tak czekali my spoceni i o lepieni blaskiem bij cym od wody, wydawało si , e upłyn ły godziny. Capucine wyci gn ła z kieszeni czekoladowy batonik i pochłon ła go trzema szybkimi, nerwowymi k sami. Alain ponownie spojrział na zegarek.

- Powinienem był sam pojecha - sarkn ł. - Na pewno zawalili spraw .

Omer gniewnie zmarszczył brwi.

- Ha, jako nie słyzałem, eby si zgłaszał na ochotnika.

- Widz co ! - krzykn ł Lolo znad wody.

Wszyscy popatrzyli na morze. Na tle mlecznego horyzontu pojawiła si biała smuga.

- Prom!

- Nie pchaj si tak!

- Jest! Tu za balise.

Min ło jeszcze pół godziny, zanim dało si dostrzec co konkretnego. Lolo miał lornetk , któr przekazywali my sobie z r k do r k. Molo kołysało si pod naszymi stopami. Niedu y prom zmierzał ku Les Immortelles szerokim łukiem, zostawiaj c za sob bia ł bruzd . Gdy si zbli ył, zobaczyli my, e na pokładzie roi si od pasa erów.

- Letnicy!

- I to ilu.

- Nasi letnicy.

Przez reling przechylał si Xavier, bliski wypadni cia za burt . Wymachiwał gwałtownie r kami, a po chwili doleciał do nas nad zatok jego słaby, odległy głos.

- Udało si , ha! Udało si ! Mercedes! Udało si !

Claude Brismand spogl dał beznami tnie z tarasu „Les Immortelles”, co pewien czas unosz c szklank do ust. „Brismand I” spu cił w ko cu trap i tury ci zacz li gromadnie schodzi na molo. Aristide’a, który zszedł po trapie z wysiłkiem, lecz tryumfalnie, wsparty na ramieniu wnuka, Omer i Alain natychmiast unie li w gór , doł czaj c do chóru. Capucine rozwin ła arkusz z napisem: „T dy do Les Salants”. Lolo, nigdy nieprzepuszczaj cy okazji zarobienia paru groszy, przyci gn ł spod ciany rower z drewnian przyczepk i zacz ł wykrzykiwa :

- Baga e! Transport baga y do Les Salants za przyst pn opłat !

Na promie musiało si znajdowa trzydzie ci osób, mo e wi cej. Studenci, rodziny, para staruszków z psem. Dzieci. Słyzałem na molo miech i podniesione głosy, niektóre mówi ce w obcym j zyku. W ród u cisków i poklepywania po plecach bohaterowie dnia wyjanili tajemnicze niepowodzenie naszej pierwszej akcji reklamowej: opowiedzieli o znikni ciu ulotek i o perfidii urz dnika z biura informacji turystycznej we Fromentine (wyszło na jaw, e współpracuje z houssinianami), który - stwarzaj c wra enie, e stoi po naszej stronie - w rzeczywisto ci doniósł Brismandowi o szczegó łach naszych planów i robił, co mógł, eby

zniech ci turystów do odwiedzenia Les Salants.

Na ulicy dostrzegłam Jojo-le-Goelanda z otwartymi ustami i zapomnianym niedopałkiem, wysuwaj cym si spomi dzy palców. Wła ciciele sklepów zbiegli si równie , zaciekawieni, sk d takie zamieszanie. Zobaczyłam mera Pinoza w drzwiach „Chat Noir” i Joela Lacroix, stoj cego okrakiem nad swoim czerwonym motocyklem. Obydwaj wpatrywali si w nasz grup z rosn cym zdumieniem.

- Rowery do wynaj cia! - obwie cił Omer Prossage. Kawałek dalej, rowery do Les Salants!

Xavier, upojony tryumfem, ruszył z trapu w stron Mercedes i porwał j w ramiona. Niewiele było ciepła w jej u cisku, lecz zdawał si tego nie zauwa a . Obydwaj z Aristide'em potrz sali gar ciami papierów.

- Zadatki! - wykrzykiwał Aristide z ramion Omera. - Za twój dom, Prossage, i twój, Guenole, i od pi ciu twoich obozowiczów, Toinette, i...

- Jedena cie zadatków, ha! A b dzie wi cej!

- Udało si - powiedziała Capucine z nabo nym podziwem.

- Dokonali tego! - zapiała Toinette, zarzucaj c ramiona na szyj Matthiasowi Guenole i całuj c go z dubeltówki.

- My dokonali my - sprostował Alain, z nieoczekiwan wylewno ci bior c mnie w obj cia. - Les Salants!

- Les Salants, ha!

- Les Salants!

Nie wiem, dlaczego si wówczas obejrzałam. Mo e z ciekawo ci, a mo e troch rozpierała mnie pycha. To była chwila naszego tryumfu. Mo e po prostu chciałam zobaczyć wyraz jego twarzy.

Zrobiłam to tylko ja. Gdy moi przyjaciele ruszyli naprzód ze piewem, okrzykami, nawoływaniem, skandowaniem, odwróciłam si , zaledwie na moment, by spojrze w stron hotelowego tarasu, na którym siedział Brismand. Gra wiatła wyra nie wydobyła z cienia jego twarz. Stał teraz, wznosząc szklank w milcz cym, ironicznym toa cie.

- Za Les Salants!

I patrzył przy tym prosto na mnie.

CZ TRZECIA

Uje d anie fal

Moja siostra z rodzin zjawiała si trzy dni pó niej. Hangar (nazywany teraz „studium”) był prawie gotowy i Grosjean siedział na ławce na podwórzu, nadzoruj c prace wyko czeniowe. Flynn w rodku sprawdzał instalacj elektryczn . Dwaj houssinianie, którzy pracowali przy przebudowie, ju sobie poszli.

Warsztat szkutniczy, odgradzony teraz od studia ywopłotem z arnowca, podzielono na dwie cz ci. Połowa pełniła funkcj ogródka, do którego Grosjean wstawił ławki, stół i kilka donic z kwiatami. Reszt nadal zajmowały materiały budowlane. Zastanawiałam si , jak długo jeszcze potrwa, zanim Grosjean upr tnie do ko ca dawne miejsce pracy.

Nie powinnam była a tak si tym przejmowa . Ale nic nie mogłam na to poradzi ; warsztat i podwórze były naszym wspólnym miejscem, jedynym, do którego matka i Adrienne nie miały dost pu. Mieszkały tam duchy; ja, siedz ca po turecku pod stołem na kozłach, Grosjean obrabiaj cy klocek drewna na tokarce, Grosjean wtóruj cy przy pracy nuceniem muzyce z radia, Grosjean i ja, dziel cy si kanapk w trakcie jednej z rzadkich opowie ci mojego ojca, Grosjean z długim p dzlem w dłoni, zadaj cy pytanie: „Jak j nazwiemy? Odile czy Odette?”, Grosjean za miewaj cy si z mojej próby zszycia agła, Grosjean podziwiał cy z pewnej odległo ci swoje dzieło... Nikt inny w tym nie uczestniczył - ani Adrienne, ani matka. Nie potrafiły tego zrozumie . Matka nieustannie suszyła ojcu głow o niedoko czone roboty - porzucone w połowie projekty, półki do zmontowania, rynny do naprawienia. Wreszcie traktowała go ju tylko jako gorzki art, budowniczego, który nigdy nie ko czy tego, co zaczą ł, rzemie lnika zdolnego skonstruowa zaledwie jedn łód na rok, pró niaka, który kryje si całymi dniami w g szczu rupieci, a potem wychodzi, oczekuj c posiłku na stole. Adrienne wstydziła si jego poplamionych farb ubra i braku towarzyskiego obycia i wołała, by jej z nim nie widywano w La Houssiniere. Wył cznie ja asystowałam mu przy pracy. Ja jedna byłam z niego dumna. Mój duch snuł si ufnie po warsztacie, pewny, e przynajmniej tutaj mo emy by takimi, jakimi nie o mielamy si by gdzie indziej.

W dzie przyjazdu mojej siostry siedziałam na podwórzu, maluj c gwaszem portret ojca. Było to jedno z bezchmurnych letnich przedpołudni, gdy wszystko jest jeszcze zielone i pokryte ros . Ojciec, odpr ony i pogodny, palił papierosa i popijał kaw w promieniach sło ca, osłoniwszy oczy daszkiem rybackiej czapki.

Wtem z drogi za domem dobiegł warkot samochodu i złe przeczucie natychmiast mi

podpowiedziało, kto przyjechał.

Moja siostra miała na sobie biały bluzk i powłóczytą spódnicę, na widok której poczułam się niechlujna i zaniedbana. Pocałowała mnie w policzek, podczas gdy chłopcy, ubrani w identyczne szorty i podkoszulki, trzymali się z tyłu i szeptali coś do siebie, szeroko otwierając ciemne oczy. Marin z niani zamykali pochód. Ojciec nie ruszył się z miejsca, lecz jego oczy promieniały.

Flynn pojawił się w drzwiach hangaru, wciąż jeszcze w roboczym kombinezonie. Miałam nadzieję, że zostanie z nami - z niewiadomych przyczyn myślałam, że pracuje gdzieś w pobliżu, dodawała mi otuchy - ale na widok Adrienne i reszty rodziny zamarł w bezruchu, kryjąc się niemal instynktownie w cieniu przy wejściu. Wykonałam dłonią nieznaczny, powstrzymujący gest, lecz on już wyszedł na podwórze, ominął furtkę i przeskoczył przez murek na drogę. Pomachał mi, nie odwracając się, wspiął się na wydmę, po czym lekko pobiegł dalej w stronę La Goulue.

Marin odprowadził spojrzeniem znikającą postać.

- Co on tutaj robi? - zapytał.

Zerknęłam na niego, zaskoczona ostrym tonem jego głosu.

- Pracuje u nas. A co, znasz go?

- Widziałem go w La Houssiniere. Mój stryj... - Urwał, zaciskając usta w wściekłą kreskę. -

Nie, nie znam go - dokończył i odwrócił głowę.

Usiedli z nami do obiadu. Przyrzuciłam potrawkę z jagnięciami, którą Grosjean zjadał z włąciwym sobie milczącym zapalem, zagryzając chlebem kładczubate ociekające tłuszczem. Adrienne jadła drobnymi kęsami, bez apetytu.

- Jak to miło wrócić do domu - oznajmiła, uśmiechając się promiennie do Grosjeana. - Moi chłopcy już nie mogli się doczekać. Od Wielkanocy wręcz szaleją z podniecenia.

Zerknęłam na jej synów. Jeden nie sprawiał wrażenia szczególnie podekscytowanego. Loïc bawił się kawałkiem chleba, krusząc go nad talerzem. Franek wyglądał przez okno.

- Urządzą dla nich przeuroczy letni domek, papo cięgnęła Adrienne. - Będzie im tu cudownie.

Adrienne z Marinem, jak się po chwili dowiedzieliśmy, zamierzali jednak zatrzymać się w „Les Immortelles”. Chłopcy z niani mogli zamieszkać w studiu, lecz Marin miał pewne sprawy do załatwienia ze swoim stryjem i nie wiedział, ile czasu mu to zajmie. Grosjean przyjął

nowin oboj tnie i dalej jadł powoli, w zamy leniu, z oczyma utkwionymi w dzieci. Franek szepn ł co do brata po arabsku i obaj zachichotali.

- Nie spodziewałem si zasta tutaj tego rudego Anglika - zwrócił si Marin do Grosjeana, dolewaj c sobie wina. - Czy to wasz przyjaciel?

- A co, zrobił co złego? - spytałem. Nie podobał mi si jego kwa ny ton.

Marin w milczeniu wzruszył ramionami. Grosjean sprawiał wra enie, jakby nie słyszał ani słowa.

- W ka dym razie dobrze mu wyszedł ten letni domek! - wtr ciła z o ywieniem Adrienne.
- B dziemy si tu wietnie bawili!

Zako czyli my posiłek, nic ju nie mówi c.

43

Wraz z przyjazdem chłopców Grosjean znalazł si w swoim ywiole. Przesiadywał na podwórzu, przygl daj c si w milczeniu ich zabawom, uczył ich robi łódki z kawałków drewna i resztek płótna albo szedł z nimi na wydmy, gdzie bawili si w chowanego w ród wysokich traw. Adrienne i Marin wpadali od czasu do czasu, lecz rzadko zostawali na dłu ej; interesy Marina, jak nas poinformowali, okazały si bardziej zagmatwane i czasochłonne, ni oczekiwali.

Tymczasem Les Salants wkroczyło w cykl letni. Prace w wiosce niemal dobiegły ko ca - uporz dkowano ogródki, w których z piaszczystej gleby wyrastały malwy, lawenda i rozmaryn, odmalowano drzwi i okiennice, zamieciono drogi i zagrabiono pobocza, a domy ja niały ochrowymi dachówkami i wie o pobielonymi cianami. Pokoje go cinne i po piesznie wyremontowane budynki gospodarcze zapełniały si stopniowo. Na pole namiotowe w La Houssiniere przyjechała grupa turystów, która niebawem przeniosła si do Les Salants, zwabiona wydmami i krajobrazem. Philippe Bastonnet i jego rodzina wrócili na lato i prawie codziennie przychodzili do La Goulue. Aristide ci gle trzymał si na dystans, lecz cz sto mo na było zobaczy Desiree w cieniu wielkiego pla owego parasola, podczas gdy Letycja pluskała si z zapałem w sadzawkach w ród skał.

Toinette udost pniła nieoficjalnie obozowiczom teren za swoim domkiem, pobieraj c opłat o połow ni sz ni w La Houssiniere - i ju jaka młoda para z Pary a rozbiła tam namiot. Warunki były prymitywne: wygodka na zewn trz domu, pralnia oraz kran z wod i podł czonym w em, ale dochodziły do tego artykuły ywno ciowe z farmy Omera, bar Angela,

no i oczywiście plaża, niezbyt jeszcze bogata w piasek, lecz rosnąca w siłę z każdym przypiływem. Podłogę, z którego nie wystawały już kamienie, było gładkie i równe. Skały za linią przypiływu zapewniały wytchnienie i ochronę. Dzieci zachwycały się miniaturowymi zatoczkami i sadzawkami. Zauważyłam, że Letycja łatwo nawiązuje przyjacielskie kontakty z małymi sałanianami. Na początku odnosiły się do niej nieco podejrzliwie - rzadko widywały turystów i w związku z tym były nieufne - ale jej ujmujący sposób bycia prędko przełamał wszelkie lody. Zanim minął tydzień, czsto widywało się ich razem, biegających boso po Les Salants, grzebiących patykami w eutry, dokazujących na wydmach z Petroleum depechującym im po piętach. Pyszny, pełen zapachu Lolo darzył ją szczególną sympatią i rozbawiło mnie, że przejął jej miejskie wyrażenia i naładował jej akcent.

Moi siostrzyczki nie brały udziału w tych zabawach. Za to - mimo wysiłków mego ojca, by zatrzymać ich przy sobie - w końcu czasu spędzali w La Houssiniere. Tu obok kina znajdował się pasaż gier, w którym lubili przebywać. Łatwo się nudzili, jak wyjaśniła Adrienne przepraszającym tonem. W Tangerze mieli znacznie więcej zajęć.

Jedynym chłopcem, którego plaża zdawała się nie interesować, był Damien - najstarszy i najbardziej skryty spośród sałanianich dzieci. Niejednokrotnie widywałam go w końcu czegoś samotnie po nadmorskim urwisku i palącego papierosa. Gdy zapytałam go raz, czy pokłócił się z Lolem, wzruszył tylko ramionami i pokręcił głową. Dziecinada, o wiadczył lekceważąco. Czasami po prostu chce być sam.

Czy ciowo mu wierzyłam. Odziedziczył zgrzybiwość ojca i jego drażliwy charakter. Nie był towarzyskim z natury, z pewnością poczuł się rozgoryczony, gdy Lolo - dotychczas jego najwierniejszy towarzysz - tak szybko opuścił go dla Letycji, zaledwie o miesiąc i przybyłej z kontynentu. Zauważyłam z lekkim rozbawieniem, że Damien usilnie próbuje zachowywać się jak dorosły, naładowany leniwą nonszalancką pozycją Joela Lacroix i jego kolegów z La Houssiniere. Charlotte napomknęła, że młody Damien ma za duży pieniądze, jak na chłopca w jego wieku. W wiosce krążyły plotki o nowym członku bandy motocyklistów, jeżdżącym z kimś na tylnym siodełku. I bardzo młodym, jak powiadano.

Podejrzenia się potwierdziły, gdy parę dni później zobaczyłam go w La Houssiniere pod kawiarnią „Chat Noir”. Wysłałam na spotkanie „Brismanda I” z nowymi obrazkami dla galerii w Fromentine i dostrzegłam Damiena, palącego papierosa w słowcu przy promenadzie z Joelem i kilkoma innymi młodymi houssinianami. Były z nimi również dziewczyny, długonogie,

młodziutkie stworzenia w krótkich spódniczkach. Ponownie rozpoznałam Mercedes.

Pochwyliła moje spojrzenie, gdy ich mijalam, i achnęła się nieco, wyczuwając jego natarczywość. Paliła papierosa - czego nigdy nie robiła w domu - i wyglądała do blado pomimo czerwonej szminki; jej ciemne oczy były zmęczone, makijaż rozmazany. Za nią miała się - zbyt piskliwie - gdy przechodziłam obok i z wyzywającą miną zacięła dymem. Damien z zakłopotaniem odwrócił wzrok. Nie odezwałam się do nich.

La Houssiniere przycichło. Nie była to martwa cisza, jak przepowiadali tryumfalnie niektórzy salanianie, lecz raczej drzemka. Kawiarnie i bary pozostawały otwarte, ale przeważnie wyciszone pustkami; na plaży w Les Immortelles zauważyłam może z tuzin osób. Siostra Extase z siostrą Therese pomachały do mnie z rozświetlonych stopni hotelu.

- To przecie Mado!

- Co tam masz?

Usiadłam obok i pokazałam im teczkę z obrazkami. Siostry pokiwały głowami z aprobatą.

- Powinna spróbować coś sprzedać panu Brismandowi, mała Mado.

- Chyba nie by my popatrzyły na coś ładnego, nieprawda, ma soeur? Oglądajmy wci te same stare...

- ...martyrologie od niepamiętnych czasów. - Siostra Therese przesunęła palcami po jednym z rysunków. Przedstawiał widok Pointe Griznoz ze zniszczonym kościołem na tle wieczornego nieba. - Oko artysty - orzekła z uśmiechem. - Odziedziczyła go po ojcu.

- Przekazać mu od nas serdeczne pozdrowienia, Mado.

- I porozmawiaj z monsieur Brismandem. Jest teraz na spotkaniu, ale...

- ...zawsze miał do ciebie słabość.

Rozważyłam to myślenie. To mogła być prawda, nie podobał mi się jednak pomysł prowadzenia interesów z Claude'em Brismandem. Unikałam go od ostatniego spotkania; wiedziałam już, że interesuje go, jak długo zostanie na wyspie, i nie chciałam narazić się na jego indagację. Podejrzewałam, że jest lepiej zorientowany w tym, co dzieje się w Les Salants, niż nam się wydaje, i choć nigdy nie przyłapał nikogo na kradzieży piasku z Les Immortelles, trwał w przekonaniu, że taki proceder się odbywa. Nie można było ukryć przed houssinianami plażę w La Goulue i nie wątpiłam, iż ujawnienie tajemnicy naszej dryfującej rafy jest tylko kwestią czasu. A gdy to nastąpi, pomyślałam, chciałabym się znaleźć jak najdalej od Brismanda.

Zbierając się do odejścia, dostrzegłam nagle coś niedużego na ziemi przed sobą. Był to

czerwony koralik, podobny do tych, które mój ojciec zawieszał na łodziach. Wielu wyspiarzy nadal je nosiło. Kto musiał zgubi swój.

- Masz bystre oko - zauważyła siostra Extase, gdy go podnosiłam.

- Zatrzymaj go, mała Mado - dodała siostra Therese. No go, przyniesie ci szczęście.

Po egnałam się z zakonnicami i wstałam („Brismand I” dał znak syren, a odpływa za dziesięć minut, i nie chciałam się spojrzeć na niego), a wówczas dobiegło mnie nagłe trzaskanie drzwi i podniesione głosy z holu „Les Immortelles”. Nie rozróżniałam słów, słyszałam jednak gniewne tony, jak gdyby ktoś opuszczał hotel, urządziwszy awanturę. Głęboki głos Brismanda kontrpunktował pozostałe. Następnie z holu tuż nad nami wyłoniła się para, mężczyzna i kobieta z identycznym wyrazem zakamieniałej furii na twarzach. Siostry usunęły się na boki, a potem zsunęły na powrót, niczym u mieczni ta zasłona.

- Jak tam wasze interesy? - zagadnął Adrienne.

Lecz ani ona, ani Marin nie raczyli odpowiedzieć.

44

Nadpłynęło lato. Pogoda była piękna, jak zwykle na wyspach o tej porze roku - ciepła i słoneczna, lecz nie upalna dzięki morskiej bryzie z zachodu. Siedmioro z nas gościło teraz turystów, w tym cztery rodziny, które mieszkały w wolnych pokojach i przerobionych przybudówkach. Toinette miała komplet obozowiczów. Razem zebrali się trzydzieścioro obozowiczów, a „Brismand I” za każdym razem dowoził nowych.

Charlotte Prossage nabrała zwyczaju przyrządzania raz w tygodniu paelli z krabów i langust łapanych w nowym wiwarium. Gotowała to danie w olbrzymim garnku i zanosila do Angela, który sprzedawał je w porcjach na wynos. Turysty ci byli zachwyceni i niebawem musiała zaangażować Capucine do pomocy. zaproponowała układ, w ramach którego każda z nich szykowała jakieś danie raz w tygodniu. Wkrótce mieli my paellę w niedziele, gratin devinnois (pieczona barwna, białe wino i ziemniaki w plasterkach z kozim serem) we wtorek i bouillabaisse w czwartek. Inni mieszkańcy wioski włącznie w ogóle przestali gotować.

W dzień tego Jana Aristide ogłosił wreszcie zaręczyny swego wnuka z Mercedes Prossage i dla uczczenia tej okazji wyprawił „Cecilię” na rundę honorową wokół Bouch’ou. Charlotte odpiewała hymn, podczas gdy Mercedes siedziała w białej sukience na dziobie i narzekała pod nosem na smród wodorostów i bryzy wody, padającej na nią, ilekroć „Cecilia” się

zakołysała.

„Eleanore II” przeszła najmielsze oczekiwania. Alain i Matthias nie posiadali si z zachwytu; nawet Ghislain przyjął wiadomość o zarczynach Mercedes z zadziwającą pogod ducha, snując własne, misterne i nieprawdopodobne plany, oparte głównie na zgłoszeniu „Eleanore II” do regat przybrzeżnych i zdobyciu pierwszej nagrody, a co za tym idzie, majątku.

Ziściło się marzenie Toinette, która sprzedała kilkadziesiąt saszetek z solą morską (o zapachu lawendy i rozmarynu).

- To takie proste - powiedziała z błyskiem w czarnych oczach. - Ci tury ci kupi wszystko. Pczki ziół przewiezane wstępką. Nawet morskie błoto. - Pokręciła głowę z niedowierzaniem. - Wystarczy nakłagać go do słoiczków i przykleić etykiety z napisem: „talassoterapeutyczna odżywka do skóry”. Moja matka przez lata smarowała tym twarz. To stary wyspiarski sposób zachowania urody.

Omer La Patate znalazł na kontynencie kupca na nadwyk warzyw, po cenach znacznie przekraczających te, do których przywykł w La Houssiniere. Człosuuszonych gruntów przeznaczył pod jesienne kwiaty, mimo iż od lat trwał w przekonaniu, że szkoda czasu na takie błahostki.

Mercedes często zniknęła na całe godziny w La Houssiniere, rzekomo odwiedzając salon pi knoci.

- Tak długo tam przesiadujesz - zauważyła Toinette - chyba już pierdzisz perfumami. Chanel numer pięć. - Zachichotała.

Mercedes z rozdrażnieniem potrzęsnęła głowę.

- Jaka ty jesteś ordynarna, mamo.

Aristide z uporem ignorował obecność syna w La Houssiniere, angażując się bokiem i z odcieniem desperacji w plany związane z przyszłością Xaviera i Mercedes.

Desiree, choć to martwiło, nie była zaskoczona.

- Wszystko mi jedno - powtórzyła, siedząc pod parasolem z Gabi i niemowlakiem. - Zbyt długo jużujemy w cieniu grobu Oliviera. Teraz pragnę tylko towarzystwa żywych.

Jej oczy powdrowały ku szczytowi urwiska, skąd Aristide często obserwował powracające łodzie rybackie. Teraz zauważyła, że jego lornetka zwrócona jest nie w stronę morza, lecz na linię przypiływu, gdzie Letycja i Lolo budowali twierdzę z piasku.

- Przesiaduje tam codziennie - powiedziała Desiree. Prawie się do mnie nie odzywa. -

Wzięła dziecko na ręce i poprawiła mu kapelusik. - Chyba przespaceruj się trochę nad morzem - dodała dziarskim tonem. - Przyda mi się łyk wiego powietrza.

Turyści napływali nieustannie. Angielska rodzina z trójki dzieci. Starsze małżeństwo z psem. Wytworna wiekowa dama z Paryża, ubrana nieodmiennie w różni biel. Obozowicze z dziećmi.

Nigdy nie widzieliśmy atylu dzieci naraz. Cała wioska tętniła ich obecnością: miały się i wrzeszczały, wywołowe i zuchwałe, jaskrawe jak ich plaowe zabawki, ubrane w seledyn, turkus i ciemny róż, pachnące kremem do opalania, olejkiem kokosowym, wata cukrową i yciem.

Nie wszyscy goście byli turystami. Zauważyłam z pewnym rozbawieniem, że nasza młodzież - w tym Damien i Lolo - cieszy się poprzez skojarzenie nieoczekiwanym prestiżem i nawet przyjmuje łapówki od młodych houssinian za dostępn do plaży.

- Przedsiorożcze młodziaki - skonstatowała Capucine, gdy o tym napomknęłam. - Cóż komu szkodzi odrobina inicjatywy? Zwłaszcza gdy można oskubać jakiego houssinianina. - Zachichotała beztrąsko. - To miło chociaż raz, dla odmiany, mieć coś, na czym im zależy, ha? Czemu nie mieliby za to płacić?

Przez pewien czas kwitł czarny rynek. Damien Guenole zbierał papierosy z filtrem, które wypalał - jak podejrzewałam - z ukrywanym niesmakiem, Lolo zaś przez dni pobierał opłaty w gotówce. Wyznał mi, że oszczędza na motorower.

- Z motorowerem można nie tylko zarobić - oznajmił poważnie. - Dorywcze zajęcia, przesyłki, różne zlecenia. Chcesz czy nie chcesz, dystrybucja to najlepsza instytucja!

Zdumiewajcie, jakie zmiany potrafi wprowadzić kilkanaścioro dzieci. Les Salants nagle ożyło. Staruszkowie już nie tworzyli wijszości.

- To mi się podoba - oznajmiła Toinette, gdy jej wspomniałam o tym zjawisku. - Czuję się znowu młodą.

Nie była w tym osamotniona. Opryskliwy Aristide przyłapał go na tej czynności - pokazywał chłopcom, jak wijszo w zły. Alain, tak zazwyczaj szorstki dla własnej rodziny, zabrał Letycję w rejs własną łodzi. Desiree potajemnie rozdawała słodycze, wtykając je w arliwie wycięgnięte, brudne rączki. Kiedyś, rzecz jasna, pragnął przyjazdu letników. Ale dzieci zaspokajały bardziej podstawowe potrzeby. Przekupywali my i psuli my je bez przerwy. Surowe

staruszki kosztowały słodczy. Surowi starcy odkrywali na nowo chłopięce zabawy.

Flynn był ich ulubiecem. Zawsze przyciągał nasze dzieciaki, może dlatego, że nigdy specjalnie się o to nie starał. Ale dla letników stał się kimś w rodzaju szczurołapa z Hameln; bez przerwy otaczały go dzieci, które zagadywały do niego i obserwowały budowę rzeźb z kawałków naniesionego drewna lub odsiewanie moci na plaży. Przeladowały go niemiłosiernie, on jednak nie miał nic przeciw temu. Przynosiły mu trofea z La Goulue i opowiadały o sobie nawzajem. Bezwstydnie rywalizowały o jego uwagę. Flynn przyjmował ich względnie z takim samym pogodnym obojętnością, jak okazywał wszystkim innym.

Odniosłam wrażenie, że od chwili przybycia turystów Flynn wydawał się nieco bardziej zamknięty w sobie. Zawsze jednak znajdował chwilę czasu dla mnie i spędziliśmy razem wiele godzin na dachu blokhauzu albo nad wodą. Byłam mu za to wdzięczna; teraz, gdy Les Salants znalazło się na drodze do ozdrowienia, poczułam się zbyt zadowolona, jak matka dorastających dzieci. Było to, rzecz jasna, absurdałne uczucie - nikogo bardziej niż mnie nie cieszyła zmiana w Les Salants - lecz mimo to chwilami niemal ucyliłam sobie, by coś zakłóciło nasz spokój.

Gdy powiedziałam o tym Flynnowi, parsknął śmiechem.

- Nie powinna mieszkać na wyspie - rzucił niedbale. Aby przetrwać, potrzebujesz nieustannego kryzysu.

Ten bez troski komentarz wówczas mnie rozszalał.

- Nieprawda! Uwielbiam spokojne życie!

Flynn wyszczerzył się.

- Przy tobie o czym takim nie ma mowy.

Później pomyślałam o tym, co mi powiedział. Czy miał rację? Czy rzeczywiście potrzebowałam bliskości i bezpieczeństwa, wiadomo ci kryzysu? Czy to właściwie przyciągnęło mnie do Le Devin? I do Flyna?

Tamtej nocy, podczas odpływu, nie mogłam usnąć i wyszłam na La Goulue, aby oczyścić umysł. Półksiężyc świecił jasno; słyszałam przytłumiony szmer fal przy mrocznym grewie i czułam zmienne podmuchy wiatru. Spoglądając wstecz od strony La Goulue, widziałam blokhauz, ciemny brył na tle rozgwieżdżonego nieba. Przez chwilę byłam pewna, że widzę jakąś postać, która zsunęła się w stronę wydm. Po ruchach rozpoznałam Flyna.

Może poszedł na ryby, powiedziałam sobie w duchu, choć nie miał latarni. Wiedziałam że czasami podkrada Guenole homary. Lepiej było to robić po ciemku.

Po tym jednym spojrzeniu już go nie dostrzegłam i, zmarznięta, zawróciłam w stronę domu. Słyszałam z oddali śpiewy i okrzyki, widziałam błękitne światła, cielece się na drodze wokół baru Angela. Na ciecie tu poniżej mnie przystanąła para, prawie niewidoczna w cieniu wydmy. Jedną z postaci była potężna i zwałista, z dłońmi zanurzonymi nonszalancko w kieszeniach vareuse, druga zaś mniej masywna - i tylko smuga światła z kawiarni rozpląmieniła nagle jego włosy.

Widziałam je tylko przez chwilę. Ciszone głosy, uniesiona ręka, ucisk. Potem sobie poszli - Brismand do wioski, rzucając potężny ciecie na wydmy, a Flynn z powrotem ciek, długim, równym krokiem prosto ku mnie. Nie zdążyłam uciec; znalazł się tu przy mnie w mgnieniu oka, z twarzą oświetloną księciem. Cieszyłam się, że stoję w cieniu.

- Jeszcze nie piesz? - zagadnął wesoło. Najwyraźniej nie zauważył, że widziałam go z Brismandem.

- Ty też - odparłam. Moje myśli wirowały; nie byłam pewna, co właściwie ciwie widziałam. Musiałam się nad tym zastanowić.

- Belote - uśmiechnął się do mnie. - Tym razem, dla odmiany, wygrałem. Tuzin flaszek wina od Omera. Jak wytrze wieje, Charlotte go zatłucze. - Zwiczył mi włosy. Słodkich snów, Mado. - I odszedł, pogwizdując przez zęby, tą samą drogą, którą nadeszłam.

Zadziwiając co trudno było mi zagadnąć Flynnowi o jego kontakty z Brismandem. Tłumaczyłam sobie, że to spotkanie mogło być czysto przypadkowe: Les Salants nie stanowiło dla houssinian strefy zakazanej, a Omer, Matthias, Aristide oraz Alain potwierdzili zgodnie, że tamtego wieczoru u Angela Flynn istotnie grał w belote. Nie skłamał. Ponadto, jak lubiła wytykać Capucine, Flynn nie był salanianinem. Nie stawał po niczyjej stronie. Może Brismand zatrudnił go przy jakiejś pracy. Mimo to pozostał ciek podejrzania - ziarnko piasku w muszli, drobny niepokój.

Wciąż wracałam myślami do holu „Les Immortelles”, do hałaśliwego spotkania Brismanda z Marinem i Adrienne, do koralowego paciorka, który znalazłam na stopniach hotelu. Nosiło je wielu wyspiarzy, w tym mój ojciec i większość rybaków.

Ciekawa byłam, czy Flynn jeszcze nosi swój.

siostry Grosjean sprawiał wrażenie jeszcze mniej przytomnego niż zwykle i stał się niemal zupełnie niekomunikatywny. Przywykłam wprowadzić do tego, lecz w jego milczeniu pojawił się nowy akcent. Jaka mglistość. Studio było ukończony. Bałagan po robotnikach dawno posprzątnięty. Grosjean nie miał już czego nadzorować na zewnątrz i ku memu przerażeniu, popadł z powrotem w dawną apatię, jeszcze gorszą niż przedtem; siedział w kuchni, patrząc w okno albo popijając kawę, i czekał na chłopców.

Ci chłopcy. Tylko oni wyrwali go ze stanu sennej obojętności. Ożywał się wyjątkowo przy nich, i to budziło we mnie gniew, a zarazem litość. Widziałam ich miny, ich tajemne grymasy, słyszałam szepty iarty kierowane pod jego adresem. Pepere Gros Bide, tak nazywali go za plecami. Stary Brzuchacz. Przedrzeźniali go ukradkiem, naładowali jego oczy ały chód, wysuwając stopy i wypinając zaokrąglone brzuszki z małej żłobki. Natomiast stojąc przed nim twarzą w twarz, chichotali sztucznie, spuszczała oczy i wyciągała ręce po pieniądze lub słodycze. Zdarzały się i kosztowniejsze prezenty. Nowe dresy - czerwony dla Francka, niebieski dla Loka - włożył one jeden raz, a potem porzucone niedbale w ród ostów na tyłach ogrodu. Rozliczne zabawki - piłki, wiaderka, łopaty, gry elektroniczne, które na pewno zamawiał na kontynencie, ponieważ nikogo nie było tutaj stać na coś takiego. W sierpniu przypadały urodziny Loica i zaczął się mówić o łodzi. Zastanawiałam się z narastającym niepokojem, skąd Gros Jean bierze na to pieniądze.

Chociaż trochę u mierzy ten niepokój, malowałam szybciej i z większym zapałem niż kiedykolwiek przedtem. Nigdy temat nie był mi równie bliski. Malowałam Les Salants i salanian: liczną Mercedes w krótkiej spódnicy, Charlotte Prossage zdejmując pranie na tle granatowej burzowej chmury, młodych mężczyzn rozebranych do pasa na słonych mokradłach, w ród stołów nie nobiałej soli, tworzących krajobraz jak gdyby z innej planety, Alaina Guenole na dziobie „Eleanore II”, przypominającego celtyckiego wodza, Omera o arliwej, komicznej twarzy, Flynnna z workiem nad brzegiem morza, przy agłówce albo wydobywającego cego z wody wi cierce na homary, z włosami zwiżanymi strzpkim aglowego płótna i uniesioną dłoń, osłaniając oczy przed słońcem...

Mam bystre oko, jeśli idzie o szczegóły. Matka często to powtarzała. Malowałam głównie z pamięci - nikt nie miał czasu pozować - i opierałam płótno o ścianę pokoju, by wyschnęło przed oprawieniem. Adrienne, przybywając z wizyt, przyglądała mi się z zainteresowaniem, niekoniecznie życzliwym.

- Malujesz o wiele bardziej kolorowo niż dawniej - zauważyła. - Niektóre z tych obrazków a bij po oczach.

Miała rację. Moje wcześniejsze obrazy wydawały się w porównaniu z nowymi posępne, czy sto utrzymane w szaro-beżowej tonacji, oddające zimną pustkę na wyspie. Teraz jednak na mojej palecie, tak jak i w całej wiosce, zagościło lato, przynosiąc z sobą matowy róż tamaryszków, chromowoczerwone arnowców, kolcolistę i mimozę, rozsypany biały sól i piasek, pomarańczowe rybackie łuski, błękit nieba i czerwone agawy na wyspiarskich łodziach. Cała ta jaskrawość równie miała w sobie coś posępnego, ale kochałam to wszystko. Czułam, że to najlepsze obrazy, jakie w życiu namalowałam.

Tego samego dnia był Flynn, który skłonił głowę przed moimi płótnami z szorstkim podziwem, napędniając mnie dumą.

- Nie le ci idzie - zauważył. - Niedługo otworzysz własną galerię.

Siedział zwrócony do mnie bokiem, opierając się plecami o ścianę blokhauzu, z twarzą ukrytą w cieniu opadającego z runda kapelusza. Nad jego głową przemknęła po rozgrzanych kamieniach mała jaszczurka. Próbowałam uchwycić wyraz jego twarzy - skrzywienie ust, ukosne cienie pod kośćmi policzkowymi. Z rozbiłkitnionej latem wydmy za naszymi plecami dochodziło granie wierszczy. Flynn zorientował się, że go szkicuję, i przybrał sztywny poz.

- Poruszyłeś się - zbesztalam go.

- Jestem przesadny. My, Irlandczycy, wierzymy, że ołówkę kradnie ci duszę.

- Pochlebiasz mi - uśmiechnęłam się. - Nie sudiłam, że jestem aż tak dobra.

- Dostatecznie dobra, by otworzyć własną galerię. W Nantes albo nawet w Paryżu. Marnujesz się tutaj.

- Nie sudię. - Zdała od Le Devin? Nigdy w życiu!

Flynn wzruszył ramionami.

- Nadchodzi zmiana. Wszystko się może zdarzyć. Nie ukryjesz się tu na zawsze.

- Nie wiem, co masz na myśli.

Miałam na sobie czerwony sukienkę od Brismanda; prawie nie czułam na skórze dotyku jedwabiu. Budził dziwne wrażenie po całych miesiącach chodzenia w spodniach i płóciennych koszulach; zupełnie jakbym znalazła się z powrotem w Paryżu. Moje białe stopy oblepiały piasek.

- O, dobrze wiesz. Jesteś utalentowana, inteligentna, piękna... - urwał i przez chwilę wydawał się równie skonsternowany jak ja. - No, jesteś - dokończył obronnym tonem.

Daleko w dole La Goulue o yła; dziesięć łódek upstrzyły wodę. Rozpoznawałam je po
aglach: „Cecilia”, „Papa Chico”, „Eleanore II”, „Marie Joseph” Jojo. Za nimi rozciągała się
błkitna przestrzeń zatoki.

- Nie nosisz swojego szczytowego koralika - zauważyłam nieoczekiwanie.

Dłonie Flynna odruchowo dotknęły szyi.

- Nie - odparł beznamyślnym tonem. - Sam sobie przynosisz szczyt. - Obejrzał się na
zatokę. - Z tej perspektywy wydaje się taka mała...

Nie skomentowałam. Coś w moim wnętrzu zacisnęło się jak pięść, tamując oddech.
Wsunęłam rękę do kieszeni. Znajdował się tam koralik z „Les Immortelles”, nie wiążący ni
pestka czereśni. Flynn uniósł dłoń i zacisnął palce nad La Goulue.

- Te małe osady - przemówił łagodnie. - Trzydzieści domów i plaża. Mylisz, że zdołasz
się im oprzeć. Jesteś ostro na. Jesteś sprytna. Ale to tak, jakby włożyła palec w tak chciwką
rurkę, która za każdym razem zaciska się jeszcze mocniej. Zanim się obejrzyysz, już
wpadła po uszy. Na początku to tylko drobiazgi. Wydają ci się bez znaczenia. A potem,
pewnego dnia, uświadomiasz sobie, że z takich drobiazgów składa się życie.

- Nie rozumiem cię - powiedziałam, przysuwając się do niego. Zapach wydm był teraz
silniejszy; zapach goździków, kopru włoskiego i rozgrzanego słoncem arnowca, który pachniał
jak morele. Twarz Flynna wciąż pozostawała na pół ukryta pod opadającym rondem
groteskowego kapelusza; miałam ochotę zerwać mu go z głowy i zobaczyć jego oczy, dotknąć
obsypanego piegami grzbietu nosa. Moje palce zacisnęły się ponownie na koraliku w kieszeni, a
potem rozluźniły. Flynn uważył, że jestem piękna. Była to mylne zaskakująca niczym salwa
petard.

Flynn pokręcił głową.

- Za długo tu siedzisz - powiedział łagodnym tonem. Mado, chyba nie oczekiwała, że
zostaniesz na zawsze?

Moje tego wcale nie oczekiwałam; mimo jego nerwowej ruchliwości nie wyobraziłam
sobie, że mógłby wyjechać. Poza tym była pełnia sezonu; w Les Salants panował ruch jak nigdy
przedtem.

- Nazywasz to ruchem? - rzucił Flynn. - Widywałem już takie nadmorskie osady, nawet w
nich mieszkałem. Zimą zamierają, latem przyjeżdża do nich garstka ludzi. - Westchnął. - Małe
mieściny. Mali ludzie. To przynosi im życie.

W jego ocienionej twarzy widziałam teraz tylko usta. Zafascynował mnie ich kształt i faktura, pełno górnej wargi, drobne zmarszczki od uśmiechu w kącikach. Zdumienie wci odbijało się w moich siatkówkach niczym promień światła; Flynn uważał, że jestem piękna. W porównaniu z tym słowem, które teraz wypowiadał, wydawały się nieistotne, błyskotliwe nic, które miało za zadanie odwieść mnie od głębszej prawdy. Łagodnie, lecz stanowczo wyciągnęłam rękę i ujęłam w dłoń jego twarz.

Wyczułam w nim przelotne wahanie. Ale jego skóra była ciepła niczym piasek pod moimi stopami, oczy miały barwę miki i w jakiś sposób sama wydałam się sobie odmieniona, jak gdyby dar Brismanda krył w sobie część jego osobistego uroku, czyniąc mnie - na jedną chwilę - kim innym.

Moje usta stłumiły protest Flyna. Smakował brzoskwiniami, wełną, metalem i winem. Wszystkie moje zmysły nagle się wyostrzyły; słyszałam krzyki mew, plusk wody, odległe głosy z plaży i ciche pyknięcia rosnącej trawy; widziałam światło. To wszystko mnie obezwładniło. Wirowałam, zbyt szybko, by pozostał we mnie choć jeden nieruchomy punkt; czułam, że każda chwila mogłaby wybuchnąć niczym raca, wypisując własne imię wśród gwiazd na olepiającym niebie.

Cała sytuacja wyglądała niezręcznie. Może taka była, lecz mnie wydawała się zupełnie naturalna. Czerwona sukienka zsunęła się na piasek niemal sama z siebie. Dołączyła do niej koszula Flyna; skórka miała bladą, niewiele ciemniejszą niż piasek, i odwzajemniał mi pocałunki z zachłannością człowieka, który łyka wodę po wielu dniach w drówek przez pustynię - arliwie, wstrzymując oddech niemal do utraty świadomości. Żadne z nas się nie odezwało, dopóki nie ugasili my pragnienia; gdy oszołomienie minęło, leżeliśmy pokryci potem i piaskiem, nad naszymi głowami kołysały się suche trawy na wydmie, a za nimi wyłaniała się niczym miraż biała ściana blokhauzu i rozmiętane morze.

Spleceni w uścisku, długo patrzyliśmy w przestrzeń, zachowując pełną konsternację i milczenie. To wszystko zmieniało, wiedziałam; a jednak pragnęłam zatrzymać czas, leżąc tak z głową na brzuchu Flyna, jedną ręką obejmując od niechcenia jego ramiona. Cisnęły mi się na usta setki pytań, ale zadanie ich byłoby równoznaczne z uznaniem zmiany, pogodzeniem się z faktem, że Flynn i ja nie jesteśmy już zwykłymi przyjaciółmi, lecz jesteśmy czymś nieporównanie bardziej niebezpiecznym. Wyczuwałam, że czeka, abym rozładowała napięcie, może udzieliła mi jakiejś wskazówki; nad nami krężyło rozkrzyczane stado mew.

adne z nas nie przerwało milczenia.

46

W połowie miesiąca przyływy przyniosły z sobą ciche burze, ponieważ jednak ograniczyły się one do malowniczych błyskawic, rozświetlających niebo, i kilku nocnych ulew, turystyka nie ucierpiała. Uczcili my sukces pokazem fajerwerków zorganizowanym przez Flynna i opłaconym przez Aristide'a przy współpracy mera Pinoza. Nie było to wielkie widowisko, jakiego nie oglądaliśmy na kontynencie, ale po raz pierwszy coś takiego odbyło się w Les Salants i wszyscy wyszli z domów, aby popatrzeć. Przez Bouch'ou przetoczyły się trzy olbrzymie ogniste kłęby, puszczane z łodzi, które miały leżeć na wodzie. Na wydmach odpalono ognie bengalskie. Ręce rozkwitały na niebie niczym bujne płomienne kwiaty. Cały pokaz trwał zaledwie kilka minut, lecz dzieci były oczarowane. Lolo nigdy jeszcze nie oglądał fajerwerków, a choć na Letycji i dzieciach turystów nie wywarły takiego wrażenia, wszyscy przyznali zgodnie, że było to najpiękniejsze widowisko, jakie kiedykolwiek zorganizowano na wyspie. Capucine i Charlotte specjalnie upiekły łakocie na tę okazję - zgrabne devinnoiseries i rogaliki, racuszki polewane miodem oraz naleśniki ociekające solonym masłem.

Flynn, który niemal w pojedynkę przygotował i przeprowadził pokaz, wczoraj nie wrócił do domu. Nie zatrzymywałam go; od naszego spotkania przy blokhauzie prawie z nim nie rozmawiałam. Mimo to codziennie, przechodząc obok blokhauzu, wypatrywałam oznaki dymu z komina, prania suszonego na dachu - i obrzydliwie ciskałam moje łapy, gdy stwierdzałam, że jeszcze nie wyjechał. Ilekroć jednak spotykałam go u Angela albo łowi ciego ryby na etier, albo siedział na dachu i obserwował morze, z trudem zdobywałam się na to, by odwzajemnić jego pozdrowienie. Jeżeli czuł się urażony lub zaskoczony, dobrze to ukrywał. Oczywiście - przynajmniej dla niego - toczyło się normalnym trybem.

Mój ojciec nie przyszedł na uroczystość. Zjawiła się Adrienne z chłopcami, którzy sprawiali wrażenie znudzonych, i to, co zachwycało inne dzieci, zupełnie ich nie interesowało. Zauważyłam później obu przy jednym z ognisk. Towarzyszył im Damien, niezadowolony i zły; dowiedziałam się od Lolo, że doszło między nimi do kłótni.

- Chodzi o Mercedes - wyznał ze smutkiem Lolo. - Jest gotów na wszystko, byle jej zaimponował. Tylko na tym mu zależy.

Niewtpliwie Damien się zmienił. Posępna część jego natury całkowicie wzięła górę nad

unikał kontaktów z dawnym przyjacielem. Równie Alain miał z nim kłopoty. Przyznał się do tego z mieszaniną rozdrażnienia i niechętniej dumy.

- Zawsze tacy byli my, rozumiesz - powiedział mi. - My, Guenole. Twardogłowe uparciuchy. - Widziałam jednak, że się martwi. - Nie radz sobie z tym chłopakiem - przyznał. - Nie chce ze mną rozmawiać. Teraz nawet Ghislain nie potrafi z niego wydobyć słowa ani u miechu, choć zawsze byli sobie tacy bliscy. Ale jaw jego wieku zachowywałem się dokładnie tak samo. Wyrośnie z tego.

Alain doszedł do wniosku, że nowy motorower odwróci uwagę Damiena od problemów.

- Może go odciągnie od tych houssinian - dodał. - Zatrzyma w naszej wiosce. Skieruje jego myśli na nowy tor.

Miałam taką nadzieję. Zawsze lubiłam Damiena pomimo jego rezerwy. Przypominał mi trochę mnie sam w tym wieku - podejrzliwy, posępny, chowający urazy. Gdy się ma piętnaście lat, pierwsza miłość jest jak letnia błyskawica: rozszarpała do białoci, gwałtowna i szybko przemijająca.

Mercedes również przysparzała rodzinie troski. Od ogłoszenia zaręczyn stała się jeszcze bardziej chimeryczna niż dotychczas: godzinami przesiadywała w swoim pokoju, odmawiając jedzenia i na przemian przybliżała się do narzeczonego i karcąc go, tak jak Xavier sam już nie wiedział, jak ją zadowolić.

Aristide składał to na karb zdenerwowania. Ja jednak dopatrywałam się tu czegoś więcej: dziewczyna sprawiała wrażenie nie tyle zdenerwowanej, ile chorej, paliła za dużo i z byłego powodu traciła panowanie nad sobą albo wybuchła płaczem. Toinette ujawniła, że Mercedes pokłóciła się z Charlotte o suknię lubną i odtąd nie odzywały się do siebie.

- Poszło o suknię Desiree Bastonnet - wyjaśniła Toinette. - Starożytna, koronkowa, ze szczypankami w talii, bardzo ładna. Xavier chciał, żeby Mercedes się w niej ubrała.

Desiree przechowywała tę suknię od własnego łubu, pieczołowicie owiniętą w płótno pachnące lawendą. Matka Xaviera również miała ją na sobie, gdy wychodziła za mąż za Oliviera. Mercedes jednak kategorycznie odmówiła, a nie miały nalegania Charlotte wywołały u niej atak dzikiej furii.

Złośliwe pogłoski, że Mercedes odmówiła wzięcia sukni, ponieważ się po prostu w niej nie mieściła, bynajmniej nie przyczyniły się do przywrócenia spokoju w domu Prossage'ów.

Tymczasem moje kontakty z Flynnem nabrały cech ustalonego porządku. Nie

rozmawiali my o zmianie, jaka zaszła mi dzy nami, zupełnie jakby przyznanie si do niej mogło nas skompromitowa . W rezultacie nasze zbli enie stało si czym pozornie zdawkowym, jak wakacyjny romans. Oplatała nas sie niewidzialnych nitek, których nie odwa yli my si przerwa . Rozmawiali my, kochali my si , pływali my razem w La Goulue, chodzili my na ryby, piekli my nasz zdobycz na ruszcie zainstalowanym przez Flynna w kotlinie za wydm . Nie naruszali my wyznaczonych granic. Zastanawiałam si czasami, czy to moje, czy jego tchórzostwo narzuciło nam te ograniczenia. Ale Flynn nie wspominał ju o wyje dzie.

Nikt nie słyszał adnych nowych pogłosek na temat Claude'a Brismanda. Widziano go w towarzystwie Pinoza i Jojo-le-Goelanda, raz w La Goulue i raz w wiosce. Capucine powiedziała, e kr yli w pobl u jej przyczepy, a Alain zauwa ył ich przy blokhauzie. Wygl dało jednak na to, e Brismand jest zbyt zaj ty zabezpieczaniem „Les Immortelles” przed wilgoci , by cokolwiek planowa . Nie padła adna wzmianka o nowym promie i wi kszo ludzi zacz ła skłania si ku przypuszczeniu, e opowie ci o „Brisman - dzie II” były czym - zapewne Ghislaina - niem dym artem.

- Brismand wie, e przegrał - skonstatował z uciech Aristide. - Najwy szy czas, eby ci houssinianie poznali dla odmiany smak pora ki. Szcz cie si od nich odwróciło i wiedz o tym.

Toinette kiwn ła głow .

- Nikt nas ju nie powstrzyma. wi ta jest po naszej stronie.

Nasz optymizm okazał si jednak przedwczesny. Kilka dni pó niej, wróciwszy z wioski z makrelami dla Grosjeana na obiad, zastałam Brismanda czekaj cego na mnie pod parasolem na podwórzu. Miał na głowie swoj ryback czapk , lecz postanowił doda sobie powagi płócienn marynark i krawatem. Bose stopy wsun ł, jak zwykle, w spłowiełe espadryle. Mi dzy jego palcami arzył si gitane.

Naprzeciw niego siedział mój ojciec z butelk muscadeta w zasi gu r ki. Na stole stały trzy kieliszki.

- Jeste , Mado. - Brismand nie bez wysiłku d wign ł si z krzesła. - Miałem nadziej , e niedługo wrócisz.

- Co tutaj robisz? - Zaskoczenie nadało mojemu głosowi szorstki ton i twarz Brismanda przybrała zbolaty wyraz.

- Chciałem si z tob spotka , naturalnie. - Pod ałosn min kryło si co na kształt rozbawienia. - Lubi orientowa si w sytuacji na bie co.

- Tak słyszałam.

Dolał sobie wina, a potem napełnił mój kieliszek.

- Ostatnio Les Salants przeżywa niespotykane szczęście, nieprawda? Musicie być bardzo zadowoleni z siebie.

Staralam się, by mój głos brzmiał beztępotnie.

- Jako sobie radzimy.

Brismand uśmiechnął się szeroko, stroszczył żółte włosy.

- Przydałby mi się w hotelu ktoś taki, jak ty. Ktoś młody i energiczny. Powinna się nad tym zastanowić.

- Ktoś taki, jak ja? A co miałabym tam do roboty?

- Zdziwiłabyś się. - W jego tonie pojawiła się nuta zachęty. - Artystka, projektantka byłaby mi teraz bardzo potrzebna. Moglibyśmy się dogadać. To by ci się opłaciło.

- Wystarczy mi to, co mam.

- Byłoby to dobre. Ale okoliczności ci się zmieniają. Nie zaszkodziłaby ci odrobina niezależności. Warto zabezpieczyć się na przyszłość. - Wyszczrzył zębami w uśmiechu i podsunął mi kieliszek. - Proszę. Napij się wina.

- Nie, dziękuję. - Wskazałam palcem pakunek z rybami. - Muszę je wsadzić do piekarnika. Robi się późno.

- Makrele, ha? - zagadnął Brismand, wstając. - Znam wspaniały sposób ich przyrządzenia, z rozmarynem i solą. Pomogę ci i zamienimy jeszcze parę słów.

Wszedł za mną do kuchni. Jak na tak potężnego mężczyznę, był bardzo zręczny; rozciął i patroszył każdą rybę jednym szybkim ruchem.

- Jak tam interesy? - zapytałam, włączając piekarnik.

- Nieźle - odparł z uśmiechem. - Prawdę mówiąc, wcale nie obaj z twoim ojcem wiwatowali.

- Co wiwatowali?

Brismand uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Transakcji.

Oczywiście wykorzystali do tego chłopców. Wiedziałam, że ojciec zrobi wszystko, byle zatrzymał ich blisko siebie. Marin i Adrienne grali na jego sentymentach, opowiadali o

inwestycjach, namawiali do zaciągania pożyczek, których nie mógł spłaci. Zastanawiałam się, ile ziemi oddał w zastaw.

Brismand czekał cierpliwie, a ja się odezwałam. Wyczuwałam jego przemienne, chłodne rozbawienie; ciemnoszare oczy miały czujny, koci wyraz. Po chwili, o nic nie pytając, zaczął przyrządzać zalew do ryby z oliwy, octu winnego, soli i płatków rozmarynu zerwanych sprzed frontowych drzwi.

- Madeleine. Powinniśmy się zaprzyjaźnić, wiesz? - Zrobił łoskot min, obwisłe policzki, opadające w sy, ale w jego głosie dźwięczał miech. - Tak naprawdę niewiele się od siebie różnimy. Obydwoje nie poddajemy się łatwo. Obydwoje jesteście mi ludźmi interesu. Nie powinnaś się tak do mnie uprzedzać. Z pewnością ci odniesiesz duży sukces. A ja szczerze pragnę ci pomóc. Zawsze pragnęłam.

Nie patrzcie na niego, posoliłam ryby, owinęłam je w foliowe papillotes i wsunęłam do rozgrzanego piekarnika.

- Zapomniała o sosie.

- Ja go przyrządzam inaczej, monsieur Brismand.

- Szkoda - westchnęłam. - Smakowałby ci.

- Za ile? - spytałam wreszcie. - Za ile oddał ci ziemi?

Brismand cmoknął z niezadowoleniem.

- Oddał? - powtórzył z wyrzutem. - Niczego mi nie oddawał. Nie musiał.

Umowę prawną sporządzono na kontynencie. Mój ojciec odnosił się z respektem do zawitych tajników pieczęci i podpisów. Terminologia prawna go oszołamiała. Choć Brismand mówił ogólnikowo, zrozumiałam, że zgodził się przyjąć ziemię jako zabezpieczenie pożyczki. Jak zwykle. Był to po prostu jeden z wariantów jego odwiecznej strategii: krótkoterminowe pożyczki do spłacenia w naturze w późniejszym terminie.

Tak czy inaczej, jakby powiedziała Adrienne, ziemia nie mogła się ojcemu na nic przydać. Parę kilometrów wydm między La Bouche i La Goulue, rozpadający się warsztat i podwórce... bezużyteczne, przynajmniej do tej pory.

Tak jak podejrzewałam od początku, nie zapłacił za studio z oszczędności. Remont domu, prezenty dla chłopców, nowe rowery, gry komputerowe, deski do surfingów...

- Ty zapłaciłaś za to wszystko. Pożyczyłaś mu pieniądze.

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście cie. A kto by inny? - Polał sałat winegretem z salicorne, wyspiarskim zielem o mi sistych listkach, cz sto u ywanym do zapraw, i wymieszał cało w drewnianej misie, podczas gdy ja kroilał pomidory. - Powinni my doda troch szalotki - zauwa ył łagodnym tonem. - Nic tak nie podkre la smaku dojrzałych pomidorów. Gdzie j trzymasz?

Zignorowałam go.

- Ach, tutaj, w koszyku z warzywami. Ładna, dorodna. Widz , e farma Omera nie le prosperuje. To nader pomy lny rok dla Les Salants, nieprawda ? Ryby, warzywa, tury ci.

- Nie jest najgorzej.

- Co za skromno . Ha. To graniczy z cudem. - Posiekał szalotk szybkimi, wy wiczonymi ruchami. Ostry zapach przypomniał mi morze. - A wszystko dzi ki tej ładnej pla y, któr ukradła . Ty i twój sprytny przyjaciel Rouget.

Mi kkim ruchem odło yłam nó na stół. Dłonie dr ały mi lekko.

- Uwa aj. Chyba nie chcesz si skaleczy .

- Nie rozumiem, co masz na my li.

- To, e powinna bardziej uwa a z tym no em, Mado. Za miał si cicho. - Czy by próbowała mi wmówi , e nic nie wiesz o pla y?

- Pla e zmieniaj miejsce. Piasek si przemieszcza.

- Owszem, czasami nawet z własnej inicjatywy. Ale nie w tym wypadku, ha? - Rozło ył r ce zamaszystym gestem. - Nie, nie my l, e mam do ciebie pretensje. Podziwiam to, czego dokonała . Wydobyła Les Salants z morskiej otchłani. Odniosła sukces. A ja tylko broni własnych interesów, Mado, dbam o swój udział. Nazwij to rekompensat , je li chcesz. Tyle jeste cie mi winni.

- To przez ciebie zacz ły si podtopienia - rzuciłam gniewnie. - Nikt nie jest ci nic winien.

- Ale jest. - Brismand pokiwał głow . - Jak my lisz, sk d pochodziły pieni dze, ha? Pieni dze na bar Angela, młyn Omera, dom Xaviera? Kto, twoim zdaniem, dostarczył funduszy? Kto poło ył fundamenty pod to wszystko? - Skin ł r k w kierunku okna, jak gdyby zamykaj c w zatłuszczonej dłoni La Goulue, wiosk , niebo i migotliwe morze.

- Zapewne ty - odparłam. - Ale to nale y do przeszło ci. Teraz radzimy sobie sami. Les Salants ju nie potrzebuje twoich pieni dzy.

- . - Brismand z przesadnym skupieniem polał pomidory zapraw . Pachniała mocno i

kusz co. Wyobra ałam sobie, jak pasowałaby do gor cej ryby, jak parowałby ocet winny z rozmarynem, jak skwierczałaby oliwa. - Zdziwiłaby si , ile potrafi zmieni perspektywa zarobku. Czemu zadowala si par turystów w go cinnym pokoju, skoro mo na niewielkim kosztem przerobi gara na letnie mieszkania albo zbudowa kilka domków na nieu tkach? Poznała przedsmak sukcesu, Mado. Naprawd s dzisz, e ludzie poprzestan na małym?

Przez chwil zastanawiałam si nad tym w milczeniu.

- Mo e masz racj - odparłam wreszcie. - Nadal jednak nie rozumiem, co b dziesz z tego miał. Niewiele zbudujesz na kawałku ziemi mojego ojca.

- Madeleine. - Ramiona Brismanda opadły w wyrazistym ge cie, z całej jego postaci bił jeden wielki wyrzut. Dlaczego we wszystkim dopatrujesz si ukrytych motywów? Dlaczego po prostu nie przyjmiesz do wiadomo ci, e chc pomóc? - Błagalnie rozło ył r ce. - Mi dzy naszymi społeczno ciami zal gła si nieufno . Narosły antagonizmy. Nawet ty dała si w to wci gn . Co ja takiego zrobiłem, eby narazi si na twoje podejrzenia? Oferuj twojemu ojcu pieni dze w zamian za ziemi , której nie potrzebuje: podejrzone. Proponuj ci prac w „Les Immortelles”: jeszcze bardziej podejrzone. Próbuj przerzuci pomost mi dzy naszymi społeczno ciami dla dobra moich krewnych: to ju najbardziej podejrzone. Ha! - Dramatycznie uniósł ramiona. - Powiedz, o co mnie teraz podejrzewasz?

Nie odpowiedziałam. Czar, jaki roztaczał, był wyczuwalny i przemo ny. Mimo to wiedziałam, e nie mog mu ufa . Obmy lił jaki plan - przypomniałam sobie „Brismanda II”, na poły uko czonego pół roku temu, a teraz zapewne gotowego do spuszczenia na wod , i raz jeszcze zadałam sobie pytanie, co to za plan. Brismand westchn ł gł boko i rozlu nił kołnierzyk.

- Jestem starym człowiekiem, Mado. I samotnym. Miałem on . I synka. Obydwoje po wi ciłem na ołtarzu ambicji. Przyznaj , e kiedy nade wszystko cenilem pieni dze. Ale pieni dze si starzej . Trac blask. Teraz zapragn łem rzeczy, których nie mo na kupi . Rodziny. Przyjaciół. Spokoju.

- Spokoju!

- Mam sze dziesi t cztery lata, Madeleine. le sypiam. Troch za du o pij . Mechanizm zaczyna si zu ywa . Zadaj sobie pytanie, czy było warto, czy dorobienie si maj tku mnie uszcz liwiło. Zadaj je sobie coraz cz cieej. Zerkn ł na piekarnik. Minutnik wskazywał zero. - Madeleine, twoje ryby s chyba gotowe.

U ywaj c r kawic, wyci gn ł makrele z piekarnika. Odwin ł foli i polał ryby resztk

zaprawy. Zapach był taki, jak sobie wyobraziłam - gorący, aromatyczny i smakowity.

- Ha, pójdź sobie, eby mogła spokojnie zjeść obiad. Westchnęła teatralnie. - Wiesz, ja zazwyczaj jadłam w hotelu. Mogła wybrać stolik, jaki zechce, i dowolne danie z karty. Ale mój apetyt - ze smutkiem poklepała się po biodrze - mój apetyt nie jest już taki jak dawniej. Był może to na widok tych wszystkich pustych stolików...

Naprawdę nie wiem, dlaczego go zaprosiłam. Może dlatego, że jeden mieszkaniec Le Devin nigdy nie odmawia gościa. A może jego słowa potoczyły we mnie jak kamień.

- Czy nie zjadłby z nami? - zaproponowałam impulsywnie. - Wystarczy dla wszystkich.

On jednak ryknął nieoczekiwanym głosem, a brzuch zatrząsnął mu się z niepojętym rozbrzdąkaniem. Poczulałam, jak czerwienieją mi policzki, i zrozumiałam, że zagrano na moich emocjach, skłaniając do wyrażenia współczucia, które wcale nie było potrzebne, i że mój odruch tylko rozmięszał Brismanda.

- Dziękuję ci, Mado - odparł wreszcie, ocierając zażawione oczy skrajem chusteczki. - Co za miłe zaproszenie. Ale naprawdę musisz już iść. Mam dzisiaj kilka ważnych spraw do załatwienia.

47

Gdy nazajutrz rano przechodziłam obok blokhauzu, nigdzie nie dostrzegłam Flynna. Okiennice były zamknięte, generator wyłączony, żadnych zwykłych oznak jego obecności. Zajrzawszy przez szparę, nie zobaczyłam naczyń w zlewku, narzuty na łóżku ani ubrania. Wszłam na moment do korytarza - prawie nikt w Les Salants nie zamyka drzwi na klucz i poczułam jedynie woń niewietrzonego, pustego domu. Co gorsza, łódka zacumowana u wylotu etier zniknęła.

- Pewnie popłynęła na ryby - skostatowała Capucine, gdy zatrzymałam się przy jej przyczepie.

Alain był tego samego zdania i dodał, że chyba widział łódź Flynna wczesnym rankiem, wypływającą w morze. Angelo również nie wydawał się zmartwiony. Aristide jednak okazał niepokój.

- Wypadki się zdarzają - orzekł posępnie. - Przypomnijcie sobie Oliviera.

- Ha - rzucił Alain - Olivier zawsze był pechowcem.

Angelo przytaknął.

- Rouget prędzej narobi kłopotów komuś niż sobie. Spadnie jak kot na cztery łapy,

gdziekolwiek się podziewa.

Ale dzieł miął, a Flynn się nie pokazał. Zaczęłam się trochę niepokoić. Zawiadomiłby mnie przecież, gdyby miał zamiar wyjechać na dłużej. Kiedy nadeszło późne popołudnie, a on jeszcze nie wrócił, wyruszyłam do La Houssiniere, skąd lada chwila odpływał „Brismand I”. Kolejka turystów czekała w cieniu markizy „Chat Noir”; walizki i plecaki stały na pomoście. Odruchowo zaczęłam szukać spojrzeniem mężczyzny o rudych włosach.

Oczywiście wśród odjeżdżających turystów nie było Flynna. Już miałam zawrócić w stronę promenady, gdy nagle dostrzegłam w kolejce oczekujących znajomą postać. Długie włosy skrywały jej twarz, lecz bez trudu rozpoznałam obcisłe dżinsy i ciemnopomarańczową bluzkę bez rękawów. Duży plecak leżał u jej stóp jak pies.

- Mercedes?

Odwróciła się na dźwięk mojego głosu. Twarz miała bladą, bez makijażu. Widać było, że płakała.

- Zostaw mnie w spokoju - rzuciła, zwracając się ponownie ku „Brismandowi I”.

Ogarnęłam mnie niepokój.

- Mercedes? Dobrze się czujesz?

Nie patrz na mnie, pokręciła głową.

- Nic ci do tego, La Poule. Nie wtrącaj się. - Stałam obok niej nieruchomo i w milczeniu, czekając. Mercedes odrzuciła włosy. - Zawsze mnie nienawidziła. Powinna się cieszyć, że się mnie pozbydziesz. A teraz daj mi spokój, dobrze? - Jej twarz zamajaczyła smutną plamą za zasłoną włosów.

Położyłam dłoń na jej szczupłym ramieniu.

- Nigdy cię nie nienawidziłam. Chodź, postawię ci kawę i pogadamy. A potem, jeżeli nadal będziesz chciała wyjechać ...

Zza zasłony włosów wydobył się gwałtowny szloch.

- Nie chcę wyjechać!

Podniosłam plecak.

- No to chodź ze mną.

- Nie do „Chat Noir” - powiedziała szybko, gdy skierowałam się ku drzwiom kawiarni. - Dokądkolwiek, byle nie tam.

Znalazłam niewielki bar szybkiej obsługi na tyłach Cios du Phare i zamówiłam dla nas

kaw i p czki. Mercedes wci była napi ta i bliska łez, lecz ju nie okazywała wrogo ci.

- Dlaczego chciała uciec? - zapytałam. - Twoi rodzice na pewno si martwi .

- Nie wróc do nich - o wiadczyła stanowczo.

- Czemu? Chodzi ci o t głupi sukni lubn ?

Na jej twarzy pojawiło si najpierw zaskoczenie, a potem wymuszony u miech.

- Tak, od tego si zacz ło.

- Ale przecie nie ucieka si z domu tylko dlatego, e sukienka nie pasuje - zauwa yłam,

pow ci gaj c rozbawienie.

Mercedes pokr ciła głow .

- To nie dlatego - powiedziała.

- Wi c dlaczego?

- Bo jestem w ci y.

Za pomoc łagodnej perswazji i drugiego dzbanka kawy wydobyłam z niej cał histori .

Ta dziewczyna w przedziwny sposób ł czyła w sobie dojrzał arogancj i dzieci c naiwno ,
wydaj c si na przemian znacznie starsz i znacznie młodsz , ni by na to wskazywał jej wiek.

Podejrzewałam, e przede wszystkim dlatego zwrócił na ni uwag Joel Lacroix - przez ten jej
rozflirtowany, pozornie pewny siebie sposób bycia. Ale pomimo krótkich spódniczek i seksualnej
brawury pozostała w gł bi serca dziewczyn z wyspy, wzruszaj co i zatrwa aj co nie wiadom .

Najwyra niej zaufała wi tej w sprawach antykoncepcji.

- A oprócz tego - dodała - my łałam, e za pierwszym razem to si nie zdarza.

Jak si dowiedziałam, był tylko jeden raz. Joel dał jej do zrozumienia, e wina le y po jej
stronie. Przedtem wystarczały im pocałunki, potajemne przeja d ki motocyklem, rozkoszne
poczucie buntu.

- Na pocz tku był taki miły - powiedziała t sknie. Wszyscy inni zakładali z góry, e
wyjd za Xaviera i zostan po prostu on rybaka, utyj i b d chodziła w chustce na głowie, jak
moja matka. - Osuszyła oczy rogiem serwetki. Teraz wszystko sko czone. Powiedziałam mu, e
mo emy razem uciec, na przykład do Pary a. Wynaj mieszkanie. Znalazłabym jak prac . A
on... - Apatycznym ruchem odgarn ła włosy z czoła. - On mnie po prostu wy miał.

Za rad pere Albana wyznała wszystko rodzicom. Co zaskakuj ce, to cicha, pedantyczna
Charlotte wpadła w furi ; Omer La Patate usiadł tylko przy stole z min człowieka, który doznał
wstrz su. Charlotte oznajmiła, e nale y zawiadomi Xaviera; zawarto przecie umow , której w

zaistniałej sytuacji nie można było dotrzymać. Opowiadając mi o tym, Mercedes szlochała cicho i rozpaczliwie.

- Nie chcę wyjechać na kontynent. Ale teraz będzie musiała. Po tym, co się stało, nikt mnie nie zechce.

- Omer mógłby porozmawiać z ojcem Joela - podsunęłam.

Pokręciła głową.

- Nie chcę Joela. Nigdy go nie chciałam. - Otarła oczy wierzchem dłoni. - I nie wrócę do domu - dodała zapłakany głosem. - Kazaliby mi spotkać się z Xavierem. Wolę umrzeć.

Z oddali dobiegł dźwięk syreny. „Brismand I” opuszczał przystań.

- No cóż, musisz tu zostać przynajmniej do jutra oznajmiłam rzeczowo. - Spróbujemy znaleźć dla ciebie jakiś dach nad głową.

48

Zastałam Toinette Prossage w ogrodzie, wykopując cebulki dzikiego czosnku z piaszczystej gleby. Wyprostowała się i skinęła mi przyjaźnie głową; jej twarzy nie ocieniała tego ranka quichenotte, lecz słomkowy kapelusz z szerokim rondem, zawieszony z boku czerwonym wstążką. Na zarośniętym dachu chaty pasła się koza.

- A więc czego sobie życzysz tym razem?

- Czy musisz mieć jakiś ukryty motyw? - Wydobyłam wielki torb z ciastkami zakupionymi w La Houssiniere. Przyniosłam ci kilka pain au chocolat.

Toinette przyjąwszy torbę i łakomie zajrzała do rodka.

- Dobra z ciebie dziewczyna - oznajmiła. - Oczywiście chcesz mnie przekupić. Mów, słucham cię z uwagą. Przynajmniej dopóki tego nie zjem.

Uśmiechnęłam się, gdy sięgnęła po pierwsze ciastko, i opowiedziałam jej o Mercedes.

- Pomyślałam sobie, że pani się chwilowo zaopiekuje - dokończyłam. - Dopóki kurz nie opadnie.

Toinette przyjrzała się słodkiej bułeczce z cynamonem. Czarne oczy za wicieły bystro spod słomkowego ronda.

- Co za młoda dziewczyna z tej mojej wnuczki - westchnęła. - Już kiedy się urodziła, wiedziałam, że narobi nam kłopotów. Za stara jestem na to. Ale ciastka są naprawdę niezłe - zauważyła, wgrzyzając się ze smakiem w bułeczkę.

- Mo e pani zje wszystkie - zapewniłam.

- Ha.

- Omer nie powiedziałby pani o Mercedes - zdobyłam si na odwag .

- Z powodu pieni dzy, ha?

- Prawdopodobnie.

Toinette yje oszcz dnie, lecz kr plotki o jej ukrytym bogactwie. Staruszka nie potwierdza ani nie zaprzecza, ale jej milczenie uwa a si ogólnie za przyznanie. Omer, cho bardzo kocha matk , jest przera ony jej długowieczno ci . Toinette zdaje sobie z tego spraw i zamierza y wiecznie.

Zachichotała z satysfakcj .

- My li, e w razie skandalu go wydziedzicz , ha? Biedny Omer. Powiem ci, e ta dziewczyna ma wi cej ze mnie ni z kogokolwiek innego. Zatrula m ycie moim rodzicom.

- No to niewiele si pani zmieniła.

- Ha! - ponownie zajrzała do torebki. - Chlebek orzechowy. Zawsze go lubiłam. Dobrze, e jeszcze mam z by, co? Ale lepiej smakuje z miodem. Albo z kawałkiem koziego sera.

- Przynios pani jedno i drugie.

Toinette wpatrywała si we mnie przez chwil z cynicznym rozbawieniem.

- Przy okazji przyprowad t dziewczyn . Obawiam si , e zam czy mnie na mier . A kobieta w moim wieku naprawd potrzebuje odpoczynku. Młodzi tego nie rozumiej . My l tylko o własnych sprawach.

Nie zwiodły mnie te pozory słabo ci. Przewidywałam, e najdalej po dziesi ciu minutach Mercedes zostanie zap dziona do sprz tania i gotowania. I zapewne dobrze jej to zrobi.

Toinette czytała w moich my lach.

- Odwróć jej uwag od kłopotów - oznajmiła władczy tonem. - A je li ten chłopak zacznie tu w szy ... ha! Machn ła kromk orzechowego chleba, wygl daj c przy tym jak najstarsza na wiecie dobra wró ka. - Naucz go rozumu. Poka mu, z jakiej gliny s ulepieni salanie.

Zostawiłam Mercedes u babki. Było ju po pierwszej i sło ce stało w zenicie. Les Salants pra yło si , opustoszałe, w szklстым arze; okiennice były zamkni te, a pod pobielonymi cianami sły si nie miało strz pki cienia. Marzyłam o tym, by poło y si cicho pod osłon parasola, najch tniej z drinkiem, ale chłopcy mogli si zjawi lada chwila i zosta a do otwarcia

pasa u z automatami do gier, a po wizycie Brismanda nie chciałam zbliżyć się do ojca. Dlatego wolałam pójść na wydmy. W La Goulue było chłodniej i o tej porze nie spotykało się turystów. Przyływ wzbierał, morze oświetlone blaskiem. Wiatr wywiewał złe myśli.

Po drodze nie mogłam nie spojrzeć na blokhauz. Nadal sprawiał wrażenie opuszczonego. Ale La Goulue nie była pusta. Nad wodą stała samotna postać z papierosem w zębach.

Zignorował moje powitanie, a gdy stanęłam obok, odwrócił twarz, choć nie do przodu; zauważyłam jego zaczerwienione oczy. Wieści na temat Mercedes rozniosły się w mgnieniu oka.

- Wszystko im miłości - powiedział cicho Damien. - Oby morze pochłonęło całą tę wyspę. Oby ich zmyło, wszystkich, do ostatniego. Do końca. - Podniósł kamyczek i cisnął nim z całej siły w nadchodzące fale.

- Może w tej chwili czujesz, że... - zaczęłam, ale mi przerwał.

- Nie powinni byli budować tej rafy. Trzeba było zostawić decyzję morzu. Wydawało im się, że są tacy sprytni. że zbijają forsę i mają się z houssinian. Myśleli tylko o pieniądzach i nie widzieli, co się dzieje tu obok. - Kopnął piasek czubkiem buta. - Lacroix nawet by na niego nie spojrział, gdyby nie to, mam rację? Wyjechałby przed kilkoma latami. Nic go tu nie trzymało. Ale jemu się wydawało, że na nas zarobi. - Położyłam dłoń na jego ramieniu, lecz jęstrzą. - Udawał, że jest moim przyjacielem. Obydwoje udawali. Kazali przekazywać wiadomości. Szpiegowali w wiosce. Pomyślałam, że jeśli coś dla niej zrobi, to może ona...

- Damien, to nie twoja wina. Skąd mogłeś wiedzieć?

- Ale przecie... - Urwał raptownie i podniósł następnym razem kamyczek. - Och, co ty w ogóle wiesz? Nie jesteś nawet prawdziwą salanianką. Cokolwiek się stanie, wyjdiesz na swoje. Twoja siostra nazywa się Brismand, no nie?

- Nie rozumiem, co...

- Zostaw mnie w spokoju, dobra? To nie twoja sprawa.

- Moja. - Ujęłam go za ramię. - Damien, wydawało mi się, że jesteście moimi przyjaciółmi.

- To samo myślałam o Joelu - odburknął pospiesznie. Rouget mnie ostrzegł. Powinienem być go posłuchać, co? Podniósł następnym razem kamyczek i cisnął w wzbierające fale. Wmawiałem sobie, że to wina ojca. Przez te pułapki na homary i tak dalej. Spółka z Bastonnetami, po tym wszystkim, co nam zrobili. Udawał, że panuje między nimi najlepsza zgoda tylko dlatego, że połów okazał się pomyślny.

- No i jeszcze Mercedes - wtrąciłam łagodnie.

Damien kiwn łą głow .

- Jak tylko Prossage'owie zwietrzyli pieni dze starego Bastonnety, bo przecie tkwi w długach po uszy, po prostu wepchn li mu j w ramiona. Przedtem nawet nie spojrz ła na Xaviera. Na mi ło bosk , bawili si razem w dzieci stwie.

- Gang motocyklowy - przypomnia łem sobie. - By ły z nimi? Powiedzia ły im o pieni dzach, eby odegra si na Bastonnetach?

Damien a ło nie skin łą głow .

- Ale my ła łem, e Xavierowi nic si nie stanie. e po prostu odda gotówk . A po tym, co si sta ło, Joel powiedzia ł, e nie mam nic do stracenia i powinienem do ść czy do jego bandy.

Nic dziwnego, e wygl da ł niezbyt rado nie.

- I przez ca ły czas zachowywa ły to dla siebie? Nie powiedzia ły nikomu?

- Rougetowi. Jemu czasami mo na si zwierzy .

- I co on na to?

- Poradzi ł, ebym si dogada ł z ojcem i Bastonnetami. Powiedzia ł, e w przeciwnym wypadku b dzie jeszcze gorzej. A ja mu na to, e chyba zwariowa ł; mój tata pewnie by mnie zabi ł, gdyby si dowiedzia ł, co zrobi łem.

U miechn ła łem si lekko.

- Wiesz co, mo e mia ł racj .

Damien apatycznie wzruszy ł ramionami.

- Mo e. Ale teraz jest ju za pó no.

Zostawi łem go na pla y i wróci łem t sam drog , któr przys ła łem. Obejrzawszy si , dostrzeg ła samotn posta , kopi c piasek z dzik energi , zupełnie jakby tym sposobem mo na by ło zepchn ca ły pla z powrotem do La Jete, sk d pochodzi ła.

49

Gdy wróci łem do domu, zasta łem tam Adrienne z Marinem i ch ło pcami; ko czyli w ła nie obiad. Podnie li głowy, kiedy wesz ła łem, wszyscy z wyj tkiem Grosjeana, który pochyla ł si nad talerzem i dojada ł sa łą tk powolnymi, metodycznymi ruchami.

Zaparzy ła łem kaw , czuj c si jak intruz. Pi ła łem j w milczeniu, jak gdyby moja obecno wyklucza ła rozmow . Czy tak ju mia ło pozosta ? Moja siostra z rodzin , Grosjean z wnukami, a obok ja, osoba z zewn trz, niechciany go , którego nikt nie ma odwagi wyprosi ? Czula łem

badawcze spojrzenie Adrienne, jej zmrużone niebieskie oczy, utkwione we mnie. Od czasu do czasu któryś z chłopców szeptał coś, zbyt cicho, abym usłyszała.

- Stryj Claude wspominał, że rozmawiał z tobą - odezwał się Marin po chwili.

- I dobrze zrobił - odparłam. - A może zamierzali cię mnie zawiadomić w swoim czasie?

Adrienne zerknęła na Grosjeana.

- Decyzja, jak rozporządzić własną ziemią, należy do papieża.

- Omawialiśmy to wcześniej - powiedział Marin. - Grosjean wiedział, że nie stać go na rozbudowę posiadłości. Doszedł do wniosku, że sensowniej będzie, jeżeli my to zrobimy.

- My?

- Claude i ja. Rozważaliśmy wejście cię w spółkę.

Popatrzyłam na ojca, wyraźnie pochłoniętego wybieraniem oliwy z dna miski po sałacie.

- Wiedzieliście o tym, ojczyste?

Milczenie. Grosjean sprawiał wrażenie, jakby mnie nie słyszał.

- Tylko go denerwujesz, Mado - bęknęła Adrienne.

- A co ze mną? - Podniosłam głos. - Czy nikomu nie przyszło do głowy zapytać mnie o zdanie? A może właśnie nie to Brismand miał na myśli, kiedy mówił, że chce mnie mieć po swojej stronie? O to mu szło? By się upewnić, że przyklepi oko, kiedy oddacie mu ziemię za darmo?

Marin rzucił mi wymowne spojrzenie.

- Czy nie moglibyśmy pomówić o tym przy innej...

- Zrobił to dla chłopców, tak? - Gniew trzepotał we mnie niczym ptak w klatce. - Tym go przekupili? Grosjean i P'titjean, powstali z grobu? - Zerknęłam na ojca, lecz on, zamknięty we własnym wnętrzu, wpatrywał się spokojnie w przestrzeń, jak gdyby nikogo z nas tam nie było.

Adrienne spojrzała na mnie z wyrzutem.

- Och, Mado. Przecież widziałaś, jak reaguje na chłopców. Mają na niego zbawienny wpływ. Dzięki nim jego stan ogromnie się poprawił.

- A z tej ziemi nie było żadnego pożytku - dodał Marin. - Uznaliśmy, że lepiej skupić się na samym domu, przerobić go na letnią rezydencję z prawdziwego zdarzenia, żebyśmy wszyscy mogli z niej korzystać.

- Pomyśl, ile to będzie znaczyło dla Francka i Loica wtrącała Adrienne. - Uroczy letni domek nad morzem.

- I rozsądna inwestycja - dorzucił Marin - na przyszłość ... no, wiesz.

- Spuścizna - uzupełniła Adrienne. - Do przekazania dzieciom.

- Przecież to nie jest letni dom - zaczęłam, czując lekkie mdło ci.

Moja siostra pochylała się ku mnie z rozpromienioną twarzą.

- Ale mamy nadzieję, że będzie, Mado - oznajmiła. - Bo widzisz, poprosili my papieża, żeby we wrześniu wyjechał z nami. Chcemy, żeby mieszkał u nas przez cały rok.

50

Wysłałam z domu z walizki i teczek na rysunki - tak jak przedtem, wracając, przekroczyłam próg. Tym razem jednak nie wyruszyłam w stronę wioski. Podjechałam inną kolejką, która prowadziła do blokhauzu nad La Goulue.

Flynn nadal nie było. Wszłam do jego domu i położyłam się na połówym łóżku, czując, że jestem zupełnie sama i nie mam dokąd pójść. W owej chwili oddałabym niemal wszystko, by znaleźć się z powrotem w paryskim mieszkaniu, z piwiarnią pod oknem i hałasami płynącymi od strony Boulevard Saint-Michel wraz z dusznym, szarym powietrzem. Był może Flynn miał słuszność, pomyślałam. Może już czas ruszyć w drogę.

Teraz w pełni zrozumiałam, jak manipulowano moim ojcem. Dokonał jednak wyboru; nie mogłam go powstrzymać. Jeżeli chciał zamieszkać z Adrienne, jego sprawa. Dom w Les Salants przekształcił się w rezydencję wakacyjną. Był tam, oczywiście, zawsze mile widziana, a Adrienne ulegała zaskoczeniu, gdy wymówiła się od przyjazdu. Ona i Marin zaczęli tam spędzać wakacje. Poza sezonem może wynajmą dom. Ujrzałam nagle siebie i Adrienne jako małe dziewczynki, kłócące się o zabawki i wyrywające je sobie; nie obchodziło nas, czy je zniszczymy i nikt nie będzie już mógł się nimi bawić. Nie, powiedziałam sobie w duchu. Dom nie jest mi potrzebny.

Oparłam teczkę o cianę, a walizkę wsunęłam pod łóżko. Potem poszłam na wydmy. Dochodziła trzecia po południu, słońce przysłabiej i zaczął się odpływ. Po drugiej stronie zatoki migotał samotny agiel, daleko za ochronnym kręgiem La Jete. Nie widziałam dokładnie jego kształtu i nie miałam pojęcia, kto mógł o tej porze wyprawić się tak daleko. Ruszyłam ku La Goulue, zerkając od czasu do czasu na zatokę. Kręce ptaki kłapały na mnie dziobami. Jaskrawy blask utrudniał rozpoznanie dalekiego agla; w każdym razie nie był to nikt z wioski. Jeden salanianin nie miał takich małych ręk, żeby przy halsowaniu stracić wiatr i

dryfowa z opadającym aglem, poddaj się prądowi.

Zbliżywszy się do urwiska, dostrzegłam Aristide'a, obserwującego morze ze swego ulubionego miejsca. Obok siedział Lolo z lornetką na szyi i turystyczną lodówką, pełną owoców na sprzedaż.

- Kto to może być? Jak tak dalej pójdzie, wyląduję na La Jete.

Stary kiwnął głową. Jego twarz przybrała wyraz dezaprobaty. Nie chodziło mu przy tym o nieostrożność eglarza - na wyspie kałdy uczy się dbać o siebie, a prosi o pomoc przynosi człowiekowi wstyd - lecz o dobrą łódź, która mogła się zmarnować. Ludzie przychodzą i odchodzą. Rzeczy pozostają.

- Nie sądzicie, że to ktoś z La Houssiniere?

- Nie. Nawet houssinianin nie wypływałby tak daleko. Może jakiś turysta, co ma więcej pieniędzy niż rozum. Albo coś zerwało się z cumy. Z tej odległości nie da się stwierdzić.

Popatrzyłam na zatłoczony plaż. Dostrzegłam Gabi i Letycję. Dziewczynka przysiadła na sterwie kamieni pod urwiskiem.

- Chcesz plasterka melona? - zagadnął Lolo, popatrzył z zawiścią na Letycję. - Zostały mi dwa ostatnie.

- Chcę - odparłam z uśmiechem. - Weźm obie.

- Super!

Melon był słodki i przyjemnie zwilżył moje wysuszone gardło. Z dala od Adrienne znowu poczułam apetyt i jadłam powoli, siedząc w cieniu przy krzewie, prowadzącym z urwiska. Niezidentyfikowany agiel wydał mi się teraz bliższy, choć było to zapewne złudzenie optyczne.

- Na pewno znam tę łódź - odezwał się Lolo, patrząc zmrużonymi oczyma przez lornetkę. - Obserwuję ją od bardzo dawna.

- Daj popatrzeć - poprosiłam, ruszając w jego stronę. Podał mi lornetkę i zerknęłam przez szklę na odległy agiel.

Był, rzecz jasna, czerwony, czworokątny, bez widocznych znaków szczególnych. Łódka - podłuna i smukła, niewiele większa niż kajak - dryfowała zanurzona w wodzie, jak gdyby ktoś ją zatopił. Moje serce nagle zamarło.

- Rozpoznała ją? - niecierpliwie się Lolo.

Skinęłam głową.

- Chyba tak. Wydaje mi się, że to łódka Flyna.

- Jesteś pewna? Zapytajmy Aristide'a. On zna wszystkie łódzie. Bez wątpienia rozpoznaje, która to.

Stary przez długą chwilę wpatrywał się w milczeniu w szkła lornetki.

- Ha, to on - oznajmił wreszcie. - Daleko go zniosło, ale poszedłbym o zakład, że to on.

- Czego tam szuka? - zdziwił się Lolo. - Dotarł już prawie do La Jete. Myślicie, że osiadł na mieliźnie?

- Skądże! - prychnął Aristide. - On? Ale mimo wszystko - tu dźwignął się na nogi - czekaj nas kłopoty.

Identyfikacja łodzi zmieniła sytuację. Rouget nie był bezimiennym turystą, który po pijanemu wynajął łódź, lecz jednym z nas, niemal salanianinem. Już po chwili na urwisku zebrała się grupka ludzi, obserwujących z niespokojnym zaciekawieniem odległy łódź. Salanianin ma kłopoty? Trzeba temu zaradzić.

Aristide chciał od razu popłynąć swoją „Cecilią”, lecz Alain wyruszył pierwszy na pokładzie „Eleanore II”. Nie on jeden. Do baru Angela dotarła wieść o kłopotach w La Goulue i już po dziesięciu minutach na plaży zjawili się kilku ochotników z hakami, łańcuchami i linami. Angelo sprzedawał devinnoise po piętnaście franków za kieliszek; przyszli również Omer, Toinette, Capucine i Guenole. Nieliczni turyści przyglądali się i snuli rozmaite przypuszczenia. Z urwiska morze wydawało się srebrzystozielone i pienne, prawie nieruchome.

Akcja ratunkowa zajęła prawie dwie godziny. Wydawało się, że trwa długo. Dotarcie do La Jete zabiera nieco czasu, nawet motorówką, a łódka Rougeta znalazła się dalej, tuż obok mielizny przy ławicach, dokąd widać łódzie nie odważyły się zapuszczać. Alain musiał wyprowadzić „Eleanore II” z wystających przysmyków piasku, podczas gdy Ghislain przyciągał łódź Flynną za pomoc bosaków i łańcuchów, starając się utrzymać bezpieczną odległość. Następnie obydwaj odholowali ocaloną łódź na pełne morze. Aristide, który uparł się, by uczestniczyć w akcji, objął ster, wygłaszając od czasu do czasu pesymistyczne komentarze.

Wiatr z zatoki dął mocno, fale wzbierały i musiałam wspomóc Alaina, stojąc na rufie „Eleanore II”, by utrzymywać w równowadze rozkołysany burt, podczas gdy mała łódka miotała się i podskakiwała tuż obok. Flynną nigdzie nie było widać - ani na łodzi, ani w morzu.

Byłam zadowolona, że nikt nie skomentował mojej obecności. To ja pierwsza rozpoznałam agiel. Dzięki temu miałam prawo tam być. Alain, siedzący na dziobie „Eleanore II”, widział wszystko najlepiej i dowodził akcją ratunkową, gdy Ghislain przyciągał łódź

Flynna. Sam przyczepił do burty stare opony, by uchronić „Eleanore” przed skutkami zderzenia.

Aristide był, jak zwykle, posępny.

- Wiedziałem, że szykuje się jakiś kłopot - oznajmił po raz pierwszy. - Co czułem, zupełnie jak tamtej nocy, kiedy sztorm zabrał mój „Peach ha Labour”. Czułem coś złego w powietrzu.

- Wygląda mi to na niestrawno - mruknął Alain.

Aristide nie zwrócił na niego uwagi.

- Mieliśmy za duży oszczęć, ot co - oznajmił. - W końcu musiało się odwrócić. No bo dlaczego przydarzyło się to akurat Rougetowi? Temu szczęściarzowi?

- Może nic mu się nie stało - powiedział Alain.

Aristide wyrzucił ręce w górę.

- Egzultuj od sześćdziesięciu lat, a co takiego widziałem ze dwadzieścia razy. Człowiek wypływa sam, robi się nieostrożny, odwraca się plecami do burt, a wtedy wystarczy jeden podmuch wiatru i cześć! - Wymownym gestem przesunął palcem po gardle.

- To jeszcze nic pewnego - zaprzeczył Alain z uporem.

- Wiem swoje - odparł Aristide. - To samo przydarzyło się Ernestowi Pinozowi w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewięćtych. Zmiotło go za burtę. Już nie żył, zanim wpadł w wodę.

W końcu udało się przyciągnąć dryfującą łódkę do burty „Eleanore” i Xavier wskoczył na pokład. Flynn leżał nieruchomo na dnie. Musiał tak leżeć ładnych kilka godzin, jak ocenił Xavier, bo na jednym policzku widniały ślady słonecznych oparzeń. Xavier nie bez wysiłku do wyciągnął Flynną pod ramiona, usiłując go przesunąć bliżej rozkołysanej „Eleanore”, podczas gdy Alain próbował zabezpieczyć łódkę. Bezuszyteczny agiel łopotał i trzepotał, poluzowane liny migotały groźnie we wszystkie strony. Xavier przezornie nie dotykał czegoś, co przypominało podartą i mokrą folię torb; czegoś owiniętego wokół ramienia Flynny i częściowo zanurzonego w wodzie.

Po kilku próbach przyciągnięcia wreszcie łódkę.

- A nie mówiłem, ha? - obwieścił Aristide. - Nie wystarczy człowiekowi czerwony koralik, kiedy przychodzi ostatnia godzina.

- On nie umarł - powiedziałam nieswoim głosem.

- Nie - wydyszał Alain, wciągając bezwładne ciało Flynny na pokład „Eleanore II”. - Jeszcze nie.

Ułożyli ją na rufie i Xavier wywiesił flagę ostrzegawczą. Poprawiałam błędy

„Eleanore” drżącymi rękami w koma, dopóki nie poczułam, że mogę spojrzeć na Flynn’a, nie dygocząc na całym ciele. Płonął gorączką. Co pewien czas otwierał oczy, ale nie reagował, gdy do niego przemawiałam. Czerwone smugi, wskazujące na stan zapalny, biegły wzdłuż jego ramienia, widoczne pod półprzezroczystym stworem, który przylgnął do skóry. Starłam się mówić opanowanym głosem, lecz mimo to mój ton brzmiał piskliwie, na granicy hysterii.

- Alain, musimy to z niego zdjąć !

- To robota dla Hilaire’a - odparł szorstko. - Musimy po prostu jak najszybciej dobić do brzegu. Ostro go przed sobą. Wierz mi, nic więcej w tej chwili nie możemy zrobić .

Była to dobra rada i usłuchali ją. Aristide trzymał nad głowami nieprzytomnego Flynn’a kawałek płótna aglowego, a my z Alainem wprowadziliśmy „Eleanore” do La Goulue najszybciej, jak się dało. Mimo sprzyjającego zachodniego wiatru cała akcja trwała blisko godzinę. Na brzegu czekali chętni do pomocy ludzie z termosami, linami, kocami. Plotki zdążyły się już rozejść. Kto pobiegł po Hilaire’a.

Nikt nie wiedział, co za stworzenie przyssało się do ramienia Flynn’a. Zdaniem Aristide’a, była to osa morska, która przyplątała z golfstromem z cieplejszych mórz. Matthias, pojawiwszy się na brzegu w towarzystwie Angela, odrzucił z pogardą to przypuszczenie.

- Nieprawda - prychnął. - Lepiej jesteście? To białca. Pamiętasz, jak się masowo pojawiły tuż za La Jetee? Ha, dryfowały na skraju Nid’Poule całymi setkami. To było chyba w pięćdziesiątym pierwszym. Niektóre dotarły aż do La Goulue i musieliśmy je zgarniać grabiami.

- Osa morska - upierał się Aristide, kręcąc głową. - Gotów jestem się założyć o każdą sumę .

Matthias wziął go za słowo i założył się o sto franków. Kilkoro innych poszło za ich przykładem.

Cokolwiek to było, nie pozwoliło się łatwo oderwać. Czułki - je-li-mo-na-tak-nazwane wydłużone, pierzaste macki - przywierały do nagiej skóry, ilekroć zdarzyło im się ją musnąć. I tkwiły w niej, nie dając się wyciągnąć.

- Ha, pewnie wyglądała w wodzie jak kawałek plastikowej torby - rozważała Toinette. - Pochylił się, żeby ją wyłowić ...

- Całe szczęście, że nie zanurzył się w morzu. Wtedy by go dopadły. Ich macki mają co najmniej dwa metry.

- Osa morska - powtórzył Aristide z ponurą satysfakcją. - A te pręgi oznaczają zakażenie

krwi. Już to widziałem.

- B belnica - zaprotestował Matthias. - Odkąd to osy morskie wyprawiają się tak daleko na północ, ha?

- Papierosy. Tak się robi z pijawkami - wtrącił Omer La Patate.

- A może kieliszek devinnoise? - podsunął Angelo.

Capucine zasugerowała ocet.

Aristide odniósł się do całego wydarzenia z fatalizmem, twierdząc, że jeśli to istotnie osa morska, Rouget nie ma szans. Na jej jad nie było odtrutki. Dawał mu najwyżej dwanaście godzin. Chwilę później zjawił się Hilaire w towarzystwie Charlotte niosąc butelkę octu.

- Ocet - mruknęła Capucine. - Mówiłam, że to załatwi sprawę.

- Przepuść mnie - burknął Hilaire. Zachowywał się niezwykle szorstko, kryjąc niepokój pod maską irytacji. Ludziom się wydaje, że nie mam nic lepszego do roboty. Ha! Muszę rzucić okiem na kozy Toinette i na konie z La Houssiniere. Czy ci ludzie nic nie rozumieją? Może im się wydaje, że mnie to bawi? - Grupka obserwatorów niespokojnie ledziła ruchy Hilaire'a, który odrywał macki za pomocą octu i szczypiec.

- Osa morska - powtórzył Aristide pod nosem.

- Kapuściana głowa - odparł Matthias.

Zabrali Flyna do „Les Immortelles”. Hilaire uparł się, że tak będzie najlepiej, bo mają tam łódkę i pomoc medyczną. Mógł mu dać jedynie zastrzyk adrenaliny i wołał nie przewidywać, co się dalej stanie. Zadzwoił ze swojego gabinetu na kontynent, najpierw po lekarza - w nagłych wypadkach wysyłano motorówkę z Fromentine - a potem do straży przybrzeżnej z ostrzeżeniem. Dotychczas nie zauważano takich stworzeń w La Goulue, lecz teraz dokładnie ogrodzono nową plażę linami i pływakami rozciągniętymi wzdłuż wybrzeża, z sieci zagrządzających drogę nieproszonym gościom. Później Alain i Ghislain mieli popłynąć na La Jete. Robimy to czasami po jesiennych burzach.

Trzymałam się na uboczu; odnosiłam wrażenie, że jestem zbyt cenna i nie mam nic do roboty. Capucine zaproponowała, że będzie towarzyszyła Rougetowi do „Les Immortelles”. Wspomniano o wezwaniu pere Albana.

- Wić jest a tak le?

Hilaire, który nie był obeznany z żadnym z omawianych gatunków meduz, niczego konkretnego nie potrafił stwierdzić. Lolo wzruszył ramionami.

- Aristide mówi, że do jutra wszystko już będziemy wiedzieli.

51

Nie wierzę w dobre czy złe wróżby. Pod tym względem nie jestem prawdziwym wyspiarzem. Ale tamtego wieczoru były wszędzie; unosiły się na falach jak stado mew. Nadchodził przypływ, mroczny przypływ. Wyczuwałam go. Próbowałam sobie wyobrazić umierającego Flynnę, martwego Flynnę. Nie potrafiłam. Był nasz, był też ci wyspy, też ci Les Sa - lants. Ukształtowali my go, a on nas.

Pod wieczór poszłam do oblepionej woskiem i ptasimi odchodami kaplicy Sainte-Marine na Point. Kto zostawił w ród ofiar na ołtarzu głowę plastikowej lalki. Głowa miała odcień jaskrawego różu i jasne włosy. Wokół płonęły wiece. Wydobyłam z kieszeni czerwony koralek. Przez chwilę obracałam go w dłoni, a potem położyłam na ołtarzu. Sainte-Marine spojrzała na mnie z góry, a jej kamienne oblicze przybrało wyraz jeszcze bardziej zagadkowy niż zwykle. Uśmiechała się? Udzielała mi błogosławieństwa?

Santa Marina. Odbierz nam płacę, jeśli chcesz. Odbierz wszystko. Ale nie rób tego. Proszę. Nie rób tego.

Co - zapewne ptak - zakrzyczało nad wydmą. Ten krzyk zabrzmiał jak miech.

Toinette Prossage zastała mnie w kaplicy. Podniosłam głowę, gdy dotknęła mojego ramienia; za nią nadchodzili inni. Niektórzy nieśli latarnie. Rozpoznałam Bastonnetów, Guenole, Omera, Angela, Capucine. Za nimi szedł pere Alban ze swoim pastorałem, a także siostra Therese z siostrą Extase. Ich coiffes chwiały się na tle zachodzącego słońca.

- Nic mnie nie obchodzi, co mówi Aristide - wyznała Toinette. - Sainte-Marine wyje tu dłużej niż ktokolwiek z nas i nie wiadomo, jakie jeszcze cuda sprawi. Przecież dała nam płacę, prawda?

Skinęłam głowę, bojąc się otworzyć usta. Za plecami Toinette pojawili się inni salanie; niektórzy nieśli kwiaty. Nieco dalej zobaczyłam Lola. Kilkoro turystów przyglądało się nam z zaciekawieniem.

- Nigdy nie życzyłem mu śmierci - bronił się Aristide. Jeśli umrze, zasłużył na miejsce w La Bouche. Pochowam go obok mojego własnego syna.

- Nie ma co mówić o śmierci i pogrzebach - uciła Toinette. - Wiata do tego nie dopuści. To przecież Marine-de-la-Mer, patronka salanian. Nie zawiedzie nas.

- Ha, ale Rouget nie jest salanianinem - zauważył Matthias. - Sainte-Marine to wyspiarska wiata. Może nie troszczy się o ludzi z kontynentu.

Omer pokręcił głową.

- Niewykluczone, że wiata dała nam plan, ale to Rouget zbudował Bouch'ou.

Aristide chrząknął.

- Zobaczcie - powiedział. - W Les Salants pachnie dymem kroku. Teraz mamy dowód. Meduzy w zatoce, po tylu latach. Chyba nie są dzicze, że to wpłynie korzystnie na interesy, ha?

- Interesy? - obruszyła się Toinette. - Tylko to jedno ci w głowie? Mylisz, że wiata akurat tym się zajmuje?

- Może i nie - wtrącił Matthias - ale tak czy inaczej, to zły omen. Ostatnio coś takiego zdarzyło się w Czarnym Roku.

- Czarny Rok - powtórzył Aristide posępnie. - Szczyście przychodzi i odchodzi, jak przyływy.

- Nasze szczyście nie odejdzie! - zaprotestowała Toinette. - W Les Salants sami je tworzymy. To, co się stało, niczego jeszcze nie dowodzi.

Pere Alban z dezaprobatą pokręcił głową.

- Nie wiem, po co włączył mnie tu cięgnięli cię oznajmił. - Jeśli chcecie się pomodlić, idźcie do kościoła. A jeśli nie... ha! Te wszystkie wasze zabobony. Nie powinienem być ich popierać.

- Chodzi tylko o jedną modlitwę - nalegała Toinette. Tylko my i Santa Marina.

- No dobrze już, dobrze. Potem wracam do domu, a wy tu sobie zamierzajcie na śmierć. Znosi się na deszcz.

- Nie dbam o to, co mówicie - mruknął Aristide. - Interesy są ważną sprawą. Jeśli to nasza wiata, powinna nas zrozumieć. Na tym polega szczyście Les Salants.

- Panie Bastonnet!

- Ha, dobra, dobra.

Jak dzieci pochyłili my głowy. Wyspiarska łacina jest łaciną kuchenną, nawet według norm kościelnych, lecz wszelkie próby unowocześnienia nabożeństw napotykały opór. W starych słowach kryje się czar, co, co przypadłoby w tłumaczeniu. Pere Alban dawno już zrezygnował z wyjaśniania, że to nie w słowach jako takich tkwi moc, ale w uczuciach, które dają im poczek.

Dla wi kszo ci salanian jest to my l niepoj ta, a nawet nieco blu niercza. Katolicyzm zadomowił si na wyspach, powracaj c do swych przedchrze cija skich korzeni. Talizmany, symbole, zakl cia, rytuały s mocno osadzone w tutejszej rzeczywisto ci, w ród ludzi, którzy rzadko czytaj cokolwiek, nawet Bibli . Silna jest tradycja ustnego przekazu, ka dy dodaje do opowie ci nowe szczegóły, lecz wolimy cuda ni liczby i reguły. Pere Alban godzi si z tym, wiedz c, e bez niego Ko ciól stałby si niebawem pie ni przeszło ci.

Oddalił si zaraz po modlitwie. Słyszałam zgrzytanie piasku pod jego stopami, gdy opu cił kr g latarni. Toinette piewała wysokim, starczym falsetem; wychwyciłam kilka słów, ale - podobnie jak łaciny - nie rozumiałam dawnej wyspiarskiej gwary.

Dwie stare zakonnice stały po obu stronach drewnianego ołtarza, nadzoruj c modły. Mieszka cy wioski ustawili si w milcz cej kolejce. Kilkoro z nich - mi dzy innymi Aristide - zdj ło z szyi koraliki i poło yło je na ołtarzu, pod mrocznym i nieodgadnionym spojrzeniem wi tej.

Pozostawiłam ich pogr onych w modlitwie i ruszyłam ku La Goulue, rozległej i rozplomienionej poblaskiem zachodz cego sło ca. Daleko, tu nad wod , dostrzegłam jak posta , niemal gin c w odbitym wietle. Skierowałam si w tamt stron , czuj c pod stopami rozkoszny chłód wilgotnego piasku i cichy szum odpływu. Postaci okazał si Damien.

Spojrzał na mnie oczyma, w których odbijała si roz arzona czerwie sło ca. Ciemna smuga w poprzek nieba zapowiadała deszcz.

- Widzisz? - odezwał si . - Wszystko si rozpada. To ju koniec.

Zadr ałam. Z oddali dobiegło piewne, niesamowite zawodzenie Toinette.

- Chyba nie b dzie a tak le - odparłam.

- Nie? - Wzruszył ramionami. - Mój ojciec popłyn ł na La Jetee i zabrał platt. Mówi, e jest tam wi cej tych stworów. Pewnie sztormy je do nas przygnały. Dziadek powiada, e to zły omen. Zwiastuje niedobre czasy.

- Nigdy bym nie przypuszczała, e jeste przes dny.

- Nie jestem. Ale dla nich to ostatnia deska ratunku. W ten sposób udaj , e si nie boj . piewy, modły i girlandy dla wi tej. Jakby to mogło pomóc Rou... Roug... - Głos mu si załamał, a oczy z dzik zawzi to ci wpatrzyły si w wod .

- Wyjdzie z tego - powiedziałam. - Jak zawsze.

- Nic mnie to nie obchodzi - rzucił nieoczekiwanie Damien, nie podnosz c głosu. - To

przez niego wszystko się zaczęło. Jeśli nawet umrze, mam to w nosie.

- Chyba nie mówisz poważnie!

Damien wyrzucał z siebie słowa, patrząc w przestrzeń.

- Uważałem go za przyjaciela. Myślałem, że jest inny niż Joel, Brismand i cała reszta. A tymczasem okazało się, że potrafi po prostu lepiej kłamać.

- O co ci chodzi? - zapytałam. - Co on takiego zrobił?

- Myślałem, że nienawidzi się z Brismandem - odparł. Zawsze stwarzał takie wrażenie. Ale oni się przyjaźnią, Mado. On i Brismandowie. Współpracują z sobą. Wczoraj, kiedy miał wypadek, wykonywał ich polecenie. To dlatego wypłynął tak daleko. Sam Brismand tak mówił!

- Pracował dla Brismanda? Co robił?

- Jakie obliczenia przy Bouch'ou - wyjaśnił Damien. Prowadził je przez cały czas. Manipulował nami, a Brismand mu za to płacił. Słyszałem jego rozmowę z Marinem przed „Chat Noir”.

- Ale, Damien - zaprotestowałam - to, co zrobił dla Les Salants...

- A co on takiego zrobił, ha? - głos Damiena załamał się nagle i zabrzmiał niemal dziecinnie. - On zbudował to co w zatoce? - Wskazał odległą Bouch'ou, na której dwa ostrzegawcze wiatelka mrugały niczym lampki choinkowe. - Po co? Dla kogo? Z pewno ci nie dla mnie. Nie dla mojego ojca, który tkwi w długach po uszy i ci głębiej ma nadzieję na interesy. Myśli, że dzięki tym kilku rybom dorobi się majątku. Ludzka głupota nie ma granic. Nie dla Grosselów ani Bastonnetów, ani Prossage'ów. Nie dla Mercedes!

- Jesteś niesprawiedliwy. Z tym akurat plama nie ma nic wspólnego. Ani Flynn.

Słowo zaszło. Niebo przypominało siniec, błędnicy po bokach.

- Aha, i jeszcze jedno - Damien spojrzał na mnie. - On nie nazywa się Flynn. Nie nazywa się Rouget. Ma na imię Jean-Claude. Tak jak jego ojciec.

CZ CZWARTA

Powrót do domu

Biegłam cię nad urwiskiem, a mylił się pod moją czaszką niczym nasiona w pustej tykwie. To nie miało sensu. Flynn synem Brismanda? Niemożliwe. Damien z pewnością ci się przesłyszał. A jednak odezwał się we mnie wewnątrz trzaskający głos; rozbudzone przecucie niebezpieczeństwa, wysyłające ostrzeżenia dookoła La Marinette.

Istniały poszlaki, gdybym tylko zechciała je dostrzec: potajemne spotkanie, uścisk, wrogość Marina, rozterki Flynn. Nawet jego przydomek - Rouget, czyli Rudy - kojarzył się z naszym sprytem Brismanda. Wyspiarskim obyczajem nosili to samo imię.

Z drugiej strony Damien był tylko chłopcem przezywającym młodzieńcze zauroczenie. Niezbyt wiarygodny informator. Nie, musiałam się dowiedzieć czegoś więcej, zanim w głębi serca potępię Flynn. I wiedziałam, dokąd się uda.

W holu „Les Immortelles” zastałam jedynie Joela Lacroix, który siedział w recepcji i palił gitane’a, trzymając na białych nogach w kowbojskich butach. Zmieszał się lekko na mój widok.

- Ha, Mado. - Wysilił się na drzwiach u mieszkających i zdusił niedopałek w popielniczce. - Szukasz pokoju?

- Słyszałam, że jest tutaj mój znajomy - odparłam.

- Angliche? Tak, jest tutaj. - Zapalił następnego papierosa teatralnym gestem i wydmuchnął długi, leniw smug dymu, zupełnie jakby odgrywał scenę z filmu. - Lekarz zabronił go przynosić. Chciała go zobaczyć, ha?

Skinęłam głowę.

- No cóż, nie możesz. Monsieur Brismand nie pozwolił nikogo wpuścić, więc, ma belle, dotyczy to również ciebie. - Pociął do mnie oko i przysunął się nieco bliżej. - Lekarz przytył specjalnie łodzi, mniej więcej godzinę temu. Stwierdził, że poparzyła go belnica. Paskudztwo.

A zatem nie sprawdźmy się ponure prognozy Aristide’a. Mimo woli poczułam ulgę.

- Nic poważniejszego?

Joel pokręcił głowę jakby z odzieniem.

- Nie. Ale i tak kiepsko to wygląda.

- Jak kiepsko?

- Ba, co ci lekarze w ogóle wiedzą? - Zaciął się dymem. - Gorzej, że przez kilka godzin leżał nieprzytomny w słońcu. Udar słoneczny może cholernie zaszkodzić, jeśli człowiek

nie uważa na siebie. No, ale skąd facet z kontynentu ma to wiedzieć? - Jego ton sugerował, że on, Joel, jest twardzielem, któremu podobna rzecz by się nie przydarzyła.

- A meduza?

- Ten idiota wziął i wyciągnął ją z wody, masz pojęcie? Joel z niedowierzaniem pokręcił głową. - Wyobraź sobie? Doktor mówi, że działanie jadu potrwa dwadzieścia cztery godziny.

- Wyszczrzył zębami w miechu. - Wić je li twój przyjaciel jeszcze tu będzie jutro rano, ha... - Znowu mrugnął i przysunął się bliżej.

Odstąpiłam w bok.

- W takim razie chcę się zobaczyć z Marinem Brismandem. Jest gdzie tutaj?

- Ha, co z tobą? - Joel wydawał się dotknąć. - Nie lubisz mnie?, - Lubić ci na odległość, Joel. Pomyśl o tym jak o prawie do połowów. Wody terytorialne. Trzymaj się swoich i nie wpływaj na moje.

Odchrząknął.

- Wydaje jej się, że jest Santa Marina - mruknął. - Marin wyszedł godzinę temu. Z twoją siostrą.

- Dokąd?

- Bóg jeden wie.

W końcu znalazłam Marina i Adrienne w „Chat Noir”. Robiło się późno i kawiarnia toniała w gwarze i dymie. Moja siostra siedziała przy barze; Marin grał w karty przy stoliku obleganym przez housinian. Na mój widok zrobił zaskoczony min.

- Mado! Niezastojnie tu widzimy. Czy coś się stało? Zmrużył oczy. - Chyba nie chodzi o Grosjeana?

- Nie. O Flyna.

- O? - zdziwił się. - Czyby umarł?

- Oczywiście, że nie.

Marin wzruszył ramionami.

- Właściwie nie robiłem sobie zbyt wielkich nadziei.

- Przestała się zgrywać - rzuciłam ostro. - Wiem o nim i o twoim stryju. O waszych wspólnych interesach.

- Ach, tak. - Posłał mi uśmiech. Wcale nie wydawał się niezadowolony. - No, dobrze.

Chodźmy w jakieś spokojniejsze miejsce. Niech wszystko zostanie w rodzinie, ha? Odłożył karty na stół i wstał. - I tak przegrywałem - dodał. - Nie mam tyle szczęścia, co twój przyjaciel.

Wyszli my na promenadę, gdzie było chłodniej i nie tak tłoczno. Adrienne podłączyła się do nas. Usiadłam na wale nadmorskim, zwrócona twarzą do nich obojga. Mój głos brzmiał spokojnie, choć serce waliło jak młotem.

- Opowiedz mi o Flynnie - zaczęłam. - A najlepiej opowiedz, kim jest Jean-Claude.

53

- To miałem być ja, rozumiesz. - Uśmiech nie złagodził goryczy na twarzy Marina. - Byłem jedynym krewnym starego. Kimś więcej niż synem. A przynajmniej kimś bliższym niż jego syn. To wszystko miało należeć do mnie. „Les Immortelles”. Cały biznes. Wszystko.

Przez lata Brismand pozwalał mi w to wierzyć. Tu pończuszka, tam drobny prezent. Podobnie jak mnie, nie tracił Marina z oczu, zostawiając sobie otwartą furtek, moją liwość w przyszłości. Nigdy nie wspominał o sobie, z którą był w separacji, ani o synu. Dał Marinowi do zrozumienia, że ich los przestał go obchodzić, że przenieśli się oboje do Anglii, chłopak nawet nie zna francuskiego i jest Brismandem w takim samym stopniu, jak kiedyś inny Angliche na tej wyspie rosbifu i meloników.

Oczywiście kłamał. Cwany Brismand nigdy nie stracił nadziei. Utrzymywał kontakt z matką Jean-Claude'a, łączył się z jego nauką, latami prowadził podwójny grój i oczekiwał stosownej chwili. Od początku zamierzał przekazać interesy Jean-Claude'owi. Ale jego syn nie zdradził żadnych ci współpracy; skwapliwie korzystał z przysyłanych pieniędzy, lecz nie zachwyił go pomysł zatrudnienia się w firmie ojca. Brismand był cierpliwy; pozwalał chłopakowi się wyszumieć i starał się nie myśleć o uciekającym czasie. Tymczasem Jean-Claude przekroczył trzydziestkę, a jego plany - jeżeli je miał - pozostawały niesprecyzowane. Brismand zaczął myśleć, że jego syn nigdy nie wróci.

- I to by załatwiło sprawę - powiedział Marin nie bez satysfakcji. - Mimo obsesji na punkcie rodziny Claude nigdy nie zostawiłby swoich pieniędzy komuś, kto by na nie nie zapracował. Postawił sprawę jasno: jeżeli Jean-Claude chce zobaczyć choć pensję ze swego spadku, musi najpierw przyjechać na wyspę.

Oczywiście Brismand nie zwierzył się ze swoich trosk Marinowi i Adrienne. W owym okresie niepewności szczególnie mu zależało na przychylności bratanka. Marin stanowił dla

niego zabezpieczenie, rezerwa na wypadek, gdyby Jean-Claude się nie pojawił. Prócz tego kontakt z matką córki Grosjeana był dla Brismanda cenny.

- Chciał zacieknąć ziemi z Les Salants. A przede wszystkim kupić dom Grosjeana i należeć do niego ziemi. Ale Grosjean odmówił sprzedaży. Wynikła między nimi sprzeczka, nie wiem, o co. Może przez ten jego upór.

Ponieważ jednak Adrienne i Marin mieli w stosownym czasie odziedziczyć posiadłość, Brismand musiał po prostu uzbroić się w cierpliwość. Był dla młodego małżeństwa wiącym niżej hojny, wspomógł ich pokonaniem sum, gdy zakładali własną firmę.

Zauważyłam w trakcie opowieści Marina narastający niepokój Adrienne.

- Chwileczkę. Czy chcesz przez to powiedzieć, że twój stryj cię przekupił, abyś się z nim oenił?

- Nie mów głupstw. - Marin miał zakłopotanie. Po prostu wykorzystał okazję, nic wiemy. Oeniłbym się z tobą i tak. Niezależnie od pieniędzy.

Ceny gruntów w kwitnącym La Houssiniere były wyrubowane. Les Salants pozostawało tanie. Punkt zaczepienia w Les Salants byłby dla Brismanda niezmiernie cenny. Dom Grosjeana wraz z połączoną ziemią rozciągał się aż po La Goulue mógł przynieść znaczne korzyści człowiekowi z głową do interesów. Dlatego Brismand odnosił się bardzo życzliwie do Marina i Adrienne. Przesyłał chłopcom podarki. Oczekując spokojnie przyszłych udziałów w jego zyskach, przez całe lata żyli ponad stan.

A potem zjawił się Flynn.

- Syn marnotrawny - wycedził kłopotliwie Marin. - Trzydzieści lat za półno, prawie cudzoziemiec, ale kompletnie zawrócił staremu w głowie. Można by pomyśleć, że potrafi czynić cuda.

Marin z powrotem stał się tylko bratankiem. Odzyskawszy syna, Claude przestał się interesować tangerskimi przedsięwzięciami i cofnął się do życzki i inwestycji, na które Marin i Adrienne liczyli.

- O, nie od razu poznali my przyczynę. Powiedział, że „Les Immortelles” potrzebuje remontu. że trzeba wzmocnić wały nadmorskie. Wprowadzić nowe udogodnienia. No i w końcu to leżało również w naszym interesie, bo mieliśmy przeciw odziedziczyć „Les Immortelles”.

Istnienie Jean-Claude’a nie zostało oficjalnie ujawnione. Wrodzona ostrość Brismanda wzięła górę i nie chciał, by ktokolwiek miał wgląd w jego sprawy, dopóki się nie upewni, że

przybysz jest rzeczywiście jego synem. Wstępne dochodzenie zdawało się to potwierdzać. Matka Jean-Claude'a po opuszczeniu Le Devin wróciła do swego dawnego domu w Irlandii. Wyszła po raz drugi za mąż, założyła nową rodzinę. Zawiadomiła Brismanda, ale Jean-Claude wyjechał kilka lat wcześniej i prawie nie utrzymuje kontaktów, choć zawsze przekazywała mu czeki. To w pewnej mierze potwierdzało historię Flynn'a. Co istotniejsze, miał listy pisane przez Brismanda, zdają się być kopiami z Jean-Claude'em, metryki. Ponadto przytaczał anegdoty, które mogli znać tylko Jean-Claude i jego matka. Marin doradzał badanie krwi. Ale Brismand w głębi serca nie potrzebował dalszych dowodów. Flynn miał oczy swojej matki.

Zwerbował Flynn'a do pomocy, przedstawiając mu problem erozji i dając do zrozumienia, że jeśli dobrze się spisze w Les Immortelles, zostanie w przyszłości jego współnikiem. W ten sposób miał Flynn'a na oku i mógł go wy badać.

- Ale mój stryj jest kuty na cztery nogi - powiedział Marin z gorzką satysfakcją. - Nawet jeśli Jean-Claude był tym, za kogo się podawał, od razu rzuciłoby się w oczy, dlaczego wrócił. Chodziło mu o pieniądze. No bo czemu pokazał się dopiero po tak długim czasie?

Brismand, jak wszyscy Devinianie, dobrze znał takie sytuacje. Zbiegów witaj otwarte ramiona i zamknij te portfele, wiadomo bowiem, że to, co powraca, nie zawsze pozostaje.

- Znalazł mu robotę. Powiedział, że jeśli ma przejść kiedyś interesy, powinien zacząć od najniższego szczebla drabiny. - Marin zaś miał się krótko. - Jedyne, co w tej całej aferze sprawia mi odrobinę satysfakcji, to myśl o minie tego sukinsyna, kiedy usłyszał od stryja, że musi zapracować na swoje nazwisko.

Wywiłała się sprzeczka. Twarz Marina pojaśniała na to wspomnienie.

- Stary wszystko mi opowiedział. Był w ciekły. Jean-Claude zrozumiał, że się zagalopował, i próbował go ułagodzić, ale było za późno. Stryj zapowiedział mu, że nie zobaczy ani pensa, dopóki na to nie zasłuży, i wyprawił go do Les Salants.

Obie strony powściągnęły jednak emocje. Jean-Claude pozwolił ojcu ochłonąć, starając się jednocześnie nie odzyskać jego przychylności. Brismand zaś stopniowo uwiadomił sobie, jakie korzyści wypływają z posiadania szpiega w Les Salants.

- Jean-Claude dowiadywał się o wszystkim. Komu brakuje gotówki, czyje interesy marnie idą, kto z kim się spotyka, kto ma długi. On łatwo nawiązuje kontakty z ludźmi. Wzbudza zaufanie.

W ciągu paru miesięcy Brismand poznał wszelkie możliwe tajemnice. Jego umocnienia

ochronne w Les Immortelles doprowadziły do niemal całkowitego zastoju w Les Salants. Połowy ryb ustały. Kilka osób zadłużyło się u niego. Mógł je przyprześć do muru, kiedykolwiek by zechciał.

Do takich osób należał Grosjean. Flynn zbliżył się do niego na samym początku i dawał mu rozmaite drobne dowody przyjaźni, po rednicząc w zacięganym połyce, gdy oszczędno ci Grosjeana ostatecznie się wyczerpały. Brismand odniósł się do planu z entuzjazmem. Gdyby dało się wykupić Grosjeana, to, co by pozostało z Les Salants, mogłoby za rok lub dwa należeć do Brismanda.

- I wtedy wróciła ty - wtręciła Adrienne.

To zmieniło wszystko. Grosjean, dotychczas tak uległy, zaniechał współpracy. Moja ingerencja wszystko popsuła. Subtelna i mądra praca Flynna poszła na marne.

- Dlatego Jean-Claude obrał inną drogę - dodała Adrienne ze złości w mieszkaniu. - Zamiast brać na cel papieża, skupił się na tobie. Odkrywał twoje słabe strony. Schlebiał ci...

- To nieprawda - przerwałam. - Pomagał mi. Pomagał nam wszystkim.

- Pomógł samemu sobie - sprostował Marin. - Zawiadomił Brismanda o rafie, gdy tylko w La Goulue pokazał się piasek. Zastanów się, Mado - dorzucił, widząc wyraz mojej twarzy. - Chyba nie sądzisz, że robi to dla ciebie?

Popatrzyłam na niego zgnębioną.

- Ale Les Immortelles... - zaczęłam. - Wiedział od początku, co się stanie z plażą Claude'a.

Marin wzruszył ramionami.

- Ten proces może na odwrócić - odparł. - A Rougetowi był potrzebny, żeby wywrzeć nacisk na mojego stryja. - Marin spojrzał na mnie z gorzkim rozbawieniem. - Moje gratulacje, Mado - powiedział. - Twój przyjaciel zapracował w końcu na swoje nazwisko. Stał się Brismandem z firmowymi księżkami czeków i pięćdziesięcioprocentowym udziałem w spółce Brismand i Syn. A wszystko dzięki tobie.

54

„Les Immortelles” było ciemne. W holu wieszała się nieduża lampka, lecz drzwi były zamknięte na klucz i naciskałam dzwonek raz po raz przez pięć minut, zanim ktoś do nich wreszcie podszedł. Był to Brismand z gitane'em w kieszeni ust i podwinionymi rękawami koszuli.

Jego oczy rozszerzyły się lekko, gdy dostrzegł mnie za szybą. Wyjął z kieszeni pasek kluczy i otworzył drzwi.

- Mado. - Miał zmierzony głos i cała jego postawa wyrażała znużenie: ała nie wygięte usta, obwisłe w syp, półprzymknięte oczy. Garbił się pod rozciągającymi się vareuse i bardziej niż kiedykolwiek przypominał głaz, prymitywny posąg samego siebie. - Nie jestem pewien, czy to aby najlepsza pora, ha?

- Rozumiem. - Gniew zalał mnie gorączką, lecz wzięłam się w karby. - Musisz być zdruzgotany.

W jego oczach zamigotała jakaś isierka.

- Chodzi ci o meduzy? Ha, to zaszkodzi interesom. I tak szły kiepsko.

- Cóż, meduzy niewątpliwie stanowią problem - przyznałam. - Ale ja miałam na myśli wypadek twojego syna.

Brismand przez chwilę wpatrywał się we mnie ze smutkiem, a potem wydał jedno ze swych potępionych westchnień.

- To była bezmyślność z jego strony - powiedział. - Głupi byłbyś, gdybyś prawdziwy wyspiarz by go nie popełnił. Umiechnął się. - Ale mówiłem ci, że kiedy go odzyskam, czy nie? Trochę to trwało, lecz w końcu wrócił. Wiedziałem, że wróci. Człowiek w moim wieku potrzebuje bliskości syna. Kogoś, na kogo mógłby liczyć. Kto przejmie firmę, kiedy mnie już nie będzie.

Wydało mi się teraz, że dostrzegam podobieństwo; co w uśmiechu, sylwetce, gestach, oczach.

- Z pewnością ci jesteś bardzo dumny - zauważyłam. Czułam się przybita.

Brismand uniósł brew.

- Owszem, uważam, że jest w nim coś ze mnie.

- Ale po co to udawanie? Dlaczego ukrywali cię to przed nami? Dlaczego nam pomagali, dlaczego ty nam pomagałaś, skoro on przez cały czas stał po twojej stronie?

- Mado, Mado. - Pokręcił głowę z ubolewaniem. - Czemu ma to być kwestia opowiadania się po jakiej stronie? Czy ktoś tu toczy wojnę, ha? Zawsze musisz się doszukiwać ukrytych zamiarów?

- Dobro czynione potajemnie? - zadrwiłam.

- Ranisz mnie, Mado. - Jego postawa odzwierciedlała słowa; zwrócił się lekko w bok,

garbić plecy i wbijać ręce w kieszenie. - Wierz mi, chcę jak najlepiej dla Les Salants. Zawsze chciałem. Spójrz, jak wiele udało się zrobić „potajemnie”. Rozwój, handel, turystyka, ha! Mylisz, że przyjdzie ci to wszystko w darze ode mnie? Nieufno, Mado. Nieufno i pycha. One gubi Les Salants. Ci ludzie kurczowo czepiają się skał, coraz starsi i tak przerażeni na zmiany, że woleliby dać się porwać morzu niż podjąć rozsądne decyzje, wykazałoby się nieco inicjatywy. - Rozłożyła ręce. - Co za marnotrawstwo! Wiedzieli, że to bezcelowe, lecz nikt nie godził się na sprzedaż. Przejrzeli, że nie nabrali rozumu.

- Teraz nawet mówisz jak on - zauważyłam.

- Jestem zmęczona, Madeleine. Zbyt zmęczona, żeby poddawać się takiemu przesłuchaniu. - Znowu wyglądała staro, jego energia nagle się ulotniła. Kciuki ust opadły. Lubi cię. Mój syn cię lubi. Nigdy by mi nie dopuścił, by stała ci się krzywda. Teraz idź do domu i odpocznij - poradził łagodnie. - Czeka nas cię gdzieś.

55

A zatem to było to, czego pod wiadomością szukałam. Brismand i jego odzyskany po latach syn. Obaj współdziałający skrycie po dwóch stronach wyspy, snujący plany... Jakież? Przypomniałam sobie sentymentalne wynurzenia Brismanda o nadchodzącej starości. Czy to może być, by Flynn w jakiś sposób nakłonił go do wyrównania szkód? Czy naprawdę mogli działać na naszą korzyść? Nie. Wiedziałam o tym. Najbardziej obawiałam się, przed którą nie ukryje, wiedziała o tym od samego początku.

Biegłam przez całą drogę do blokhauzu. Niejasno zdawałam sobie sprawę z uczucia wewnątrz, odczuwania; doznawałam go już kiedyś, po śmierci matki. Było to tak, jakby zaczął działać delikatny mechanizm, włączający się jedynie w sytuacjach kryzysowych, po to, by oddzielić mnie od wszystkiego z wyjątkiem konkretnej sprawy do załatwienia. Później przyjdzie mi za to zapłacić - smutkiem, może łzami. Na razie jednak panowałam nad sobą. Zdrada Flynn'a była czymś, co przytrafiło się komuś innemu; przedziwny spokój spłynął na moje serce, niczym fala zmywająca napis na piasku.

Przypominałam sobie Grosjeana i nowo wybudowane studio. Pomyślałam o wszystkich salaniach, którzy zaczęli połykać na remonty domów, nowe przedsięwzięcia, wszelkie drobne inwestycje na przyszłość. Za schludnie odmalowanymi ścianami, wygracowanymi ogródkami, kioskami, błyszczącymi ładami sklepowymi, odremontowanymi łodziami rybackimi,

pełnymi spiarniami, letnimi sukienkami, jasnymi okiennicami, ukwieconymi ardinierami, szklankami koktajlowymi, rusztami, hodowlami homarów, wiadrami i łopatami krył się błysk pieniędzy Brismanda, wpływy Brismanda.

I jeszcze „Brismand II”, na połę gotowy pół roku temu. Teraz zapewne był już ukończony i oczekiwał włączenia w plan Brismanda - jako wkład Jean-Claude’a w przedsięwzięcie. Zrozumiałam wreszcie rolę Flynn’a, punkt osiowy Brismandowskiego triumwiratu. Claude, Marin, Rouget. La Houssiniere, Les Salants, kontynent. Tkwiła w tym niepodważalna symetria - pożytek, rafa, zainteresowanie podtopionymi gruntami. Już wcześniej nie przejrzałam czasy planów Brismanda; jedyną niewiadomą w równaniu była zdrada Flynn’a.

Moja wylewna matka natychmiast opowiedziałaby o wszystkim pierwszej napotkanej osobie, ale ja byłam bardziej podobna do Grosjeana. Mamy więcej wspólnych cech, niż przypuszczałam; obydwójce zachowujemy nasze urazy w tajemnicy. Patrzymy na siebie od wewnątrz. Nasze serca są kolczaste i pokryte zwartymi łuskami, jak karczochy. Obiecałam sobie, że zachowam dyskrekcję. Najpierw dowiem się prawdy. Przeanalizuję ją spokojnie. Postawię diagnozę.

Musiałam jednak z kimś porozmawiać. Ale nie z Capucine, do której w zwyczajnej sprawie udałabym się od razu. Była zbyt ufna, zbyt spokojna. Podejrzliwie nie leżała w jej naturze. Ponadto przepadała za Rougetem i nie chciałam jej niepokoić bez potrzeby - przynajmniej dopóki nie zbadam głębi jego zdrady. Oszukał nas, owszem. Jego motywy jednak nadal pozostawały niejasne. Mógł jeszcze jakim cudem okazać się niewinny. Pragnęłam, oczywiście, by tak się stało. Ale prawdopodobnie czuła mnie, ta, którą odziedziczyłam po Grosjeanie, nieubłaganie się temu sprzeciwiała. Później, nakazałam sobie. Później przyjdzie na to czas.

Toinette? Wiek obdarzył ją szczególnym dystansem do rzeczywistości; obserwowała rywalizację salanian z leniwą obojętnością, bo już od dawna nic jej nie bawiło. Niewykluczone, że odgadła, kim naprawdę jest Rouget, lecz ukrycie tego przyniosło jej - z niezgłębionych przyczyn - wewnętrzny satysfakcję.

Aristide? Matthias? Głowy rybackich rodzin. Gdybym pisnęła choć słowo któremukolwiek z nich, całe Les Salants poznałoby prawdę jeszcze przed wschodem słońca. Trudno było sobie wyobrazić reakcję. Omer? Angelo? Wykluczone. Niemniej musiałam się komuś zwierzyć. Choćby po to, by sprawdzić, czy nie popadam w obłęd.

Przez otwarte okno dobiegały nocne odgłosy z wydm. Od La Goulue napłynął zapach soli, stygnącej ziemi, miliona drobnych istot o ywaj cych pod gwiazdami. Grosjean zapewne siedział teraz w kuchni z filiżanką kawy, wpatrzony jak zawsze w okno, w cichym wyczekiwaniu...

Oczywi cię. Powiem o tym mojemu ojcu. Przecież nikt tak jak on nie potrafi dochować sekretu.

Podniósł głowę, gdy weszłam. Twarz miał obrzmiały i napięty; oklapł na kuchennym krzeselku jak figura ulepiona z ciasta. Wezbrała we mnie nagła fala miłości i współczucia dla biednego, milczącego Grosjeana o smutnych oczach. Tym razem to dobrze, pomyślałam sobie. Tym razem nie musiał nic mówić, tylko słuchać.

Pocałowałam go, zanim usiadłam naprzeciw niego przy stole. Dawno tego nie robiłam i przez jego twarz przemknął cień zaskoczenia. Uwiadomiłam sobie, że od przyjazdu mojej siostry prawie nie odzywałam się do ojca. Biedny, on również się do mnie nie odzywał.

- Przepraszam, tato - powiedziałam. - Przecież ty w niczym nie zawiniłeś.

Nalałam nam kawy - odruchowo wsypałam mu cukier do filiżanki, tak jak lubił - i odchyliłam się na oparcie krzesła. Zapewne trzymał okno otwarte, gdy pod lampką były siemy, przesłaniając światło. Czułam zapach morza i wiedziałam, że nadchodzi przypływ.

Nie jestem pewna, ile wypowiedziałam głosu. W okresie pracy w warsztacie zdarzało się nam rozmawiać bez słów, dzięki swoistej empatii - tak mi się wydawało. Ruch głowy, uśmiech, brak uśmiechu. Wszystko to może być bardzo wymowne dla kogoś, kto potrafi zrozumieć znaki. W dzieciństwie uważałam jego milczenie za zjawisko mistyczne, niemal boskie. Czytałam z pozostawionych przez niego notek jak wróżby z wnętrza zwierzęcia. Ustawienie filiżanki lub ułożenie serwetki mogło oznaczać zadowolenie lub niezadowolony; porzucona skórka chleba mogła odmienić bieg dnia.

To już należało do przeszłości. Kiedy go kochałam; kiedy go nienawidziłam. Nigdy go tak naprawdę nie widziałam. Teraz zobaczyłam przy stole smutnego, milczącego, starego człowieka. Jak ta miłość nas ogłupia. Jacy stajemy się przez nią brutalni.

Popęłniałam błęd, myślałam, że muszę na wszystko zapracować. Zasługę. Naturalnie, odezwała się we mnie wyśpa; przekonanie, że wszystko kosztuje, za wszystko trzeba zapłacić. Ale zasługi nie mają z tym nic wspólnego. Inaczej kochalibyśmy tylko tych. Wielokrotnie

popęniałam ten błęd. Z Grosjeanem. Z moją matką. Z Flynnem. Może nawet z Adrienne. Przede wszystkim zaszkodziłam sobie, starając się tak usilnie zasłużyć na miłość, na własne miejsce, na garstk ziemi, że przeoczyłam to, co najważniejsze.

Przykryłam ręką jego dłoń. Była gładka i wytarta jak kawałek drewna wyrzuconego przez morze.

Miłość mojej matki wyrażała się żywiołowo: moja była zawsze posępna i skryta. Odzywała się we mnie wyspa, krew Grosjeana. Zamykali my się w sobie jak małże. Otworzenie nas przerażało. Pomyślałam o ojcu wpatrującym się w morze z grzbietu urwiska. Tak długo czekał, by Sainte-Marine wywiłała się z obietnicy. Grosjean nigdy do końca nie uwierzył, że P'titjean odszedł na zawsze. Ciało wyłowione wraz z „Eleanore” z La Goulue, wygładzone i pozbawione rysów niczym obdarta ze skóry foka, mogło być kimkolwiek. Lubił milczenia - czy zawarł taki pakt z morzem, zaofiarował swój głos w zamian za powrót brata? Czy raczej popadł w nawyk, pielęgnował w sobie dziwactwo, dopóki mówienie nie zaczęło mu sprawiać poważnych trudności, a w chwilach napięcia graniczył z niemożliwością?

Oczy Grosjeana wwierciły się w moje. Bezgło nie poruszył wargami.

- Co? Co mówisz?

Wydało mi się, że słyszę chrapliwy szept, zaledwie jedno słowo. P'titjean. Jego pełne ekspresji dłonie zacisnęły się w pięści, rozdrażnione oporem języka.

- P'titjean?

A poczerwieniał z wysiłku, lecz nie zdołał wydobyć głosu. Poruszał tylko ustami. Wskazał ciany i okno. Jego ręce zafalowały zwinnie, imitując wzbierający przypływ. Odegrał niezwykle wyrazistą pantomimę: zgarbił się, wetknął ręce w kieszenie. Brismand. Potem z naciskiem wykonał dwa gesty w powietrzu, jeden wyżej, drugi niżej. Duży Brismand, mały Brismand. I zamasztył ruch w stronę La Goulue.

Otoczyłam go ramionami.

- Wszystko dobrze. Nie musisz nic mówić. Wszystko dobrze.

Sprawała wrażenie drewnianej rzeźby, bezlitosnej karykatury samego siebie, wykonanej przez niedbałego rzemieślnika. Czułam rozpaczliwe, niezrozumiałe ruchy jego warg i oddech przesycony wonią gitany'ów i kawy. Nawet w moich objęciach jego dłonie trzepotały po bokach, dziwnie delikatnie, podejmując próby przekazania czegoś bardzo ważnego.

- Wszystko dobrze - powtórzyłam. - Nie musisz nic mówić. To nie ma znaczenia.

Ponownie odegrał pantomim : Brismand. P'titjean. Ponownie wskazał La Goulue. Łódź ? „Eleanore”? Jego oczy miały błagalny wyraz. Pociągnął mnie za rękaw i z uporem powtórzył gest. Nigdy jeszcze nie widziałam go tak poruszonego. Brismand. P'titjean. La Goulue. „Eleanore”.

- Napisz to na kartce, jeśli cię tak zależy - poprosiłam wreszcie. - Znajdź ołówek.

Zaczęłam grzebać w kuchennej szufladzie i w końcu wyszukałam ołówek czerwonej kredki i skrawek papieru. Ojciec spojrział, lecz nie sięgnął po nie. Przesunęłam je po stole w jego stronę.

Grosjean pokręcił głową.

- No, proszę cię. Napisz.

Popatrzył na kartkę. W jego grubych palcach kredka wydawała się groteskowo mała. Zaczęłam pisać niezdarnie, z wysiłkiem, bezładu i złości, z jaką niegdyś zszywał aglety i strugał zabawki. Zanim jeszcze spojrzałam, wiedziałam, co napisał. Nie pamiętałam, by kiedykolwiek pisał coś innego. Własne imię i nazwisko, Jean-Francois Prasteau, dużymi, niepewnymi literami. Zapomniałam nawet, że jego pełne imię brzmi Jean-Francois. I dla mnie, i dla wszystkich zawsze był Grosjeanem. Nigdy nic nie czytał, wolał przeglądać rybackie czasopisma z kolorowymi zdjęciami; nigdy nie pisał - przypominały mi się moje listy z Paryża, na które nie dostałam odpowiedzi. Zawsze sidiłam, że mój ojciec nie lubi pisać. Teraz zrozumiałam, że nie umie.

Zastanawiałam się, jakie jeszcze tajemnice zdołał przede mną ukryć. I czy moja matka wiedziała. Siedział nieruchomo, zwiesiwszy ramiona, jak gdyby wysiłek związany z napisaniem własnego nazwiska pozbawił go resztek energii. Zdałam sobie sprawę, że próba porozumienia dobiegła końca. Porażka - a może obojętność - wygładziła jego rysy tak, i stały się pogodnie niczym u posągów Buddy. Ponownie spojrział w kierunku La Goulue.

- Wszystko dobrze - powtórzyłam raz jeszcze i ucałowałam jego chłodne czoło. - To nie twoja wina.

Na zewnątrz zaczęła padać długo wyczekiwany deszcz. W jednej chwili wydmy za domem wypełnił szept tysięcy kropel, płynących ku La Bouche rowkami wyłobionymi w piasku. Korony ostów rosnących na piasku zaliły od deszczu. Daleko na horyzoncie pojawił się samotny czarny agiel nocy.

W letnie noce nigdy nie bywa zupełnie ciemno i niebo zaczynało już jaśnieć, gdy wolnym krokiem maszerowałam w stronę La Goulue. Przeszłam ostro nie przez wydmę, czując puszyste kitki traw, ocierając się o moje gołe kostki, a potem wdrapałam się na dach blokhauzu, by obserwować wzbierający przypływ. Na Bouch'ou mrugały dwa wiatelka, zielone i czerwone, oznaczając położenie rafy.

Wydawała się tak dobrze zakotwiczona. Bezpieczna, podobnie jak całe Les Salants. A mimo to sytuacja uległa zmianie. Rafa już nie należała do nas. Tak naprawdę nigdy do nas nie należała. Nasze marzenie opierało się na pieniędzach Brismanda, machinacjach Brismanda, kłamstwach Brismanda.

Dlaczego to zrobili?

Chyba zawładnąć Les Salants. Napomknęłam o tym sam Brismand. Ziemia wciąż jest tutaj tania; odpowiednio wykorzystana, może przynieść zysk. Jedynie mieszkańcy sprawiają kłopot, trwając uparcie przy swoich działkach, których nie potrafią sprzedać ani docenić; tkwią w miejscu, wykazując niewiele rozumu i ambicji niż łowione przez nich skorupiaki.

Cenione przez smakoszy okładniczki, które potrafią zakopać się do głębości trzech metrów w mokrym piasku, można bez trudu wyłowić, gdy zmienia się fala pływowa, a one wystawiają nosy, wietrząc zapach otwartego morza. Brismandowie ze swoimi pieniędzmi odmienili jedynie kierunek fal i czekali, aż wychyniemy z kryjówek. Niczym homary w wiwariu Guenole i Bastonnetów obrastali my tłuszczem i nabierali nadziei, zupełnie się nie domyślając, dlaczego nas oszczędzono.

Na Le Devin długie to wiaty. Zwrócenie go jest kwestią honoru. Niespłacenie - rzecz nie do pomyślenia. Plaża pochłonęła nasze oszczędności, rulony monet ukryte pod podłogą i pudełka z banknotami odłożonymi na czarną godzinę. O mieleni sukcesem, zapoczątkowali się pod zastaw naszych nadziei. Uwierzyli w szczytowy pass. Był to w końcu pomyślny rok.

Znowu pomyślałam o „metalowym prosiaku” w warsztacie szkodniczym we Fromentine i przypomniałam sobie pytanie Capucine: dlaczego Brismand miałby być zainteresowany kupnem zalanych gruntów? Może to nie budowlane działki go interesują, przyszło mi nagle do głowy. Może od samego początku zależało mu na gruntach zalanych wodą.

Zatopione ziemie. Ale dlaczego chciał je mieć? Na co mogły mu się przydać?

I nagle zrozumiałam. Przyszedła dla promu.

Gdyby Les Salants zniknęło pod wodę - a jeszcze lepiej, gdyby morze oddzieliło je

całkowicie od La Houssiniere prom mógłby wpływać w poszerzony przesmyk i dobija do przystani. Należałoby wyburzyć domy i zatopić cały obszar wioski. Pomieściłyby się tam wówczas co najmniej dwa promy. Brismand, gdyby zechciał, obsługiwałby wszystkie wyspy u wybrzeży kontynentu, zapewniając stały napływ turystów na Le Devin. Wahadłowe rejsy nie pozwoliłyby się zmarnować faworyzowanym terenom La Houssiniere.

Popatrzyłam na Bouch'ou, na wiatelka mrugającej spokojnie nad wodą. To właśnie Brismanda, pomyślałam sobie. Dwanaście elementów konstrukcyjnych, złożonych ze stali i opon samochodowych i stalowych lin, zakotwiczonych w betonie na dnie morza. Swego czasu rafa wydawała mi się czymś trwałym; teraz przerażała mnie jej kruchość. Jak to możliwe, że pokładali my w niej tak wielkie zaufanie? Oczywiście wierzyli my wtedy, że Flynn jest po naszej stronie. Wydawało się nam, że tacy jesteście my przebiegli. Sprzedajcie mi Brismandowi sprzed nosa kawałek Les Immortelles. On tymczasem umacniał swoją pozycję, obserwował nas, wabił, zdobywał nasze zaufanie, podnosił stawki przed naszymi oczyma...

Poczułam się nagle bardzo zmęczona. Rozboleła mnie głowa. Z okolic La Goulue dobiegł dźwięk - monotony wiatr w ród skał, słyszalna zmiana w powietrzu - pojedynczy, wibrujący dźwięk, niemal jak głos zatopionego dzwonu. A potem, między uderzeniami fal, niesamowita cisza.

Jak wszystkie natchnione pomysły, plan Brismanda okazał się genialny w swojej prostocie. Teraz pojąłam, w jaki sposób można było nas złamać, wykorzystując do tego nasz *bon pass*. Jak nam manipulowano, podsycano wiarę w nasz niezależność, podczas gdy krok po kroku wchodziliśmy w pułapkę. Czy to właśnie usiłował mi przekazać GrosJean? Czy tak tajemniczo skrywały jego zasmucone oczy?

Z zachodu napłynęło ciepłe powietrze, pachnące solą i kwiatami. Poniżej wiatro przed wiatem rozjaśniało grebe, a ciemnoszary pas wody odcinał się od mrocznego nieba. „Eleanore II” wyszła już w morze, a za nią w tym samym oddaleniu płynęła „Cecilia”. Z tej odległości wydawały się nieruchome, przytłoczone ciężkimi chmurami.

Przypomniała mi się inna, dawna noc, ta, podczas której ustawialiśmy rafę. Nasz plan wydawał się wówczas niewiarygodnie ambitny, budził nabożny podziw swoim rozmachem. Wykrańca. Zmienił linię brzegu, jakby my byli bogami. Ale plan Brismanda - krył się za nim my i usunął w cień nasze drobne ambicje.

Wykrańca całe Les Salants.

Teraz pozostało mu tylko przesunąć ostatni pionek, by wszystko stało się jego własnością.

57

- Domyślam się, co tu robisz o tak wczesnej porze - oznajmiła Toinette.

Przechodziłam obok jej domu w drodze powrotnej do wioski. Wraz z przypływem mgła uniosła się nad morza i zasnuła słońce, co mogło zwiastować deszcz. Toinette miała na sobie ciepłą pelerynę, na dłoniach rękawiczki, i karmiła kózki obierkami z warzyw. Koza polizała bezczelnie rękaw mojej vareuse. Odepchnąłem ją z lekkim rozdrażnieniem.

Toinette zachichotała.

- Udar słoneczny, moja mała, nic więcej mu teraz nie dolega. Ha, to może być nieprzyjemne przy jego rozcieńczonej północnej krwi, ale go nie umierci, o nie. - Umiechnęła się do mnie. - Za dzień lub dwa będzie jak nowy. Teraz jesteś spokojniejsza? Czy o to chciała zapytać?

Nie od razu zrozumiałam, o co jej chodzi. Prawdopodobnie, byłam tak pogromiona w myślach, że zepchnąłem chorobę Flynną - gdy już wiedziałam, że nic mi nie grozi gdzieś w zakamarki umysłu, czuję coś w rodzaju tego bólu. To nagłe przypomnienie kompletnie mnie zaskoczyło i poczułam, że płonę mi policzki.

- Tak naprawdę chciałam się dowiedzieć, co słychać u Mercedes.

- Gonię ją do roboty - wyznała staruszka, oglądając się przez ramię. - Pracuje na okrągło. No i bez przerwy ktoś się tu wala; młody Damien Guenole zakrada się późną nocą, Xavier Bastonnet nie chce nas zostawić w spokoju, a jej matka co i rusz przychodzi i wydziera się jak opętana. Przysięgam, że jeśli ta kobieta jeszcze raz się tu zjawi... Ale co z tobą? - Przeszyła mnie bystrym spojrzeniem. - Nie wyglądasz najlepiej. Chyba nie bierze ci jakieś choróbko, co?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

- Niewiele spałam tej nocy.

- Przyznam, że ja także. Ale podobno rudi to szczęście. Nic się nie martw. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby jeszcze dziś wrócił do domu.

- Hej! Mado!

Wołanie dobiegło zza moich pleców; odwróciłam się, widząc za ten przerywnik. To Gabi i Letycja wracały z zakupami. Letycja pomachała do mnie zamaszycie z grzbietu wydmy.

- Widziałaś duży statek? - zapytała.

Pokr ciłam głow . Letycja nieokre lonym gestem wskazała La Jete.

- Jest super! Id i zobacz! - Ruszyła w podskokach ku pla y, ci gn c za sob Gabi.

- Pozdrów ode mnie Mercedes - poprosiłam Toinette. Powiedz, e o niej my l .

- Ha. - Toinette miała podejrzliw min . - Mo e przejd si z tob kawałek. Du y statek, ha?

- Dobrze.

Z wioski zobaczyły my go wyra nie: podłu ny, ciemny kształt, przesłoni ty biał mgł za Point Griznoz. Za mały jak na tankowiec, ró ni cy si budow od promu pasa erskiego, mógł by jakim statkiem-przetwórni - tyle e znali my wszystkie przepływaj ce t dy jednostki i nie była to adna z nich.

- Mo e ma kłopoty? - Toinette spojrzała na mnie. - Albo czeka na przyptyw?

Zapytałam o zdanie Aristide'a i Xaviera, którzy oczyszczali sieci nad przesmykiem.

- Ma chyba co wspólnego z tymi meduzami - wysun ł przypuszczenie Aristide, wyci gaj c z wi cierzna dorodnego kraba dormeur. - Stał tam ju , jak wypływali my. Zaraz za Nid'Poule, du a rzecz, ha, z maszynami i ró nymi takimi. Jojo-le-Goeland powiada, e to rz dowy statek.

Xavier wzruszył ramionami.

- To by była lekka przesada. W ko cu chodzi tylko o par meduz, co jeszcze nie oznacza ko ca wiata.

Aristide rzucił mu ponure spojrzenie.

- Par meduz, ha? Nic nie rozumiesz. Ostatnim razem, kiedy to si zdarzyło... - Ugryzł si w j zyk i wrócił do swojej sieci.

Xavier za miał si nerwowo.

- Przynajmniej Rouget wyjdzie z tego - powiedział. Jojo mi mówił dzi rano. Posłałem mu butelk devinnoise.

- Uprzedzałem ci , eby nie wdawał si w pogaduszki z Jojo-le-Goelandem.

- Nie wdawałem si .

- Lepiej by zrobił, pilnuj c własnych spraw. Gdyby był m drzejszy, miałby wi ksze szans u Prossage'owny.

Xavier, rumieni c si , odwrócił wzrok. Toinette wzniosła oczy ku niebu.

- Zostaw go w spokoju, Aristide - wtr ciła ostrzegawczym tonem.

- No cóż - burknął Aristide - myślałem, że chłopak mojego syna ma więcej oleju w głowie.

Xavier nie zwracał na nich uwagi.

- Rozmawiała z nimi, prawda? - spytał cicho, gdy zbierałam się do odejścia. Skinęłam głową. - Jak wyglądała?

- A co ci to obchodzi, ha? - zbesztął go Aristide. - Wyszedłam przez nich na kompletnego idiotę, bez dwóch zdań. Co się za tym kryje babki...

Zirytowana Toinette pokazała mi język, tak nieoczekiwanie, że nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

Xavier zignorował obojga. Niepokój zagłuszył jego śmiech.

- Dobrze się czuje? Spotka się ze mną? Toinette nic nie chce powiedzieć.

- Jest zagubiona - odparłam. - Na razie nie wie, co ma robić. Daj jej trochę czasu.

- Jeszcze czego! - prychnął Aristide. - Miała swój szansę. Są na świecie lepsze dziewczyny. Przyzwyczaj się.

Xavier milczał, lecz dostrzegłam wyraz jego twarzy. Toinette nastroszyła się.

- Moja Mercedes nie jest przyzwyczajona?

Po piesznym otoczyłam ją ramieniem.

- Chodźmy. To nie ma sensu.

- Niech on najpierw odwoła, co powiedział!

- Proszę, Toinette. Chodź. - Zerknęłam na statek, sprawiający dziwne złowieszcze wrażenie na tle bladego horyzontu. - Kto to może być? - mruknęłam prawie niesłyszalnie. -

I co tu robisz?

Tego ranka wszyscy w wiosce wydawali się jacyś niespokojni. W sklepie Prossage'ów nie zastałam nikogo za ladą, a z pomieszczenia na zapleczu dobiegały podniesione głosy. Wziłam chleb i zostawiłam pieniądze obok kasy. Omer i Charlotte nadal sprzeczali się za moimi plecami; w nieruchomym powietrzu ich głosy nabierały niesamowitego brzmienia. Matka Ghislaina i Damiena, z głową obwieszoną szmatką, oskrobywała wiaderka przy wiwarium. Bar Angela wiecił pustkami, jeżeli nie liczyć Matthiasa, siedzącego samotnie nad kafe-devinnoise. Turystów prawie nie było, może z powodu mgły. Ciężkie powietrze pachniało dymem i nadciągającym deszczem. Nikt nie miał ochoty rozmawiać.

W drodze powrotnej natknęłam się na Alaina z gitane'em w rękach. Podobnie jak jego

ona, wyglądał blado i mizernie. Pozdrowiłam go skinieniem.

- Nie płyniesz dziś na połów?

Pokręcił głową.

- Szukam mojego syna - poinformował mnie. - A gdy go znajdę, przysięgam, że po niego pójdę.

Wedle wszelkich oznak, Damien nie wrócił do domu na noc. Gniew i troska wyłożyły mu boki bruzdy między brwiami i wokół ust Alaina.

- Nie mógł się zbyt oddalić - powiedziałam. - Jak daleko da się zejść na wyspie?

- Dostatecznie daleko - odparł posępnie Alain. - Zabrał „Eleanore II”.

Zostawili łódź zacumowaną w La Goulue. Alain zamierzał popłynąć rano z Ghislainem na La Jete i sprawdzić, czy są tam meduzy.

- Pomyślałem, że może chłopak będzie chciał się z nami zabrać - wyjąknął z gorczy. - Ale to go oderwie od innych spraw.

Gdy jednak przybyli na plażę, okazało się, że „Eleanore II” zniknęła bez śladu. Niewielki platt, z którego korzystali podczas przypływów, był przycumowany obok boi.

- Co on sobie wyobraża? - zapytał się Alain. - Ta łódź jest za duża, żeby ją prowadzić samemu. Rozbije się. I dokąd się, u diabła, wybrał w taką pogodę?

Doszłam do wniosku, że o wściekłość musiałam widzieć „Eleanore II” ze swego punktu obserwacyjnego na zewnątrz blokhauzu. Która to była godzina? Trzecia? Czwarta? „Cecilia” również znajdowała się w zatoce, aczkolwiek tylko w celu sprawdzenia wycierzy na homary; już wtedy mgła zaczynała gęstnieć, a Bastonnetowie mają do rozumu, żeby w takich warunkach nie ryzykować utknięcia na mieliźnie.

Alain pobał, gdy mu o tym powiedziałam.

- Co ten chłopak wyprawia, ha? - jęknął. - O, jak go znajdę... Chyba nie przypuszczasz, że zrobił coś naprawdę głupiego? Nie próbuje popłynąć na kontynent?

Z pewnościami. Kurs z Fromentine zajmuje „Brismandowi I” prawie trzy godziny, a po drodze jest kilka niebezpiecznych miejsc.

- Nie wiem. Czemu miałby próbować?

Alain zrobił zakłopotany min.

- Powiedziałem mu kilka słów prawdy. Wiesz, jacy są chłopcy. - Przez chwilę wpatrywał się w swoje knykie. Może trochę za daleko się posunęłam. Zabrał część swoich rzeczy.

- O. - To brzmiało nieco poważnie.

- Skąd miałem wiedzieć, że tak głupio postąpię? - wybuchnął Alain. - Daj słowo, jak tylko go dostanę w swoje ręce... - Umilkł; wydawał się zmęczony i postarzały. - Jeśli coś mu się stało, Mado, jeśli coś się stało Damienowi... Gdyby go spotkała, daj mi znać, dobrze? - Spojrzał na mnie przenikliwie pełnymi troski oczyma. - On ci ufa. Powiedz mu, że nie będzie się żałował. Chcę tylko, żeby wrócił bezpiecznie.

- Powiem - obiecałam. - Na pewno jest gdzieś niedaleko.

58

południe mgła nieco się podniosła. Niebo nabrało jasnoszarego odcienia, zerwał się wiatr, a fala pływowa znowu się odwróciła. Szłam wolno w stronę La Goulue, bardziej zaniepokojona, niż by na to wskazywało optymistyczne pognięcie z Alainem. Od dnia, w którym pojawiły się meduzy, wszystko balansowało na granicy rozpadu; nawet pogoda i pływy sprzysięgiły się przeciw nam. Zupełnie jakby Flynn był Szczurołapem z Hameln i zabrał ze sobą, odchodząc, całe nasze szczęście.

Plaża w La Goulue niemal całkowicie opustoszała. W pierwszej chwili byłam zaskoczona, ale przypominałam sobie ostrzeżenie przed meduzami i zaraz potem zauważyłam nad wodą białą falbanę, znacznie grubszą niż morską pianę. Wczynie usunięto sieci i przypływ wyrzucił dziesiątki stworzeń o przezroczystych ciałach, które nabierały mlecznego zabarwienia, gdy zdychały na brzegu. Plaża koniecznie należała do ciebie. Zważywszy groźbę niebezpieczeństwa, jak najszybciej.

Tu nad linią przypływu dostrzegłam jakąś postać, odwróconą do mnie plecami; stała niemal w tym samym miejscu, co wczynie Damien. Mógł to być ktoś dy: spłowiata vareuse, twarz osłonięta szerokim rondem słomkowego kapelusza. Nie wątpiłem, że to z wyspy. Ale ja od razu wiedziałam, kto to jest.

- Cześć, Jean-Claude. A może powinniśmy ci teraz nazywać Brismandem Drugim?

Musiał usłyszeć moje kroki, bo nie okazał zaskoczenia.

- Mado. Marin już mi powiedział, że wiesz. - Podniósł kawałek drewna i dęknął nim jednym z dychających meduz. Miał bandaż na ramieniu. - Nie jest aż tak źle, jak ci się wydaje. Nikt nie zostanie na łodzi. Uwierź mi, że mieszkać w Les Salants tylko na tym zyskaj. Naprawdę myślałem, że dopuszczę do jakiejś okropności?

- Nie wiem, co zamierzasz - odparłam przygnębiona. Nie wiem nawet, jak mam się teraz

do ciebie zwraca .

Odniosłam wrażenie, że go to ubodło.

- Mów mi Flynn - powiedział. - Tak się nazywała moja matka. Nic się nie zmieniło, Mado.

Łagodnie brzmienie jego głosu omal nie doprowadziło mnie do łez. Zamknęłam oczy i pozwoliłam się ogarnąć fali zimna. Dobrze, że nie próbował mnie dotknąć.

- Wszystko się zmieniło! - Nie potrafiłam już zapanować nad głosem. - Okłamała nas! Okłamała mnie!

Jego rysy stwardniały. Wyglądał na chorego, był blady i wymizerowany. Na lewym policzku miał ślady oparzenia słonecznego. Lekko skrzywił usta.

- Mówiłem ci to, co pragnęła usłyszeć - odrzekł. - Zrobiłem, co chciała. Wtedy była zadowolona.

- Ale nie robiłem tego dla nas! - Nie mogłam uwierzyć, że on jeszcze próbuje usprawiedliwić swój zdrajcowski. - Dbał tylko o wasze sprawy. I to ci się opłaciło, prawda? Spółka z Brismandem i konto w banku.

Flynn z nieoczekiwaną brutalnością kopnął zdechłą meduzę.

- Nie masz zielonego pojęcia, o co tu chodzi - wyrzucił z siebie. - Skąd miałabyś mieć? Zawsze zależało ci tylko na tym miejscu. Nigdy nie musiałaś się zastanawiać nad tym, że mieszkasz w cudzym domu, nikogo nie obchodzisz, nie masz ani pieniędzy, ani pracy, ani przyszłości. Zapragnęłam czegoś więcej. Gdybym chciał na tym poprzestać, nie ruszałbym się z Kerry. - Kopnął martwą meduzę. - Obrzydlistwo. - Spojrzał na mnie z nagłym wyzwaniem. - Powiedz mi prawdę, Mado. Zadałaś sobie kiedyś pytanie, co by było, gdyby historia potoczyła się inaczej? Nic ci nigdy nie kusiło?

Zignorowałam pytanie.

- Dlaczego Les Salants? Dlaczego nie przywarowali ci cicho w La Houssiniere?

Skrzywił usta.

- Niełatwo dojść do porozumienia z Brismandem. Lubi wszystko kontrolować. Sama wiesz, że nie powitał mnie z otwartymi ramionami. To wymagało czasu. Planowania. Roboty. Mógł kazać mi pracować latami. To by mu najbardziej odpowiadało.

- W związku z czym my zaopiekowaliśmy się tobą, żeby mógł go przekonać.

- Zapłaciłem za siebie - oznajmił gniewnie. - Na wszystko zapracowałem. Nic wam nie

jestem dłu ny. - Wykonał nagły gest zdrow r k , płosz c rozwrzeszczane stado mew. - Nie wiesz, jak to jest - powtórzył półgłosem. - Ja połow ycia sp dziłem w biedzie. Moja matka...

- Przecie Brismand przysyłał ci pieni dze - przerwałam.

- Owszem, przysyłał. Dla... - Ugryźł si w j zyk. - To nie wystarczyło - dodał beznami tnym tonem. - W najmniejszym stopniu. - Na moją wzgardliwą min odpowiedział wyzywającym spojrzeniem.

Cisza zawisła nad nami jak chmury.

- No wi c - nadałam głosowi beznami tny ton - kiedy to nast pi? Kiedy wasi ludzie rozmontuj Bouch'ou?

To go zaskoczyło.

- Kto tak powiedział?

Wzruszyłam ramionami.

- Przecie to oczywiste. Wszyscy s zadłu eni u Brismanda. Wszyscy liczą na poka ne zyski w tym sezonie. S mu winni mas pieni dzy. Ale gdy zabraknie rafy, b d musieli sprzeda domy po najni szych cenach, eby spłaci długi. Za rok Brismand wkroczy do akcji. Pozostanie mu tylko zaczeka na powrót dawnych przyptywów i rozpocz budowę nowego portu dla promów. Zgadłam?

- Prawie - przyznał.

- Ty sukinsynu. Czy to był twój pomysł, czy jego?

- Mój. A wła ciwie twój. - Wzruszyłam ramionami. - Je li mo na ukra pla , to czemu nie wiosk ? Czemu nie cała wyspa ? Ju i tak w połowie nale y do Brismanda. Druga połowa znajduje si praktycznie pod jego kontrol . Zaproponował mi spółk . Teraz... - Dostrzegł wyraz mojej twarzy i zmarszczył brwi. - Nie patrz tak na mnie, Mado. Nie jest a tak le, jak my lisz. Ka dy b dzie miał wybór.

- Jaki wybór?

Odwrócił si do mnie z błyskiem w oczach.

- Ach, Mado, czy uważasz nas za potworów? S mu potrzebni robotnicy. Pomyśl, jakie znaczenie dla wyspy miałby taki port. Praca. Pieni dze. ycie. Znajdzie si robota dla wszystkich z Les Salants. Lepsza ni to, co mają teraz.

- Przypuszczam, e nie za darmo. - Obydwoje znali warunki Brismanda.

- I co z tego? - Wydało mi si , e słysz w jego głosie obronn nut . - W czym problem?

Praca dla każdego, dobre zarobki, ruch w interesie. Teraz panuje chaos, ka dy ci gnie w swoj stron . Ziemia si marnuje, bo nikt nie ma pomysłu ani pieni dzy na jej wykorzystanie. Brismand mo e to zmieni . Wszyscy zdajecie sobie z tego spraw , ale duma i upór nie pozwalaj wam si do tego przyzna .

Zmierzyłam go spojrzeniem. Mówił tak, jakby naprawd wierzył we własne słowa. Na jedn krótk chwil prawie mnie przekonał. To brzmiało kusząco: porządek zamiast chaosu. Tania sztuczka, jak przelotny błysk słońca na wodzie, który przyciąga oko zaledwie na moment, lecz to wystarcza, by odwrócić uwagę człowieka od groźnych skał w pobliżu, niekiedy z fatalnym skutkiem.

- A co ze staruszkami? - Wykryłam luk w jego rozumowaniu. - Co z tymi, którzy nie mog lub nie chc bra udziału w waszym przedsięwzięciu?

Ponownie wzruszył ramionami.

- Zawsze pozostaje „Les Immortelles”.

- Nie zgodz się . S salanianami. Wiem, e się nie zgodz .

- A my liz, e b d mieli wybór? Tak czy inaczej, wkrótce się przekonamy - dodał łagodnie. - Dzi wieczorem u Angela odb dzie się zebranie.

- Im pr dzej, tym lepiej. Póki ci nadmorscy kontrolerzy nie odpłyn li.

Spojrzał na mnie z uznaniem.

- O, wi c widziała statek.

- Bez niego byłoby warn trudno usun Bouch'ou mrukn łam wzgardliwie. - Jak mi sam kiedy powiedziało , jest to konstrukcja nielegalna. Pozaplanowa. Powoduje szkody. Wystarczy szepnąć słowo wła ciwej osobie, usi wygodnie i zaczeka , a urz dniczy was wyrz .

Musiałam przyzna , e było to zr czne posuni cie. Salanianie obawiają się urz dników, władza ich onie miała. Tam gdzie zawodzi dynamit, poskutkuje słu bowy notatnik.

- Nie planowali my natychmiastowej akcji, ale i tak trzeba byłoby znale jakiś pretekst, eby ich wezwa - poinformował mnie Flynn. - Meduzy nie le się do tego nadawały. Szkoda tylko, e padłem ich ofiar . - Z niesmakiem wskazał zabanda owane ramię .

- Przyjdiesz na to dzisiejsze zebranie? - spytałam, ignorując jego ostatni uwag .

Umiechn łą si lekko.

- Nie s dz . Chyba wróć na kontynent i tam zajm się swoj robot . Co mi się zdaje, e nie b d szczególnie lubiany w Les Salants, gdy usłysz , co Brismand ma im do powiedzenia.

Przez chwilę byłam pewna, że zamierza mnie poprosić, bym z nim wyjechała. Moje serce zatrzepotało jak konająca ryba; ale on już się odwrócił. Poczułam niejasną ulgę; przynajmniej jako czył sprawę czysto, bez dalszego udawania.

Milczenie rozdzieliło nas niczym ocean. Daleko, za płyciznami, szmerły fale. Zdumiewało mnie, że tak niewiele czuję; byłam pusta jak suchy patyk, lekka jak piana. Mgliste obłoki przecinały słone jasnym pasmem. Mrucząc oczy w tym zwodniczym świetle, dostrzegłam - jak mi się zdawało - jak łódź, daleko na La Jette. Pomyślałam o „Eleanore II” i spojrzałam uważnie, lecz nic już nie zobaczyłam.

- Wszystko będzie dobrze - odezwał się Flynn. Jego głos ciążył mi z powrotem na ziemi. - Zawsze znajdzie się dla ciebie praca. Brismand wspominał, że pomoże ci założyć galerię w La Houssinière albo nawet na kontynencie. Dopilnuj, żeby wyszukał dla ciebie ładny dom. Będzie ci o wiele lepiej niż w Les Salants.

- Co ci to obchodzi? - fuknąłam. - Przecież tobie dobrze się układa.

Spojrzał na mnie i twarz jego zmierzchnęła.

- Owszem - odparł twardym, mocnym głosem. - Układa mi się świetnie.

59

Spóniłam się na zebranie. O dziewiętej było już po wszystkim, jeżeli nie liczyć wrzawy, która zapewne wybuchła wcześniej. Już z Rue de l’Ocean słyszałam podniesione głosy, tupanie i uderzenia pięści w stół. Zajrzawszy przez okno, zobaczyłam Brismanda stojącego przy barze z kieliszkiem devinnoise w ręku; miał minę pobłażliwego nauczyciela w klasie pełnej niesfornych uczniów.

Flynna nie było. Nie spodziewałam się, że przyjdzie - jego obecność niewątpliwie przekształciłaby owo i tak bezładne zgromadzenie w rozruchy lub zgołą pogrom - lecz mimo to poczułam dziwne ukłucie w sercu. Otrząsnęłam się, zła na siebie.

Brakowało jeszcze kilku osób: Guenole i Prossage’ów zapewne wciąż szukali Damiana - Xaviera, Grosjeana. Pozostali Salanie zjawili się niemal w komplecie, wraz z onami i dziećmi. Ludzie tłoczyli się wokół stolików, jeden przy drugim; aby uzyskać więcej miejsca, otwarto i zaklinowano drzwi. Nic dziwnego, że Angelo wydawał się oszołomiony: wpływy z tego wieczoru zapowiadały się rekordowo.

Nadchodził przypływ; ciemnofioletowa, poszarpana burzowa chmura przesłaniała

horyzont. Wiatr zmienił kierunek na południowy, jak to się często zdarza przed sztormem. Powietrze pochłodziło.

Mimo to stałam nadal przy oknie, próbując rozpoznać poszczególne głosy, ocierając się z wejściem. Widziałam Aristide'a i Desiree, trzymając się za rękę; tu obok zauważyłam Philippe'a Bastonneta z rodziną - była z nimi nawet Letycja i pies Petrole. Choć Aristide nie rozmawiał z Philippe'em, jego postawa wydawała mi się nieco mniej agresywna, jak gdyby coś w nim oklapło, pozbawione życiowej podpory. Odkąd dowiedział się o Mercedes, stracił wiele z dawnej pewności siebie i pod pozorami szorstkości skrywał dezorientację i bezradność.

Nagle usłyszałam za sobą jakiś dźwięk. Odwróciwszy się, zobaczyłam Xaviera Bastonneta i Ghislaina Guenole, zbiegających ramię w ramię ze zbocza wydmy. Ich twarze miały zacięty wyraz. Nie patrzcie na mnie, ruszyli natychmiast w stronę ścieżki, wypełnionej teraz morską wodą z wezbranej fali przyływu. Cumowała tam „Cecilia”.

- Chyba nie zamierzacie nigdzie wypływać? - zawołałam za nimi, gdy Xavier zaczął luzować cumy.

Ghislain miał posępny min.

- Przy La Jetee widziano łódź - odrzekł krótko. - W tej mgle nic nie widać, więc musimy dostać się bliżej.

- Nic nie mów dziadkowi - poprosił Xavier, zmagając się z silnikiem „Cecylii”. - W ciekłby się, gdyby wiedział, że wypływam z Ghislainem w taką noc. Ci głępowtarza, że to lekkomyślność Guenole zabiła mojego ojca. Ale jeżeli Damien tam jest i nie może wrócić ...

- A Alain? - zapytałam. - Czy ktoś jeszcze nie powinien popłynąć z wami?

- Poszedł z Matthiasem do La Houssiniere - wzruszył ramionami Ghislain. - Pozostało niewiele czasu. Musimy doprowadzić tam „Cecilię”, zanim wiatr przybierze na sile.

Kiwnęłam głową.

- No to powodzenia. Uważajcie na siebie.

Xavier posłał mi nie miały uśmiech.

- Alain z Matthiasem są już w La Houssiniere. Trzeba ich zawiadomić. Powiedz im, że damy sobie radę.

Silnik zawarczał i ożył. Ghislain trzymał boczny „Cecylii”, Xavier zaś wyprowadził łódź spod podstemplowanych drewnem brzegów kanału do zatoki, a potem na otwarte morze.

Aristide nadal siedział u Angela, wolałam więc nie tłumaczyć zniknięcia Xaviera i „Cecylii” i postanowiłam sama zawiadomić Alaina.

Zanim dotarłam do La Houssiniere, zrobiło się niemal zupełnie ciemno. I było zimno; porywisty wiatr, który czułam już w Les Salants, wprawiał w wibrację druty i łopotał flagami na wysuniętych na południe krańcach wyspy. Na niebie kłębiły się ciemnofioletowe chmury, przesłaniając bladą smug nad plażą; grzbiety fal jeły się białym grzebieniami, a ptaki przysiadły wyczekując. Jojo-le-Goeland schodził z promenady, niosąc tabliczkę z informacją, i w związku z ostrzeżeniami meteorologów wieczorny kurs „Brismanda I” do Fromentine zostaje odwołany. Za Jojo kroczyła para turystów o ponurych minach; dwigali walizki i głośno wyrażali swoje niezadowolenie.

Nie dostrzegłam na promenadzie ani Matthiasa, ani Alaina. Stałam przy wale nadmorskim i zmrugałam oczy, przyglądając się Les Immortelles. Dostałam z zimna i ałowałam, że nie wzięłam płaszcza. Z kawiarni za moimi plecami dobiegł nagle wzmożony gwar, jakby ktoś otworzył drzwi.

- Przecież to Mado, ma soeur. Przyszła złożyć nam wizytę.

- Mała Mado, ha, wygląda na zmarzniętą. Bardzobardzo zziębła, doprawdy.

Wiekowe zakonnice, siostra Extase z siostrą Therese, wychynęły z „Chat Noir”, trzymając w dłoniach filiżanki z czymś, co przypominało café-devinnoise.

- Może by weszła do rodka, ha, Mado? Napij się czegoś gorącego.

Pokręciłam głową.

- Dzięki. Nie trzeba.

- Znowu ten zły południowy wiatr - zauważyła siostra Therese. - Brismand powiada, że to ten wiatr przywiał meduzy. Stają się istnym utrapieniem...

- ...co trzydzieści lat, ma soeur, kiedy nadchodzi fala od golfsztromu. Paskudztwa.

- Pamiętam tamten rok - podjęła siostra Therese. - On czekał i czekał w „Les Immortelles”, patrz na fale...

- ...lecz ona nie wróciła, prawda, ma soeur? - Obie pokręciły głowami. - Nie, nigdy już nie wróciła. Nigdyprzenigdy.

- O kim siostry mówią? - spytałam.

- Ale o tamtej dziewczynie, oczywiście. - Spojrzały na mnie równocześnie. - Kochał się

w niej. Obydwa się w niej kochali, ci bracia.

Bracia? Skonsternowana, wpatrywałam się w zakonnice.

- Maj siostry na myli mojego ojca i P'titjeana?

- Lato Czarnego Roku. - Siostry pokiwały głowami, uśmiechając się promiennie. -

Doskonale je pamiętam. Byłyśmy wtedy młode...

- ...a w każdym razie młodsze.

- Powiedziała, że wyjeżdża. Dała nam list.

- Kto? - zapytałam, zdezorientowana.

Siostry utkwiły we mnie czarne oczy.

- No przecie dziewczyna, rzecz jasna - odparła siostra Extase z pewnym zniecierpliwieniem. - Eleanore.

To imi tak mnie zaskoczyło, że w pierwszej chwili prawie nie usłyszałam bicia dzwonu; jego uderzenia dźwięczały głucho nad zatokami, odbijając się od powierzchni wody niczym kamień. Kilka osób wyległo z „Chat Noir”, by zobaczyć, co się dzieje. Ktoś mnie potrącił, wylewając drinka. Gdy chwilowe zamieszanie ucichło, podniosłam głowę. Siostra Extase z siostrami Therese znikły bez śladu.

- Co pere Alban kombinuje, że o tej porze dzwoni w kościele? - mruknął leniwie Joel, nie wyjmując papierosa z ust. - Przecie dzisiaj nie ma mszy.

- Ano nie - zgodził się Rene Loyon.

- Może wybuchł pożar - zasugerował Lucas Pinoz, kuzyn mój.

Ludzie uznali, że pożar jest najbardziej prawdopodobny; na małej wyspie, takiej jak Le Devin, organizacja pomocy w nagłych wypadkach wcale ciwie nie istnieje i dzwonić kościelny bywać może najszybszym sposobem wezwania pomocy. Ktoś wrzasnął: „Pożar!”, i zapanowało lekkie zamieszanie, gdy kawiarniani goście zaczęli się przepychać przy wejściu; Lucas zwrócił jednak uwagę na fakt, iż na niebie nie widać czerwonej łuny i znikąd nie dochodzi zapach spalinowy.

- Ha, uderzyli nas w dzwon w pięćdziesiątym piątym, kiedy w stary kościół trafił piorun - oznajmił dziwy Michel Dieudonne.

- Widz, co za Les Immortelles - zawiadomił Rene Loyon, który wspinał się na grzbiet wału. - Co tam jest na skałach.

Była to łódź. Teraz, gdy już wiedzieliśmy, gdzie patrzeć, łatwo ją było dostrzec - tkwiła o sto metrów od brzegu, na tych samych spiętrzonych skałach, które w ubiegłym roku

przypiecz towały los „Eleanore”. Wstrzymałam oddech. Bez widocznego sygnału i z tej odległości nie dało się stwierdzić, czy to któraś z naszych salamijskich łodzi.

- To holk - orzekł autorytatywnie Joel. - Pewnie tkwi tam od wielu godzin. Nie ma co panikować. - Zgniółł butem niedopałek papierosa.

Jojo-le-Goeland nie był przekonany.

- Warto by tam pojechać - zaproponował. - Może da się coś uratować. Przeprowadź cię gnik.

Ludzie gromadzili się już pod nadmorskim wałem. Kościelny dzwon umilkł, wysławszy ostrzeżenie. Traktor Jojo sunął, kołysząc się, ku skrajowi nierównej plaży; potężny reflektor rozświetlał wodę.

- Widz ją - odezwał się Rene. - Jest cała, ale to już niedługo potrzeba.

Michel Dieudonne kiwnął głową.

- Fala jest za wysoka, żeby tam teraz dotrzeć, nawet na „Marie Joseph”. A jeszcze przy szkwale... - Rozłożył ręce. Do kogośkolwiek należała, już po niej.

- O Boże! - Ten okrzyk wydała Paule Lacroix, matka Joela, stojąca powyżej nas na promenadzie. - Kto wypadł za burtę!

Twarze zebranych zwróciły się w jej stronę. Reflektor traktora świecił zbyt jasno; widać było jedynie ciemny kadłub rozbitej łodzi.

- Zgaszczył wiatło! - krzyknął mer Pinoz, który pojawił się właśnie w towarzystwie pere Albana.

Nasze oczy musiały się przyzwyczaić do ciemności. Morze wydawało się teraz czarne, lód nabrał barwy indygo. Wytężyliśmy wzrok, próbując wypatrzeć bielejące plamki wśród fal.

- Widzimi! W wodzie jest jakiś człowiek!

Gdzieś po mojej lewej stronie rozległ się krzyk. Rozpoznałam głos. Odwróciwszy się, zobaczyłam matkę Damiena; gruba chustka osłaniała jej zrozpaczoną twarz. Alain stał z lornetką na wale, choć wątpiłam, czy przy tym południowym wietrze i wzbierającej fali widzi coś więcej niż my. Matthias tkwił u jego boku, wpatrując się bezradnie w wodę.

Matka Damiena podbiegła do mnie; połę jej płaszczka łopotały na wietrze.

- To „Eleanore II”! - Chwyciła mnie kurczowo, bez tchu. - Na pewno! Damien!

Próbowałam dodać jej otuchy.

- Nic jeszcze nie wiadomo - powiedziałam najspokojniej, jak potrafiłam.

Ale ona mnie nie słyszała. Zaczęła zawodzić wysokim, przenikliwym głosem, wykrzykując pojedyncze słowa, wśród których kilka razy padło imię jej syna. Reszty nie zrozumiałam. Uświadomiłam sobie, że nie zdałam nikogo zawiadomić, i Xavier i Ghislain wypłynęli „Cecilię”; teraz jednak to by tylko pogorszyło sytuację.

- Jeśli ktoś tam jest, powinniśmy spróbować do niego dotrzeć, ha? - Mer Pinoz, choć niezupełnie trzeci, dzielnie usiłował stanąć na wysoko ci zadania.

Jojo-le-Goeland pokręcił głową.

- Nie mój „Marie Joseph” - odrzekł stanowczo.

Lecz Alain biegł już ciękość promenad z zatok.

- Lepiej nie próbuj mnie zatrzymywać! - zawołał przez ramię.

„Marie Joseph” była niewzruszenie jedyną łodzią dostatecznie stabilną, by zbliżyć się do jednostki unieruchomionej na mieliźnie. Mimo to pogoda wlaściwie uniemożliwiała jakkolwiek akcję.

- Nikogo tam nie ma! - zawył z oburzeniem Jojo, ruszając płaszcza Alainem. - Nie możesz płynąć sam!

- Więc popłyń z nim! - ponagliłam go. - Jeśli ten chłopak się tam znalazł...

- To już po nim - mruknął Jojo. - Nie ma sensu ryzykować.

- Ja ryzykuję! - Wbiegłam na Rue des Immortelles, przeskakując po dwa stopnie naraz. Łódź wpadła na skały; salarianin był w niebezpieczeństwie. Pomimo niepokoju moje serce piekało. Ogarnęła mnie dzika radość - tak to jest, gdy się pochodzi z wyspy, tak to jest, gdy się do niej przynależy. Nadne inne miejsce nie wzbudza tak wielkiej lojalności, tak niewzruszonej, niezłomnej miłości.

Obok mnie biegli inni. Zauważyłam pere Albana, Matthiasa Guenole - domyślałam się, że jest gdzieś w pobliżu i Omera, człapiącego za nimi, ile sił w nogach. Marin i Adrienne gapili się z oświetlonego okna La Maree. Obserwowały nas grupki houssinian, jedne dezorientowane, inne pełne niedowierzania. Nie zwracałam na to uwagi. Biegłam w stronę zatoki.

Alain już tam był. Ludzie na molo wpatrywali się w niego, lecz mało kto zdradzał chęć towarzyszenia mu na pokładzie „Marie Joseph”. Matthias wołał coś z ulicy; słyszałam w tle inne podniesione głosy. Dostrzegłam plecy jakiegoś mężczyzny w wyblakłej vareuse, zwijającego się. Gdy dogonił nas zadyszany Omer, mężczyzna odwrócił się i wtedy poznałam Flynnę.

Nie zdałam zareagować. Nasze oczy spotkały się na moment, a potem, niemal

oboju, spojrzawszy w inną stronę. Alain ustawiał się już przy sterze, Omer próbował uruchomić nieznany mu silnik. Pere Alban na pomoc uspokajał matkę Damiana, która przybiegła zaraz za nami. Alain zmierzył mnie wzrokiem, jakby oceniając, czy się do czego przydam, a potem skinął głową.

- Dziękuję ci.

Ludzie tłoczyli się wokół nas; niektórzy, jak mogli, starali się pomóc. Na pokład „Marie Joseph” - niby od niechcenia - wrzucano różne przedmioty: bosak, zwój liny, wiadro, koc, latarkę elektryczną. Ktoś wrzucił mi piersiówkę z brandy; ktoś inny dał Alainowi rękawice. Gdy odbijaliśmy od przystani, Jojo-le-Goeland rzucił mi swój płaszcz.

- Spróbuj go nie zamoczyć, ha? - zawołał szorstko.

Wyłynaliśmy z zatoki podejrzanie gładko. Wprawdzie łódź kołysała się lekko, ale zatoka była osłonięta i bez trudu poprowadziliśmy „Marie Joseph” w szkim wodnym pasem ku otwartemu morzu. Wokół nas podskakiwały na falach boje i pontony; wychylałam się z dziobu i odpychałam je na boki.

A potem musieliśmy stawić czoło morzu. W tym krótkim czasie, jaki nam zajęło zmobilizowanie sił, wzmógł się wiatr; zawodził teraz głośno, a padające krople były twarde jak wir. „Marie Joseph” sprawiała się dzielnie, lecz nie bardzo się nadawała do eglugi przy sztormowej pogodzie. Zanurzyła się głębiej, jak łódź do połowy ostryg; fale biły w jej dziób. Alain zaklął.

- Widzisz już? - zawołał do Omera.

- Co widzisz! - odkrzyknął Omer, zmagając się z wicherem. - Ale nie wiem, czy to „Eleanore II”!

- Obróć się! - ryknął Alain. Ledwo go słyszałam. Oklepała mnie woda. - Musimy już skierować dzióbem do wiatru!

Rozumiałam, o co mu chodzi. Sterowanie prosto pod wiatr wiązało się z ryzykiem, lecz wysokie fale groziły wywróceniem łodzi, gdybyśmy ustawili się do nich bokiem. Parliśmy naprzód z denerwującą powolnością, wznosząc się i opadając na przemian. „Eleanore II” - jeżeli to była ona - niemal całkowicie przesłaniała kryzą gęstą pianą. Nie dostrzegliśmy ani ładunku człowieka, którego wcześniej wypatrzyliśmy w wodzie.

Po dwudziestu minutach zmagawcy nie byłam pewna, czy posunęliśmy się choćby o kilkadziesiąt metrów; morze pochłaniało całą naszą uwagę, a po ciemku trudno ocenić odległość.

U wiadamałam sobie niejasno, że Flynn wybiera wodę z dna łodzi, ale nie miałam czasu o tym myśleć ani rozpałamy tywa ostatniego razu, gdy znaleli my się w podobnej sytuacji.

Nadal widziałam światła Les Immortelles; mimo oddalenia wydawało mi się, że słyszę głosy. Alain skierował promień latarki ku morzu. W nikłym świetle woda miała szarobrunatny odcień, w którym jednak dostrzegłam roztrzaskaną łódź, którą teraz dało się rozpoznać, niemal przepołowioną na wystających skałach.

- To ona! - Wiatr wywiał uderzenie z głosu Alaina; wołanie zabrzmiało słabo i odległe, jak wiewiał po ród trzciny. - Uważaj! - krzyknął do Flynn, który wysunął się naprzód tak daleko, że niemal zwisał z dziobu „Marie Joseph”. Co mignęło w wodzie; co białawego, co nie było morską pianą. Ukazało się na sekundę i zapadło wraz z falą.

- Widz kogo! - krzyknął Flynn.

Alain rzucił się w stronę dziobu, pozostawiając Omerowi prowadzenie łodzi. Złapałam i rzuciłam linę, ale zdradziecki podmuch wiatru chlasnął mnie po twarzy, tnąc mokrym sznurem po oczach. Upadłam na wznak, zaciskając powieki, spod których popłynęły strumienie łez. Kiedy wreszcie otworzyłam oczy, wiatr wydał mi się dziwnie nieostry; wyłowiłam z mgły twarze Flynn i Alaina, rozpaczliwie szepczących ze sobą niczym akrobaci na trapezie, podczas gdy fale pod nimi gwałtownie wznosiły się i opadały. Obaj przemokli do nitki. Alain owiął liną kostki nogi, by nie wypaść za burtę; Flynn, który trzymał linę w pogotowiu, wychylał się na zewnątrz, opierając jedną stopę o brzuch Alaina, drugą zaś o burtę łodzi, rozpostarłszy ramiona nad wzburzonym morzem. Tu obok błysnęło coś białego. Flynn spróbował złapać to coś i chybił. Za naszymi plecami Omer starał się utrzymać kurs. „Marie Joseph” podskoczyła nerwowo; fala przechyliła łódź, powalając obu mężczyzn na pokład. Wszystkich nas zbryzgała zimna woda. Przestraszyłam się, że obaj mężczyźni wylecieli za burtę. Dziób „Marie Joseph” niemal zanurzył się w morzu. Robiłam, co mogłam, by wybrać wodę z dna, podczas gdy zdumiewająco blisko wyłoniły się skały. Wtem rozległ się potworny trzask i łoskot niczym od uderzenia gromu. Zastygliśmy w oczekiwaniu najgorszego; lecz to „Eleanore II” poddała się ostatecznie, łamiąc kręgosłup na skalnym grzebieniu. Mimo to wcale nie byliśmy bezpieczni i znosiło nas nieustannie w stronę dryfujących szczęków. Co uderzyło w burtę. Co utknęło pod kilem - lecz wówczas uniosła nas fala i „Marie Joseph” prześlizgnęła się obok skał w sam por. Omer odepchnął łódź bosakiem. Uniosłam głowę. Alain pilnował dziobu, a Flynn zniknął. Po chwili jednak wydałam chrapliwy okrzyk ulgi, widząc go wynurzać się spod powierzchni

wody z lin w r ku. Co połyskiwało mi dzy falami i obaj z Alainem zaczęli to przyciągać. Co białego.

Choć paliła mnie ciekawość, musiałam wybrać wodę; „Marie Joseph” nie pomieściłaby więcej. Usłyszałam krzyki i ośmieliłam się wyjrzeć, lecz plecy Alaina przesłaniały mi widok. Wybierałam wodę co najmniej przez pięć minut, zanim wydostali my się spod tych groźnych skał. Miałam wrażenie, że słyszę odległe, głuche wiwaty z Les Immortelles.

- Kto to jest? - krzyknęłam. Podmuch wiatru porwał mój głos. Alain nawet się nie obejrzał. Flynn zmagał się z płachtą brezentu na dnie łodzi. Płachta zasłaniała wszystko.

- Flynn! - Wiedziałam, że mnie słyszy. Zerknął w moją stronę i szybko odwrócił wzrok. Wyraz jego twarzy wskazywał, że nie ma dla mnie dobrych wieści. - Czy to Damien? zawołałam.

- Czy żyje?

Flynn odepchnął mnie ręką, nadal owinięty przemoczonym bandażem.

- Nie warto! - wrzasnął, przekrzykując wiatr. - Już po wszystkim!

Przyptyw zagnał nas szybko do zatoki; miałam wrażenie, że wyczuwam ciszę na morzu. Omer spojrzał pytająco na Alaina, który odpowiedział wzrokiem pełnym trwogi i niezrozumienia. Flynn nie patrzył na nich; wziął wiadro i zaczął wylewać wodę, choć już nie musiał.

Złapałam go za ramię, skłaniając się, żeby na mnie spojrzał.

- Powiedz mi, Flynn, na miłość boską! Czy to Damien?

Wszyscy trzej popatrzyli na brezentową płachtę, a potem na mnie. Flynn przybrał nieodgadniony wyraz twarzy. Popatrzył na swoje dłonie, pocierane mokrymi linami.

- Mado - odezwał się w końcu. - To twój ojciec.

61

Pamiętam to wszystko jak obraz, jak burzliwe płótno van Gogha z wirującym fioletowym niebem i zamazanymi twarzami, pogracone w ciszy. Pamiętam łódź, drgającą jak niespokojne serce. Pamiętam, że zakryłam twarz dłońmi i zobaczyłam skórę pomarszczoną od morskiej wody. Chyba upadłam.

Grosjean leżał przykryty brezentową płachtą. Po raz pierwszy zdałam sobie w pełni sprawę z jego ogromu, patrząc na martwy, zwalisty kształt. Gdzieś po drodze spadły mu buty i w

porównaniu z resztą jego stopy wydawały się drobne, niemal delikatne. Kiedy jest mowa o miernici, słyszy się, że zmarły ma spokojną twarz, wygląda, jakby spał. Grosjean przypominał zwierzę, które wpadło w sidła. Jego ciało było w dotyku gumowate, jak w skafandrze; usta miał otwarte w grymasie odsłaniającym poświatę zębów, jak gdyby w ostatniej chwili, w obliczu miernici, zdołał wreszcie odnaleźć głos. Nie czułam równie tego odrętwienia, o którym wspominałam w książce o osobach po utracie kogoś bliskiego; tego błogosławionego wrażenia nierealności. Wezbrała we mnie natomiast fala strasznego gniewu.

Jak mógł mi to zrobić? Jak mógł, po tym wszystkim, co przeszliśmy razem? Ufałam mu, zwierzałam się, próbowałam zacząć od nowa. Czy w ten sposób chciał przekazać mi, co myśli o mnie? I o sobie samym?

Kto ujął mnie za ramiona; młóciłam pięściami o liżnięte ciało mojego ojca. Zupełnie jakbym tłukła kawałki mięsa.

- Mado, proszę.

Był to Flynn. W ciemności ogarnęła mnie na nowo; bez zastanowienia obróciłam się na pięcie i uderzyłam go w twarz. Odskoczył. Cofnąłam się i runęłam na deski pokładu. Zza powłoki chmur za wiecikiem Syriusza. Gwiazdy podwoiły się, potroiły, a potem wypełniły całe niebo.

Dowiedziałam się późno, że znaleziono Damiana w luku towarowym „Brismanda I”. Był głodny i zmarznięty, ale nic mu się nie stało. Najwyraźniej próbował dotrzeć na gapę na kontynent, gdy odwołano rejs.

Ghislain z Xavierem nie dopłynęli do Les Immortelles. Próbowali, lecz po kilku godzinach musieli przybić do brzegu w La Goulue i wrócili do wioski mniej więcej wtedy, gdy ochotnicy z La Houssiniere rozchodzili się do domów.

Mercedes czekała. Spotkała w wiosce Aristide'a i obydwójce stanęli na wysokości zadania, wyzbywając się wszelkich zahamowań i wrzeszcząc na siebie ile sił w płucach. Spotkanie z Xavierem i Ghislainem było bardziej stonowane. Obaj, mimo wyczerpania, prezentowali stan osobliwej euforii. Ich egipskie wysiłki nie przyniosły rezultatów, lecz najwyraźniej zawarli porozumienie. Dawni zawzięci rywale gotowi byli na nowo zawrzeć przyjaźń. Gdy Aristide zaczął besztać wnuka za zabranie „Cecylii”, Xavier bynajmniej nie miał onie mielonej miny. Zabrał za to Mercedes na stronę, z uśmiechem całkowicie odbiegającym od jego dotychczasowego bojaźliwego zachowania; i choć wcześniej nie byłoby mowy o pojednaniu między nimi, Toinette liczyła skrycie na pomyślny rezultat.

Przezi biłam si na pokładzie „Marie Joseph” i dostałam zapalenia płuc. Mo e dlatego niewiele pami tam; zaledwie kilka scen w kolorach sepii. Ciało ojca, wnoszone w kocu na nabrze e. Pow ci gliwi Guenole, ciskaj cy si z dzik , niepohamowan pasj . Pere Alban, oczekuj cy cierpliwie, z sutann podci gni t ponad cholewy gumiaków. I Flynn.

Dopiero po tygodniu zacz łam si orientowa , co si wokół mnie dzieje. Wcze niej wszystko ton ło we mgle; barwy chwilami wydawały si ostrzejsze, d wi ki wygłuszone. Moje płuca wypełniał beton, gor czka wzrastała.

Przeniesiono mnie niezwłocznie do „Les Immortelles”, gdzie pozostał jeszcze lekarz z pogotowia. Stopniowo, w miar jak opadała temperatura, zacz łam dostrzega białe ciany pokoju, kwiaty, prezenty zostawiane pod drzwiami niczym ofiary przez nieust pliw fal go ci. Pocz tkowo nie zwracałam uwagi. Byłam tak chora i słaba, e oczy same mi si zamykały. Oddychanie wymagało dodatkowego wysiłku. Nawet wspomnienie mierci ojca ust powało przed fizycznym cierpieniem.

Adrienne, któr my l o piel gnowaniu mnie napełniła panik , uciekła wraz z Marinem na kontynent, gdy tylko pogoda na to pozwoliła. Lekarz oznajmił, e wracam do zdrowia, i zostawił mnie pod opiek Capucine, a zrz dz cy Hilaire miał mi wstrzykiwa antybiotyki. Toinette wmuszała we mnie swoje ziołowe napary. Pere Alban siedział przy mnie, jak powiedziała Capucine, noc w noc. Brismand trzymał si na odległo . Flynna nikt nie widział.

Mo e to i dobrze, e nikt go nie widział; przed ko cem tygodnia wszyscy ju wiedzieli, jak rol odegrał w niedawnych wydarzeniach, i całe Les Salants odnosiło si do niego wyj tkowo wrogo. O dziwo, mniej wrogo traktowano Brismanda; w ko cu był rodowitym houssinianinem, wi c czego mo na si po nim spodziewa ? Ale Rouget był jednym z nas. Tylko Guenole odwa yli si go broni - tak czy inaczej, po pieszył na ratunek „Eleanore II” - a Toinette nie traktowała całej sprawy powa nie, lecz wielu salanian napomykało pos pnie o zem cie. Capucine, przekonana, e Flynn wrócił na kontynent, z alem kr ciła głow .

Plaga meduz została opanowana; rozpi to sieci w poprzek mierzei, by odgrodzi zatok , a stra przybrze na wybierała te, które pozostały. Oficjalnie wyja niono, e przyplłyn ły z golfsztromem, przygnane przez klimatyczne anomalie, by mo e a z Australii. Wioskowa plotka wolala je traktowa jako przestrog od wi tej.

- Od pocz tku mówiłem, e to b dzie czarny rok - zapewniał Aristide z ponur satysfakcj . - Widzicie, co si dzieje, kiedy nie chcecie słucha ?

Mimo gniewu skierowanego przeciw Brismandowi stary wydawał się zrezygnowany. Zauważył, że wesela są kosztowne, a jeżeli jego głupi wnuk nadal będzie trwał w uporze... Krzyknął głosem.

- W końcu przecie nie będzie żył wiecznie. Miło pomyśleć, że zostawi chłopakowi coś więcej niż piasek i trzaskawisko. Może los znowu się odwróci.

Nie wszyscy tak myśleli. Guenole ostro się sprzeciwiali planom Brismanda - i nie dziwnego. Przy pięciu członkach rodziny, z których jeden był osiemdziesięcioletnim starcem, drugi zaś chłopcem w wieku szkolnym, pieniędzy brakowało zawsze. Teraz nastąpił kryzys. Nikt nie wiedział, ile dokładnie poświęcili, lecz panowało przekonanie, że ponad sto tysięcy. Utrata „Eleanore II” stała się ostatecznym ciosem. Alain protestował zawzięcie, mówił, że to nie w porządku, że na całej społeczności spoczywa odpowiedzialność, że z powodu zniknięcia Damiena nie mógł wziąć udziału w zebraniu i dyskusji; ale prawie nikt go nie słuchał. Nasza krucha wieść powróciła i znowu kałdy salanianin myślał tylko o sobie.

Matthias Guenole odmówił, naturalnie, przeniesienia się do „Les Immortelles”. Alain popierał jego decyzję. Rozeszła się pogłoska, że zamierzają opuścić wyspę. Powróciła wzajemna niechęć Guenole i Bastonnetów; Aristide, wyczuwając słabość swego największego rywala i przewidując jego rychły wyjazd, najwyraźniej dokładał starania, by nastawić całą Les Salants przeciw Guenole.

- Wszystko popsuje swoim uporem, ha! Zmarnuj nasz jedyny szansę. To samolubstwo, ot co, i nie pozwól, żeby samolubni Guenole zrujnowali przyszłość mojego wnuka. Musimy uratować z tego bałaganu, co się da, inaczej wszyscy pójdziemy na dno!

Wiele osób przyznawało mu słuszość. Alain jednak, gdy o tym usłyszał, zawrzał gniewem.

- A więc to tak? - ryknął. - Tak dbamy o swoje w Les Salants? Co z moimi chłopakami? Co z moim ojcem, który walczył na wojnie? Chcecie machnąć na nas ręką? Dla pieniędzy? żeby wredny houssinianin odniósł korzyść?

Rok wcześniej taki argument mógł brzmieć przekonująco. Teraz jednak zapachniały nam pieniądze. Poznaliśmy ich wartość. Zapadła cisza, kilka twarzy oblało się rumieńcem. Ale mało kto był naprawdę poruszony. Cóż znaczyła jedna rodzina, gdy w grę wchodziło dobro całej wioski? Mimo wszystko promowy port Brismandów był lepszy niż nic.

Mojego ojca pochowano, gdy leżałam w „Les Immortelles”. W lecie trudno jest

przechowywa zwłoki, a kontynentalne rytuały w rodzaju sekcji czy balsamowania nie przyjęły się na wyspie. No i w końcu mieliśmy przecież księża. Pere Alban odprawił nabożeństwo ałobne w La Bouche, jak zwykle przyodziany w sutannę i wodery.

Funkcją nagrobka pełniła bryła różowo-szarego granitu z Point Griznoz. Przywieziono ją moim traktorem. Później, gdy piach osiadł, pomyślałem o wyryciu napisu - może poproszę o to Aristide'a.

- Dlaczego to zrobił? - Czułam taki sam gniew, jak owej nocy na pokładzie „Marie Joseph”. - Dlaczego zabrał wtedy „Eleanore II”?

- Kto to może wiedzieć? - Matthias zapalił gitane'a. Ja wiem tylko, że znaleźli mi cholernie dziwne rzeczy, gdy my wreszcie sięgnęliśmy...

- Ta dziewczyna jest chora, ty idioto! - przerwała Capucine, z rzymskim ruchem wyjmując mu z palców papierosa.

- Jakie rzeczy? - spytałam, siadając na łóżku.

- Liny. Słupolazy. I pół skrzynki dynamitu.

- Co?

Stary westchnął i wzruszył ramionami.

- Nie przypuszczam, żebyśmy się kiedykolwiek dowiedzieli, co zamierzał. Szkoda tylko, że wybrał do tego akurat „Eleanore”.

„Eleanore”. Spróbowałam sobie dokładnie przypomnieć, co mówiły mi przed burzą zakonnice.

- Była kim, kogo znali - powiedziałam. - Obaj coś do niej czuli, on i P'titjean. Do tej Eleanore.

Matthias z dezaprobatą pokręcił głową.

- Nie wierz tym srokom. Gadaj tylko byle co. - Zerknął na mnie i zaczerwienił się nieznacznie.

- Zakonnice, ha! To najgorsze plotkarki pod słońcem. Poza tym tamta sprawa, cokolwiek to było, zdarzyła się dawno temu. Nie może mieć nic wspólnego ze sposobem, w jaki zginął Grosjean.

Ze sposobem zapewne nie, ale z przyczyn? Nieustannie o tym rozmyślałam, o związku między jego śmiercią z samobójstwem brata sprzed trzydziestu lat, samobójstwem popełnionym na „Eleanore”. Czy mój ojciec zrobił to samo? I do czego był mu potrzebny dynamit?

Roztrząsałam sprawę bardzo długo i Capucine doszła do wniosku, że opóźnienia to mój powrót do zdrowia. Musiała odbyć na ten temat rozmowę z pere Albanem, ponieważ dwa dni

pó niej stary ksiądz zjawił się u mnie, z obliczem równie smutnym jak zawsze.

- Już po wszystkim, Mado - powiedział. - Twój ojciec spoczywa w spokoju. Niech tak zostanie.

Czułam się znacznie lepiej, choć nadal dokuczało mi osłabienie. Oparta o poduszki, widziałam za plecami księdza bezchmurne sierpniowe niebo. Wspaniałe dzieło na ryby.

- Proszę księdza, kim była Eleanore? Znał ksiądz?

Zawahał się.

- Znałem, ale nie mogłem z tobą o niej rozmawiać.

- Mieszkała w „Les Immortelles”? Była zakonnica?

- Wierzę mi, Mado, lepiej o niej zapomnieć.

- Skoro jednak nazwał łódź jej imieniem... - Próbowałam tłumaczyć, jak waga musiała to mieć dla mojego ojca, który nigdy wcześniej tak nie postąpił, nawet gdy poznał moją matkę. Z pewnością ci nie wybrał tej łodzi przypadkowo. I co oznaczało odkrycie Matthiasa?

Ale pere Alban był jeszcze bardziej małomówny niż zazwyczaj.

- To nie ma żadnego znaczenia - powtórzył po raz trzeci. - Niech Grosjean spoczywa w pokoju.

62

Przebywałam w „Les Immortelles” już od tygodnia. Hilaire zalecał jeszcze tydzień odpoczynku, ale ja zaczynałam się niecierpliwić. Niebo prowokowało mnie zza wysokiego okna, złote cienie drążyły na mojej pościeli. Nadchodził koniec miesiąca; pozostało kilka dni do pełni księżyca i kolejnego wita Sainte-Marine na Point. Doznałam uczucia, jakby te wszystkie znajome zjawiska zachodziły po raz ostatni; każda sekunda zmieniała się w poegnanie i nie mogłam już dłużej wytrzymać. Przygotowałam się do powrotu. Capucine protestowała, lecz bezlitośnie odrzuciłam jej argumenty. Zbyt długo mnie tam nie było. Musiałam przede wszystkim stawić czoło Les Salants. Nawet nie widziałam jeszcze grobu ojca.

La Puce ugięła się w obliczu mojej determinacji.

- Zatrzymaj się u mnie na jakiś czas - zaproponowała. Nie możesz siedzieć w tym pustym domu.

- Nie martw się - uspokoiłam ją. - Nie wracam tam. Ale muszę trochę pobyć sama.

Nie poszłam tamtego dnia do domu Grosjeana. Z zaskoczeniem uwiadomiłam sobie, że

nie czuj ciekawo ci i wcale nie pragnę zajrzeć do rodka. Udałam się natomiast na wydmę powyżej La Goulue popatrzeć na to, co pozostało z mojego wiatu.

Większość letników wyjechała. Morze było gładkie niczym jedwab, niebo surowe i błękitne jak na dziecięcym rysunku. Les Salants błękitnie cicho w promieniach sierpniowego słońca, tak samo jak przed rokiem i jeszcze dawniej. Kwiaty w skrzynkach i ogrodach, ostatnio zaniedbane, zwidły i pousychały; karłowate drzewka figowe zrodziły małe, niedzne owoce; pszczoły wałęsały się wokół domów o pozamykanych okiennicach; trawy na wydmach stały się białe i łamliwe. Ludzie równie wrócili do poprzednich zwyczajów. Omer przesiadywał godzinami u Angela, grając w karty i pijąc jedno deVinnoise za drugim. Charlotte Prossage, która tak zlągodniała przy dzieciach letników, znowu osłaniała twarz chustkami w kolorach ziemi. Damien był posępny i kłótniwy. Zanim upłynęła doba, wiedziałam już, że Brismandowie nie tylko złamali Les Salants - oni poparli je na surowo.

Niewiele osób odzywało się do mnie; wystarczyło, że wczynie nie okazali troski, ofiarując prezenty i kartki. Teraz, gdy wyzdrowiałam, zaczęłam w nich wyczuwać pewną inercję, zauważyłam, że zachowują się jak niegdyś. Powitania ograniczono do krótkiego skinienia głową. Rozmowy się nie kleiły. Na początku myślałam, że może mają do mnie pretensje; ba, do czego moja siostra wyszła za mąż za Brismanda. Ale potem zrozumiałam. Dostrzegłam spojrzenia, jakie rzucali w stronę morza, niemal nie odrywając oczu od konstrukcji unoszącej się na falach zatoki, naszej Bouch'ou, naszego własnego miecza Damoklesa. Robili to nie wiadomie. Ale patrzyli wszyscy, nawet dzieci, bledsze i bardziej przygaszone niż kiedykolwiek w ciągu lata. Rafa stała się dla nas tym cenniejsza, że wymagała poświęceń. Im więcej poświęceń, tym więcej nabierała wartości. Nasza dawna miłość do Bouch'ou przerodziła się teraz w nienawiść, lecz to, że moglibyśmy ją utracić, było nie do pomyślenia. Pożyczka zacięgnięta przez Omera zagrażała posiadłości Toinette, choć nie do niego należało prawo własności. Aristide obciążał hipoteką swego domu znacznie powyżej jego wartości. Alain tracił syna - może nawet obu synów, teraz, gdy nastąpił zastój w interesach. Prossage'owie utracili córkę: Xavier i Mercedes zamierzali opuścić Le Devin na zawsze i osiedlić w Pornic albo we Fromentine, gdzie narodziny dziecka nie wywołają skandalu.

Aristide był zdruzgotany tą wiadomością, choć dumnie nie pozwalała mu się do tego przyznać. Do Pornic wcale nie jest daleko, powtarzał kądś demu, kto chciał słuchać. Trzygodzinny rejs promem dwa razy w tygodniu. Nikt chyba nie powie, że to daleko, ha?

Wci króły różne pogłoski na temat śmierci Grosjeana. Usłyszałam o nich z drugiej ręki, od Capucine wiejska etykieta wymagała, by w tym wypadku zostawić mnie w spokoju - lecz snuto rozmaite przypuszczenia. Wiele osób uważało, że popełnił samobójstwo.

Istniały powody, by w to wierzyć. Grosjean zawsze był niezrównowagony; może zdrada Brismanda doprowadziła go do ostateczności. W dodatku tu przed rocznicę śmierci P'titjeana i uroczystości ku czci Sainte-Marine... Historia lubi się powtarzać, zauważano przyciszonymi głosami. Wszystko powraca.

Niektórzy jednak nie dawali się przekonać. Znalezienie dynamitu na pokładzie „Eleanore II” nie uszło niczyjej uwagi; zdaniem Alaina, Grosjean usiłował wysadzić falochron w Les Immortelles, gdy stracił kontrolę nad łodzią i wpadł na skały.

- Po wi cił się - mówił wszystkim Alain. - Wcześniej od nas wiedział, że to jedyny sposób, by powstrzymać Brismanda przed zagarnięciem wioski.

Nie było to wyjściem bardziej naciągane niż inne. Wypadek, samobójstwo, heroiczny gest... Tak naprawdę nikt nie wiedział; Grosjean nie wtajemniczył nikogo w swoje plany i musieliśmy poprzestać na domysłach. I zacytuję, i po śmierci mój ojciec miał swoje tajemnice.

Rano po powrocie poszłam do La Goulue. Lolo z Damienem siedzieli nad wodą, milcząc i nieruchomi jak głazy. Wyglądali, jakby czekali na coś. Zaczynał się odpływ; fale zostawiły za sobą ciemne smugi mokrego piasku. Damien miał wielkiego siniaka na policzku. Mój komentarz zbył wzruszeniem ramion.

- Przewróciłem się - mruknął, nie siląc się nawet na przekonujący ton.

Lolo spojrział na mnie.

- Damien miał rację - powiedział ponuro. - Ta plaża nie była nam do niczego potrzebna. Wszystko popsuła. Lepiej było przedtem. - W jego głosie nie słyszałam urazy, tylko głębię żalu, jeszcze bardziej niepokojącą. - Ale wtedy po prostu o tym nie wiedzieliśmy.

Damien kiwnął głową.

- Jako byśmy przetrwali. Gdyby morze podeszło za blisko, pobudowałibyśmy się na nowo gdzieś wyżej.

- Albo wyprowadzili.

Przytaknęłam. Nieoczekiwanie przeprowadzka przestała mi się wydawać tak strasznie ewentualnością.

- W końcu to tylko miejsce, ha?

- No jasne. Jedno z wielu.

Zastanawiałam się, czy Capucine wie, co myśli jej wnuk. Damien, Xavier, Mercedes, Lolo... W tym tempie cała młodzież zniknie z Les Salants przed nadziejami Nowego Roku.

Chłopcy spojili daleko w kierunku Bouch'ou. Teraz niewidoczna, ukazała się im mniej więcej za pięć godzin, gdy cofająca się fala odsłoniła ławice ostryg.

- A gdyby tak ją rozebrali, ha? - W głosie Lola wyczuwało się napięcie.

Damien skinął głową.

- Mogłoby sobie zabrać z powrotem swój piasek. Nie potrzebujemy go.

- Aha. Nic nam po houssinianim piasku.

Wstrząsnęła, uświadomiłam sobie, że do pewnego stopnia zgadzam się z nimi.

Mimo to odkryłam po powrocie, że salanie się spóźnia na plażę w pewnym czasie nie kiedykolwiek przedtem. Nie kłapali się ani nie opalali - to były zajęcia dla turystów - nawet nie prowadzili towarzyskich rozmów, tak jak stych jeszcze tego lata. Teraz nie było mowy o ogniskach, pieczeniu na rożnie czy popijaniu i zabawach w La Goulue. Zapuszczali my się tam ukradkiem, wczesnym rano lub przy zmianie pływu i skrycie przesypywali my piasek przez palce, unikając nawzajem swego wzroku.

Piasek nas fascynował. Teraz patrzyli my na niego inaczej, już nie jak na złoty pył, lecz jak na rumowisko, gromadzące się przez wieki: kości, muszle, mikroskopijne skamieliny, sproszkowane szkło, rozdrobniony kamień, odpryski niewyobraźalnie długiego czasu. W piasku byli ludzie: kochankowie, dzieci, zdrajcy, bohaterowie. Były dachówki dawno zburzonych domów. Byli wojownicy i rybacy, niemieckie samoloty, potłuczone naczynia i roztrzaskane butelki. Był bunt i porażka. Było w nim wszystko i wszystko było takie samo.

Teraz widzieli my, jak bezcelowo prowadzili my walkę z przypiętymi i z houssinianami. I widzieli my, co będzie.

63

Dwa dni przed wzięciem Sainte-Marine postanowiłam wreszcie odwiedzić grób ojca. W pogrzebie uczestniczyć nie mogłam, lecz teraz wróciłam i tego ode mnie oczekiwano.

Houssinianie mają własny schludny, trawiasty cmentarz i dozorcę, który zajmuje się grobami. W La Bouche wszelkie prace wykonujemy sami. Musimy. Nasze nagrobki w porównaniu z tamtymi wydają się pogańskie, monolityczne. Opiekujemy się nimi troskliwie. W

pewnym bardzo starym grobie spoczywa młoda para, a napis głosi po prostu: „Guenole-Bastonnet, 1861-1887”. Kto do dziś kładzie na nim kwiaty, choć z pewnościami nikt nie jest a tak wiekowy, by pamiętała pochowane tam osoby.

Mojego ojca złożyono obok P'titjeana. Ich kamienie nagrobne były niemal identycznej wielkości i barwy, tylko te kamienie P'titjeana z biegiem lat pokryły porosty. Z bliska zobaczyłam czysty, wiejący zagrabszony wir wokół grobów. Kto również przygotował ziemię do zasadzenia kwiatów.

Przyniosłam sadzonki lawendy i rydel do kopania. Pere Alban najwyraźniej uczynił to samo, gdyż ramię miał powalane ziemią, a przy obu nagrobkach zauważyłam dopiero co posadzone czerwone pelargonie.

Stary ksiądz drgnął lekko na mój widok, jakby go na czymś przyłapała. Kilka razy potarł brudne dłonie.

- Ciesz się, że tak zdrowo wyglądasz - przemówił. - Nie bój się przeszkadzać w poścignaniu.

- Niech ksiądz nie odchodzi. - Postąpiam krok naprzód. - Dobrze, że ksiądz tu jest. Chciałam...

- Przykro mi. - Pokręcił głową. - Wiem, czego ode mnie chcesz. Mylisz, że coś mi wiadomo o śmierci twojego ojca. Ale nic ci nie mogę powiedzieć. Daj temu spokój.

- Dlaczego? - nalegałam. - Musz zrozumieć! Mój ojciec zginął z jakiegoś powodu i ksiądz go zna!

Popatrzył na mnie surowo.

- Twojego ojca zabrało morze, Mado. Wyłynął na „Eleanore II” i wypadł za burtę. Tak jak kiedyś jego brat.

- Ale ksiądz o czymś wie - powiedziałam cicho. - Prawda?

- Mam pewne... podejrzenia. Podobnie jak ty.

- Jakie podejrzenia?

Pere Alban westchnął.

- Daj temu spokój, Madeleine. Nic ci nie mogę powiedzieć. Cokolwiek wiem, wiem o mnie tajemnica spowiedzi i nie wolno mi z tobą o tym rozmawiać.

Zastanowiło mnie coś w jego głosie, jaka osobliwa intonacja, jak gdyby wypowiedziane słowa stały w sprzeczności z czymś innym, co próbował przekazać.

- Ale jest kto, komu wolno? - zapytałam, ujmując jego dłoń. - Czy to ksiądz miał nam pomóc?

- Ja ci pomóc nie mogę. - Czy ponosiła mnie wyobraźnia, czy rzeczywiście położył lekki nacisk na pierwsze słowo? - Powinienem już wracać - dodał, łagodnie uwalniając dłoń z mojego uścisku. - Muszę uporządkować stare księgi parafialne. Rejestry narodzin i zgonów, wiesz. Bardzo długo to odkładałem. Ale obowiązek wymaga, abym się tym zajął. Dla spokoju sumienia.

Znowu wychwyciłam tę dziwną intonację.

- Papiery? - zapytałam.

- Rejestry. Kiedy miałem sekretarza. Potem zakonnice. Teraz nie mam nikogo.

- Mogłabym księdzu pomóc. - Nie myliłam się; naprawdę próbował mi coś przekazać. - Pere Albanie, niech mi ksiądz pozwoli pomóc.

Uśmiechnął się do mnie z niezwykłą słodyczą.

- Jak to miło z twojej strony, Madeleine. Wyświadczysz mi wielką przysługę.

64

Wyspiarze odnoszą się do papierkowej roboty nieufnie. Dlatego powierzyli mi pieczęć księdza nasze sekrety, osobliwe narodziny i gwałtowne zgony, nasze drzewa genealogiczne. Informacje są ogólnie dostępne, przynajmniej teoretycznie. Kładzie się na nich jednak cień konfesjonału i pokrywa je warstwa kurzu. Komputera nigdy tu nie było i nie będzie. Są za to księgi, gęsto zapisane czerwono-brunatnym atramentem i bezowocne teczęki z dokumentami niemal rozsypują się w twoje ręce.

Wpisy na tych stronicach, czy to zamasytne, czy drobne, zawierają całe historie: tu niepiętna matka przykleiła płatek różowy na wiadectwie urodzenia dziecka, ówdzie jakiemuś czy nie zdradziła ręką przy adnotacji o mordercy. Małe stawa, martwe noworodki, zgony. Dwaj bracia, rozstrzelani przez Niemców za przemyt czarnorynkowych towarów z kontynentu; cała rodzina, która zmarła na grypę; dziewczyna - z Prossage'ów - urodziła dziecko „nieznanego ojca”. Na sąsiedniej stronie inna dziewczyna, zaledwie czternastoletnia, umarła, wydając na świat kalekie dziecko, które również nie przeżyło.

Te niezliczone warianty ludzkich losów nie miały w sobie nic z monotonią i - o dziwo - podniosły mnie na duchu. Kontynuowanie naszych zmagania mimo wszystko i w obliczu

nieuchronnego kresu wydało mi się dziwnie heroiczne. Wyspiarskie nazwiska - Prossage, Bastonnet, Guenole, Prasteau, Brismand - maszerowały przez stronicę niczym ołnierze. Niemal zapomniałam, po co przyszłam.

Pere Alban zostawił mnie sam. Moje sobie nie ufał. Zatonłam całkowicie w dziejach Le Devin i dopiero przygasające światło dnia przypomniało mi, dlaczego tu jestem. Upłynęła jeszcze godzina, zanim znalazłam informację, której szukałam.

Właśnie ciwie nie byłam do końca pewna, czego szukam, i straciłam nieco czasu na nasze drzewo genealogiczne - kiedy zakręciły mi się w oczach, gdy natrafiłam na górze strony na pismo matki, a obok dostrzegłam niewprawny podpis Grosjeana. Dalej narodziny Grosjeana i jego brata, na tej samej stronie, choć o wiele lat wcześniejsze. Śmierć Grosjeana i P'titjeana - „zginęli na morzu”. Długo odszyfrowywałam stronicę zapisane tak gęsto, że chwilami prawie nieczytelne. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełniłam omyłki i czy na cokolwiek tutaj natrafię.

I nagle to zobaczyłam. Informację o małżeństwie Claude'a Saint-Josepha Brismanda i Eleanore Margaret Flynn, z dwoma podpisami ciemnoczerwonym atramentem - zwiły „Brismand”, a obok zamasyista „Eleanore”, z pocięciem przy literze „I” zahaczającym o niczym bluszcz o nazwiska powyżej.

Eleanore. Wymówiłam to imię głośno i z przejęciem.

Odnalazłam ją.

- Odnalazła ją, ma soeur.

- Wiedziałam, że to uczyni, jeśli wytrwa w swoim zamiarze.

Siostry stały w progu, uśmiechnięte. W przyświecającym świetle wyglądały niemal młodo; ich oczy błyszczały.

- Trochę nam ją przypominasz. Czy nie tak, ma soeur? Ona jest podobna do...

- ...Eleanore.

Odtąd już poszło łatwo. Wszystko zaczęło się od Eleanore, a skończyło na „Eleanore”. Razem z zakonnicami rozplatywałam całą historię w kancelarii parafialnej, przy wiecach, które zapaliłyśmy, gdy zapadł zmierzch.

Często sama wcześniej odgadłam. Siostry dopowiedziały resztę. Niewykluczone, że pere Albanowi coś się wymknęło, gdy pomagały mu przy rejestrach.

Jest to wyspiarska opowieść, zapewne nieco ponura, lecz my tutaj, czepiając się od

niepamiętnych czasów, wyrobili my w sobie odporność - a przynajmniej niektórzy z nas. Zaczęło się od dwóch braci, bardzo sobie bliskich: Jean-Marina i Jean-Francois Prasteau. I od dziewczyny, rzecz jasna, pełnej ognia i temperamentu. Jej podpis, szeroki i zamaszysty, zdradzał żywiołową, niespokojną i romantyczną naturę.

- Nie pochodziła stąd - wyjaśniła siostra Therese. Monsieur Brismand przywiózł ją z zagranicznej podróży. Nie miała rodziców, przyjaciół ani majątku. Była od niego dziesięć lat młodsza, dopiero skończyła dwadzieścia...

- Ale prawdziwa piękność - dodała siostra Extase. Piękna i niespokojna, istna mieszanka wybuchowa...

- ...a monsieur Brismand tak był zajęty zarabianiem pieniędzy, że po prostu prawie nie zwracał na nią uwagi.

Pragnęła mieć dzieci, jak wszyscy wyspiarze. Ale ona pragnęła czegoś więcej. Nie znalazła przyjaciółki wśród houssinianek - była dla nich zbyt młoda i zbyt obca - więc zaczęła codziennie przesiadywać samotnie w Les Immortelles, spoglądać na morze i czytać książki.

- Ach, przepadała za różnymi opowieściami - zauważyła siostra Extase. - Czytała je, a potem mówiła...

- ...o rycerzach i damach...

- ...o królewiczach i smokach.

Tam właśnie bracia zobaczyli ją po raz pierwszy. Przyłynęli po materiały zamówione dla warsztatu, w którym pracowali z ojcem, a ona już na nich czekała. Przebywała na Le Devin niecałe trzy miesiące.

Impulsywny P'titjean natychmiast stracił głowę. Zaczęła odwiedzać Eleanore w La Houssiniere, rozmawiać z nią na plaży. Grosjean przyglądał się temu spokojnie, najpierw rozbawiony, później zaciekawiony, nieco zazdrosny i w końcu nieodwołalnie, ostatecznie usidlony.

- Wiedziała, co robi - orzekła siostra Therese. - Na początku to była zabawa... ona lubiła sobie bawić. P'titjean, taki przecie młody, wkrótce by o niej zapomniał. Ale Grosjean...

Mój ojciec, milczący i nieprzenikniony, był inny. Wyczuła to; pociągał ją. Spotykali się potajemnie na wydmach albo w La Goulue. Grosjean uczył ją śpiewarstwa; ona opowiadała mu rozmaite historie. Dlatego nadawał łodziom wymyślne nazwy z księzek i wierszy, których sam nigdy by nie przeczytał.

Brismand nabrał jednak pewnych podejrzeń. Przyczynił się do nich głównie P'titjean; jego zaloty nie uszły uwagi houssinian, a choć tak młody, był bliższy wiekiem Eleanore niż jej młodszy brat. Skończyły się jej samotne wyprawy do Les Salants, a Claude specjalnie zatrudnił zakonnice z Les Immortelles, by strzegły jego siostry. Ponadto Eleanore zaszła w ciążę i Claude nie posiadał się z radości.

Chłopiec urodził się nieco przed spodziewanym czasem. Dała mu na imię Claude, zgodnie z wymogami wyspiarskiej tradycji, lecz przewrotnie wpisała inne, tajemne imiona w świadectwie urodzenia.

Nikt tego nie skojarzył. Nawet mój ojciec - zawiłe, ozdobne pismo było dla niego zupełnie nieczytelne - a niepokój Eleanore złagodziły na kilka miesięcy wymagania niemowlęcia.

Brismand jednak na wieść o synu stał się bardziej zachłanny. Na Le Devin synowie służył, w niebezpiecznej służbie na kontynencie, gdzie dzieci rodziły się zdrowsze. Wyobraziłam sobie, jaki jest dumny z syna. Wyobraziłam sobie spojrzenia braci, pełne wzgardy, poczucia winy, zazdrości i pośmiewania. Zawsze zakładałam, że mój ojciec nienawidził Claude'a Brismand? z powodu doznanej krzywdy. Dopiero teraz zrozumiałam, że najbardziej nienawidzimy tych, którym wyrządzili my zło.

A Eleanore? Przez pewien czas istotnie próbowała poświęcić się dziecku. Ale nie była szczęśliwa. Podobnie jak moja matka, nie potrafiła znaleźć się na wyspie. Kobiety spoglądały na nią podejrzliwie i zazdrośnie; mężczyźni nawet nie otwierali ust.

- Czytała i czytała te swoje książki - mówiła siostra Therese - ale nic nie pomagało. Schudła, straciła blask. Zupełnie jak te dzikie kwiaty, które od razu więdną w flakonie. Czasem z nami rozmawiała...

- ...Ale nawet wtedy byłyśmy dla niej za stare. Trzeba jej było pomóc.

Obie kiwnęły głowami, a ich bystre oczy rozbliły się.

- Pewnego dnia dała nam list, żeby go dostarczyli do Les Salants. Bardzobardzo się denerwowała...

- ...ale te zrywała boki ze miechu...

- ...i nazajutrz fruwała, uciekła razem z dzieckiem.

- Nikt nie wiedział dokąd ani dlaczego...

- ...aczkolwiek my wiemy, ma soeur. Wprawdzie nie wysłuchujemy spowiedzi, lecz...

- ...mimo to ludzie się nam zwierżają.

Kiedy P'titjean odgadł prawdę? Dowiedział się przypadkiem, sama mu wyznała, czy może zobaczył na własne oczy, tak jak ja po trzydziestu latach, metrykę dziecka, wypisaną jej własną dłonią?

Siostry, obie u mieczni, te, wpatrywały się we mnie wyczekując coś. Spojrzałam na wiadectwo urodzin: ciemnoczerwony atrament, ozdobne, wyszukane pismo. Imi ...

Jean-Claude Desire St-Jean Francois Brismand.

Chłopiec był synem Grosjeana.

65

Znam poczucie winy. Znam je doskonale. W ten sposób odzywa się we mnie ojciec, jego gorzkie dziedzictwo. Wywołuje paraliż, dusi. Tak właśnie ojciec musiał się czuć, gdy fala niosła P'titjeana i jego łódź do La Goulue. Unieruchomiony. Zamkni ty. Milczał, odkąd pami tam; a teraz tym bardziej. Wzwy P'titjean przysporzył mu niewypłiwie cierpienia; martwy stał się przeszkodą nie do usunięcia.

Zanim ojcu przyszło do głowy porozumieć się z Eleanore, ona już wyjechała, zostawiając list, który znalazł otwarty i zaadresowany do siebie w kieszeni brata.

Znalazłam ten list, przeszukując potem po raz ostatni dom ojca. Dzięki listowi zdołałam wreszcie dopasować ostatnie fragmenty układanki: śmierć ojca, samobójstwo P'titjeana, osobę Flynnę.

Nie rozumiałam wszystkiego do końca. Ojciec nie zostawił dodatkowych wyjaśnień. Zacytowania niczego mi nie tłumaczył, dlatego też nie oczekiwałam niczego. Omawiałyśmy jednak te kwestie z siostrami i chyba zbliżyłyśmy się do prawdy.

Flynn, rzecz jasna, był katalizatorem. Nie wiadomie uruchomił mechanizm. Syn mojego ojca, syn, do którego Grosjean nigdy nie mógłby się przyznać, ponieważ przyjąłby jednocześnie odpowiedzialność za samobójstwo brata. Teraz rozumiałam reakcję ojca na wiadomość o tym samo-ciu Flynny. Wszystko powraca: Czarny Rok, Eleanore, wszystko. Poetyczna gorycz tego zakochania niewypłiwie przemówiła do jego romantycznej natury.

Może Alain miał rację i ojciec wcale nie chciał umrzeć, mówiłam sobie w duchu. Może to był rozpaczliwy gest, próba odkupienia, sposób wynagrodzenia krzywdy. W końcu człowiek, który za to wszystko ponosił odpowiedzialność, był jego synem.

Odkłóczyłyśmy dokumenty i księgi na miejsce. W skrytości ducha byłam wdzięczna

siostram za ich obecność, za nieustanną paplaninę, która powstrzymywała mnie od zbyt szczegółowego roztrząsania mojej własnej roli w tej historii.

Zapadła już noc, gdy wracałam powoli do Les Salants, nasłuchując cykania wierszczy w ród tamaryszków i spoglądając w gwiazdy. Od czasu do czasu spod moich stóp wzbijał się blady ogień robaczki wiotkiej. Czułam się tak, jakbym oddała krew. Opuściła mnie złość, ale również. Nawet groza wiecześnie z tego, czego się dowiedziałam, była dla mnie czym nierealnym, odległym jak opowieść z dzieciństwa. Co się we mnie oberwało i po raz pierwszy w życiu odnosiłam wrażenie, iż mogłabym opuścić Le Devin bez tej okropnej wiadomości, i dryfuję, znajdując się w stanie nieważkości, jestem deską z rozbitego okrętu, którą unosi obca fala. W końcu uprzytomniłam sobie, dokąd idę.

W domu mojego ojca panowała cisza. Odniosłam jednak osobliwe wrażenie, że nie jestem sama. Co wisiało w powietrzu; wozostałego dymu wiec, nieznanego echo. Nie bałam się. Przeciwnie, czułam się dziwnie swobodnie, jak gdyby ojciec po prostu wypłynął na nocny połów, a matka siedziała w sypialni, czytając któryś ze swoich podniszczonych romansów w miękich okładkach.

Zawahałam się na moment, zanim pchnęłam drzwi pokoju ojca. Wszystko wyglądało tam tak samo, jak zawsze; może trochę schludniej. Ubrania były poukładane, łóżko zasłane starannie. Poczułam ukłucie w sercu na widok starej vareuse Grosjeana, wiszącej na kołku za drzwiami, lecz nie naruszyło ono mojego wewnętrznego spokoju. Tym razem wiedziałam, czego mam szukać.

Jak wielu mężczyzn jego pokroju, trzymał swoje osobiste papiery w pudełku po butach, przewieszonym na dnie szafy. Niewiele tam było; potrzebny wszy pudełkiem, przekonałam się, że jest wypełnione zaledwie do połowy. Kilka fotografii z wesela rodziców - ona w bieli, on w wyspiarskim stroju. Jego twarz pod płaskim rondem kapelusza wyglądała bole nie młodo. Zdjęcia pokazywały Adrienne i mnie; zdjęcie P'titjeana w różnym wieku. Na resztę składały się głównie rysunki.

Rysował na kartkach z bloku, przeważnie w gładkim lub grubym czarnym ołówkiem. Upływ czasu i ocieranie się kartek o siebie zatarły kreski, lecz mimo to widziałam wyraźnie, że Grosjean odznaczał się niegdy wybitnym talentem. Oszczędność w szkicowaniu rysów niemal dorównywała jego oszczędności słowa, ale każda kreska i każda plamka były pełne wyrazu. W jednym miejscu jego kciuk zaznaczył grubym smugiem zarys szczęki; w innym znowu w głowej maski

wyzierały oczy o niezwykle skupionym wyrazie.

Wszystkie portrety przedstawiały t sam kobiet . Znałam jej imi ; widziałam je wypisane ozdobnym charakterem pisma w ksi dze parafialnej. Teraz mogłam oceni jej urod - wydatne ko ci policzkowe, uniesienie głowy, zarys ust.

Zrozumiałam, e te rysunki były jego listami miłosnymi. Mój milcz cy, niepi mienny ojciec przemówił pi knym j zykiem. Spomi dzy dwóch kartek wypadł zasuszony kwiat - go dzik kartuzek, po ółky ze staro ci. I kawałek wst ki, która była niegdy zielona lub niebieska. A potem list.

Był to jedyny pisany dokument. Pojedynczy arkusik papieru, przetarty na zgi ciach od wielokrotnego rozkładania i składania. Rozpoznałam jej pismo od pierwszego rzutu oka - zamaszyste litery i fioletowy atrament.

Mój drogi Jean-Francois,

zapewne miałe słuszno , nie kontaktuj c si ze mn tak długo. Z pocz tku czułam si ura ona i by-łam na Ciebie zła, teraz jednak rozumiem, e chcia-łe mi zostawi czas do namysłu.

Wiem, e nie ma tu miejsca dla mnie. Ulepiono mnie z innej gliny. Przez chwil wydawało mi si , e potrafimy si nawzajem odmieni , ale okazało si to zbyt trudne dla nas obojga.

Odpywam jutrzejszym promem. Claude mnie nie zatrzyma, wyjechał w interesach do Fromentine i wróci dopiero za kilka dni. B d czekała na Ciebie na przystani do 12.00.

Nie pot pi Ci , je li nie przyjdiesz. To miejsce jest Twoim domem i nie mog Ci zmusza , by wyje-chał ze mn . Mimo to spróbuj o mnie pami ta . By mo e, je li nie ja, to nasz syn zjawi si tu pewnego dnia.

Wszystko powraca

Eleanore

Pieczętowanie złożyłam list i umieściłam go na powrót w pudełku. Otóż to, pomyślałam sobie. Ostateczne potwierdzenie, jeśli coś takiego było potrzebne. Nie potrafiłam odgadnąć, jakim sposobem P'titjean wszedł w jego posiadanie, lecz niewątpliwie przewrotność brata wywołała straszny wstrząs u tego wrażliwego, podatnego na wpływy młodzieńca. Czy popełnił samobójstwo, czy po prostu wykonał dramatyczny gest, który zakończył się tragedią? Nikt nie miał co do tego pewnośc, może jeden pisał Alban.

Wiedziałam, że Grosjean udał się do niego. Tylko on, housinianin i ksiądz, nie był zaangażowany w całą sprawę i mógł przeczytać list Eleanore. Dla starego kapłana równało się to spowiedzi i dochował tajemnicy.

Grosjean nie zdradził się przed nikim. Po wyjeździe Eleanore coraz bardziej zamykał się w sobie; przesiadywał godzinami w Les Immortelles, wpatrując się w morze i uciekając coraz głębiej w siebie. Przez jakiś czas wydawało się, że obudzi go małżeństwo z moją matką, lecz zmiana była jedynie chwilowa. Matkę ulepiono z innej gliny, jak to określiła Eleanore. Należała do innego świata.

Zamknęłam pudełko po butach i wyszłam z nim do ogrodu. Gdy drzwi zatrzasnęły się za mną, poczułam z nagłą pewnością, że moja noga nigdy więcej nie postanie w domu Grosjeana.

- Mado. - Stał przy bramie warsztatu, prawie niewidoczny w czarnych dżinsach i pulowerze. - Nareszcie się cię doczekałem.

Zacisnęłam palce na pudełku.

- Czego chcesz?

- Przykro mi z powodu twojego ojca. - Jego twarz kryła się w cieniu, cienie przesłaniały oczy. Co we mnie cisnęło się mocno.

- Mojego ojca? - powtórzyłam szorstko.

Wzdrygnął się, słysząc mój ton.

- Mado, proszę.

- Nie podchodź do mnie! - Dłoń Flynnna musnęła moje ramię. Przez gruby materiał kurtki wyczułam jego palący dotyk, a pośladanie, które wysunęło łeb niczym wąż w moim podbrzuszu, wzbudziło we mnie zgrozę i mdłośc. - Nie dotykaj mnie! - krzyknęłam, wymierzając cios na odep. Czego chcesz? Po co wróciłeś?

Moje uderzenie trafiło go w twarz. Przyłożył dłoń do ust, wpatrując się we mnie z całkowitym spokojem.

- Wiem, że jesteś zła - zaczął.

- Zła?

Nie jestem gadatliwa, lecz tym razem mój gniew doszedł do głosu. Do całego chóru głosów. Wykrzyczałam mu wszystko: Les Salants, Les Immortelles, Brismanda, Eleanore, mojego ojca, siebie. Wreszcie zaparło mi dech i wpełchnęłam mu pudełko w dłoń. Nie wziął go; upadło na ziemię, a smutne drobiazgi z życia mojego ojca rozsypały się dookoła. Ukłoniłam się i zaczął je zbierać drucymi rękami. Jego głos zabrzmiał beznamiętnie.

- Syn Grosjeana? Jego syn?

- Eleanore nic ci nie powiedziała? Czy nie dlatego tak się starała, żeby wszystko zostało w rodzinie?

- Nie miałem pojęcia. - Zmrużył oczy; niewzruszenie rozważał co po pieśni. - To nie robi żadnej różnicy - oznajmił wreszcie. - Niczego nie zmienia. - Mówił bardziej do siebie niż do mnie. Odwrócił się nieoczekiwanie w moją stronę. Mado - powtórzył z naciskiem - nic się nie zmieniło.

- Co ty mówisz? - Omal go nie uderzyłam po raz drugi. Wszystko się zmieniło. Wszystko. Jesteś moim bratem. Oczy zaczęły mnie piec; gardło miałam wyschnięte i obolałe. - Moim bratem - powtórzyłam, ciskając papiery Grosjeana i wybuchnęłam rozgłoszonym, chrapliwym miechem, zakończonym długim, bolesnym atakiem kaszlu.

Zapadła cisza. A potem Flynn zaczął mówić cicho w ciemności.

- O co ci chodzi?

Nie przestawał się mówić. Był to, mimo wszystko, nieprzyjemny dźwięk.

- Ach, Mado - powiedział wreszcie Flynn. - Miało być tak pięknie. Tak prosto. Najlepszy numer wszech czasów. Wszystko pod ręką: stary, bogaty facet, forsa, plaża, jego rozpaczliwa potrzeba posiadania spadkobiercy. - Pokręcił głową. - Wszystko na miejscu. Trzeba było tylko trochę czasu. Wiem, nie myślałem, no, ale wystarczyło poczekać na normalny bieg wydarzeń. Rok spędzony w takiej dziurze jak Les Salants nie był wygórowanym ceną. - Posłał mi swój niebezpieczny, promienny uśmiech. - I wtedy zjawiała się ty.

- Ja?

- Ty, razem z twoimi niezwykłymi pomysłami. Z twoimi wyspiarskimi imionami i

niewykonalnymi planami. Uparta, naiwna, absolutnie nieprzekupna ty. - Musnęłam swój kark opuszkami palców; poczułam coś w rodzaju wyładowania elektrycznego.

Odepchnęłam go.

- Zaraz pewnie powiesz, że zrobię to dla mnie.

Uśmiechnęłam się szeroko.

- A jak ci się wydaje, dla kogo to robię? - Wcisnąłam jego oddech na czole. Zamknęłam oczy, lecz na siatkówkach pozostało mi odbicie jego twarzy. - Och, Mado. Gdyby tylko wiedziała, jak bardzo się starałem trzymać cię na dystans. Ale ty jesteś jak to miejsce, które powoli, podstępnie wrasta w człowieka. I zanim się obejrzyysz, wpadasz po uszy.

Otworzyłam oczy.

- Nie możesz - powiedziałam.

- Już za późno - westchnęłam. - Wspaniale byłoby zostać Jean-Claude'em Brismandem - dodałam z odzieniem żalu. Miał pieniądze, ziemię, robił wszystko, na co przyjdzie ochota.

- To nadal możesz żyć - zapewniłam go. - Brismand nie musi o niczym wiedzieć.

- Ale ja nie jestem Jean-Claude.

- O czym ty mówisz? Twoje dane są w metryce.

Flynn pokręcił głową. Jego oczy były nieodgadnione, niemal czarne. Ta czytała w nich ogniki.

- Mado - zaczęłam - ta metryka nie jest moja.

66

Jego opowieść brzmiała dziwnie znajomo, niczym typowa wyspiarska historia i mimo woli słuchałam jej z rosnącą fascynacją. W końcu odsłonił przede mną swój tajemniczy, wpuścił mnie do pilnie strzeżonego zakątka duszy. Była to opowieść o dwóch braciach.

Miejscem ich urodzenia dzieliło tysiąc mil, a różnica wieku wynosiła niecałe dwa lata. Byli przyrodnimi braćmi, lecz obydwaj wdali się w małżeństwa i dlatego istniało między nimi uderzające podobieństwo fizyczne, choć pod innymi względami bardzo się różnili. Ich matka miała nie najlepszy gust, jeżeli idzie o mężczyzn, i często ich zmieniała, w związku z czym John i Richard mieli wielu ojców.

Ojciec Johna był jednak zamożny. Mieszkał za granicą, lecz utrzymywał stały kontakt z chłopcem i jego matką, wspierając ich finansowo, aczkolwiek nigdy nie zjawił się osobiście.

Bracia widzieli w nim yczliw , cho zagadkow posta , do której mogli si zwróci w potrzebie.

- To był art - powiedział Flynn. - Przekonałem si o tym na własnej skórze, kiedy poszedłem do szkoły.

Dwa lata wcze niej John rozpoczął nauki w szkole, w której wykładano łacin i grano w krykieta; Richard natomiast ucz szczał do miejscowej podstawówki, istnego bagna, gdzie wszelk odmiennie - przede wszystkim inteligencj - bezlito nie obna ano i prze ładowano na rozmaite brutalne sposoby.

- Matka nigdy mu o mnie nie powiedziała. Bała si , e mógłby zakr ci kurek z gotówk , gdyby si dowiedział o innych m czyznach w jej yciu.

Eleanore ani razu nie wymieniła imienia Richarda i dokładała wszelkich stara , by utrzyma Brismanda w przekonaniu, e mieszka tylko z Johnem.

- Wszelkie pieni dze były zawsze przeznaczone dla Złotego Chłopca - podjął Flynn. - Wycieczki, mundurki szkolne, stroje sportowe. Nikt nie wyja niał dlaczego. John miał rachunek oszcz dno ciowy na poczcie. Miał rower. Dla mnie zostawało to, czym John si znuził, albo co zepsuł, albo czego nie umiał zu ytkowa , bo był za głupi. Nikomu nie przyszło do głowy, e mógłbym pragn czego własnego.

Pomy lałam przelotnie o sobie i Adrienne. Mimowolnie skin łam głow .

Po szkole John poszedł na studia. Brismand zgodził si je finansowa pod warunkiem, e jego syn wybierze kieru - nek przydatny dla rodzinnego przedsi biorstwa; John nie wykazywał jednak zdolno ci do in ynierii czy zarz dzania, a ponadto nie znosił, gdy kto mu mówił, co ma robi . Rozpieszczany od dzieci stwa, w ogóle nie znosił pracy jako takiej i na drugim roku rzucił studia. ył z oszcz dno ci, trwoni c czas w towarzystwie zrujnowanych finansowo i cieszcych si z sław znajomych.

Eleanore kryła go, dopóki mogła, lecz nie miała ju na niego wpływu, John zaś handlował kradzionymi radiami samochodowymi i przemycanymi papierosami, a po paru kieliszkach zwykł si przechwala bogatym ojcem.

- Zawsze to samo. Pewnego dnia dostanie prac , stary go ustawi, aden problem, ma mnóstwo czasu. My l , e w skryto ci ducha ywił nadziej , i zanim b dzie zmuszony podj decyzj , Brismand umrze. John nigdy nie był szczególnie wytrwały, a sama my l o przeprowadzce do Francji, nauce j zyka, porzuceniu kumpli i łatwego ycia... - Flynn zaś miał si

nieprzyjemnie. - Co do mnie, dostatecznie długo pracowałem w portach i na budowach, a rola Jean-Claude'a czekała na obsadzenie. Złoty Chłopiec wcale się do tego nie kwapił.

Okazja wydawała się wręcz wymarzona. Flynn dysponował dokumentami i anegdotami, dzięki którym mógł uchodzić za swego brata, a ponadto byli do siebie niezwykle podobni. Zrezygnował z pracy w przedsięwzięciu budowlanym i za resztkę oszczędności ci kupił bilet na Le Devin.

Jego pierwotny plan zakładał wyłudzenie od Brismanda moim imieniem jakiejś sumy i ucieczkę.

- Na początek wystarczyłaby Złota Karta albo jakiś fundusz powierniczy. Całkiem czysto ojciec i syn zawierają takie porozumienia. Ale na wyspie ludzie są inni.

Miał słuszną przestrożę; wypiarze nie ufaj funduszom. Brismand wymagał głębszego zaangażowania. Wymagał pomocy. Najpierw w Les Immortelles. Potem w La Goulue. Wreszcie w Les Salants.

- Les Salants przez dziesiątki spraw - podsumował z lekkim uśmiechem Flynn. - Byłbym urządzony na resztę życia. Najpierw plaża, potem wioska, a w końcu cała wyspa. To wszystko mogło być moje. Brismand myślał o emeryturze. Powierzyłby mi kierowanie najważniejszymi interesami. Miałbym nieograniczony dostęp do wszystkiego.

- Ale teraz to już nieaktualne.

Z uśmiechem musnęł mój policzek czubkami palców.

- Tak, Mado. To już nieaktualne.

Z oddali, od strony La Goulue dobiegał mnie szum wzbierającego przypływu i pokrzykiwania spłoszonych mew. Pulsowanie krwi w uszach tłumiło te odległe dźwięki. Próbowałam zrozumieć opowieść Flynn'a, lecz zaczynała mi już umykać. Huczało mi w głowie, a ci niebezpieczne gardło utrudniało oddychanie. Wszystko usunęła w ciebie jedna niepodważalna prawda.

Flynn nie był moim bratem.

- Co to? - Odsunęłam się od niego. Niemal bez udziału wiadomo ci zarejestrowałam ostrzegawczy dźwięk, głębi i wibrujący, zagłuszany szumem morza.

Flynn zerknął na mnie z ukosa.

- Niby co?

- ! - Przytknęłam palec do ust. - Posłuchaj.

Dźwięk rozległ się znowu, daleki i monotony w nieruchomym wieczornym powietrzu; bicie zatopionego dzwonu, wprawiające w drżenie nasze benki.

- Nic nie słyszysz. - Niecierpliwym gestem wyciągnął ramię, jakby chciał mnie objąć.

Wyprostowałam się i odepchnęłam go, tym razem nieco silniej.

- Nie słyszysz? Nie rozpoznajesz, co to jest?

- Wszystko mi jedno.

- Flynn, to La Marinette.

67

Jaki początek, taki koniec. Dzwon - nie legendarna Marinette, jak się okazało, lecz kościelny dzwon z La Houssiniere - bił na trwogę po raz drugi w tym miesiącu, i to wyrażone przesłanie. Noc dźwięku dzwonu brzmi inaczej niż za dnia; zareagowałam z instynktownym po piechem na jego mroczny, nagły zew. Flynn usiłował mnie zatrzymać, lecz mu na to nie pozwoliłam. Wyczuwałam katastrofę gorszą nawet niż zatonięcie „Eleanore II” i zanim Flynn się zorientował, zbiegłam już z wydmy, byle przędzej dotrzeć do Les Salants.

Wioska była jedynym miejscem, do którego nie mógł podjechać za mną; przystanął na grzbiecie wydmy i zaniechał pogoni. Przed otwartym barem Angela zgromadziła się grupa klientów, zaalarmowanych biciem dzwonu. Dostrzegłam wśród nich Omera, Capucine i Bastonnetów.

- Zzwon na trwogę, ha - odezwał się nieco bełkotliwie Omer. Ilość wypitego devinnoise wyrażenie spowolniła jego reakcję. - Zzwon houssinian.

Aristide pokręcił głową.

- Ha, więc chyba nic nam do tego. Niech teraz ich dla odmiany spotka jakiś kryzys. Nie wydaje się, żeby wyspa tonęła, co?

- Tak czy inaczej, kto powinien sprawdzić - podsunął niepewnie Angelo.

- Niech ktoś pojedzie na rowerze - zaproponował Omer.

Kilka osób przyznało mu rację, lecz nikt się nie zgłosił na ochotnika. Wsuwano rozmaite sugestie odnośnie do charakteru zagrożenia, począwszy od meduz, a skończywszy na cyklonie zmiatającej Les Immortelles z powierzchni ziemi. To ostatnie przypuszczenie znalazło uznanie u większości zebranych i Angelo zaproponował, żeby wypić jeszcze po jednym.

Wtedy właśnie na zakręcie Rue de l'Océan ukazał się Hilaire, krzyknął coś i wymachując

r koma. Ju samo to było niezwykle, ponieważ nasz weterynarz zawsze zachowywał się powściągliwie, lecz jeszcze bardziej osobliwy okazał się jego strój - Hilaire w popiechu narzucił vareuse na piasek, a na bosych stopach miał spłowiałe espadryle. To przekraczało wszelkie wyobrażenia, gdy nawet w najwskazywane ubierał się nienagannie. Wykrzykiwał coś o radiu.

Angelo napełnił dla niego kieliszek i Hilaire natychmiast go wychylił, po piesznie i z ponurym upodobaniem.

- Wszystkim się przyda po kieliszku - oznajmił zwiędnięty - jeżeli to, co słyszałem, jest prawdą.

Słuchał radia. Lubił sobie posłuchać przed snem wiadomości ze świata o dziesiętej, choć mieszkał na wyspie rzadko ledwie zdarzenia. Gazety zwykle docierały na Le Devin z opóźnieniem i jedynie premier Pinoz deklaruje zainteresowanie polityką i aktualnościami; tego wymaga jego stanowisko.

- No cóż, tym razem usłyszałem coś ważnego - powiedział Hilaire - i niezbyt przyjemnego.

- Nic mnie nie zdziwi - kiwnął głową Aristide. - Mówiłem, że to Czarny Rok. Wiadomo było, że coś się kroci.

- Czarny Rok! Ha! - Hilaire chrząknął i sięgnął po drugi kieliszek devinnoise. - Wygląda na to, że będzie znacznie czarniejszy.

Przypuszczam, że przeczytacie o tym w gazetach. Uszkodzony tankowiec u wybrzeży Bretanii, wypływający z siebie setki galonów ropy na minutę. Tego rodzaju wydarzenie może zawładnąć powszechną wyobraźnią na kilka dni, nawet tygodnie. Stacje telewizyjne pokazują martwe ptaki, oburzeni studenci protestują przeciw zanieczyszczeniu środowiska, ochotnicy z miasta oczyszczają jedną czy dwie plaże, pobudzają społeczny wrażliwość. Turystyka kuleje przez pewien czas, choć władze zazwyczaj czynią kroki, by uprzętnąć bardziej dochodowe okolice. Rybołówstwo, rzecz jasna, cierpi najdłużej.

Ostrygi są wrażliwe; nawet niewielkie skażenie może je poważnie przetrzebić. Podobnie rzecz się ma z krabami i homarami, a z barwenami jeszcze gorzej. Aristide pamięta barweny z 1945 roku, z brzuchami wzdętymi od oleju; wszyscy pamiętamy wyciek z lat siedemdziesiątych - o wiele, wiele dalszy od wyspy nien - po którym zdrapywali my ze skał na Point Griznoz wielkie czarne plamy smoły.

Zanim Hilaire skończył mówić, w barze pojawili się ludzie z informacjami zarówno

potwierdzaj cymi jego słowa, jak i zaprzeczaj cymi im, a my popadli my w stan bliski paniki. Statek znajdował si niecałe siedemdziesi t kilometrów od nas - nie, raczej pi dziesi t - i przewoził nieoczyszczony olej silnikowy, substancj najgorsz z mo liwych; plama osi gn ła ju kilkukilometrow długo i całkowicie wymkn ła si spod kontroli. Par osób wyruszyło do La Houssiniere wypyta Pinoza, który mógł wiedzie co wi cej. Reszta została z zamiarem sprawdzenia, czy kanały telewizyjne nie podadz bli szych szczegółów; niektórzy powyci gali stare mapy, by rozwa y teoretycznie, w jakim kierunku plama mo e si przemieszcza .

- Je eli jest tutaj - zastanawiał si pos pnie Hilaire, wskazuj c punkt na mapie Aristide'a - to nie wiem, jakim cudem mo e nas omin . T dy przepływa golf sztrom.

- Wcale nie wiadomo, czy plama dotrze do golfsztromu - wtr cił Angelo. - Mog j zlikwidowa wcze niej. A mo e opłynie Noirmoutier z lewej strony i w ogóle do nas nie dotrze.

Aristide nie dał si przekona .

- Je li trafi do Nid'Poule - mrukn ł - gotowa tam ugrz zn i potem zatruwa nas przez pół wieku.

- Có , ty robisz to dwa razy dłu ej - zauwa ył Matthias Guenole - a jednak jako przetrwali my.

Tu i ówdzie rozległy si nerwowe chichoty. Angelo zaserwował nast pn kolejk devinnoise. Kto z g ł bi baru poprosił o cisz i doł czyli my do grupki skupionej wokół telewizora.

- Uciszcie si wszyscy! Teraz si dowiemy!

Bywaj wiadomo ci, których nie mo na wysłucha inaczej ni w g ł bokim milczeniu. Słuchali my nadawanych informacji jak dzieci, otwieraj c szeroko oczy. Nawet Aristide nic nie mówił. Trwali my w oszołomieniu, wpatrzeni w ekran i czerwony krzy yk, oznaczaj cy miejsce katastrofy.

- Jak blisko dotarła? - zapytała niespokojnie Charlotte.

- Bardzo blisko - odparł cicho Omer z pobladł twarz .

- Cholerni dziennikarze z kontynentu! - wybuchn ł Aristide. - Nie maj porz dnej mapy, ha? Na tym głupim schemacie to tak wygl da, jakby była dwadzie cia kilometrów od nas! A gdzie szczegóły?

- Co b dzie, je li tu dopłynie? - szepn ła Charlotte.

Matthias starał si nada g łosowi oboj tne brzmienie.

- Co wymy limy. Zmobilizujemy siły. Ju to robili my.

- Nie w takich okolicznościach - zauważył Aristide.

Omer wymamrotał coś pod nosem.

- Co mówicie? - spytał z naciskiem Matthias.

- Szkoda, że nie ma z nami Rougeta.

Popatrzyli my po sobie. Nikt nie zaprzeczył.

68

Tej samej nocy, pokrzepieni dewinnois, zabrali my się do roboty. Zgłosili się ochotnicy do dyurów przed telewizorem i przy radiu, by wysłuchiwać wszelkich nowych wiadomości o wycieku. Hilaire, jako posiadacz telefonu, został mianowany oficjalnym przedstawicielem w naszych kontaktach z kontynentem. Miał za zadanie nawiązać kontakt ze strażniczymi i towarzyszami egługowymi, które mogły nas zawczasu ostrzec. Warty zmieniały się co trzy godziny w La Goulue; gdyby coś miało się pojawić, orzekł ponuro Aristide, to najpierw tam. Prócz tego zaczęli my pogłębiać przesmyk i odgradzać go od otwartego morza, używając kamieni z La Griznoz i cementu pozostałego po budowie Bouch'ou. „Jeśli uda nam się utrzymać etier w czystości, to przynajmniej będziemy coś mieli” - powiedział Matthias. Aristide wyjątkowo zgodził się z nim bez protestu.

Xavier Bastonnet wrócił około północy - najwyraźniej obawiając się Ghislainem dwukrotnie wypływali „Cecili” - z wiadomości, że statek strażniczy nadal stoi za La Jete. Wyglądało na to, iż uszkodzony tankowiec stanowił zagrożenie już od pewnego czasu, lecz władze informowały o tym dopiero od kilku dni. Prognozy, jak doniósł Xavier, nie były optymistyczne. Nadciął południowy wiatr, który - gdyby powiał dłużej - popchnąłby plam oleju prosto w naszą stronę. A wtedy tylko cud mógłby nas uratować.

Poranek w dniu wiośnie w Sainte-Marine zastał nas w minorowych nastrojach. Poczynili my przy zabezpieczaniu etier pewne postępy, acz to nie wystarczało. Nawet gdyby my mieli odpowiednie materiały, orzekł Matthias, należy odgradzić go od morza zajęłoby co najmniej tydzień. O dziesiątej rano do wsi dotarły pogłoski o czarnym osadzie, wypatrzonym kilka kilometrów od La Jete, co wzbudziło w nas rozdrażnienie i niepokój. Piaszczyste łachy zdawały się już pokryć ciemnym nalotem i choć nie dotarł jeszcze do brzegu, była to kwestia najbliższej

doby.

Niemniej, jak zauważyła Toinette, w żadnym wypadku nie należało zaniedbywać w tej w jej szczególnym dniu, toteż rozpoczęto tradycyjne przygotowania: odmalowano kapliczkę, zanesiono kwiaty na Pointe, rozpalono ogień w kosiaku obok ruin kościoła.

Nawet przez lornetkę nie dało się wyraźnie zobaczyć, co to za osad, lecz Aristide zawiadomił nas, że jest go piekielnie dużo i przy południowym wietrze dotrze zapewne wraz z przypiływem do La Goulue. Następnego wysokiego przypiływu miał nadejść około dziesiątej wieczorem; już po południu grupa salanian obserwowała morze z Pointe Griznoz, przyniosłszy ofiary, kwiaty i wizerunki w tej. Toinette, Desiree i wielu starszych mieszkańców wioski skłaniało się ku przekonaniu, że jedynym rozwinięciem jest modlitwa.

- Ona już czyniła cuda - oznajmiła Toinette. - Nie traćmy nadziei.

Czarny przypiływ stał się widoczny gołym okiem od popołudnia. Przebiegł pod wodą, co spływając z piaszczystych ławic, nietypowe kołysanie fali w cieniu skał. Na powierzchni wody nie było jednak ani śladu ropy, nawet cienkiej warstewki, choć - jak zasugerował Omer - mogła to być substancja szczególnego rodzaju, paskudztwo gorsze niż te, z którymi mieliśmy do czynienia w przeszłości. Zamiast unosić się na powierzchni, taka ropa krzepła w lepkie grudy, które opadały na dno i zanieczyszczały wszystko. Ten postępek techniczny bywa przerażający, ha? Ludzie kręcili głowami, ale włączyć ciwie nikt się nie znał na tych sprawach. Nie byliśmy ekspertami w tej dziedzinie. Przed wieczorem krążyły już rozmaite fantastyczne opowieści o czarnym przypiływie. Aristide twierdził, że pojawiają się dwugłowe ryby i jadowite kraby. Samo ich dotknięcie grozi straszliwym zakażeniem. Ptaki oszaleją, łodzie będą szły na dno, ci ganieć ciarą zakrzepłego szlamu. Czarny przypiływ mógł nawet być powodem niedawnej plagi meduz. Lecz mimo to - a może właśnie dlatego - Les Salants nie zamierzało się poddać.

Przynajmniej tak korzy przyniósł nam czarny przypiływ. Połczył nas na nowo wspólny cel. Powrócił duch Les Salants, odnaleźli my tkwiący bokiem nas niezłomnie, którą wcześniej dostrzegłam na kartach rejestrów pere Albana. Wyczuwałam ją. Dawne urazy znowu poszły w niepamięć. Xavier i Mercedes zrezygnowali z wyjazdu - na razie - i zgłosili chęć pomocy. Philippe Bastonnet, oczekujący w La Houssiniere na prom, wrócił do Les Salants razem z Gabi, Letycją, niemowlęciem oraz psem Petrole i - wbrew słabym protestom Aristide'a - postanowił zostać, aby pomóc. Desiree odstąpiła im pokój w domu, a Aristide tym razem nie zgłosił sprzeciwu.

Gdy zapadł zmrok i wezbrał przypyływ, tłum ludzi zaczął się gromadzić na La Griznoz. Pere Alban odprawiał specjalne nabożeństwo w La Houssiniere, ale przyszły obie stare zakonnice, wawe i czujne jak zawsze. Rozpalono ogień w koszach, wokół ruin kościoła rozbłysły czerwone, pomarańczowe i żółte latarnie - i po raz kolejny salanie, dziwnie wzruszając się w swych wyspiarskich kapeluszach i odwrotnych strojach, ustawili się rzędem u stóp Sainte-Marine-de-la-Mer, by wznosić modły i składać prośby przy wtórze fal.

Byli tam Bastonnetowie z Francois i Letycją, Guenole i Prossage'owie. Była Capucine i Lolo, i Mercedes, nie miała trzymać Xaviera za rękę i drugą dłoń dotykać brzucha. Toinette piewała dręczym głosem pieśń ku czci wi tej, a Desiree, która stała mi dzy Philippe'em a Gabi, była zarówno owiona i radosna, jak na weselu.

- Nawet jeżeli wi ta nie zechce się w to wdawać oznajmiła pogodnie - mam przy sobie moje dzieci, więc warto było przyjść. Stałam z boku, na wydmie, przysłuchując się i wspominając zeszłoroczne wi to. Noc była bezwietrzna, wierszcyce cykały głośno w zacisznych, trawiastych kotlinkach. Pod stopami czułam twarde, chłodny piasek. Od strony La Goulue dobiegał szum wzbierającego przypywu. Sainte-Marine spoglądała na nas z góry z kamienną obojętnością; od czasu do czasu pełgające płomienie ożywiały jej rysy. Salanie, jeden po drugim, podchodzili do brzegu.

Mercedes wrzuciła do wody garść kwiatnych płatków.

- Sainte-Marine. Pobłogosław moje dziecko. Pobłogosław moich rodziców i ochroń ich przed niebezpieczeństwem.

- Santa Marina. Pobłogosław moją córkę. Niech będzie szczęśliwa ze swoim młodzieńcem i niech nas czasami odwiedza.

- Marine-de-la-Mer, pobłogosław Les Salants. Pobłogosław nasze wybrzeże.

- Pobłogosław mego męża i synów.

- Pobłogosław mego ojca.

- Pobłogosław moją siostrę.

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego. W blasku płomieni salanie podali sobie ręce: Omer i Charlotte, Ghislain i Xavier, Capucine i Lolo, Aristide i Philippe, Damien i Alain. Mimo dręczącego niepokoju ci ludzie się uśmiechali; zamiast posępnie opuszczonych głów, jak w ubiegłym roku, zobaczyłam roziskrzone oczy i dumne twarze. Kobiety zsunęły chusty z rozpuszczonych włosów; dostrzegłam oblicza rozjaśnione nie

tylko płomieniami ognisk. Rozta czone sylwetki rzucały w morze garści płatków, wstęki i torebki z ziołami. Toinette podjęła pieśń i tym razem wiele osób jej zawtórowało, łecz cisi stopniowo w jedyny, niepowtarzalny głos Les Salants.

Niemal słyszałam pośród nich głosy Grosjeana, P'titJeana i mojej matki. Nieoczekiwanie zapragnęłam przyłączyć się do nich, wejść w krąg wiatła i zanieść modły do wi tej. Nie zrobiłam tego jednak i wyszeptałam modlitwę na grzbiecie wydmy, bardzo cicho, niemal w myślach...

- Mado?

Kiedy zechciał, potrafił poruszać się bezszelestnie. Odzywała się w nim wyspiarska krew, je eli - wbrew pozorom - miał jej w sobie choć trochę. Moje serce zamarło i odwróciłam się szybko.

- Jezu, Flynn, co ty tutaj robisz?

Stał za mną na ciecie, w miejscu, którego uczestnicy ceremonii nie mogli dostrzec. Miał na sobie ciemną vareuse i byłby zupełnie niewidzialny, gdyby nie poblask księżyca w jego włosach.

- Gdzie się podziewałeś? - spytałam, zerkając nerwowo na grupę salanian. Zanim zdążył odpowiedzieć, z Point Griznoz dobiegł krzyk wartowników, któremu niemal natychmiast zawtórowały lamenty z La Goulue.

- Aii! Przypłył! Aii!

W kaplicy umilkły pieśń. Zapanało chwilowe zamieszanie; niektórzy wybiegli na brzeg Point, lecz w rozproszonym świetle latarni nic nie było widać. Co unosiło się na falach, jaka ciemna, na wpół zatopiona masa, której nikt nie potrafił rozpoznać. Alain złapał latarnię i ruszył biegiem; Ghislain poszedł za jego przykładem. Wkrótce sznur lampionów i latarek przecięł wydmę, zmierzając ku La Goulue, gdzie dotarł czarny przypływ.

W zamieszaniu nikt nie dostrzegł Flynn'a ani mnie. Tłum przetoczył się tuż obok nas, pokrzykując, dopytując się i kołyszając latarniami, lecz nikt nawet nie spojrzął w naszą stronę. Każdy chciał jak najprędzej dotrzeć do La Goulue. Niektórzy zgarnęli po drodze grabie i sieci, jak gdyby od razu chcieli rozpocząć akcję oczyszczania wybrzeża.

- Co tu się dzieje? - spytałam Flynn'a, gdy pozwolili mi się zagarnąć ludzkiej fali.

Pokręcił głową.

- Chodź i zobacz.

Zatrzymali my się przy blokhauzie, najlepszym punkcie obserwacyjnym. Poniżej, w La Goulue, jarzyły się wiatła. Ludzie stali w kotlinach z latarniami, jak nocni rybacy. Widziałam czarne kształty, dziesiątki czarnych kształtów, unoszących się na falach i na połach zatopionych. Z oddali dobiegły mnie podniesione głosy i - czy bycie miech? W świetle latarni nie potrafiłam rozpoznać czarnych kształtów, choć w pewnej chwili wydało mi się, że mają geometryczny zarys, zbyt regularny, by miały być dziełem natury.

- Tylko popatrz - powiedział Flynn.

Poniżej wzmógł się szmer podniesionych głosów; nad wodę zgromadził się tłum ludzi, a niektórzy zanurzyli się w wodzie po pachy. Wiatło latarni lizgało się po falach; cienie na mieliznach przybrały nierzeczywisty, trupi odcień.

- Patrz dalej - nakazał Flynn.

Najwyraźniej słyszałam miech; widziałam ludzkie sylwetki na płyciznach La Goulue.

- Co się dzieje? - spytałam z naciskiem. - Czy to czarny przyptyw?

- W pewnym sensie.

Omer i Alain wyciągali z morza jakieś ciemne przedmioty. Inni po pieszyli z pomocą. Przedmioty miały regularny kształt i około metra średnicy. Z tej odległości przypominały opony samochodowe.

- Bo to właściwie nie to - oznajmił cicho Flynn. - Zdemontowałem Bouch'ou.

- Co takiego? - Poczulałam się tak, jakby coś nagle odpłynęło z przodem. - Bouch'ou?

Przytaknął ruchem głowy. Poblask z plaży rzucał osobliwe światło na jego twarz.

- Mado, to było jedyne rozwiązanie.

- Ale dlaczego? Tyle się napracowali my...

- Teraz musimy powstrzymać przed wpływającymi do La Goulue. Pozbądźmy się rafy, a przed odpływem razem z nią. Wtedy, gdyby ropa odpłynęła pod Le Devin, mogłaby ominąć Les Salants. To jest przynajmniej jakaś szansa.

Wyruszył przy odpływie. Przeciłł liny samolotowe, wiące opony. Zajęło mu to pół godziny; przyptyw załatwił resztę.

- Jesteś pewien, że to już koniec? - spytałam. - Będzie bezpiecznie?

Wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie wiem.

- Nie wiesz?

- Ach, Mado, a czego się spodziewała? - W jego głosie pobrzmiewał ton rozdrażnienia. - Przecież nie podaruję ci całego świata. - Pokręcił głowę. - Teraz przynajmniej może walczyć razem ze mną. Les Salants nie musi ginąć.

- A Brismand? - spytałam tuż po.

- Jest zbyt zajęty własnymi sprawami, by poświęcać ci uwagę. Ostatnio, o ile wiem, łamał sobie głowę nad tym, jak usunąć stutonowy falochron w dwadzieścia cztery godziny. - Uśmiechnął się. - Może Grosjean wpadł na dobry pomysł.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam jego słów. Pogryzłam w myślach o czarnym przypływie, zapominałam zupełnie o planach Brismanda. Nieoczekiwanie wezbrała we mnie dzika, radosna fala.

- Jeśli Brismand zniszczy swój falochron, wszystko się zatrzyma - powiedziałam. - Przypływy będą takie jak dawniej.

Flynn parsknął miechem.

- Ogniska na plaży. Trójka gości w sypialni na tyłach domu. Trzy franki za spojrzenie na świat. Adnych pieniędzy, żadnego rozwoju, nic zupełnie.

Pokręciłam głowę.

- Mylisz się - powiedziałam. - Jest jeszcze Les Salants.

Za miał się ponownie, do dziko.

- Masz rację. Jest Les Salants.

69

Wiem, że nie zostanie w Les Salants. Nie powinnam tego oczekiwać. Dzieli nas zbyt wiele kłamstw, zbyt wiele oszustw. Zbyt wielu ludzi żywi do niego nienawiść. A ponadto w głębi serca czuje się mieszkańcem kontynentu. Marzy o wiatłach wielkiego miasta. Może by chciał zostać, ale nie może. Ja natomiast nie wyjadę - tak przemawia przede mną Grosjean i cała wyspa. Mój ojciec kochał Eleanore, lecz w końcu z nią nie wyjechał. Wyspa potrafi zatrzymać człowieka. Tym razem jest to czarny przypływ. Plama znajduje się teraz dziesięć kilometrów od nas, tuż obok Noirmoutier. Nie wiadomo, czy do nas dotrze, czy nas ominie - nie wiem tego nawet straż przybrzeżna. Zanotowano już zniszczenia u wybrzeży Wandei; telewizja przedstawia nam wizję przyszłości w denerwujących, jaskrawych obrazach. Nikt nie potrafi przewidzieć,

co z nami będzie; plama ropy powinna popłynąć za golfstromem, ale teraz to kwestia kilku kilometrów i nie wiadomo, jaki obierze kierunek.

Niemal na pewno dotrze do Noirmoutier. Może również do L'île d'Yeu, choć to nie jest pewne. Rozszalały przemyśleń, które nas oddzielają, toczące nieustannie wojnę. Jedna z wysp - może tylko jedna - zakazała się trucizną. Ale Les Salants nie straciło nadziei. Przeciwnie, pracujemy ciężko kiedykolwiek. Przesmyk jest zabezpieczony, wiewarum dobrze zaopatrzone. Aristide, któremu drewniana noga przeszkadza w podejmowaniu aktywnych obowiązków, ledzi wiadomości w telewizji, podczas gdy Philippe pomaga Xavierowi. Charlotte i Mercedes przygotowują posiłki dla ochotników u Angela. Omer, wraz z Guenole i Bastonnetami, przesiaduje niemal bez przerwy w Les Immortelles. Brismand powołał wszystkich, housinian i salanian, do pomocy przy rozbiórce falochronu; zmienił również testament na korzyść Marina. Damien, Lolo, Hilaire, Angelo i Capucine nadal oczyszczają La Goulue i zamierzamy wykorzystać stare opony jako barierę ochronną przed ropą, gdyby dotarła do naszego wybrzeża. Zgromadzili my już sprzątnięcie i rodki na to ewentualnie. Zadbaj o to Flynn.

Owszem, został tu na razie. Niektórzy odnoszą się do niego chłodno, lecz Guenole i Prossage'owie przyjdą go serdecznie, a Aristide zagrał z nim wczoraj w szachy, więc może nie wszystko stracone. Z pewnością nie jest to czas na wzajemne oskarżenia. Pracuje również ciężko jak my nawet ciężko - a teraz na Le Devin tylko to naprawdę się liczy. Nie wiem, po co tu siedzi. Niemniej podnosi mi na duchu widok jego sylwetki w La Goulue, codziennie w tym samym miejscu, gdy trąca patykami stworzenia wyrzucone przez fale albo wtacza na wydmy opony samochodowe. Pozostał ostry i kanciasty - zapewne pozostanie taki na zawsze - ale wydaje się łagodniejszy, bardziej wygładzony, czysto odzyskany, niemal jak jeden z nas. Nawet go polubiłam - trochę.

Czasami, kiedy się budzę, spojrzę przez okno na niebo. O tej porze roku nigdy nie jest zupełnie ciemno. Niekiedy wymykamy się z Flynnem na zewnątrz i patrzymy na La Goulue, na zielonkawoniebieskie morze, jak przy Jadeitowym Wybrzeżu, siedząc na zboczu wydmy. Rosną tam tamaryszki, pólne goździki i „zajcze kitki”, połyskujące blade w świetle księżyca. Niekiedy widać nad wodą wiatła z kontynentu: na zachodzie ostrzegawcze latarnie, na południu mrugające balise. Flynn lubi sypiać na plaży. Lubi głosy owadów nad głowami i szum traw. Zdarza się nam spać do rana dworze całą noc.

EPILOG

Nadeszła zima, a czarny przypyływ nas nie dotknął. L'île d'Yeu nieco ucierpiała, Fromentine zalała ropa, wyspa Noirmoutier została doszczętnie spustoszona. Fala zmierza na północ, obmywając cyple i mielizny. Jeszcze nie wiemy, co nas może spotkać. Ale Aristide jest dobrej myśli. Toinette zasięgnęła porady u siostry tej i twierdzi, że miała wizję. Mercedes z Xavierem wprowadzili się do chatki na wydmach, ku cichej radości starego Bastonneta. Omer miał niespotykane dobre passy przy grze w belote. Ja zaś jestem pewna, że przedwczoraj dostrzegłam uśmiech na twarzy Charlotte Prossage. Nie, nie powiedziałabym, że fala się odwróciła, ale co powróciło na Le Devin. Poczucie celu. Nikt nie odmieni przypyływu, a przynajmniej nie na zawsze. Wszystko powraca. Ale Le Devin nie zamierza się poddać. Niech to będzie powód, susza, czarny rok, czarny przypyływ - nie podda się. Bo nie poddajemy się my, Devinianie - Bastonnetowie, Guenole, Prasteau, Prossage'owie, Brismandowie; a ostatnio także Flynnowie. Nic nas nie złamie. Równie dobrze możemy być pod wiatr.

PODZIĘKOWANIA

Żadna księżka nie jest wyspą, dlatego chciałam podziękować ludziom, bez których nic by mi się nie udało. Dziękuję z całego serca mojej agentce, Wojowniczej Księżniczce Serafinie, a także Jennifer Luithlen, Laurze Grandi, Howardowi Morhaimowi i wszystkim innym, którzy doprowadzili do wydania tej książki drogą porozumienia, pochlebstwa bądź groby. Dziękuję również mojej niezwyklej redaktorce Francesce Liversidge, mojej specjalistce od reklamy Louise Page, wszystkim z Transworld; rodzicom, bratu Lawrence'owi, matce Kevinowi i córce Anouchce za to, że byli (przeważnie) bezpiecznymi przystaniami; moim e-mailowym korespondentom: Curtowi, Emmie, Simonowi, Julesowi, Charlesowi i Mary za kontakt z wiatem; Christopherowi za nieodkładanie słuchawki, Steviemu, Paulowi i Davidowi za miętowy herbatnik, naleśniki i konstruktywne krytyki.

Dziękuję niezliczonym księżarzom, wstawiającym moje książki na półki, i wreszcie - dziękuję mieszkańcom Les Salants, którzy - mam nadzieję - kiedyś mi wybaczą ...